



T a d e u s z P i e t r z a k

WRZEŚNIOWE
DNI

BIBLIOTHECA
TUDCIVIANA



BIBLIOTHECA
TURCOVIANA



BIBLIOTHECA
TURCOVIANA

Nr 1

Tadeusz Pietrzak
WRZEŚNIOWE DNI

Tadeusz Pietrzak

WRZEŚNIOWE DNI

Opracował i wstępem opatrzył
Jarosław Pereświat Sołtan



Turek - Kalisz 2005
Kaliskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk

Ilustracje pochodzą ze zbiorów
Marii Borek
oraz Stanisława Pietrzaka i Andrzeja Zeltmana

Redakcja techniczna
Lidia Łyszczak

Projekt okładki i znaku graficznego serii
Alicja Stawieraj

Książkę wydano z udziałem środków
Gminy Miejskiej Turek
oraz Stanisława Pietrzaka i Andrzeja Zeltmana

*Osiemdziesiąte drugie wydawnictwo
Kaliskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk*

ISBN 83-85638 – 59 – 8

Turek – Kalisz 2005
Kaliskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk
Druk Edytor Kalisz

Tadeusz Pietrzak i jego „Wrześniowe dni”

Tadeusz Mieczysław Pietrzak, pseudonim konspiracyjny „Konrad”, we wrześniu 1939 roku plutonowy-podchorąży 29 Pułku Strzelców Kaniowskich, wchodzącego w skład 25 Kaliskiej Dywizji Piechoty pod dowództwem generała brygady Franciszka Altera, przyszedł na świat w Kole 21 sierpnia 1920 roku jako syn Franciszka Ksawerego Pietrzaka lekarza weterynarii i Ewy Tekli z domu Kokowskiej. W czasie nauki w gimnazjum w Turku związał się z ruchem narodowym co przypieczętował swą przynależnością do Koła Młodych Stronnictwa Narodowego. Wraz ze swym starszym bratem Włodzimierzem, podjął próbę przeniesienia na teren powiatu działalności Obozu Narodowo-Radykalnego. Poza działalnością polityczną przejawiał zainteresowania literackie, czego dowodem było współredagowanie szkolnego czasopisma „Orzeł i Miecz”, którego został w czasie późniejszym redaktorem naczelnym. Podczas pobytu w gimnazjum w latach 1935-1937 ukończył kurs przysposobienia wojskowego II stopnia z wynikiem bardzo dobrym. Po maturze uzyskanej w 1938 roku odbył służbę w Junackich Hufcach Pracy, a po jej ukończeniu zapisał się na studia w Wyższej Szkole Handlowej w Warszawie. Nauki jednak nie rozpoczął bowiem zdecydował się najpierw na wstąpienie do podchorążówki piechoty, po ukończeniu której w stopniu plutonowego-podchorążego skierowano go na ćwiczenia w 29 Pułku Strzelców Kaniowskich w Kaliszu, gdzie zaliczył kurs obsługi działek przeciwpancernych. Tu też zastała go wojna. Zgodnie ze swą specjalnością zostaje przydzielony do kompanii przeciwpancernej, w której jest dowódcą działonu w II plutonie. Wraz z macierzystym pułkiem przebył drogę od Kalisza poprzez rodzinny Turek, Uniejów, Dąbie nad Nerem do Łęczycy, gdzie wziął udział w największej bitwie kampanii wrześniowej - bitwie nad Bzurą, a następnie po przeprawie przez rzekę dotarł do Puszczy Kampinoskiej i po jej stórsowaniu stanął u wrót broniącej się resztkami sił Warszawy. U wrót płonącej stolicy uczest-

niczył jeszcze w potyczkach z nacierającymi na przedmieścia siłami nieprzyjaciela. Wreszcie znalazł się w mieście, ale tu już czynnie z Niemcami nie walczył, bowiem były to właściwie ostatnie dni obrony, zdominowane praktycznie przez niemieckie lotnictwo, które bez przerwy bombardowało płonące miasto. Tu zastała go kapitulacja, którą przyjął z goryczą i rozczarowaniem, nie mogąc się z tym faktem pogodzić. Wraz z obrońcami miasta złożył broń i udał się w powrotny marsz w stronę Łowicza, tym razem jednak pod eskortą niemiecką.

Bilans tej wędrówki pod bombami z Kalisza do Warszawy był dla młodego człowieka tragiczny. Z jednej strony mógł mówić o dużym szczęściu, bowiem w czasie tego krwawego marszu nie został nawet poważnie ranny, z drugiej zaś, zetknął się ze śmiercią i to nie tylko bezimiennych żołnierzy lecz także swych kolegów i przyjaciół. Na początku drogi stracił swego serdecznego kolegę z kursu podchorążackiego Władysława Duxa, który poległ śmiercią bohaterską w ataku na nieprzyjaciela oraz przyjaciela z lat szkolnych Stanisława Marszla, zmarłego z ran odniesionych w walkach o Łęczycę. Po ataku bombowym na Sanniki, w których zatrzymała się kolumna marszowa, wraz z księdzem kapelanem pochował swego dowódcę kompanijnego kapitana Jana Wultańskiego.

W tych strasznych dniach w przerwach w marszu pisał pamiętnik. Jest to chronologiczny, bardzo dokładny opis tamtych tragicznych dni widzianych oczyma dowódcy działonu przeciwpancernego w stopniu plutonowego-podchorążego i stąd jego ocena działań wyższego dowództwa jest zapewne subiektywna.

Pamiętnik rozpoczyna się na kilka dni przed wybuchem wojny, a kończy w początkach października, tuż po kapitulacji stolicy. Zapiski dotyczą wydarzeń podczas marszu z Kalisza poprzez rodzinny Turek, Łęczycę w stronę broniącej się Warszawy. Zwraca w nich uwagę niezwykle jak młodego człowieka trzeźwość w ocenie sytuacji, nie uleganie optymistycznym doniesieniom z frontu sugerującym pasmo sukcesów polskiej armii, czy wręcz nieprawdopodobnym sugestiom o załamaniu się niemieckiej ofensywy z powodu braku benzyny do czołgów i samolotów. Co ciekawsze, Tadeusz Pietrzak już wtedy, gdy nic jeszcze na to nie wskazywało, przewidywał ostateczną klęskę Niemców, choć zdawał sobie sprawę, że będzie to okupione ogromnymi ofiarami i latami walki, która się dopiero rozpoczyna. Będąc już w płonącej Warszawie, bez ogródek nazywa wkroczenie sowieckiej armii czwartym rozbiorem Polski, przeciwstawiając się tym samym złudnym nadziejom niektórych mieszkańców Warszawy widzących w Armii Czerwonej swą wyzwolicielkę.

Po klęsce udaje mu się uniknąć niewoli, wraca do rodzinnego miasta i spontanicznie włącza się w działalność konspiracyjną w grupie dowodzonej przez podporucznika artylerii Stanisława Stacha pseud. Turek. Wierząc w krótkotrwałość okupacji, wraz z kolegami zbiera broń z pobojozisk września 1939, która gromadzona jest w leśnych ziemiankach. Jednakże przedłużająca się okupacja i brak perspektyw rozwojowych skłoniło kierownictwo organizacji do szukania kontaktów z podzie-

miem poza Turkiem i w tym celu delegowano do Warszawy Tadeusza Pietrzaka. Tam autor nawiązał kontakt z ONR-em, a nawet osobiście spotkał się z Bolesławem Piaseckim¹. W ten sposób grupa turkowska znalazła się w Konfederacji Narodu², a następnie w Konfederacji Zbrojnej. Działalność skoncentrowano na kolportażu gazetek, które odbierano z zakonspirowanego lokalu KN w Łodzi. W czasie pobytu w Warszawie Tadeusz Pietrzak zamieszkuje wraz z bratem Włodzimierzem i jego żoną Ireną najpierw w Piasecznie, a później w Zalesiu pod Warszawą. W początkach roku 1940 wstępuje do konspiracji przyjmując pseudonim „Konrad”. Już 2 stycznia tegoż roku zostaje mianowany dowódcą oddziałów dywersyjno-sabotażowych, zwanych też spec-oddziałami³. O fakcie tym wspomina w swych książkach „Akcje zbrojne podziemnej Warszawy 1939-1944” i „Oddziały szturmowe konspiracyjnej Warszawy 1939-1944” Tomasz Strzembosz, błędnie jednak podając, że Tadeusz Pietrzak pseud. Konrad był podchorążym lotnictwa⁴.

We wrześniu 1941 roku już jako formalny członek ZWZ skierowany zostaje do akcji „Wachlarz”, a w osiem miesięcy później w maju następnego roku (dokładnie w 23 dni po swym ślubie z Marią Mazurkiewicz) na rozkaz płk. Niepokólczyckiego udaje się do Wilna. Od tej chwili losy autora „Wrześniowych dni” są niejasne. Prawdopodobnie po „wsypie”, która nastąpiła w lipcu 1942 roku na terenie Wilna, zostaje aresztowany przez gestapo i osadzony w więzieniu na Łukiszkach, w którym zostaje zamordowany. Niestety rodzinie, mimo usilnych poszukiwań i dociekaniu prawdy nie udało się ustalić ani miejsca, ani daty śmierci Tadeusza Pietrzaka.

Na zakończenie wspomnieć należy o Włodzimierzu Pietrzaku. Ten starszy o siedem lat brat Tadeusza, z wykształcenia prawnik i absolwent kaliskiego gimnazjum był pisarzem, poetą, filozofem kultury i współtwórcą konspiracyjnego ruchu kulturalnego. W konspiracji nosił pseudonim „Balk” i związany był ideowo z Konfederacją Narodu pracując jako redaktor w jej organie prasowym

¹ Piasecki Bolesław (1915-79), (...) do 1931 w Obozie Wielkiej Polski, następnie w Stronnictwie Narodowym; 1934 współzał. ONR „Falanga”, 1941-43 - Konfederacji Narodu; 1943-44 w partyzantce AK na Nowogródzczyźnie, 1944-45 więziony przez władze radzieckie, zał. tzw. ruchu społecznie postępowego świeckich katolików, 1952-79 przewodniczący Stowarzyszenia „Pax”, 1965-79 poseł na sejm, 1971-79 członek Rady Państwa. Leksykon historii Polski, s. 559

² Konfederacja Narodu, organizacja konspiracyjna zał. IX 1940 jako federacja kilku organizacji podziemnych. (...) W styczniu 1941 pion wojskowy K.N. utworzył Konfederację Zbrojną. K.N. z Bolesławem Piaseckim na czele stała się organizacją o obliczu nacjonalistycznym, działającą pod hasłem budowy Imperium Słowiańskiego (...) Rozwiązana w 1945 r. Leksykon historii Polski, s. 985

³ Związane ze Zw. Syndykalistów Polskich., organ. związanej z ZWZ wyłącznie na szczeblu dowodzenia. T. Strzembosz, Oddziały szturmowe..., s. 58-59

⁴ T. Strzembosz, Oddziały szturmowe konspiracyjnej Warszawy 1939-1944, s. 59

tygodniku „Młoda Polska”. Zginął podczas powstania warszawskiego raniony śmiertelnie odłamkiem granatu w głowę. Pośmiertnie odznaczony Krzyżem Walecznych i awansowaniem go do stopnia podporucznika. Mogiła jego jest jedną z wielu w kwaterze powstańczej na Powązkach. „Odszedł żołnierską drogą w tych akurat dniach, gdy odeszli też liczni spośród z jego młodszych kolegów, towarzyszy broni-poetów i żołnierzy jak Gajcy, Stroiński, Mencil.” pisze o nim w pośmiertnym wspomnieniu na łamach „Kierunków” Tadeusz Sołtan.

Po zmianach ustrojowych decyzją Rady Miejskiej I kadencji niektórym ulicom Turku zmieniono nazwy, części przywrócono ich dawne przedwojenne brzmienie inne zaś nazwano nazwiskami zasłużonych turkowień. I tak wśród nowych ulic nie zabrakło i ulicy nazwanej imieniem braci Pietrzaków. Tym samym miasto uczciło swych wspaniałych synów przywracając ich niejako do ponownego życia w wolnej ojczyźnie, za którą obaj oddali swe życie.

Historia 29 Pułku Strzelców Kaniowskich

Początków 29 pułku Strzelców Kaniowskich szukać należy w okresie I wojny światowej. Oddziały II Brygady Legionów po przejściu do Rosji połączyły się z powstałym tam po rewolucji bolszewickiej II Korpusem Polskim. Korpus ten zasilony oddziałami legionowymi stoczył w dniach 11 i 12 maja 1918 roku pod Kaniowem nad Dnieprem krwawą bitwę z wojskami niemieckimi po której przestał istnieć. Część żołnierzy dostała się do niewoli innym zaś udało się przedostać w głąb ogarniętej rewolucją Rosji. Niedobitki korpusu dotarły aż na Kubań, gdzie ponownie sformowana zostaje polska dywizja, na której czele staje generał Lucjan Żeligowski. Pod jego dowództwem dywizja przedostaje się do Polski w czasie trwania w ojczyźnie walk o utrwalenie jej granic. Jeden z pułków wspomnianej dywizji – 14 pułk strzelców polskich po powrocie do kraju został połączony z 29 pułkiem Ziemi Kaliskiej, powstałym z konspiracyjnej Polskiej Organizacji Wojskowej w listopadzie 1918 roku i przekształcony w 29 pułk Strzelców Kaniowskich.

W tym miejscu warto jest parę słów poświęcić powstaniu i działaniom bojowym 29 pułku Ziemi Kaliskiej. Jak już wspomniano pułk ten powstał w wyniku przekształcenia konspiracyjnych oddziałów POW w regularne wojsko polskie. Kaliska POW wyłoniła trzy bataliony piechoty rozlokowane: I i II w Kaliszu, Szczypiornie i Sieradzu, III w Koninie, Turku, Słupcy i Pyzdrach. Bataliony zostają podporządkowane Sztabowi Ziemi Kaliskiej na którego szefem zostaje porucznik Juliusz Urych. Sztab działa do 10 grudnia 1918 roku, kiedy to rozkazem władz centralnych zostaje zlikwidowany a władzę na oddziałami wojskowymi obejmuje Józef Lewszecki jako dowódca okręgu wojskowego w Kaliszu. Oddziały piechoty przyjęły nazwę 29 pp Ziemi Kaliskiej a dowódcą pułku zostaje mianowany ppłk. Karol Szemiot.

W grudniu 1918 roku dowództwo pułku wysłało na pomoc powstańcom poznańskim III batalion, który przedostawszy się w okolice Gniezna staczał pod Anastazewem zwycięską potyczkę z Niemcami uwieńczoną zdobyciem dwu karabinów maszynowych.

W początkach 1919 roku 29 pułk dostaje rozkaz wysłania na front wschodni jednego ze swych batalionów. I znów wybór wypadł na zaprawionego już w boju III batalion pod dowództwem kapitana Stanisława Powroźnickiego. 24 lutego tegoż roku batalion wchodzi w kontakt z nieprzyjacielem pod miasteczkiem Hołoby nad Sochodem, staczając z Ukraińcami dwudniową zwycięską bitwę. Dalsze dni to zmagania z armią ukraińską w bojach pod Twerdyniem, Stochodem, Policą, Sarnami, Czartorysiem i Rafałówką.

Pozostałe w Kaliszu bataliony wkrótce również wyruszają na front, kierując się na ogarnięty walkami Lwów. Bierze tam udział w walkach pod Olchowem, Brzeżanami, Jamczynem, Dusanowem i Wólką. 28 czerwca wkraczają zwycięsko do Brzeżan. Stamtąd pułk przechodzi do Przemyśla, skąd kolejną udaje się pod Jazłowiec. Tam działa już 4 dywizja gen. Żeligowskiego, z którą pułk ma się wkrótce połączyć.

Po połączeniu i utworzeniu 29 pułku strzelców kaniowskich stacza szereg bojów z cofającymi się Ukraińcami. Na przypomnienie zasługuje potyczka z 5 lutego 1920 roku, kiedy to zniszczono stację Borkowicze biorąc przy okazji cały sztab sowieckiej brygady. Do marca tegoż roku cały pułk pozostawał w odwodzie grupy generałów Rządковского i Zygałowicza. Wczesną wiosną pułk obsadza polsko-litewską linię demarkacyjną, a od początków maja bierze udział w walkach z bolszewikami. Z tego okresu należy wymienić walki na linii rzeki Dźwiny a wśród nich bój o Jazno, w którym 29 pułk ponosił ogromne straty. W historii pułku ta bitwa należała do największych i najkrwawszych.

4 lipca 1920 roku wojska sowieckie po silnym przygotowaniu artyleryjskim przypuściły natarcie na stanowiska pułku. Impet uderzenia nieprzyjaciela tłumaczyć należy tym, że była to próba przerwania frontu. Mimo bohaterskiego oporu i podejmowanych kontrataków z polskiej strony, oddziały polskie zmuszone zostały do wycofania się. Przerwanie frontu zapoczątkowało ogólny odwrót wojsk polskich, który ciągnął się na odcinku prawie siedmiuset kilometrów. Dni odwrotu były bardzo ciężkie dla pułku, który chwilami ocierał o fizyczne unicestwienie. Tak było w walkach o przeprawę na rzece Żyźnie i zdobycie w walkach wręcz miasteczka Myto, otwierającego dalszą drogę odwrotu. Po przebyciu Niemna cofający się pułk staczał codzienne walki z nacierającymi zewsząd oddziałami bolszewickimi. Szczególnie groźne chwile przeżyli żołnierze 29 pułku podczas walk o Zambrów, kiedy to pochłoniętych walką zaszli od tyłu bolszewicy. W czasie zarządzanego natychmiast odwrotu znów stracono wielu ludzi i sprzętu, dzięki jednak śmiałym decyzjom dowództwa pułk i z tej opresji wyszedł w miarę cało. W dalszej drodze kaniowszczyzy zdobyli jeszcze Ostrów,

a następnie odmaszerowali w stronę Wyszkowa aby zająć odcinek frontu w rejonie Nowej Wsi i Białychbłot. Tu zostali ponownie zaatakowani przez nacierającą w stronę Warszawy oddziały bolszewickie. Stamtąd pułk został wysłany na odpoczynek i uzupełnienie strat.

W związku ze zmieniającą się z godziny na godzinę sytuację na froncie 14 sierpnia pułk wyruszył w stronę Nieporętu i Beniaminowa. W tym samym dniu wieczorem po przybyciu na miejsce żołnierze 29 pp zetknęli się z nieprzyjacielem odpierając jego natarcie. W następnych dniach były prowadzone walki z czerwoarmistami o wieś Mokre zaciekle bronioną przez wroga ze względu na jej strategiczne znaczenie. Dopiero atak przeprowadzony siłami II batalionu na którego czele stanął dowódca pułku major Walter przyniosła sukces. Niestety w ataku tym zginęło wielu żołnierzy wraz ze swym dowódcą zmarłym z odniesionych ran w szpitalu.

Bitwa warszawska zbliżała się ku końcowi. 18 sierpnia rozpoczął się pościg niedobitków sowieckiej armii. 10 dywizja piechoty w skład której wchodził 29 pułk strzelców kaniowskich podążyła za uciekającą w panice armią bolszewicką. Kaniowszczycy skierowali zostali w kierunku granicy z Prusami Wschodnimi celem wzmocnienia polskiego kordonu. Przybyli jednak za późno, bowiem czerwoarmisci po stoczonym boju zdołali się przebić przez granicę. W związku z tym pułk wysłany został pod Zamość zagrożony przez konną armię Budionnego. W wyniku tych działań zagrożony otoczeniem nieprzyjacieli począł się wycofywać, a kontakt bojowy z nim 29 pułk nawiązał 3 września.

Po sforsowaniu Bugu żołnierze 29 pp stoczyli swój ostatni bój pod Tartakowem zmuszając bolszewików do odwrotu.

Po skończonej wojnie polsko-bolszewickiej pułk wrócił do Kalisza dopiero 4 kwietnia 1921 roku gdzie spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem przez kaliszian dziękującym w ten sposób za obronę niedawno odzyskanej niepodległości. W Kaliszu zorganizowało się nawet koło opieki nad żołnierzami 29 pułku. Podobne koło powstało również w Warszawie, a pułk uzyskał zaszczytne miano obrońców stolicy.

Koło kaliskie w porozumieniu ze swym warszawskim odpowiednikiem ufundowało pułkowi chorągiew, którą wręczył pułkowi osobiście w dniu 15 maja marszałek Józef Piłsudski. Na znak związków pułku ze stolicą na sztandarze pułkowym umieszczone zostały herby Kalisza i Warszawy¹.

W okresie międzywojennym 29 pułk strzelców kaniowskich stał się częścią 25 Dywizji Piechoty, która weszła w skład Armii „Poznań”. Na czele jej stanął generał Franciszek Alter, zaś dowódcą 29 pułku Strzelców Kaniowskich w przededniu II wojny był podpułkownik Florian Gryl.

¹ Zarys historii wojennej 29-go pułku Strzelców Kaniowskich, Warszawa 1928

Działania wojenne 25 Dywizji Piechoty

W pierwszych dniach wojny 25 Dywizja Piechoty wycofała się na linię Warty i Prosnę a następnie przez Turek w stronę Koła. 6 września skierowano dywizję przez Dębę na Łęczycę. W nocy z 6 na 7 września przeprowadzono się przez Wartę pod Uniejowem. W tym samym czasie 60 pp i 25 pal stoczyły w okolicy Uniejowa potyczkę z Niemcami. 9 września siły 69 pp i 17 dyw. piechoty zdobyły Łęczycę i ruszyły w pościg za nieprzyjacielem. 12 września zdobyto Sokolniki lecz tej samej nocy gen. Alter otrzymał rozkaz wycofania się na południowy brzeg Bzury. Po jego wykonaniu Dywizja znalazła się w okolicach Witonii i skierowała się na Sanniki. 16 września została zaatakowana przez niemiecką dywizję pancerną i mimo poniesionych strat, rozbiciu artylerii pułkowej atak ten odparto niszcząc dwa czołgi. 17 września po sforsowaniu Bzury Dywizja skierowała się do Puszczy Kampinoskiej i skierowała się w stronę walczącej wciąż Warszawy. Resztki Dywizji stoczyły jeszcze walki w okolicach Młocin i Bielan, aby następnie wziąć udział w obronie stolicy i podzieliła los wszystkich jej obrońców.

Gen. Brygady Franciszek Alter

Urodził się we Lwowie 22 listopada 1889 roku. Mając szesnaście lat wstąpił do korpusu kadetów przy 55 pułku piechoty we Lwowie uzyskując w nim stopień chorążego. Do końca służby w armii austriackiej dosłużył się stopnia kapitana i z tym stopniem wstąpił do formującego się wojska polskiego.

Swą dowódczą karierę rozpoczął w roku 1919, już w stopniu podpułkownika. W pamiętnym roku 1920 w wojnie z bolszewikami dowodził batalionem piechoty, a po jej zakończeniu do roku 1923 pełnił służbę na różnych szczeblach dowodzenia 19 Dywizji Piechoty w Wilnie. Następnie mianowano go dowódcą 77 Pułku Piechoty w Lidzie gdzie służbę pełnił do roku 1931, w którym przeniesiony został do Poznania na stanowisko dowódcy piechoty dywizyjnej w 14 Dywizji Piechoty, której dowódcą został w roku 1934. Od momentu przeniesienia do Poznania można mówić o związkach generała z Wielkopolską, a z chwilą mianowania go na dowódcę 25 Dywizji Piechoty, z Ziemią Kaliską i Kaliszem będącym siedzibą dowództwa wspomnianej jednostki. Od samego początku swego pobytu w Kaliszu zajmował się pracą społeczną z młodzieżą wśród której propagował tematykę wojskowo-obronną.

Widząc nieuchronność konfliktu z Niemcami, w dniach od 24 do 26 sierpnia 1939 roku na jego rozkaz przeprowadzono próbną mobilizację w wyniku której 25 DP Ziemi Kaliskiej do wojny była już przygotowana na parę dni przed jej wybuchem.

* Z. Mierziński, *Generałowie II Rzeczypospolitej*. Warszawa 1990.

Po wybuchu wojny 25 DP skierowana została na Warszawę. W drodze niejednokrotnie atakowana przez nieprzyjaciela wzięła udział w bojach o Łęczycę. Z dużymi stratami dotarła do broniącej się Warszawy i tu zastała ją kapitulacja miasta.

Generał Alter miał sposobność opuszczenia miasta jeszcze przed kapitulacją i udania się za granicę, jednak kategorycznie odmówił stojąc na stanowisku, że dowódca musi być ze swymi żołnierzami do końca. Na początku niewoli władze niemieckie, powołując się na jego austriackie pochodzenie zaproponowały mu zwolnienie z obozu jenieckiego w zamian za wyrzeczenie się polskości, generał jednak zdecydowanie odmówił za co spotykały go szykany ze strony władz obozowych. W latach 1941-1944 był więźniem ołagu VIIA w Murnau. W skutek poważnej choroby został przeniesiony do szpitala w Garmisch-Partenkirchen w którym nie doczekawszy kłęski Niemiec zmarł 23 stycznia 1945 a ślepy los zdarzył, że była to również data wkroczenia do Kalisza wojsk sowieckich. Pochowany został na miejscowym cmentarzu a następnie jego prochy przeniesione zostały na cmentarz obozowy w Murnau i tam spoczywają do dnia dzisiejszego.

Odnaczony Orderem Virtuti Militari, Polonia Restituta i czterokrotnie Krzyżem Walecznych oraz innymi odznaczeniami.

* Za Z. Mierzwiński, *Generałowie II Rzeczypospolitej*. Warszawa 1990.

*p. Stachowi Marszałowi
- przyjacielowi dziesięciu lat mego życia,
zmarłemu samotnie wskutek ciężkich ran
otrzymanych nad Bzurą - poświęca
towarzysz broni*

Rozdział I

ALARM

Nic go rano nie zapowiadało. Jak zwykle wstaliśmy z Władkiem trochę po pobudce i to dopiero wtedy, gdy „człowiek” z działonu przyniósł ranną kawę. Wstałem pierwszy, Władek przeciągając się za mną. Jest upalny wtorek 22 sierpnia. Do cywila jeszcze 24 dni, o ile? To „o ile” nie dawało nam spokoju. Jeszcze wczoraj założyłem się z Władkiem o litr wódeczności, że będzie wojna, Władek że nie. Zresztą chodziły słuchy o przedłużeniu służby wojskowej, a tej mieliśmy obaj dosyć.

Spojrzałem na zegarek, było pół godziny po pobudce. Wypiwszy ciepłe mleko, złapałem pas i wybiegłem na zewnątrz. Nie czekając na Władka skierowałem swe kroki do działonu, który kwaterował o jakieś 500 m na wzgórzu. Wpadłem na kwaterę, pogoniłem marudera i sam chyłkiem wszedłem na prawe skrzydło. Zbiórka już się zaczęła, a Władka jeszcze nie było. Jak zwykle zjawił się wtedy, gdy szef Bednarski sprawdzał stan, a ten specjalnie miał na nas oczko. Rywalizacja między podchorążymi, a podoficerami była stała i jedni drugich nie darzyli zbytnią sympatią wzajemnie sobie dokuczając.

Raport, krótkie ćwiczenia i młody rocznik miał zdać swoje stare karabiny piechoty i otrzymać kbk. W przerwie wspominaliśmy z Władkiem naszą wczorajszą wyprawę do Kalisza, w której poprowadziliśmy jako dowódcy dwa plutony ppanc., a naszymi zastępcami byli podoficerowie nadterminowi.

Obiad, zdawanie broni i dzień jakoś zszedł na niczym. Siedzieliśmy u siebie na kwaterze bowiem naszym obowiązkiem było nocować razem z działonem co uważałem za przesadę, bo na działonie był i tak podoficer. Władek przerwał milczenie.

- Wiesz co - powiedział - musimy pożyczyć rowery i wyprawić się do tych dziewczynek z majówki. Która ci się podoba?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, bo znów rozległ się głos trąbki.

- Co znów zbiórka, a niech to diabli - syknął Władek.

Zrazu nie bardzo mi się chciało wierzyć, ale wzmógłony ruch na podwórzu sugerował, że tym razem to nie lipa.

- Władek, alarm, pakuj się!

Ten zaklął, wyjrzał - za chwilę obaj się już pakowaliśmy co nie było łatwą sprawą z powodu nadmiaru cywilnej bielizny i zbędnych rzeczy wojskowych. W końcu jakoś ubrani wyszliśmy kierując się na plac zbiórki. Po drodze korciło mnie jedno, czy to alarm prawdziwy czy ćwiczebny. W drugim przypadku zbytecznie zapakowałem plecak, który teraz ciążył mi niemiłosiernie. Dobiegłem do moich ludzi.

- Panie podchorąży co to jest - pyta mnie działonowy Rybczyński, ale pytanie jego pozostaje bez odpowiedzi.

- Czarnoleski - krzyknąłem do pucołowatego a milego Ukraińca - przynieś z mojej kwatery tekturowe pudełko. Spławiłem część swego bagażu na furgon kompanijny w tym i płaszcz.

* * *

W dowództwie kompanii niepewność, co będzie. Kapitan Jan Wulkański, dowódca kompanii przeciwpancernej pojechał do komendy obozu. Na razie wszyscy się pakują, pytam kaprała Sochy, byłego mego instruktora z kursu panc., na co to wygląda.

- Nie wiem, ale zdaje mi się, że znikamy - odpowiedział Socha.

Wroczył dowódca kompanii i zarządził natychmiastowy wymarsz, nie wiedział jednak dokąd idziemy. Władek Dux jest zmartwiony bo jego działonowy Świątnicki urwał się na wieś i do tej pory nie wrócił. Kapitan wysłał na poszukiwania delikwenta jednego kaprała nadterminowego.

Wreszcie formowanie czwórek i wyruszamy, idę w pierwszej z Władkiem, plutonowym Mike i strzelcem ze starszego rocznika Maciejew-

skim. Ppor. Bartosiewicz przy pierwszej czwórce, kapitan na czele. Na końcu armatki, kuchnia, wóz taborowy. Na szosie trochę ruchu, cyklisci, goncy. Po drodze dochodzi do nas zguba – zdeprymowany mocno Świątnicki, odnaleziony w jakiejś chałupie.

Okazuje się, że idziemy do Kalisza czemu jestem bardzo rad bowiem bardzo lubiłem to miasto. Szef Bednarski sprawdza czwórki, słysząc jego głos z tyłu – Panie podchorąży, gdzie pana płaszcz? Udałem, że nie słyszę. Byłem zły bowiem wyszedł rozkaz, żeby podoficerowie i podchorążowie chodzili w tym rynsztunku co i szeregowi. Rezultat tego był taki, że pierwsi się wymigali, natomiast my z Władkiem zacięliśmy zęby i zastosowaliśmy się do rozkazu. Nawet teraz nieśliśmy kbk, których większość żołnierzy nie miała po zdaniu broni.

Maszerujemy. Z dala widać bór w Sliwnikach. Z dala błyskają światła ze Skalmierzyc. Jest pierwsza w noc, gdy zatrzymujemy się na chwilowy odpoczynek. Nie trwa on długo i znów maszerujemy. Mijamy uśpione Skalmierzycy i dochodzimy do Szczypiorna. Tu zatrzymujemy się obok gmachu szkoły podchorążych. Kapitan zatrzymał kompanię na placu ćwiczeń Dywizyjnego Kursu. Ten plac i ubity na nim piasek znam dobrze. Tyle razy tu padałem i czołgałem się.

- Dwa plutony – mówi kapitan – zostają w Szczypiornie.

Z zazdrością patrzę na Władka, on będzie w Kaliszu. Dwa plutony gotowe.

- Cześć Władek – krzyczę za odchodzącymi.

Z trudem wyszukaliśmy z Bartosiewiczem kwatery dla wojska, miejsce w stajni dla koni. Cafe Szczypiorno zawałone wojskiem. Bartosiewicz idzie spać do ppor. Szumigalskiego do bloku oficerskiego, a ja zostaję przy wojsku. Wyklóciłem się z Ozetami o słomę. 4-rano. Śpimy.

Budzi mnie wezwanie do telefonu. Telefonogramem zostaję wezwany do odbioru amunicji do armatek i kbk. Wracam, biorę paru nieszczęśników co się wcześniej obudzili i odbieram amunicję. Jest szosta rano – zarządzam pobudkę.

Otrzymuję wezwanie stawienia się na dziesiątą w Kaliszu. Po śniadaniu na czele dwóch plutonów w pełnym oporządzeniu bojowym, wy-

* Oddziały Zwiadowców

ruszam do miasta. W drodze rozmawiamy z Bartosiewiczem o napiętej sytuacji międzynarodowej i możliwości ewentualnej mobilizacji. Po drodze zatrzymuje nas pułkownik Gryl.

Wreszcie Kalisz, nie byłem tu od 28 lipca. Idziemy Górnośląską, Piłsudskiego*, Aleją Aleksandry*, przez most i jesteśmy nad rzeką. Po drodze rozglądam się za znajomymi, ale nikogo nie widzę. Jesteśmy w koszarach.

Bartosiewicz idzie do dcy kompanii. Odprawiam ludzi i konie, a sam zostaję przy działkach. Patrzą na otoczony parkiem dziedziniec koszar pokadeckich, który leży w dole. Niedaleko znajduje się kasyno i koszary. Właśnie w szyku bojowym stoi tam I komp. porucznika Hyli. Rozmawiam z jednym z podchorążym rezerwy z kompanii.

- Jestem tu od trzech dni - opowiada - od paru dni ostre pogotowie, nie wolno wychodzić poza koszary. Coś niedobrego się szykuje. Wydano już ostrą amunicję i pełne wyposażenie bojowe.

Z tego wszystkiego najwięcej zmartwił mnie zakaz opuszczania koszar. Tak czekałem na Kalisz w Sadowiu, Wielowski, wrywałem się do niego i teraz nie będę mógł nawet wyjść do miasta? Melduję się kapitanowi, który po raz pierwszy zwraca się do mnie per pan. Idę odpocząć. Wchodzę na naszą kadrową salkę, na którą w lipcu wracało się z reguły po północy, a ostatni nie miał gdzie spać, bo na sześciu było pięć łóżek. Zawsze przytrafiało się to Władkowi, były wtedy walki, paski, woda w robocie.

Dzwonek, zbiórka plutonów bojowych na dole. Nowa zmiana, ja przechodzę na I-szy pluton, Władek na II-gi. Starszy sierżant Misiewicz, pocziwy kaleka z francuskiej armii rozdaje oporządzenie bojowe. Staram się brać jak najmniej, co z tym będę robił, chyba wyrzucę. O czternastej raport plutonów w oporządzeniu bojowym. Spóźniamy się z Władkiem. Później przychodzi kpt. Witkowski, oficer gospodarczy pułku. Wyglądamy jak dziady, moje i Władka umundurowanie chyba najgorsze. Nasz kapitan i ja klócimy się z Witkowskim o buty, spodnie, onuce, owijacze, ale odpowiedź - nie mam - zamyka sprawę. Koniec

* Obecnie ul. Śródmiejska.

* Aleja Aleksandry Piłsudskiej, obecnie Aleja Wolności.

przeglądu. Na 18-tą mamy się stawić na odprawę do majora Szczygła. Mamy jeszcze sporo czasu postanawiamy więc z Władkiem przejść się na Piskorzew*.

Zostawiam Władka w „Ziemiańskiej” sam zaś pragnę odwiedzić rodzinę. Niestety na ulicy (Św.) Stanisława nikogo nie zastaję. Wracamy do koszar. Na Kolegiackiej* spotykam Bognę, robi zdziwioną minę, ledwo mnie poznaje.

Odprawa. Na wstępie bura za brak dystynkcji. Tłumaczę, że chodzi o względy bojowe, na nic. Otrzymujemy rozkazy. Baon bojowy idzie jutro do prac ziemnych do Szczypiorna w pełnym wyposażeniu bojowym. Zbiórka oddziałów o 5 rano przy rogatce.

- Ot i mamy robotę - mówi Władek - Musimy odszukać kapitana i zameldować mu o tym. Pójdę na miasto go poszukać.

Wykorzystał to do ubrania się w galowy mundur. Ja zostałem, mam roboty do diabła i trochę. Zarządzam wydanie broni. Godzina dziewiąta. Służbowy przyszywa mi dystynkcje. Jasiński wydaje po ciemku karabiny, bagnety. Kazałem zatoczyć działo do działonu. O jedenastej przychodzi kapitan, jest zdenerwowany, że major rozporządza jego plutonami. Rozmawiał z dowódcą pułku, ppance jutro nie pójda. Zmieniłem rozkazy, bractwo się cieszy, a ja im zdążyłem zamówić kawę, chleb, tłuszcz. Wyśpią się, bo mieli wstać o 5-tej.

Przychodzi Władek, dziwnie długo szukał „wodza”, ale przynajmniej przywitał się z Kaliszem - jest zadowolony. Pierwsza w nocy, idziemy spać. Przed nami pięć godzin snu. Może jutro zrobi się wypad na miasto? Nie mogę usnąć, palę papierosa, myśl biega po Kaliszu, to znów po Turku. Myślę o rodzicach, ostatni raz widziałem ich 23 lipca.

Kalisz

Budzi mnie gwar i bieganina. Patrzę na zegarek, jest za piętnaście piąta. Wpada szef.

- Wstawać! Wstawać! Alarm! Bojowy rynsztunek!

Tym razem to prawdziwy alarm, w pięć minut jestem ubrany. Żoł-

* Właściwie Piskorzewie

* Obecnie Kolegialna

nierz roluje koc, wybiegam na korytarz. Plutony bojowe na moje rozkazy wytaczają działa, Staram się opanować bałagan.

5²⁵ – Wydanie masek gazowych nowego typu wzór 32. Od Jasińskiego dostaję pistolet Vis bez naboii... grunt, że amunicja do dział jest. Jako dowódca I plutonu ustawiam oba plutony na placu koszar pokadeckich. Przychodzi dowódca kompanii, chcę zdawać raport. Macha ręką, wita się. Stary Misiewicz jest w swoim żywiole, wygląda jakby z radością nas wyprawiał. Zastępcą moim jest zawodowy plutonowy Wiśniewski, u Władka kapral nadterminowy Jędrasiak.

Przez gońca zostaję wezwany do oficera służbowego pułku. Melduję kapitanowi, że obaj z Władkiem mamy iść na odprawę na Piskorzew. Gdy wychodzimy na ulicę jest szósta rano. Ludzie biegają, widać niepokój na twarzach. Nagle uświadomiłem sobie, że skończył się czas beztraski. Czuję, że Władek myśli podobnie. Nic do siebie nie mówimy, ale rozumiemy, że od tej chwili zaczyna ciążyć na nas odpowiedzialność. Jesteśmy dowódcami i jesteśmy z tego dumni.

Na Piskorzewie ciągną jeden za drugim oddziały. Na dziedzińcu rozdają ostrą amunicję, po trzy jednostki na strzelca i opatrunki osobiste. Wszyscy podekscytowani, niemal sama rezerwa, przeważnie 30-latki. Przeciskamy się do dowództwa batalionu. Odprawa.

– Idziemy – mówi major Szczygieł – na linię Gostyczyna, Śliwniki, Psary na osłonę mobilizacji. Podporucznik Burmeister idzie na placówkę do Psar o godz. ósmej. Reszta przechodzi na Ogrody. Obrona przeciwlotnicza bierna, pogotowie gazowe, dopilnować rozdziału amunicji.

Na odprawie kadra zawodowa lub rezerwa, tylko Dux i ja jesteśmy z czynnej. Wszyscy na bojowo. Nad rozmawiającymi unosi się siwa smuga papierosowego dymu. Wyczuwa się napięcie – pachnie wojną. Nagle major zwraca się do nas. Pyta o stan plutonów, o amunicję. Wiele nam brakuje – myślę – ale gdyby nie my wczoraj wieczorem, nasze plutony byłyby bez broni. Nikt się o to nie troszczył w sporach o to, kto ma wydawać rozkazy dla ppanc. – dowódca baonu bojowego, do którego ppanc zostały przydzielone, czy dowódca komp. ppanc. jako kompanii pułkowej.

Koniec odprawy. Znajdujemy się na placu ćwiczeń trzeciego batalionu i szkoły podoficerskiej na Piskorzewie. Hałas, nerwy, rozmowy, rozdawanie broni, armatki odcinają się od reszty – to lepsza broń. Zarządzamy

i my rozdanie amunicji. Żołnierze biorą z żartami, z uśmiechem, byle więcej, ale wzrok mówi co innego. Koniec tumultu, kompania ppor. Burmeistra opuszcza Piskorzew. Jako pierwsza kompania z pułku otrzymała rozkaz bojowy. Pozostałe oddziały również zbierają się, ruszają. Idziemy z Władkiem na czele czterech armat. Oddział wygląda bojowo, hełmy, maski wzór 32, amunicja. Krok inny niż dawniej, dostojny, podoficerowie z karabinami. Wychodzimy na ulicę pełną gwaru i niepokoju.

- Wojna - proszę pani - mojego dziś wzięli.

- A moi synowie dostali wezwanie o szóstej i też już poszli."

- Dokąd panowie idą - pyta Żyd.

- Na Szanghaj - odpowiadam.

- Panie wojskowy - pyta drugi - czy już wojna?

- Manewry miłosne - odpowiada mu Władek. Żołnierze się śmieją.

Przemarsz krótki, za chwilę jesteśmy na dużym ogrodowym placu. Ukrywam oddział w cieniu. Odpoczynek - ludzie są głodni, śniadania nie jedli, ale kto by dziś o tym myślał. Wszyscy żywo rozmawiają, komentują, na razie jest pewien przyczajony lęk przed nieznanym.

Myślę o swej tęsknocie do „cywila”. Tłumaczę ją mymi marzeniami o przyszłości, planami jakie z nią wiązałem. Teraz wszystko uległo zmianie. Idzie wojna, która wymagać będzie od nas hartu ducha. Na bok więc sny i marzenia, trzeba będzie się pogodzić z tym co przyniesie najbliższa przyszłość, nawet gdyby to miała być śmierć, o której jednak starałem się nie myśleć. Tymczasem Hyla zbiera swoją kompanię, przemawia do nich. Czuję, że trzeba zrobić to samo, tylko Hyli łatwiej. Ja trzy dni temu skończyłem dziewiętnaście lat. Dobrze, że nikt o tym nie wie.

- Ppanc. zbiórka! - podrywają się szybko, myślą jeszcze koszarowo, skupiają się koło mnie, szmer, cisza.

- Chłopcy. Jest wojna, idziemy na osłonę mobilizacji przed Kalisz. Lada moment możemy się spotkać z nieprzyjacielem, nie będę wam długo tłumaczył. Sądzę, że się nie boicie, zresztą przeważnie jesteście ode mnie starsi, wy mnie musicie dać przykład. Ja będę przy was... Rozejść się!

Teraz wiedzą oficjalnie o co chodzi. Każdy z nich czuje może nie obawę, ale każdy z nich robi rachunek z tym, co było i czeka tego, co nastąpi. Różne są ich reakcje, jedni z ożywieniem rozmawiają, inni znów siedzą cicho bladzi i sami. Rocznik młody, stary i rezerwa. Wpada go-

niec z dowództwa baonu z wiadomością, że konie odprowadzono do pułku i tam są do odebrania wraz z wozami. Władek bierze paru żołnierzy i idzie.

Poszli. Pałę papierosa. Dziesiąta. Głód zaczyna dokuczać, kupujemy bułki i popijamy je wodą. Dostaję wezwanie zgłoszenia się do dowódcy batalionu, celem uzupełnienia amunicji o jednostkę zapasową. Na ulicach ruch. Z trudem dostaję się na Piskorzew. Dobrnąłem do Złotej, tłum gęstniał, mężczyźni śpieszyli w kierunku Piłsudskiego, dorożki jechały od dworca do koszar. Wstąpiłem do kawiarni na placu 11 Listopada* na ciastko i szklankę mleka, a następnie skierowałem się do pułku. Tam plac ćwiczeń zawalony końmi, mnóstwo ludzi, częściowa mobilizacja.

Idę dobrze znanymi schodami. Służbowy Wojciechowski oddaje honor. Wchodzę ostatni raz do pokoju kadry. Szczęśliwie znalazłem w szafie parę swoich listów, książeczkę PKO, muszę coś wyjąć, pieniądze się przydadzą. Wychodzę i po raz ostatni obrzucam wzrokiem pokój.

Zwracam się do kaprała Jasińskiego o amunicję 37 mm do armatek, amunicję do kbk i do mojego Visa. Dostałem tylko 24 sztuki do Visa i gwizdek do maski. Dowództwo kompanii jest na Trzeciego Maja. W kantynie kupuję papier listowy. Chcę napisać list do rodziców. Myślę o Matce, Ojcu, o Ich zmartwieniu. Siedzę na schodach do izby chorych i piszę.

„Kochani. Bądźcie o mnie spokojni, wyjeżdżam do innego województwa, do pracy biurowej, nic mi nie grozi, nawet mi z tego powodu trochę wstyd, ale taki przydział. Nie będę mógł pisać z powodu otw[ierania] Bądźcie dobrej myśli”.

Do brata: *„Idę na wojnę. Jestem dowódcą plutonu ppanc., najmłodszy d-ca w batalionie. Wojna ... Bóg tak chce.”*

Idę na 6 Sierpnia*, wysłałem oba listy. Robi mi się jakoś lżej choć wiem, że skłamałem. Wchodzę na pocztę. Przy okienkach PKO tłoczą się przeważnie Żydzi, ale i Polaków nie brakuje... Chcę wyjąć tylko 25 złotych i w tej sprawie zwracam się do policjanta.

- Weźmie pan poza kolejką - mówi.

Nikt nie protestuje. Mam teraz około 70 zł. ale w dużych banknotach, mogą być trudności z rozmiennieniem. Chodzę od sklepu do

* Obecnie Główny Rynek

* Obecnie Zamkowa

sklepu, nikt nie chce zmienić. Wreszcie w budce papierosowej rozmienia mi młoda dziewczyna, ale nie ma tyle, biorę więc na zapas papierosy. Skręcę w Złotą, wracam się, idę dłuższą drogą przez 3-go Maja chcąc zabrać Kalisz ze sobą. Idę na dworzec autobusowy, akurat odjeżdża samochód do Turku, tylko wsiąść i za godzinę... Rozmawiam ze znajomym konduktorem i proszę go, aby nic nie mówił moim Rodzicom, że mnie widział.

- Zrobi pan to wtedy - mówię - gdybym nie wrócił. Po co teraz ich martwić.

Dowództwo kompanii ppanc. jest w szkole powszechnej na 3 Maja. Kancelaria dowódcy kompanii na piętrze. Melduję swoje przybycie kapitanowi i mówię mu o co chodzi.

- Amunicji pan teraz nie dostanie, widzi pan ile mamy roboty. O pierwszej Jasiński jedzie do składów na Kościelną Wieś to może zdąży wam dać.

Proszę jeszcze o opatrunki osobiste. Żegnamy się uściskiem dłoni. Po 20-tu minutach znowu jestem z powrotem na Piskorzewiu. Nastroj się zmienił, nerwy ustąpiły rezygnacji, a głód pomógł nie myśleć o wojnie. Wołam działonowych, rozdają jeszcze pokojowy żołd, co niezmiernie polepszyło humory. Podchodzi do mnie Siarkiewicz, celowniczy z I działonu, zwalnia się już drugi raz.

- Panie podchorąży chciałbym zajrzeć do domu.

Zasadniczo nie wolno, ale w takiej chwili kto komu zabroni. Siarkiewicz ma skład reperacji rowerów, robi trochę dziwne wrażenie, chudy, niby normalny, ale coś w nim jest.

Mam kłopot na miejscu. Na kompanii nie dali mi opatrunków. Byłem raz w batalionie w tej sprawie, ale to nie ich rzecz. Rozmawiałem z podchorążym lekarzem batalionu i też nic nie wskórałem. Widać jednak, że ruszyło go sumienie, bo teraz woła mnie i obiecuje dać te opatrunki pod warunkiem ich zwrotu, bo są to opatrunki zapasowe. Biorę i rozdaję.

Jest trochę kłopotów przy dowodzeniu plutonem. Nie jest on liczny, ale w jego skład wchodzi zastępca dowódcy plutonu, poczet, w nim kapral, obserwator, goniec, ordynans, woźnica oraz dwa działony po ośmiu ludzi, w każdym działonie jeden podoficer, dwie armaty, wóz amunicyjny i sześć koni. Właśnie przyjechały wreszcie oczekiwane wozy amunicyjne.

Jest z nimi wygoda, bo obsługa złoży na nie plecaki, a przecież to też coś warte. Prowadzą konie do armat, przedmiot dumy ppanc. Dzielimy się z Władkiem końmi i wozami. Chwilowo niedużo mam woźniców, trzeba wziąć z pocztu. Władek opowiada przy okazji swoją przeprawę jaką miał ze zdobyciem koni i wozów. Pięć godzin trwały jego utarczki, wreszcie uciekł z końmi i dwoma wozami. Niestety legalna droga zawodzi. Boję się, że te wozy stracimy, są puste, a amunicja zapasowa nie nadeszła.

Siedzimy pod płotem, palimy. Przychodzi rozkaz zbiórki sprzętu. Poszedłem sam z wozami, żeby w razie czego ich bronić. Ustawiamy tabor batalionami. Nadjeżdża konno major Szczygieł z adiutantem Klekiem. Po przeglądzie przegląd oddziałów i odmarsz. Na dużym placu oddziały ustawiły się w czworokąt. Mam zdawać raport, plutony na prawym skrzydle, działa na lewym. Nadjeżdża d-ca batalionu. Jestem podenerwowany, bo mam zdawać raport o gotowości bojowej.

- Panie majorze, podchorąży Pietrzak, melduję posłusznie plutony ppanc na zbiórce, 2 podchorążych, 7 podoficerów, 33 strzelców.

Celowo nie wymieniłem nieobecnych z plutonu Duxa. Władek spojrział na mnie z wdzięcznością, poszedł sam zameldować, ale już niepotrzebnie, bo Kozłowski i Gabrysiak znaleźli się. Ruszamy ulicami wśród milczących szpalerów ludzi. Rozglądam się. Ludzie zaczęli rozmawiać, uśmiechają się.

- Jaki pan młody - doleciało do mnie, uśmiechnąłem się. Przechodzimy koło drugiego mostu, koło Bata*. Teraz na prawo Krótka, Kościuszki, na lewo „Mokka” - cukiernia wojskowych, a dalej „Ziemianka”. Przy rogatce, koło koszar łączności stoi podporucznik Górski, widzi nas, podbiega do maszerujących, wita się i żegna. Był zwolniony parę tygodni temu po dziesięcioletnich ćwiczeniach rezerwy, teraz znów tu jest. Szpalery stają się rzadsze. Za to bokiem przechodzą falami mężczyźni z dworca. Niedaleko młyna Reicha* poznaję kapitana Daniszewskiego, mojego dawnego dowódcę z PW. Teraz mijamy się z paru armatkami. Jadą z magazynów mobu* ze Szczypiorna. Trochę naszych żołnierzy,

* Chodzi tu o sklep obuwniczy znanej czeskiej firmy obuwniczej „Bata”

* Zabudowania po byłym młynie znajdują się w okolicach dworca PKP

* Magazyny mobilizacyjne

ci nas poznają i salutują. Sporo nieznajomej rezerwy. Dochodzimy do Szczypiorno. Władek ujrzał Markwata (byłego naszego przez 59 dni d-cę plutonu ckm w podchorążówce) i dał upust swojej antypatii.

- Zobacz Tadek, ten co nam tak zalewał o swoich przewagach na Zaolziu, a płaszcz zostawił Czechom na płocie, jakoś jeszcze spaceruje, a mówił, że pierwszy się zgłosi w razie czego.

Uśmiecham się. Powoli ściemnia się, dochodzi ósma, skręcamy w zabudowania koszarowe II baonu Szczypiorno. Stajemy na polu ćwiczeń, odpoczynek, kolacja, karmienie koni. Chce mi się diabelnie pić, a nie chcę się zbytnio oddalać. Idę do fryzjera, który golił nam strzelcom z cenzusem co jakiś czas głowy. Witam się i proszę o wodę. Spotkałem Węgrzynowskiego, podoficera z dywizyjnego kursu. Wstępuję jeszcze do kantyny. W kantynie tłok, wisi jeszcze ta sama gazetka, stare wieści o wspólnej granicy z Węgry. Tu też się często bywało. Żegnaj się z kierownikiem spółdzielni p. Zdysiem. Proszę o pożegnanie w mym imieniu Pawlaka - mojego karabinowego z kursu. Wracam na czas, kolacja i wnet odprawa na wartowni. Idziemy z Władkiem, major już czeka. Co chwila dzwoni telefon zainstalowany na linii Kalisz - Szczypiorno.

- Idziemy na osłonę mobilizacji w Kaliszu - mówi major Szczygieł. Kompania Burmeistra zajęła miejscowość Psary - dwór, kpt. Woldański obsadzi Gostyczynę - dwór, trzecia kompania Śliwniki.

Wszyscy patrzą na mapy. My z Władkiem jesteśmy ich pozbawieni, słuchamy więc pilnie zaglądając innym przez ramię.

- Poruczniku Hyla, rozdzieli pan plutony km po kompaniach, tarczanki i moździerze zostaną w Śliwnikach. Działon artylerii zajmie stanowisko w Sławinie, osłona jeden pluton z I-szej kompanii.

Dowódcy ppanc. - zwraca się do nas.

- Podchorąży Dux, jeden pański działon zostaje w Psarach, drugi w lesie, pan zaś - zwraca się do mnie - zostawi jeden działon w Gostyczynie, drugi w Śliwnikach. Za 15 minut panowie są wolni.

Wracamy razem z Władkiem, podchodzimy do swoich działonów. Podoficerom udzielam części informacji. Korzystam z wolnej chwili i jem zimny już groch. Po chwili sygnał trąbki daje znak do wymarszu.

Chwilowo idę jeszcze razem z Władkiem. Jest parno. Władek sam pilnuje swego plutonu. Idziemy za łącznością. Nagle miga mi znajoma

sylwetka Mundka Kaczorowskiego, kaprała służby czynnej. Rozmawiamy chwilę wspominając Turek. Zbliża się chwila rozstania z Władkiem. Po krótkim postoju ruszamy. Mijamy Śliwniki i maszerujemy dalej. Nie mogę dogonić I-ej kompanii. Jestem zły, nie mam mapy i nie wiem gdzie jest Gostyczyna. Jakiś podchorąży z km. mówi, że I kompania skręciła w lewo. Z niemałym trudem przeciskam się z armatką i wozem plutonowym między taborami. Po drodze natknąłem się na majora. Ten bezta mnie, ale nie mówi gdzie Gostyczyna. Znów wydostaję się na szosę. Żołnierze siadają na wozie, ja z działonowym Wojtczakiem na armatce i ruszamy kłusa. Dopiero wyciągnięty z chałupy chłop, wskazuje nam drogę i około pierwszej w nocy jesteśmy wreszcie na miejscu. Idę szukać lokum dla ludzi. Jakiś dziad, ekonom czy ktoś w tym rodzaju, prauje się ze mną o jedzenie dla koni i szopę. Mówi, że tu nie ma gdzie spać. Pytam się go czy to dwór niemiecki – nie polski, dziedzic wyjechał więc... Palicie – pytam. Wyciąga chciwie rękę. Od razu znajduje się jakaś stajnia. Wywiedziałem się gdzie słoma, biorę więc dwu żołnierzy i idziemy.

- Sobociński! Orientujcie się dobrze, bo nie chcę naprzód mówić, ale o nas nie będą się martwić.

- Panie podchorąży będzie wszystko w porządku, już konie mają siano – odpowiada woźnica. Za pół godziny leżymy wszyscy w stajni. Powoli morzy nas sen.

Gostyczyna

Pobudka. Patrzę na zegarek – szósta. Spałem w ubraniu z pistoletem pod głową, przykryty płaszczem. Właśnie otrzepuję się ze słomy, gdy przynoszą kawę. Muszę iść zameldować się dowódcy kompanii. Siedzi akurat na armatce. Znowu zapewne będzie bura za moją nocną wędrownkę, melduję się, ale otrzymuję tylko rozkaz ustawienia działa za dworem w rejonie strumienia z zadaniem patrolowania doliny. Dają rozkaz do odmarszu ale, że niewiele zdołałem przez kilkanaście minut zobaczyć na mapie, nie wiem za bardzo gdzie mam iść. Szczęściem idzie jakiś podporucznik, proszę go o mapę na parę minut. Przedstawiamy się. Podporucznik rezerwy Baumert. Teraz coś wiem, oddaję mapę. Idziemy, zostaje tylko woźnica wozu amunicyjnego Klimczak, pilnujący torni-

strów. Obsługę i armatkę zostawiam w cieniu, biorę kaprała Wojtczaka i idę na zwiad terenu. Wdrapuję się na wierzch wzgórza i stamtąd widzę wąską dolinkę, przez którą płynie strumień. Widać stąd dobrze biegnącą po lewej stronie wysadzoną drzewami drogę. Ustawiam armatkę w lewo od strumienia, co daje mi panowanie nad doliną. Wydaję dyspozycje działonowemu, rysuję szkic i przez woźnicę przesyłam meldunek dowódcy kompanii.

Do d-cy I komp. Melduję zajęcie stanowiska przez działon ppanc godz. 7¹⁰. Sytuacja jak na szkicu, armata przygotowana do strzelania, strzelcy kopią stanowisko. Goniec - woźnica, strz. Sobociński.

Pietrzak - podchorąży

D-ca plut. ppanc.

Konie z prozkiem odesłałem. Kaprał Wojtczak biedzi się nad szkicem. Chłopcy narzekają na upał, ciężko im w oporządzeniu bojowym, ale co ja na to poradzę. Zresztą oni sami „czują chwilę” i pracują staranniej i lepiej.

- To już coś naprawdę - mówi Juszczak

- Nie gadaj - przerywa mu Moczynos, jo kopie, ale ty co chcesz?

Trochę się kłóć, zresztą Moczynos to Ukrainiec, miły chłop, ale te chłopaki widzą zawsze w nim „chazaja”. Już w koszarach z tym walczyłem, ale to uprzedzenia jeszcze z cywila. Ukraińcy nie chcąc się narażać na przykrości - trzymają się razem.

- Kopcie chłopaki, nie ma co się kłócić do cholery, dość was bieda bije, to nie koszary, teraz idziecie na wojnę, musicie się razem trzymać, bo na wojnie sam nikt nic nie znaczy, tu musi być solidarność, rozumiano! Teraz wszyscy wsiedli na Juszczaka. Ten się broni, ale przegrał.

Chłopcy pracują dobrze i po chwili wszystko jest gotowe. Idę do Siarkiewicza, celowniczego działonu. Ten człowiek to drykier*, przez cały czas zdołał wyczyścić tylko celownik.

- To bierzcie się teraz Siarkiewicz, za armatkę - powiedziałem.

Przychodzi Sobociński z kartką. Przesłano mi program zajęć: musztra, gazoznawstwo maska wzór 32, nauka o broni kbk, opl*. Rozkaz jest

* prawdopodobnie w znaczeniu - len, obibok.

* obrona przeciwlotnicza

rozkazem, ale musztra? Stanowisko gotowe, kazałem jeszcze wykopać schron amunicyjny. Celowniczego i ładowniczego zostawiam na stanowisku resztę zaś zabieram na zajęcia. Z musztry rezygnuję, powiem im o masce w zastosowaniu praktycznym, wyjaśnię opatrunek osobisty i opowiem o opl. Naukę o kbk* uznaję za zbytęcną bowiem ich bronią jest armata wzór 36. Idziemy na kwaterę, przodek już czysty, teraz Klimczak i Sobociński myją wóz, potem uprząż i konie. Idziemy na wykład do stajni. Po dwóch godzinach o 12³⁰ ukończyłem zajęcia. Moi żołnierze jedzą obiad ja zaś wyznaczam zmianę. Na stanowisko, pójdą kpr. Jańczyk, Ziółkowski i Juszcak. Jańczyk trochę się broni, jest karabiniarzem, na armatce się nie zna, tłumaczę mu więc parę razy, zwłaszcza, jak się ma zameldować d-cy kompanii.

Kapitan Woldański zawiadomił nas, że kadra została zaproszona do dworu na obiad. Jest nas sporo, odszedł wprawdzie z jednym plutonem do Sławin ppor. Zieleniewski, ale na miejscu są ppor. Baumaister, sierżant, podchorążowie zawodowi Rabczyński i G. oraz ja plutonowy podchorąży. Idziemy. Dwór jest murowany, mały, schowany w parku, ale miły, znać, że stary. Przez radio płynie muzyka lekka z Poznania. Właścicielka dworu poważna starsza pani. Syn jej dziś wyjechał. Obiad przeciąga się. W dworze ma spać kadra i dowódcy plutonów. Postanowiłem wykręcić się. Zbliży się wojna, co mnie z nimi będzie łączyć, najbliższym moim otoczeniem staną się moi żołnierze, podstawą naszej wspólnej wartości będzie zaufanie. W wojsku dyscyplina jest konieczna, ale uzupełnieniem jej jest wzajemne zaufanie i solidarność.

Powstajemy od stołu, przy nim będziemy się spotykać parę razy dziennie. Postanawiam sobie, że i śniadania będę jadł z działonem. Być może, że spadnę w oczach kadrowych kolegów, bo wielu z nich uważa „spoufalenie się” za szkodliwe.

Minęła trzecia po południu. Idziemy z kpt. Woldańskim na przegląd kwater. Ppance idą teraz na kwaterę do obory. Sposób rozkwaterowania dziwi mnie. Pozwala wprawdzie na skupienie wszystkich oddziałów w jednym miejscu, ale wojny przecież jeszcze nie ma. Można by rozlokować wojsko po stodołach, a gdyby nie starczyło miejsca, pozostaje jeszcze

* krotki bojowy karabin

wieś, szkoła, plebania. Ale dowódca nie dostrzega tego. Trudno, on tu nie będzie spał, ale z tej obory jakoś dziwnie prędko wyszedł. Zbliży się wieczór. Ściągnąłem działko ze stanowiska. Kolacja i spać.

* * *

26 sierpnia budzi nas wcześniejsza pobudka. Zabieram niemal wszystkich ludzi na stanowisko. Zostawiam trzech do czyszczenia koni, uprząży i doprowadzenia do porządku kwatery w oborze. Noc nie była miła. Śpimy w mundurach, butach. Wyziewy krów, owiec, harce szczurów. Trochę odbijam przez to od tamtych dwu podchorążych, śpią i mieszkają we dworze, mogą zachować higienę. Ale kto wygra? Na stanowisku zarządzam czyszczenie armatki i kbk. Plutony strzeleckie zaczęły się okopywać. Na naszą wysokość podchodzi jakaś drużyna jako ubezpieczenie działa. Kapral melduje mi się, przedstawiam mu swoje zadanie i założenia mej pracy. Rezerwiści przychodzą i przyglądają się, przeważnie wszyscy widzą działko ppanc. po raz pierwszy.

Południe. Zostawiam znów trzech ludzi, wracamy na obiad. Żołnierze zmęczeni, po czyszczeniu broni znów kopali. Po drodze spotykam się z kapitanem, pokazuję mu stanowisko, tłumaczę założenie, pokazuję rejon stanowiska dodatkowego i zapasowego, leżącego z tyłu od głównego o jakieś 80 m w kukurydzy koło cmentarza. Pomysłane dla zadań dodatkowych, szczególnie można tu rozwinąć ogień w prawo. Koło nas, ale w pewnym oddaleniu, stanowisko ckm'ów i granatników. Kapitan o technice wykonania mówi mało, raczej pyta. I nic w tym dziwnego, broń jest bowiem nowa. Były wprawdzie w lipcu kursy ppanc. dla kadry, ale kadra mało uważała. Przechodzi na inny temat.

- Dlaczego, panie podchorąży, nie prowadzi pan opanc. w nocy? Ja tego żądam.

- Panie kapitanie, melduję posłusznie, że to jest niemożliwe. Nie mam nawet latarki na celowniku, a to uniemożliwia celne oddanie strzału. Poza tym mamy tyle możliwych celów, że niepodobna wszystkich ich wytyczać. Zresztą kompania strzelecka i ckm'y są ściągane na noc, po co więc moich ludzi męczyć? Dał się przekonać, ale polecił przenieść stanowisko nad drogę. Tłumaczę mu wady tego rozwiązania, ale bezskutecznie. Rozstajemy się w gniewie. W rewanżu konie nie otrzymują furażu.

- Pan kapitan nie pozwala - otrzymuję odpowiedź od podoficera gospodarczego kompanii. Melduję o tych szykanach telefonicznie dowódcy kompanii ppanc. kapitanowi Wultańskiemu.

* * *

Jutro niedziela - 27 sierpnia. Do południa moi ludzie czyszczą broń, potem wykład - nauka o broni. Mam codziennie dawać program zajęć d-cy kompanii strzeleckiej. Wyłania się zmartwienie z odzieżą żołnierzy, mieli tam w Kaliszu część wymienić, ale nagły odmarsz to unieвозмоżliwił, a podeszwy u butów odstają, buty niedopasowane, mundury podarte, owijacze w strzępach, ja sam chodzę jak kucharz czy taboryta.

Około jedenastej przyjeżdża bardzo zmartwiony plutonowy Wiśniewski z prośbą wzięcia tornistrów żołnierskich na wóz oraz skargą na trudności z wydawaniem obiadów. W tej drugiej sprawie muszę dzwonić do batalionu, bo sam tego nie załatwię. I rzeczywiście znów przy obiedzie sierżant robi nam trudności, ale kapitan Wultański obiecuje rozwiązać nasz kłopot.

Po obiedzie niespodzianka. Zupełnie nieoczekiwanie zostaję oficerem służbowym obozu w zastępstwie Baumerta, który źle się czuje. Moim zadaniem jest wyznaczenie wartowników i odprawa służby wartowniczej. Hasło na dzisiejszą noc Kalisz, odzew karabin.

Po kolacji słuchamy radia. Najpierw Warszawa, potem Wrocław. Mam ochotę kopnąć głośnik w czasie szczekania tego psa.

* * *

Jeszcze dwa razy obszedłem posterunki w nocy. Wstaję o 5-iej - niedziela Wystawiam służbę opl. na dachach. Mają strzelać do pojawiających się samolotów na rozkaz oficera lub podchorążego. Reszta kompanii idzie do kościoła. Kościół wiejski, duży, murowany o ładnym wnętrzu. Nie potrafię się skupić na modlitwie. Żyję nadzieją, że wojny nie będzie, choć jednocześnie doskonale sobie zdaję sprawę z tego, że jest to raczej pobożne życzenie.

Po mszy zgodnie z planem dnia zbieram kompanię na zajęcia gazetowo - polityczne. Na początek streszczam wiadomości z radia wrocławskiego i prasy niemieckiej o ucisku Niemców Polsce. Słuchają z rosną-

cym oburzeniem. Widzę gniew na twarzach i słyszę podniesione głosy. Po chwili powstaje taki zgiełk, że nie mogę dalej mówić. Gdy emocje opadają, zmieniam temat i zaczynam opowiadać o ucisku Polaków w Niemczech, terrorze w Gdańsku.

- A wiecie dlaczego tak się dzieje? Hitler mówi, że Gdańsk jest niemiecki, mało tego, mówi, że ta nasza ziemia, na której teraz stoimy, Poznaniańskie, Pomorze, Śląsk to ziemie odwiecznie germańskie. Chce więc tu przyjść, wprowadzić terror, chce nas wyrzucić z ziemi ojczystej i zamienić w pachółków.

Krzyki przerwały mi, wstali teraz niemal wszyscy, krzyczą głośno. Mówi jeden czterdziestoletni rezerwista

- Niech no przyjdą, my im pokażemy. Hitler mówi, że my szwabcy? O kasztany cholerne, wojna musi być i koniec, musi ją Polska sama zrobić, czemu czekamy? Patrzcie no, co robią w Gdańsku, a my nic, to chyba zdrada.

Dalej nie mogłem już zachować planu, musiałem mówić i mówić, o ziemi polskiej, o dawnych Słowianach, których ziemie sięgały hen po Odrę. Zamiast godzinę od 10 do 11 mówiłem do 13-tej. Po wykładzie nastąpiła przerwa. Ale oni nie skończyli, zbierali się w grupy i dalej rozprawiali. Wspaniale to świadczyło o duchu żołnierza. Mogłem ich zrozumieć bowiem gdy się słucha Wrocławia ręka mimo woli spoczywa na pistolecie. Ich audycje obrażają honor żołnierza i Polaka, wywołują chęć odwetu za wszelką cenę.

Po obiedzie około 15-ej zjawił się kapitan. Zaraz wezwał mnie do siebie i miał pretensje o to, że wjeżdżając do obozu, nie spotkał wartownika przy bramie i nie zameldował mu się podoficer służbowy. Nie tłumaczyłem się choć uważałem, że słuszność była po mojej stronie, bowiem wartownik przy bramie miał dwa posterunki, bramę i szopę ze sprzętem i poszedł akurat w stronę szopy, gdzie spotkał go kapitan. Brama była wprawdzie otwarta, ale nie było rozkazu, żeby była zamknięta, żołnierze zaś byli na drodze bo musieli chodzić od szkoły do dworu. Podoficera służbowego nie ja wyznaczałem, ale szef kompanii Wesolek. Poza tym nie znałem tej kompanii, nie wspominając o nazwiskach podoficerów.

O 17-ej nastąpiła odprawa dowódców plutonów i drużynowych. Jutro przyjeżdża na inspekcję mjr Szczygiel i ma nastąpić fortyfikowanie miej-

scowości, karność połowa obostrzona. Po odprawie miałem zdać służbę, ale ponieważ było to tylko zastępstwo, musiałem teraz pełnić służbę za siebie. Nadarzyła się więc okazja do rehabilitacji. A swoją drogą – pomyślałem – porucznik Baumert mógłby mi się jakoś zrewanżować. Hasło na dziś – Turek, odzew – tornister.

Na kolacji brakuje pchor. Rabczyńskiego. Wychodzę na obchód. Przed jedną chałupą pełno żołnierzy. Co się dzieje – pytam.

– Pan podchorąży Rabczyński bada szpiega.

– Gdzie go schwycił?

– Włóczył się po wsi, rozpytywał. Podchorąży dał mu wódki, je z nim kolację w gospodzie.

Idę dalej, wartownicy meldują mi, że ktoś kręcił się za cmentarzem, gonili go, oddali strzał, ale uciekł. Nakazuję uważną obserwację terenu, a sam odbezpieczywszy Visa udaję się w stronę cmentarza. W lewej ręce trzymam zgaszoną latarkę. Jest bardzo ciemno, ale oko już się przyzwyczaiło. Bezszelestnie posuwam się wzdłuż ogrodzenia, nad słuchuję. Jestem teraz zdany na samego siebie, w razie zaskoczenia nikt mi nie pomoże. Wiem jednak, że szpieg nie będzie strzelał, będzie się bał. Wychodzę na jaśniejsze w świetle księżycy ciągnące się wzdłuż cmentarnych murów pole kukurydzy. Zagłębiam się w nie niczym drapieżnik polujący na zdobycz. Na próżno. Wychodzę na drogę wprost na kompanijny patrol. Żołnierze niczego jednak podejrzanego nie dostrzegli. Wracam do dworu i melduję o wszystkim. Zastaję tam Rabczyńskiego i z nim udaję się do kancelarii, w której siedzi zatrzymany osobnik. Jest to brunet średniego wzrostu o inteligentnej twarzy, ubrany w podniszczone ubranie. Wygląda na trzydzieści parę lat. Znalaziono przy nim część niemieckiej gazety, zylетки i niemieckie mydło. Opowiada, że wraca z Niemiec. Przyparty do muru zmienia zeznanie i mówi, że był tam dwa lata temu. Zna francuski, niemiecki i dobrze mówi po polsku. Tłumaczy, że teraz przyszedł tu z Poznania, do rodziny w Ostrowskie. Pilnuje go dwóch żołnierzy. Na stole wśród znalezionych przy nim rzeczy zwraca uwagę bibulka z ledwie widocznymi śladami pisma.

– Jest pan aresztowany! – mówię. W razie jakiegokolwiek próby ucieczki, żołnierze mają strzelać. Jutro zaprowadzę pana do batalionu. Przed odejściem wystawiam wartę pod kancelarią.

- Dziś w nocy będziecie mnie budzić co godzinę - mówię do dyżurnego telefonisty.

* * *

Noc minęła spokojnie. Nazajutrz wysłałem pod eskortą podejrzanego do dowództwa batalionu. W południe przyjechał major Szczygieł. Rezultatem jego wizyty była ogólna reorganizacja. Zlikwidowano kwatery w oborze i stajni. Jeden pluton z ppor. Baumertem obsadził sąsiedni dwór, a stanowisko główne działonu przeniesione zostało z prawej na lewą stronę i dodatkowo na cmentarz.

Służba wypadła mi w największy bałagan. Pod swe dowództwo dostałem drużynę strzelecką, która ulokowała się w zabudowaniach gospodarstwa. Stanowisko ppanc. wybrałem o 80 m między stogami. Stanowiska ogniowe ckm'mu wykonano w formie kwadratowych dołów. Zmianie uległa również taktyczna zasada obrony. Kapitan wysunął kompanię w linię przed wieś, major przerzucił ją do wsi. Cmentarz został punktem obrony od czoła, przy wykorzystaniu kształtu wsi zbliżonego do kwadratu. Wszystkie domy miały otrzymać załogi, a z nich miano skierować ogień na barykady zamykające drogi. Podręcznikowa wręcz obrona miejscowości.

Przed wieczorem odbieram telefon z Kalisza. Jutro przyjeżdżają nowi dowódcy plutonów - oficerowie, my zaś z Władkiem zostajemy ich zastępcami. Do mnie przychodzi jakiś podporucznik Suski, do Władka - znany nam z ćwiczeń rezerwy, krajan z Turka - podporucznik Janiak. O ósmej nadszedł transport amunicji 37 mm do działek i trochę umundurowania. Na dwa plutony 5 mundurów, 5 par spodni i druga zmiana bielizny. Otrzymałą dostawą dzielę się z Władkiem, do którego wysyłam w tym celu do Psar Sobocińskiego. Kładę się spać w stodole. To o wiele lepsze legowisko niż w oborze, ale jeszcze lepiej spało mi się dwa dni na kanapie.

* * *

Dzień wtorkowy był upalny. Rano zaraz zebrałem obsługę na stanowisku przy nauce o broni. Specjalnie chodziło mi o wyuczenie zasad działania armaty ppanc kaprala obserwatora i gońca, jeden był z karabi-

now maszynowych, drugi z artylerii. Obaj mieli sporo chęci, ale nic wiadomości, nawet ten artylerzysta był słabszy. W trakcie zajęć zobaczyłem z daleka auto dowódcy pułku. Jak na złość nie było nikogo z oficerów. Przerwałem swój wykład, zostawiłem Wojtczaka i szybko wyszedłem na drogę. W momencie gdy auto stanęło już się meldowałem.

- Gdzie dowódcy kompanii strzeleckiej?

- Melduję posłusznie, że nie wiem, może są gdzieś dalej przy pracach ziemnych.

- Nie bądźcie głupcem, ja wiem gdzie są, w karty rzną albo się gdzieś pochowali ze strachu przede mną. Majorze - zwrócił się do siedzącego w aucie majora Szczygła - sam pan widzi jak pracuje kompania, farsę robią.

Pułkownik bardzo krytycznym okiem obejrzał moje stanowisko ppanc. A co zrobicie podchorąży - zapytał - gdy zaatakuje was 500 żołdow?

Nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie.

- No właśnie - kontynuował pułkownik, wadą tego stanowiska jest w razie takiego zmasowanego ataku nieprzyjaciela, nie macie się jak wycofać. Proszę poprawić założenia tego stanowiska zgodnie z moimi zaleceniami - rozkazał na pożegnanie.

Przeszedłem na drugą stronę drogi i wybrałem dwa stanowiska w kukurydzy. Przekopanie rowów w kukurydzy zapewniło możliwość odwrotu za chałupy. Mimo tych poprawek zdawałem sobie sprawę, że jednym działkiem cudów nie zdziałam bowiem rozciągłość terenu sprawiała, że potrzebne były tu dwa działka.

Me rozważania przerwało przyjazd cywilnego auta z obwieszczeniem mobilizacyjnym. A więc mobilizacja. Fakt ten wywarł ogromne wrażenie na wszystkich. Wszędzie tworzyły się grupki żołnierzy i ludności cywilnej. Dało się słyszeć płacz kobiet. Jeśli się ktoś jeszcze łudził, że wojny nie będzie, to teraz miał wreszcie jasność sytuacji. Dziwnym zbiegiem okoliczności właśnie na dziś proboszcz zarządził spowiedź świętą. Czyżby przewidział?

Gdy wróciliśmy do kwatery, czekał już na nas nowy dowódca. Był nim nie zapowiedziany wcześniej podporucznik Suski, lecz podporucznik Borowiak, w cywilu mierniczy przysięgły z Kalisza.

- Przywiozłem panu jeszcze trochę sortów mundurowych, bo pan stale o to nęka kapitana. Pana mundur też straszny. Wymienimy go na mundur oficerski nowego typu.

Podszedłem do wozu i wziąłem się do rozdawania żołnierzom nowych mundurów i płaszczy.

- A co z butami panie poruczniku?

- Jak to nie dostaliście? Kapitan wysłał dla was na dowódcę I-ej kompanii.

- Nic nie dostałem, kompania otrzymała wprawdzie, ale twierdzą, że tylko dla siebie.

Poszliśmy obaj do dowódcy kompanii. W rezultacie wydzielono nam 20 par nowych butów w większości jednak w rozmiarze 48. Wśród przesyłek znalazły się też paczki z domu od rodziców i brata. Były tam same słodkości i - co mnie szczególnie wzruszyło - fotografia domu, na której stałem z matką na balkonie. Zaraz urządziłem słodką ucztę, ale zauważyłem, że żołnierze bardzo krępowali się ode mnie brać.

- Panie podchorąży, a może by pan mnie potowarzyszył w objeżdżaniu innych działonów? - zaproponował mi podporucznik Boro-
wiak, przerywając tym samym naszą skromną ucztę.

* * *

- Co słychać panie poruczniku w Kaliszu?

- Cóż, ludzie szykują się do wojny, robią zapasy, kleją okna papierami, ruch olbrzymi. Przybyły już czołgi-tankietki, artyleria przeciwlotnicza.

Naszym pierwszym celem były Psary, miałem więc nadzieję na zobaczenie się z Władkiem. Nasz wóz zatrzymał się przy stodole dworskiej obok 2 plutonu I działonu. Kapral Świątnicki zameldował działon przy czyszczeniu broni. Niestety nie mam szczęścia, Władek Dux pojechał do Kalisza. Idziemy na kwaterę w poszukiwaniu porucznika Janiaka. Po drodze wymieniamy kilka słów z kapitanem Gorzechowskim, który objął dowództwo nad kompanią Burmeistra. Wreszcie serdeczne powitanie z Janiakiem. W bramie mą uwagę przykuwa panna w stroju do konnej jazdy. Jest to mieszkanka dworu, z którą na konne przejażdżki często wyjeżdża Burmeister. Obróciłem się, ona zrobiła to samo. Ładna - skonstatowałem.

II działon plutonu Janiaka zainstalował się o jakieś 3 km od Psar. Piaski utrudniały i opóźniały podróże. Po drodze rozmawiamy o Turku i innych sprawach. Dojeżdżamy do II działonu. Stanowisko usytuowane w kukurydzy. Działonowym był zastępca Władka kpr. Jędrasiak, bo poprzedni działonowy st. strz. Siwa odszedł wraz z dawnym moim zastępcą do Kalisza. Ruszyliśmy do mojego II działonu do Śliwnik. Po drodze spotkaliśmy dwu żydowskich handlarzy. Jeden chałaciarz, drugi cywilizowany. Krótka kurtka i jarmułka. Borowiak zatrzymał wóz.

- A wy gdzie się tu ruszacie między wojskiem, żeby co zobaczyć?

- Och, panie oficer, co znaczy, my tylko idziemy za handlem. Żyd nie będzie szpiegować dla Hitlera. My też byli przy wojsku.

- W jakiej broni - zapytałem.

- Co to znaczy? To jest dokument, tu jest napisane, że ja pracować dla wojska, ja kopał rów w niedziela na Kościelnej Wsi.

Puszczamy ich wolno.

- Do widzenia panom oficerom! - słyszymy.

Po półgodzinnej jeździe byliśmy w Śliwnikach. Po raz pierwszy miałem możliwość zobaczenia się ze swoim działonem. Działonowym był kapral Nowak, celowniczy rezerwista, reszta swoje chłopaki. Podeszli do mnie Dubas, Cimko, Mikołajczyk, Andrusiak, Zielonka. Dubas swoim śpiewnym głosem zapewniał mnie, że się z mną stęsknili.

- Panie podchorąży, nam też tu było źle, jeść nie dawali, dopiero pan plutonowy Wiśniewski chodził do pana majora i teraz jest lepiej - opowiedział Mikołajczyk.

- Ale panie podchorąży, na moje wychodzi, wojna idzie. Cimko był jednym, który już w czerwcu ogłosił, że będzie wojna. Był niesfornym duchem, stale grzeszył, miał kary, raporty, pocieszał się jednak, że będzie wojna i zatrze jego winy. Podobał mi się, był to Ukrainiec, podobnie jak Andrusiak i Dubas.

Tymczasem Borowiak urządził polowanie na mundur dla mnie. Z lekka protestowałem, ale już po chwili zamieniłem mundur z celowniczym. Jego mundur był typu oficerskiego, bo miał cztery kieszenie. Cimko przeszył mi dystynkcje. Teraz brakowało mi jeszcze owijaczy. Pożegnałem chłopców i poszliśmy zameldować się u majora Szczygła. Z kancelarii batalionu, w której widzieliśmy się tylko z Klekiem, poszli-

śmy na obiad. Radio grało marsze wojskowe. Mięso zakropiliśmy piwem i sporą ilością lemoniady. Korzystając z okazji zwróciłem uwagę dowódcy na niezadawalający stan naszego wyposażenia.

- Myślę, że o nas nie zapomną - odpowiedział Janiak.

- A ja myślę - przerwał Borowiak - czy nie byłoby dobrze, gdyby pan udał się do Kalisza i naciągnął na coś kapitana. Przy okazji wstąpi pan do mojej żony i weźmie pan mapy, latarkę i powie co się ze mną dzieje. Pojedzie pan moim wozem, którym rano przyjechałem, a wróci pan z Duxem. Zgodziłem się i po chwili znalazłem się na wozie zmierzającym w stronę Kalisza.

* * *

Ruszamy. Woźnica-rezerwista ostatni raz miał do czynienia z wojskiem w 26 roku. Był to człowiek bardzo rozmowny. Dowiedziałem się od niego, że kapitan to dobry człowiek, a porucznik Borowiak to swój chłop, bo zapłacił mu za odwiezienie, choć nie musiał.

Na szosie panował niebywały ruch. Od Szczypiorna ciągnęły się z obu stron drogi rowy przeciwczołgowe i zasieki z drutu kolczastego, w szosę zaś wbijano wielkie pale jako zapory dla czołgów. W samym Szczypiornie masy wojska.

- A nie wiecie co z resztą batalionów - zapytałem woźnicy.

- Wiem. Trzeci batalion wyszedł na Nosków, Sulisławice, drugi nie wiem. Utworzono też czwarty batalion. Część naszych armatek już poszła. Jutro dołączą do baonów ppor. Suski i pan podchorąży Nowicki. Pan porucznik Solarek jest w czwartym batalionie.

W mieście panował straszny tłok i pomyślałem, że prędzej dojdę do celu na piechotę. Zsiadłem więc z wozu i wmieszałem się w tłum. Po drodze minąłem parę szkół, które pełniły teraz rolę koszar wojskowych. Kręciło się koło nich mnóstwo żołnierzy, z których wielu można było poznać tylko po przewieszonych przez ramię maskach p gaz. Na jednym szkolnym boisku zobaczyłem rezerwistów, którym puszki od konserw zastępowały menażki. Widać było gołym okiem, że sporo z nich nie miało stałych kwater, włóczyli się więc po mieście bez celu.

Około 6-tej zameldowałem się na Trzeciego Maja u kapitana Wulciańskiego.

- Dobrze, że pan przyjechał - powitał mnie od progu. Będziecie narazie razem z Duxem. Widząc tak serdeczne przyjęcie, opowiedziałem mu o Gostycynie.

- Wiem, że stosunki tam nie za bardzo, ale proszę się tym zbytnio nie przejmować. W razie czego, niech się pan powoła na mnie. Jestem dowódcą kompanii pułkowej i jeszcze coś mogę. Awans pański zależy ode mnie. Przekona się pan, gdy przyjdzie wojna, że przestaną się mieszać. Stanie się pan naprawdę samodzielny, a teraz jest tam oficer - niech sobie łamie głowę.

- Panie kapitanie mamy duże braki.

- Wiem co chce pan powiedzieć - przerwał kapitan - nie mogę w niczym pomóc. W Kaliszu zabrakło oporządzenia, umundurowania. Ponoć mają przesłać z Poznania. Dostarczyłem co mogłem. Czego wam jeszcze potrzeba z mniejszych rzeczy?

- Mapy, panie kapitanie.

- Dam panu mapę Suskiego i jeszcze coś?

- Przydały by się karmiaki dla koni, wiadra.

- To panu wyda plut. Pajchrowski (rusznikarz z pułku został teraz rusznikarzem komp. ppanc.)

Naszą rozmowę przerwało wejście Suskiego. Przedstawiliśmy się sobie. Był to nieco młodszy kolega szkolny mojego brata. W chwilę później dołączył do nas Nowicki, kaliszczanin, absolwent Asnyka* i Władek Dux. Między mną i Władkiem coś się jednak ostatnio popsło. W gruncie rzeczy chodziło o błahe sprawy, ale podejrzewałem, że posądzał mnie o nieuczciwość przy podziale rzeczy dla plutonów. Do tego wszystkiego dochodziła jeszcze rywalizacja między naszymi plutonami. Mimo tych animozji obaj z Władkiem poszliśmy klócić się do szefa Pajchrowskiego o wyposażenie dla podległych nam żołnierzy. Dostaliśmy kilka brezentowych wiader, karmiaki, linki, żarówki i baterie do celowników armatek przy działaniach nocnych i podkowy, z których byłem najbardziej uradowany, bowiem wszystkie konie miałem nie podkute. Udało mi się zdobyć jedną podkową od dowódcy pierwszej kompanii, ale musiałem mu za to odstąpić strzelca-kowala Kałużnego. Władek otrzymał jeszcze

* Gimnazjum i Liceum im. Adama Asnyka w Kaliszu.

niezbędnik plutonowy, dla mnie zabrakło. Niejako na pocieszenie szef zaopatrzył mnie w łopatkę.

Było coś po siódmej, gdy wyruszyliśmy do miasta. Zgodnie z obietnicą wstąpiliśmy do mieszkania Borowiaka, ale nikogo tam nie zastaliśmy. Przez stróża umówiłem się z jego siostrą na dziewiątą. Korzystając z okazji postanowiłem odwiedzić jeszcze wujostwo na Stanisława, a potem wpaść na chwilę do cukierni. Władek postanowił poczekać na mnie na dole, więc poszedłem sam. U wujostwa przyjęto mnie z wielkim zdziwieniem. Zastałem tam Bognę i Brunona jej męża, który właśnie wrócił z pięciomiesięcznych ćwiczeń rezerwy. Nie otrzymał jeszcze powołania z powodu posiadania niebieskiej karty, ale w razie wojny chciał się zgłosić na ochotnika.

Mimo mych protestów przemocą posadzono mnie do kolacji. Poprosiłem o papier, chcąc napisać list do domu. Niestety nie mogłem zdradzić miejsca mego pobytu i swego przydziału z dwóch powodów. Po pierwsze, obowiązywała mnie tajemnica wojskowa, po drugie zaś nie chciałem ich denerwować. Dlatego też wymyśliłem bajeczkę o mej niespodziewanej wizycie w Kaliszu i natychmiastowym odjeździe. Prosiłem by się nie martwili, bo nawet w razie wojny będę z racji mego stanowiska zupełnie bezpieczny. Żegnając się z nimi pomyślałem sobie, czy ich jeszcze kiedykolwiek zobaczę.

Władek cierpliwie czekał na dole, a czas skrócił sobie rozmową z młodą lokatorką tego domu. Po paru minutach byliśmy w „Ziemiance” Spotkaliśmy tam kolegę z podchorążówki Skwona, który teraz służył w 56-Krotoszyn. I u nich wyczuwało się już stan napięcia. Nie wolno im było opuszczać koszar. Nocami czatowali na granicy. Mimowolnie wysłuchaliśmy dziennika radiowego utrzymanego w patetycznym tonie. Podawano wiadomości o zajściach i walkach granicznych, o stanowisku świeżo sprzymierzonej Anglii.

- A swoją drogą wojna tuż, tuż - powiedziałem do Władka - przegrałeś zakład.

- Jeszcze nie - ale nie powiedział tego z przekonaniem.

Siedzieliśmy jeszcze chwilę, wspominając czasy podchorążackie i beztrudne życie na kursie dowódców plutonów ppanc w Kaliszu. Z radiowego głośnika dobiegały marsze wojskowe. Wyszliśmy. Po drodze

wrzuciłem list. Wstąpiliśmy jeszcze do mieszkania Borowiaka, aby spotkać się z jego siostrą i przekazać jej wiadomości od brata. Przez plac Św. Józefa przejechało z chrzęstem osiem tankietek.

Władek poszedł po wóz, a ja korzystając z okazji, kto wie czy nie ostatni raz, napawałem się życiem tego ulubionego przeze mnie miasta. Stałem na moście i wpatrywałem się w leniwie płynącą Prosnę. Do rzeczywistości przywołałem mnie turkot wozu. Na wozie oprócz Władka był także jego celowniczy Ukrainiec Chała i woźnica rezerwista – Starosta. Klusem przejeżdżaliśmy przez miasto. Ruch już zamierał, zbliżała się jedenasta. Gdzieś widać było śpieszących do koszar oficerów i wzmocnione patrole żandarmerii.

Dni były jeszcze ciepłe, ale noce chłodne. Władek miał płaszcz, żołnierze też, mnie przykryto kocem. Po szosie włościło się mnóstwo żołnierzy z miejscowymi pięknościami. Używają ostatnich chwil – powiedziałem do Władka i skierowałem się do kwatery Borowiaka.

Było już dobrze po północy, kiedy stanąłem z Władkiem przed jego kwaterą w Psarach. Władek zbudził wartownika, który ledwo zdążył wyskoczyć ze stodoły na odgłos zbliżającego się wozu. Z miłym uczuciem położyłem się spać na sianie.

Szczypiorno

Wstaliśmy około siódmej i po śniadaniu wyruszyliśmy w drogę. Władek obiecał podarować mi trochę smarów i płynów. Około dziewiętej byliśmy w Gostyczynie. Przywitałem się z moimi żołnierzami, Władek tymczasem podzielił się z działonem zawartością niezbędnika i wydał otrzymane w Kaliszu przybory. Po jego odjeździe zauważyłem, że coś gnębi moich zuchów. Podeszedł do mnie Wojtczak i poskarżył się na Siarkiewicza. Okazało się, że ten ostatni podczas wczorajszego czyszczenia broni wystrzelił z karabinu. Szczęście, że nikomu się nic nie stało. Na zwróconą mu uwagę zagroził, że jeśli pisną słówko, to ich wszystkich powystrzela. Kazałem wezwać świadków, którzy tylko potwierdzili słowa Wojtczaka. Nie mam innego wyjścia jak tylko rozmówić się z Siarkiewiczem. Odnajdujemy go w stodole przy czyszczeniu broni. Przez dziurawą dachówkę zagląda do wnętrza słońce.

- Siarkiewicz, pokażcie broń

- Kiedy jeszcze nie czysta, panie podchorąży.

- Dwa razy nie będą wam postarzał.

Podaje choć robi to z ociąganiem. Już rozumie po co tu przyszedłem.

Patrzę od razu w łufę, osad jeszcze jest.

- Dlaczego żeście to zrobili?

- Tak jakoś przypadkiem, nie wiedziałem, że naładowany.

Wiedziałem, co o tym sądzić. W Kaliszu przed wymarszem bez przerwy się zwalniał, słowem migał się jak mógl. Nie dalej jak dwa dni temu prosił mnie o przepustkę do miasta. Nie było co się dłużej zastanawiać.

- Siarkiewicz jesteście aresztowani. Kapralu Wojtczak odbierzecie od aresztowanego broń i oporządzenie. Kapral Jańczyk i strzelec Ziółkowski będą przy zatrzymanym w stodole. Przy próbie ucieczki strzelać. Czekać na dalsze rozkazy.

Pożyczyłem rower i pojechałem do Śliwnik. Zastanawiałem się nad tą sprawą po drodze. Czy rzeczywiście „kopnięty w mózg”, czy też symulant? Na to żeby być głupim był za sprytny, zawsze się migał od każdej pracy. Tu chodzi o coś innego, została ogłoszona mobilizacja, chłop się boi i udaje wariata. W Śliwnikach zameldowałem o zajściu Borowiakowi. Poszliśmy do majora, ten polecił spisanie protokołu i natychmiastowe sprowadzenie Siarkiewicza do Śliwnik. Pojechalśmy do Gostyczyny we dwóch z Borowiakiem. W międzyczasie Siarkiewicz wystraszył się, ale dalej twierdził, że nie miał w służbie wojskowej karabinu w ręku, bo był przy ckm'ach, teraz więc czyszcząc broń spowodował strzał niechcący. Obciążające go zeznania tłumaczył niechęcią do niego kolegów. Na rozkaz Borowiaka Jańczyk i Ziółkowski zaprowadzili go do dowództwa batalionu. Po tej całej historii wpadł znów major, z którym poszliśmy obejrzeć stanowiska armatek. Pokazałem szkice, drogę odwrotu. Byłem zadowolony, że już więcej nie będę kopał. Przed odjazdem major zbesztal jeszcze podchorążego S. za brak szkiców.

We dworze w czasie obiadu było bardzo pusto i ponuro. Właścicielka dworu, mimo naszych ostrzeżeń, wyjechała wczoraj do Warszawy ze strachu przed działaniami wojennymi na tym terenie. W Gostyczynie nie przewidywaliśmy walk. Nic nie pomogło, uparła się i koniec. Żał nam było staruszki. Zapewne ze dwadzieścia godzin, a może i więcej,

tknęła się do Warszawy, z powodu bałaganu na kolei. Został jej syn czekając na wezwanie. Przy końcu obiadu wpadła młoda właścicielka sąsiedniego Śmiłowa z prośbą o ochronę wojskową dworu, niczego jednak nie wskórała. Wyszedłem na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza, gdy nagle z kancelarii wybiegł telefonista z rozkazem kapitana o natychmiastowym wymarszu.

- Dokąd idziemy - zapytałem.

- Tylko tyle mi powiedziano. - odparł telefonista.

Natychmiast przekazałem rozkaz dalej i kazałem Sobocińskiemu jechać na stanowisko po działko. Wrócili właśnie Jańczyk z Ziółkowskim prowadząc ze sobą Sawę i Cimkę.

- Panie podchorąży, strzelec Cimko melduje posłusznie swój przydział do I działonu. Pan major darował Siarkiewiczowi. Będzie on teraz amunicyjnym w drugim działonie, a ja u pana podchorążego - tłumaczył Cimko.

Zarządziłem zbiórkę na folwarku, a sam zaraz udałem się do dworu. Po drodze spotkałem działon artylerii, który przybył ze Sławina. Dowodził nim kapral Przełęcki, mój dawny znajomy z czasów, gdy będąc jeszcze na kursie w plutonie karabinów maszynowych pełniłem obowiązki podoficera służbowego w stajni plutonu artylerii i OZ. Po powitaniu już we dwojkę udaliśmy się do dworu, gdzie czekał już na nas Woldański.

- Panowie, wyruszamy za parę godzin. Zebrać ludzi na folwarku.

Wychodząc z dworu natknęliśmy się na dziedzica Gostyczyny, który dostał już kartę powołania i przyjechał pożegnać się z nami. We dworze został tylko stary dziadek, który mnie przywitał w Gostyczynie.

Po raz ostatni jedliśmy posiłek we dworze. W miarę jak kolacja zbliżała się ku końcowi, podnosił się gwar głosów. Żołnierze żywo dyskutowali o zbliżającej się wojnie. W ich wypowiedziach nie czuło się strachu, a wręcz przeciwnie, pragnęli jej.

- Trzeba wreszcie zrobić porządek z tym Hitlerem - usłyszałem cicho wypowiedź.

- Prawda, nie wolno, żeby pluli nam w twarz, to się musi wreszcie skończyć - podchwycił jakiś inny żołnierz.

* Oddziały Zwiadowców

- Jak nasz rząd wojny nie zrobi, no to my sami ją zrobimy - zakończył ktoś dyskusję.

Dźwięk trąbki wygonił wszystkich na dziedziniec. Przybył goniec z dowództwa baonu. Oddziały ustawiają się. Podchodzi do mnie podchorąży rezerwy Zenkteler i prosi o wzięcie na wóz jego plecaka. Niestety, jego bagaż nie na długo zagrzał miejsce na naszym wozie. Biedak musiał go wziąć, bo zobaczył to jego szef Wesolek i zwymyślał go na czym świat stoi.

Ruszamy. Za armatkami już tylko tabory. Mijając bramę jeszcze raz spojrziałem na dwór. W folwarku, w którym stacjonował Baumert, ludzie wylegli na drogę. W tłumie dało się zauważyć zapłakane twarze kobiet.

- Ady co tam, matko, chłopca zabrali? - rzucił ktoś z kolumny, ale nie rozbawił tym nikogo.

Zbliżał się wieczór, gdyśmy dobili do Śliwnik. Tłok był coraz większy, bo ścigały tu oddziały skoszarowane dotąd w Psarach. Przeszliśmy wieś i zatrzymaliśmy się przy drodze Węgry - Chotów. Tu musiałem pożegnać się z kapralem Jańczykiem i gońcem, których wraz z wozem zmuszony byłem przenieść do II plutonu, ze względu na obecność w nim dowódcy. Przy mnie zostali teraz kpr. Wójtczak, celowniczy Moczynos, ładowniczy Klimczak, czterech amunicyjnych Ziółkowski, Juszczak, Cimko i Kałużny, woźnica Sobociński i w roli gońca - ordynansa Nowak. Około godziny dziewiątej ruszyliśmy na Węgry. Szedłem ze swoimi porucznikami. Janiak przypuszczał, że idziemy do Kalisza, a Borowiak, że będziemy ładować się na pociąg. Z Węgier skierowaliśmy się na Męczniki, stamtąd w kierunku dworu w Sulistawicach. Nadzieje nasze na załadunek do pociągu prysnęły z chwilą minięcia stacji w Szczypiornie. Po wydostaniu się na szosę, skręciliśmy do koszar II baonu i zatrzymaliśmy na placu ćwiczeń. Nie byliśmy tu jednak pierwsi. Naszą uwagę zwrócili żołnierze w drelichowych mundurach, bez oporządzenia i broni. Okazało się, że to baon wartowniczy.

Po zakwaterowaniu żołnierzy miałem zamiar się położyć, gdy niespodziewanie przyszedł po mnie Borowiak i zabrał mnie na kwatery, którą wynalazł akurat dla nas czterech. Po drodze pochwalił się, że zdobył dwa pistolety dla siebie i Janiaka. Był bardzo zadowolony, bowiem według rozkazu oficerowie winni być zaopatrzeni we własną broń,

a „Visy” przysługiwały tylko podchorążym. Już się bał, że na wojnę wyruszy bez broni osobistej.

W kursie rezydował już 4-ty batalion strzelców (BS) albo baon specjalny. Obchodziłem dobrze znane sale w tym salę, w której spędziłem cały czas służby w podchorążówce. Od tamtych czasów trochę się tu zmieniło, nie na tyle jednak, abym nie poznał starych kątów. Patrzyłem teraz na nie z dziwnym uczuciem. W mej pamięci zatarły się przykrości, których tu doznałem, a pozostało tylko to, co przyjemne. Zażęknąłem do tamtych czasów, które bezpowrotnie minęły.

Rozdział II

WOJNA

Wstaliśmy trochę po szóstej. Był piątek, pierwszy września. Zaraz poszliśmy do oddziału. Żołnierze już wstali, przynieśli kawę, Borowiak z Janiakiem poszli do dowództwa baonu, Władek do stajni, a ja do znajomego rzeźnika Goreszewa, który miał sklep poza koszarami, niedaleko pomnika Legionistów. Kupiłem kielbasy, bułek i to śniadanie w kancelarii V-tej kompanii. W tej sali stawałem często na baczość, gdy przychodziłem po odbiór poczty wartościowej jako strzelec z cenzusem. Dziś walały się tu porozrzucane dyplomy strzeleckie dla kompanii, papiery kompanijne. Smutny był ten widok.

Nagle usłyszałem gong i ryk syreny alarmowej. Zostawiłem jedzenie i wybiegłem na korytarz. Był to alarm lotniczy. Po chwili moi żołnierze w pełnym oporządzeniu zebraли się na dolnym korytarzu. Syrena wyła przeraźliwie – czyżby nalot? Nastąpiła przerwa, żołnierze posiadali i czekali. Po pół godzinie znów syrena, koniec alarmu. Wyszedłem na rejon, spotkałem starszego o pięć lat Turka, Bolka Piaseckiego, porucznika rezerwy, w cywilu artystę – malarza. Nie widziałem go parę lat. Zdążyłem tylko dowiedzieć się, że służy w Boesie, gdy nadbiegł Borowiak z Janiakiem.

- Już, szybko, maszerujemy! Niech pan zarządzi zbiórkę I-go plutonu – krzyknął Borowiak. Zebrałem pluton koło armatek i ruszyliśmy. Idący na przodzie Borowiak poganiał nas nieustannie. Wyszliśmy z koszar na szosę Kalisz – Ostrów i skręciliśmy na drogę do Boczkowa. Zatrzymaliśmy się po przejściu kilkudziesięciu metrów.

- Niech pan wybierze tu jakąś chałupę na kwaterę, ja idę ze swoim działkiem na punkt 132 i zaraz do pana dołączę - rozkazał porucznik.

Jakoś szczęście mnie dzisiaj nie opuszczało i po kilku minutach znalazłem stodołę, która w sam raz nadawała się na miejsce noclegu dla żołnierzy tym bardziej, że zeszłej nocy kwaterowało tu wojsko i pozostały po nich gotowe legowiska. Po drobnej kosmetyce stodoła przeistoczyła się w żołnierską sypialnię. Na drodze przed chatą zatknąłem miotłę ze słomy na kiju na znak, że tu kwateruje wojsko. Przybiegł Borowiak i wyciągnął mnie na zwiad terenu.

Wyszliśmy ze wsi. Przed nami na polach kładła się poranna mgła uniemożliwiająca orientację w terenie.

- Musimy poszukać kapitana Woldańskiego - orzekł porucznik. Skierowaliśmy się w stronę chałup, za którymi w odległości 250 m ciągnął się rów przeciwczołgowy otaczający Kalisz, przy kopaniu którego sam brałem udział jeszcze na Kościelnej Wsi i Żydowie. Żołnierze przeciągali druty kolczaste, kopali stanowiska, Woldańskiego jednak nigdzie nie było widać. Wróciłem do działonu. Wojtczak już zdołał wyfasować dla mnie ciepłe mleko i jajecznicę. Po dziewiątej konno przyjechał major. „Panie podchorąży, proszę, ze mną! Zdążyłem tylko zawołać Nowaka i biegiem puściłem się za kłusującym majorem. Przebiegłem ze 100 metrów. Major zatrzymał się za ostatnim zabudowaniem Szczypiorna.

- Pańskim zadaniem - rzekł major - jest odparcie czołgów od strony Boczkowa lub Skalmierzyc. W prawo od pana za cmentarzem jest stanowisko drugiego działonu porucznika Borowiaka. Kwaterę działonu niech pan obierze w tym zabudowaniu - powiedział na odchodnym.

Posłałem Nowaka po armatkę. Znajdowałem się na ściernisku, na którym pluton podchorążego Rabczyńskiego okopywał się i rozciągał zasieki z drutu kolczastego. Nieopodal budowano betonowy bunkier dla ckm'u, jednak tempo prac było raczej mizerne. Ogrodzonego terenu pilnował wartownik z baonu wartowniczego uzbrojony w ładowany pojedynczo francuski karabin. Nadjechała armatka. Wskazałem stanowisko i żołnierze natychmiast przystąpili do kopania.

- Nowak, przenieście do tego gospodarstwa wszystkie rzeczy. Tu będzie nasza kwatera. Tylko porządnie ją urządźcie. Sobociński, jazda za mną - krzyknąłem na woźnicę. Teraz stajnię przenieziemy na drugą stro-

nę drogi. Będzie bliżej stanowiska. Konie w zaprzęgu, zatknijcie wiecheć, żeby goniec wiedział, gdzie was szukać. Po wydaniu tych rozkazów wróciłem na stanowisko. Po chwili przybiegł podenerwowany Borowiak.

- Wie pan co się stało? W Odolanowie rzeź Polaków. Miejscowy starosta dr Eckert, działacz Ozonego*, napadł w nocy z miejscowymi Niemcami na dwa plutony straży granicznej, wycięli je, tylko jeden plutonowy uratował się i przyjechał tu z meldunkiem na motocyklu. Tam rzną Polaków!

- Ale jak ta straż czuwała, nie mogli się bronić?

- Nic więcej nie wiem.

Powiedziałem o tym wydarzeniu żołnierzom.

- A to szkopy - panie podchorąży - ich trzeba bić a nasz rząd dawał im lepsze prawa niż nam.

- A nie mówiłem, panie podchorąży, ja już wiem, wojna będzie - odezwał się Cimko. Na tym dyskusja się urwała i żołnierze wrócili do pracy. Wrócił Nowak, którego posłałem go po szpadle. Minęła dziesiąta, czas płynął a żołnierze pracowali rzeczywiście dobrze, kopiąc od stodoły rów dobiegowy głębokości metra. W ten sposób armatka mogła stać w stodole lub podwórzu, a na stanowisko będzie wtaczana. Będzie przy tym sporo roboty, ale mówi się trudno. Po lewej stronie ogona i rowu kazałem wykopać trzy nisze amunicyjne chroniące obsługę od deszczu.

Spojrzałem w stronę szosy i zobaczyłem jadącego w naszą stronę na rowerze Borowiaka. Widać było, że się bardzo śpieszył. Czyżby się coś stało?

- Panowie WOJNA - zawołał porucznik zeskakując z roweru. Dzień rano oddziały niemieckie przekroczyły granice. Ostrów się już bije, lotnictwo niemieckie bombardowało Wieluń i Częstochowę, Gdańsk zajęty przez polskie oddziały, nasze samoloty bombardują Berlin. Powiedziawszy to, wskoczył na rower i pognął dalej. Moi ludzie przerwali pracę. Widać było, że wiadomość ta wywarła na nich piorunujące wrażenie. Wszędzie przerwano pracę. WOJNA! WOJNA! - podawano sobie z ust do ust.

No cóż - pomyślałem z goryczą - wygrałem zakład z Władkiem.

* Oboz Zjednoczenia Narodowego - organizacja polityczna utworzona w 1937, w celu zjednoczenia ugrupowań politycznych popierających władze sanacyjne.

- No chłopcy, dalej do pracy, tu zwyciężymy lub zginiemy. Kopiemy sami i dla siebie. Chcąc dać przykład wziąłem szpadel, a za mną zrobili to wszyscy.

- Ale musimy dobrze się zamaskować, żeby nas Niemiec nie zobaczył - odezwał się Klimczak. Zrozumieli to i inni.

- Panie podchorąży, niech pan da spokój - mówił Nowak - my wykopiemy sami. Uśmiechnąłem się i zwróciłem się do żołnierzy.

- Minęły chłopie czasy musztry i nauki, gdy byłem waszym instruktorem. Dziś jesteście wszyscy równi, jednakowe są nasze prawa do życia i śmierci. Pamiętajcie co wam powiedziałem w Gostycynie. Chcę byście byli dla siebie koleżeńscy. Jesteśmy w tym działaniu jedną rodziną. Moje słowa przerwał warkot nadlatującego samolotu. Wziąłem lornetkę. - Lotnik, kryć się - podano to po linii. Wszyscy rzucili pracę i padli na ziemię. Samolot oddalił się i wszyscy wrócili do przerwanej pracy. Około 12-ej nadjechała kuchnia i znów musiałem się kłócić z podoficerem kuchennym z I kompanii, zanim przekonałem go, że obiad nam się należy. Jednak jakoś odechciało mi się jeść, zauważyłem, że żołnierze też niewiele jedli. Pomyślałem o rodzicach. Oczami wyobraźni zobaczyłem płaczącą matkę. Jej łzy były łzami wielu matek, których synowie wyruszyli na wojnę. Zrozumiałem, że coś się w moim życiu skończyło bezpowrotnie. Jestem teraz żołnierzem i dowódcą a moim zadaniem jest chronić podległych mi żołnierzy.

Drogą przechodził jakiś podchorąży artylerii, poznałem go, to Wittek Małanowski, rok lub dwa przede mną zdał maturę. Wróciliśmy do pracy. Zostało wykopanie rowu dobiegowego i zamaskowanie stanowiska. Roboty było sporo, ale chłopaki palili się do pracy. Nad nami niczym sępy, krążyły niemieckie samoloty zwiadowcze. Zauważyłem, że z Kalisza strzelają z działek przeciwlotniczych. Ukryłem przed okiem lotnika armatkę, choć samoloty były za wysoko, aby coś dostrzec. Około trzeciej stanowisko było gotowe. Ocenilem mą pracę z pewnej odległości. Było dobrze, armatka z 20 metrów była niewidoczna. Tymczasem przyszedł znów Borowiak z rozkazem majora Szczygła delegującym mnie na placówkę do Skalmierzyc. Miałem się tam zameldować u dowódcy około godziny czwartej. Dzisiaj pozostało mi jeszcze zaprowadzenie mego działonu na przysięgę.

- Ależ panie poruczniku - zaproponowałem - w takim przypadku nie zdążę ukończyć prac przy kopaniu rowu. Proszę robić co w tej sytuacji jest możliwe, najwyżej pracę dokończę za pana moim działonem.

Poszliśmy jeszcze razem obejrzeć kwaterę i miejsce postoju koni, po czym pożegnaliśmy się. Swoją drogą byłem mile zdziwiony tym wyróżnieniem, choć zdawałem sobie sprawę, że wiąże się to ze wzrostem obowiązków i większą odpowiedzialnością. Wróciłem do swoich ludzi - powiedziałem, że jutro idziemy do Skalmierzyc, a dziś czeka ich jeszcze uroczysta przysięga. Do siódmej zostało jeszcze parę godzin, więc zabraliśmy się jeszcze do pracy. Przed wymarszem na uroczystość rów był prawie gotów, zdążyliśmy go nawet zamaskować. Strzeleckie i km'y skończyły już wcześniej okopywanie się i teraz przeprowadzono druty. Po godzinie strzeleckie zeszyły z pola, zostały tylko posterunki.

Po skończonej pracy przystąpiłem z działonem do toalety. Po chwili umyci i uczesani udaliśmy się na miejsce zbiórki. Powoli ściągają tu oddziały. Było w pół do siódmej, jeszcze pół godziny czekania. Spotkałem się z Dudkiem, plutonowym z kursu. Od niego dowiedziałem się, że podoficerowie wyjeżdżają z pułkiem zapasowym. Czas czekania dłużył się. Żołnierze próbowali siadać, a co odważniejsi palili. Udawałem, że tego nie widzę.

Czekaliśmy na przybycie kapelana, ale tego jakoś nie było widać. Wreszcie przed front oddziału wyszedł major Szczygieł. Wyjął z kieszeni munduru jakąś kartkę i po chwili popłynęły słowa roty. Wyprężeni, z czapkami w dłoniach, powtarzaliśmy za majorem słowa przysięgi. Przysięgaliśmy do ostatniej kropli krwi bić się za Ojczyznę i wiernie słuchać rozkazów. Przysięgali katolicy, potem ewangelicy i Żydzi. Po przysiędze oddziały odmaszerowały, a dowódcy plutonów i drużyn z pierwszej kompanii mieli iść na odprawę. Mnie to właściwie już nie dotyczyło, szedłem bowiem do Skalmierzyc, ale tak na wszelki wypadek poszedłem. Kapitan Woldanski wydał rozkaz ostrego pogotowia bojowego. Polegało to na tym, że dzisiejszej nocy połowa czuwa na stanowiskach, połowa śpi w oporządzeniu i w butach. Jutro dalszy ciąg prac ziemnych, wypłata żołdu i wydanie papierosów. Dalej były omawiane wewnętrzne sprawy kompanii, wyszedłem więc zostawiając telefonistom miejsce mego pobytu. Poszedłem jeszcze do szefa kompanii po pierwszy wojenny żołd

i papierosy, po 10 sztuk „Wiarusów” dla żołnierzy i „Płaskie” dla dowódców. Żołd na żołnierza wyniósł 1.70 zł na dekadę. Ja dostałem 4.30 zł, a Wojtczak 3.40 zł. Poszedłem jeszcze do szefa gospodarczego i pobrałem chleb. Obładowany bochenkami chleba wróciłem na kwaterę. Ci, którzy nie poszli jeszcze spać ucieszyli się, śpiącym powkładając papierosy do kieszeni. Niech po przebudzeniu mają niespodziankę. Razem z Wojtczakiem udałem się do chałupy sołtysa Szczypiorna. Gospodarz poczęstował nas mlekiem i razem z żoną zaczęli lamentować nad swym losem. Szybko opuściłem chatę i z Nowakiem poszliśmy na kwaterę. Zmęczony rzuciłem się na siennik. Przykryłem się kożuchem, a wyjęty z kabury pistolet położyłem sobie pod głowę. Nowak, mimo mej propozycji spania ze mną, w sposób grzeczny, acz stanowczy odmówił i przygotował sobie postanie obok mnie na podłodze.

- Mnie tu dobrze, panie podchorąży - mruknął przed zaśnięciem..

Stary zniknął i po chwili przyniósł mleko. Chciałem mu zapłacić, ale prosił mnie, żeby mu nie robić przykrości.

- Panie, co pan myśli, ja też mam syna, może mu kto inny teraz rzuci siana pod głowę, ja tylko wywdzięczam się za niego, dziś wy wszyscy jednacy synowie.

Odszedł modlić się. Zrzuciłem buty, z rozkoszą wyciągnąłem nogi i przytłumiwszy światło naftowej lampki, zasnąłem. Obudziło mnie silne stukanie do okna. Zerwałem się, spojrzałem na zegarek, było pięć po trzeciej.

- Panie podchorąży, już trzecia - powiedział stojący pod oknem Ziółkowski. Obudziłem Nowaka. Wyszliśmy na podwórze i umyliśmy się przy studni. Była 3¹⁵ i wciąż było ciemno. Postanowiłem dać jeszcze chłopcom 20 minut snu. Byłem zmęczony i gdy tylko oparłem się o drzwi stodoły, głowa opadła mi na piersi. Nagle ktoś mnie szarpnął.

- Panie podchorąży już minęło 20 minut.

Szybko wypiliśmy czarną kawę i zjedliśmy trochę chleba. Punktualnie o 4-ej skierowaliśmy się do szosy. Ciągnęły nią tłumy ludzi z całym swoim dobytkiem załadowanym na furmanki. Obok wozów szły konie, bydło, kozy, słowem cały żywy inwentarz. Czasem mignął jakiś samochód lub rower. To była już ewakuacja na całego. Pełni najgorszych myśli szli mieszkańcy Ostrowa i okolicznych wsi i miasteczek. Cały ten ucie-

kający przed Niemcami tłum śpieszył do Kalisza, który wydawał się im zbawieniem. Z trudem torowałem sobie drogę prawą stroną szosy. Jakaś stara kobieta pchała wózek z pierzyną, poduszką i naczyniami kuchennymi. Tu chłop gnał krowę, tam szła słaniająca się na nogach kobieta podtrzymywana przez młodą dziewczynę gimnazjalistkę, na rowerze jechał kolejarz. Dwu uczniów niesło toboły. Wóz zaprzężony w krowy ciągnął drugi wóz. Na innym wozie jechała rodzina żydowska. Uderzyła mnie powaga tych ludzi, ich zatroskane twarze na których czał się strach przed niewiadomym. Smutek udzielił się mnie i moim żołnierzom. Pomyślałem, że historia lubi się powtarzać. Tak zapewne musiała wyglądać przed laty ucieczka mieszkańców z bombardowanego i płonącego od prusackich pocisków Kalisza. Spojrzałem na żołnierzy. Twarze ich były skupione, może wypatrywali wśród uciekinierów swoich bliskich.

- Panowie żołnierze, gdzie wy idziecie? - zastąpiła mi drogę stara kobieta - Tam Niemcy, oni was zamordują. Ująłem ją za ręce i delikatnie odsunąłem na bok. Schwycił mnie za rękaw jakiś chudy robociarz z płonącymi gorączką oczyma. Bicie się dobrze chłopcy, ja nie mogę, moj syn poszedł jak wy, nie dajcie Polski Niemcom. Nie potrafiłem mu nic odpowiedzieć, wzruszenie ścisnęło mi gardło. Uścisnąłem mu tylko mocno jego spracowaną, żylastą dłoń. Zrozumiał.

Docisnąłem się wreszcie do Skalmierzyc. Miałem się na skraju miasteczka spotkać z dowódcą placówki. Skręciłem na drogę do Mącznik, zatrzymałem się, nikogo nie było. Trzeba się udać na poszukiwania. Napotkaliśmy oddział konny, ale zapytany oficer nic nie wiedział o miejscu stacjonowania dowództwa pułku. Wróciliśmy z niczym. Szosą w dalszym ciągu szli i jechali ludzie. Stało się dla mnie jasne - Skalmierzycę się ewakuują. Wszedłem do dawnego składu rowerów. Dowódca placówki sierżant - podchorąży Godziewski z III-ej kompanii spał. Obudziłem go.

- A to pan z dział? Pojdziemy, dam panu zadanie.

Nowaka posłałem po dział, a sam poszedłem za jadącym na rowerze sierżantem. Przy moście okopywali się już żołnierze. Zeszliśmy z nasypu na dół i znaleźliśmy się przy ciągnących się wzdłuż toru zabudowaniach. Tu dostałem polecenia ustawienia działka z zadaniem obrony ewentualnego ataku czołgowego od strony lasów śliwnickich. Szosy

miały bronić karabiny przeciwpancerne. Mgła przeszkodziła trochę w wyborze stanowiska, ale miałem już koncepcję ustawienia działka w jednym z ogródków. Stanowisko to było idealne ze względu na dobre pole ostrzału. Godziewski zaproponował umieszczenie działka na moście, ale stanowczo zaoponowałem ze względu na możliwy ostrzał obiektu przez artylerię nieprzyjaciela.

- Rób pan co pan chce, byleby dobrze - rzekł na odchodnym.

Działko stało niedaleko. Przybiegł do mnie Klimczak.

- Panie podchorąży, tu są świeże bułki u piekarza, żebyś to mógł skoczyć. Zgodziłem się, wziął od wszystkich pieniądze i pobiegł.

Zeszliśmy z działkiem na upatrzone przeze mnie stanowisko. Wi doczność rzeczywiście była z niego bardzo dobra. Żołnierze wzięli się do pracy, a ja z Cimkiem i Kałużnym poszliśmy szukać miejsca dla koni. W ostatnim domu zza worków z piaskiem wyglądała lufa rkm-u. I tu widać przygotowania do odparcia ataku szły pełną parą. Przy jednym zabudowaniu stała kobieta z mężczyzną w kolejarskim mundurze. Ona namawiała go do ucieczki, on nie był jednak zdecydowany. Wolał widać ginąć na swoim niż gdzieś daleko od swych rodzinnych stron. Przy innym domku stał znów kolejarz. Zaproponował nam pomoc, był sam, nie miał rodziny i nic do stracenia. Chciał przyłączyć się do nas. Było to wzruszające, ale nie mogliśmy przyjąć go do oddziału z powodu braku dostatecznej ilości broni.

Wszędzie była pusto, domy pozamykane, ptactwo, króliki, kozy, wszystko hasało bezpańsko. Jakaś kobieta doila kozę. A wy nie uciekliście - zapytałem. Dokąd uciekać, ja stara, mój stary, my biedne, kolejarki dostały po 100 zł to mogły uciekać, ktoś zostać musi, choćby kozy wydoić, bo im biedulkom wymiona popękają. Wśród domów natknęliśmy się na jakiegoś urwisa. A ty co? - zapytałem.

- Ja mam czas, jak będzie źle to zwiędę. Teraz ja rządę w domu, jestem sam.

Przeszedłem na drugą stronę i znalazłem jakąś obórkę w sam raz dla koni. Przyjechał Godziewski, aby wytłumaczyć mi moje położenie. Tak jak przypuszczałem, mieliśmy się jako pierwsi spotkać z nieprzyjacielem. Naszym zadaniem było przyjęcie na siebie całego niemieckiego uderzenia tak, aby ominęło ono Skalmierzyce. Były raczej małe szanse,

abyśmy po wykonaniu zadania mogli się stąd wycofać. Poszedłem do działonu. Wybrałem stanowisko w kącie ogrodu. Koło armatki przodem dotykało płotu, lewą zaś stroną ogrodzenia sąsiedniego ogrodu. Lufa wystawiona była między deskami, lecz z daleka nie było jej widać. Podałem znaki na wycofywanie się, jeszcze nie chciałem mówić prawdy. Po drugiej stronie ulicy ciągnęły kolonia domków kolejarskich. Przystąpiliśmy do pracy. Wyrwaliśmy bramy, robiliśmy w płotach przejścia dla armatki, łamaliśmy krzaki i drzewka. Wykonaliśmy kawał dobrej roboty. Trasa wychodziła tuż za strzelnicą, a stamtąd do nasypu kolejowego i na szosę. Tylko szosą można było przejść z działkiem, bowiem koło Szczypiorna ciągnął się na kilkanaście kilometrów parometryrowy rów przeciwczołgowy. Szosa z kolei była przejezdna dopóty, dopóty nie zostanie „zabita” palami przeciwczołgowymi. Gdy wracaliśmy na stanowisko, przeleciał na nami niemiecki samolot zwiadowczy. Wreszcie byliśmy na miejscu. Żołnierzom dokuczał głód. Tymczasem stacjonujący opodal pluton Godziewskiego sam postanowił zadbać o swe zaprowiantowanie. Znaleźli kozie mleko, cukier, konfitury i 20 kilogramowe beczki miodu. Skorzystał z tego Sobociński i zafasował dla naszego działonu miód, a razem z Wojtczakiem schwytał na obiad cztery kury. Skierowaliśmy się do domu ukrytego w głębi ogrodu, ale o dostaniu się tam nie było mowy – budynek był zamknięty na przysłowiowe cztery spusty.

- Proszę pana ja panu przyniosę klucz od tego domu, pan mi go potem odda – powiedział, jak spod ziemi wyrosły chłopak, którego spotkałem wcześniej podczas naszego rekonesansu po osadzie.

Stanowisko było niemal gotowe, zarządziłem więc przerwę na posiłek. Jeszcze rankiem nie przypuszczałem nawet, że będziemy jedli takie smakołyki. Chleb z lipcowym miodem wprost rozpląwał się nam w ustach. Wrócił wreszcie chłopak z kluczem. Otworzyłem drzwi i wszedłem z Wojtczakiem do środka. Przywitało nas żałosne miauczenie małego kotka, którego uchroniliśmy od śmierci głodowej. Wszedłem do kuchni. Na stole stały brudne talerze z resztkami jedzenia. Widać było, że właściciele opuszczali swe domostwo w pośpiechu. Spróbowałem włączyć radio, ale pozostało nieme. Przekreśliłem włącznik oświetlenia, niestety prądu już nie było. Skierowałem się w głąb domu. Sypialnia była ogołociona z pościeli. Wszedłem na pierwsze piętro. Jeden pokój

z balkonikiem wykończony, inne nie. Co za ironia losu – pomyślałem. Właściciele tego domku nawet nie zdążyli się nim nacieszyć. Tymczasem Wojtczak zobaczył jakiś papier na stole.

- Panie podchorąży, to niesłychane. Wie pan, że to jest domek mego stryja kolejarza. Ja go wprawdzie nie znałem, ale wiedziałem, że mieszka w Skalmierzycach. Co za zbieg okoliczności, przyszedłem go odwiedzić w czasie wojny.

Postanowiłem, że tu będzie nasza kwatera. Rozejrzałem się po kuchni. Na kredensie stały konfitury. Zawahałem się, ale w jednej chwili pomyślałem, że wpadnie to w szwabskie łapy.

Stanowisko było gotowe. Zostawiłem na nim dwu strzelców, a resztę przyprowadziłem do domu. Mieli spać na pierwszym piętrze na łóżkach w pokoju córek kolejarza. Pamiętajcie – mówiłem – niczego nie ruszać za wyjątkiem jedzenia. Jesteście żołnierzami, a nie złodziejami. Wojtczak w międzyczasie rozpoczął w kuchni karierę kucharza.

- No, panie podchorąży, w wojnę zjemy lepszy obiad niż w koszarach.

Tymczasem bractwo posiłało się znalezionymi przeze mnie konfiturami. Przyjechał Borowiak z blaszkami tożsamości. Niestety były bezużyteczne, bo nienacechowane.

- Ale wy tu macie rajskie życie, tylko tańców wam potrzeba.

- Nie ma radia, podporuczniku – powiedziałem. Borowiak miał sporo nowych wiadomości. Niemcy byli już pod Ostrowem, 60-ty się cofał. Bitwa prawdopodobnie będzie pod Kaliszem. W pierwszym dniu wojny rozbiliśmy sto czołgów, straciliśmy sporo samolotów, zajęliśmy Gdańsk, a dziś rano Bortnowski* przekroczył granicę Prus Wschodnich. Nasze wojska atakują Śląsk Opolski, ale najważniejsza wiadomość to ta, że Francja i Anglia wypowiedziały wojnę Niemcom. Linia Maginota w dwunastu punktach przerwana. Żołnierze ucieszyli się.

- No, będziemy w Berlinie – powiedział Cimko.

- Ale tu nie idzie zbyt dobrze, panie poruczniku – powiedziałem po cichu do Borowiaka – Ostrów ucieka.

* Władysław Bortnowski, gen., dowódca Armii „Pomorze”.

- To nic, to manewr. Pod Kaliszem ich się wciągnie w zasadzkę. 56-ty i brygada kawalerii Abrahama* są 40 km za granicą. Jak się wszystkie trzy państwa wezmą, to dłużej nie potrwa jak parę miesięcy. A pan ma jakieś zastrzeżenia?

Odjeżdżając zapytał czy nie chce pieniędzy, bo może mi dać ile chce. Podziękowałem. Obiad był nie gotowy, nie mogłem nim olśnić porucznika, dałem mu więc na odchodnym tylko konfitur. Poszedłem na stanowisko, aby podzielić się zdobytymi wiadomościami z Moczynosem i Juszcakiem.

- Panie podchorąży, na obiad - doleciał mnie głos Wojtczaka. Obiad był rzeczywiście wspaniały. Rosół, kury gotowane, a na deser konfitury i prawdziwa czarna kawa. Po obiedzie wysłałem zmianę na stanowisko, a Klimczak i Cimko udali się na poszukiwanie chleba. Zostałem sam w pokoju. Syty usiadłem na fotelu, aby trochę odpocząć. Mój wzrok padł na biurko na którym dostrzegłem mapę Polski. Mogła się przydać więc postanowiłem ją zabrać. Miałem co prawda mapę wojskową, ale dotyczyła ona tylko terenów wokół Opatówka. Wpadły mi w ręce dwa medaliki z wizerunkiem Matki Boskiej. To będą moje ryngrafy - pomyślałem. Nagle uświadomiłem sobie, że przed wyjściem na wojnę nie byłem nawet u spowiedzi. Poczulem się ogromnie znużony, spojrzałem na zegarek, była czwarta. Położyłem się na tapczanie i usnąłem. Obudził mnie Wojtczak.

- Panie podchorąży, już siódma, co robimy?

- Nie było tu kogo?

- Nie, ale myśmy kolację już ugotowali.

- Dobrze - odpowiedziałem - pojedę do dowódcy placówki. W mieszkaniu był rower, wsiadłem na niego i pojechałem. Po drodze zająłem na stanowiska. Okopy były gotowe. W sąsiednim ogrodzie było trzech strzelców będących pod moimi rozkazami, sprawdziłem co zrobili. Pozostały jeszcze do zrobienia zasieki z drutu. Oddziały nasze liczące w sumie sześćdziesięciu ludzi zajmowały teren na przestrzeni ponad kilometra. Opór jaki mieliśmy stawiać Niemcom z góry skazany był na niepowodzenie. Dojechałem do szosy. Główna fala uciekinierów już prze-

* Roman Abraham, gen., dowódca Wielkopolskiej Brygady Kawalerii w Armii „Poznań”.

szła, za to coraz częściej przeciągały oddziały od Ostrowa. Spotkałem na szosie Godziewskiego zajętego ustawianiem zasieków. Co słyhać nowego – zapytałem. Czekamy na cofającego się spod Ostrowa nieprzyjaciela. Dziś w nocy połowa ludzi na stanowiskach, druga połowa śpi w pełnym oporządzeniu, hasło Berlin – odzew bagnet.

Wróciłem do siebie. Chłopaki skombinowali lampę natową, świece. W tak oświetlonej kuchni zajadaliśmy się kluskami z jajecznicą, chlebem z miodem, a wszystko to popijaliśmy białą kawę z kozim mlekiem. Na deser były konfitury. Na dobranoc podałem wszystkim hasło i odzew. Na pierwszą zmianę poszedłem z Klimczakiem i Ziółkowskim. Była dziewiąta. Może postrzelamy dziś w nocy, chłopcy. Sprawdziłem celownik, nastawa była dobra 700, 0. Jeden z was niech patrzy na przedpole, drugi uważa na most, stamtąd ukazać się może rakietą.

- Panie podchorąży, myśmy słyszeli, że Niemcy mordują – mówił Klimczak. Zaczęło się w Odolanowie, a teraz co złapią żołnierza naszego, to go męczą.

- Widzisz bracie, nie trzeba się dać złapać, nie warto iść do niewoli, lepiej zginąć.

- Ja bym tylko nie chciał być ciężko ranny – powiedział Ziółkowski – lepiej, żeby mnie od razu zabito.

- Ja bym się dobił – dorzucił Klimczak.

- Lepiej myślcie jak rozbić czołg, a teraz niech który skoczy po słonecznik i makówki. Klimczak w mig wykonał polecenie i po chwili hukaliśmy małe ziarnka.

Dochodziła dwunasta. Poszedłem obudzić następną zmianę. Moczynos spał w kuchni na kanapie, Wojtczak w pokoju na łóżku. Obudziłem Wojtczaka i ściągnąłem z 1-go piętra Nowaka i Juszcza. Asystowałem jeszcze przy zmianie. Potem wróciłem do domu i bez rozbierania położyłem się na tapczanie. Hełm leżał pod ręką. Co przyniesie jutro? – pomyślałem. Żeby tylko dożyć zwycięstwa.

* * *

Obudził mnie hałas dochodzący z kuchni. Spojrzałem na zegarek – za pięć ósma. To Wojtczak wojuje z garnkami. Dziś niedziela, ale jakoś się jej zupełnie nie czuje.

- Panie kapralu w ciągu dnia co dwie godziny zmiana. Ja teraz pójdę na stanowisko i tam proszę mi przysłać śniadanie. Zabrałem ze sobą pierwszą zmianę i poszedłem zluzować Moczynosa.

- No co słychać?

- W nocy szło ciągle wojsko - meldował - mieliśmy trochę strachu, myśleliśmy, że to już artyleria strzela, a to kolejarze wysadzili wieżę.

Po śniadaniu około ósmej przyjechał Borowiak. Jakie wieści? - spytałem. Odprowadził mnie na bok.

- Ludzie z Kalisza uciekają. Ewakuacja w kierunku na Łódź, Turek. Ostrów zajęty, 60-ty cofa się bez walki.

- Więc po co ewakuacja zapytałem.

- Mobilizacja jeszcze nie skończona, może chcą mieć ludzi, a zresztą słyszał pan co się działo w Odolanowie, każdy się boi.

- Ale dlaczego tak się cofamy?

- Nie wiem, może tu za duże siły uderzają w stosunku do nas. Zresztą tu będzie tylko obrona, nasze natarcie pójdzie na Prusy. Może chcemy wciągnąć Niemców w pułapkę, ale różnie o tym mówią - mówił szepetem. Słyszałem, że w dowództwie były awantury, podobno jakiegoś oficera skazano na rozstrzelanie. A w Kaliszu głośno się mówi o rozstrzelaniu za szpiegostwo Müllera, Milkego, Goedego i jeszcze jakiegoś szwaba. No, ale do rzeczy. Potrzeba wam czego?

- Papierosów przede wszystkim i chleba, na kuchnię i tak nie liczymy, sami sobie dajemy radę.

- Nie wiem, o ile uda mi się coś dostać, to wam przysię po południu. A jeszcze jedno - nasz zapasowy pułk pojechał do Kielc.

Wsiadł na rower i pojechał. O dziesiątej zmienił mnie Wojtczak. Teraz ja wziętem rower i pojechałem obejrzeć drogę odwrotu. Dojechałem do szosy i zatrzymałem się. Na polu płonęły stogi zboża i sterty siana, z dala widać było płonące stodoły. To nie były przypadkowe pożary lecz celowe podpalenia, aby Niemcom się nic nie dostało. Rozumiałem to, ale mimo wszystko zrobiło mi się żal, że tyle ludzkiej pracy idzie z dymem. Koło fabryki kazeiny jakieś krzyki. To właściciel sklepu żalił się przed żołnierzem na stojących obok niego dwu strasznie obrośniętych i brudnych włóczęgów. Musiałem wkroczyć do akcji.

- Proszę pana, ja jestem podoficerem legionowym, a tych dwu dra-

bów przyszło do mnie do sklepu i chce mnie obrabować. Ja mam drogerię, żeby tylko ubranie czy jedzenie, ale z mieszkania wyciągają, co im się podoba.

- A co mamy Niemcom zostawić, teraz wojna, to można brać. - odezwał się jeden z mężczyzn.

- Skąd jesteście, wasze papiery?

- Idziemy z więzienia, a panu co do nas, teraz są inne porządki. Wyższy, silny włóczęga zbliżył się do mnie na pół kroku i stanął obok mnie. Był wyższy ode mnie i patrzył na mnie groźnie. Prawą rękę włożył nagle do kieszeni jakby chciał coś z niej wyciągnąć.

- Idźcie w swoją drogę, bo was zamkną.

W tym momencie mężczyzna wykonał ruch, jakby chciał mnie uderzyć. Nie czekałem dłużej i grzmotnąłem go pistoletem w szczękę. Cios musiał być silny, bo zwałił się jak długi na ziemię dzielając tym samym los swego kompana, który leżał nieopodal powalony ciosem kolby karabinu. Mój przeciwnik zerwał się z nożem w rękę. Krew ściekała mu z rozciętej ciosem wargi. Spokojnie wycelowałem do niego z trzech kroków.

- Ręce do góry! - postuchał. Odrzucił nóż. Chcąc zrewidować go, podszedłem bliżej. W tej samej chwili drabisko opuściło ręce z zamiarem schwycenia mnie. Drugi cios kolbą służbowego Visa ostudził jego zapędy.

- Zaprowadźcie ich obu pod bagnetem do Szczypiorna - wydałem rozkaz żołnierzowi.

Poszkodowany cywil - legionista trzymał się cały czas z boku. Teraz podbiegł do mnie z prośbą o zapewnienie ochrony jego domu i sklepu. Nawet z nim nie dyskutowałem, wruszywszy tylko ramionami wsiałem na rower i pojechałem dalej. Od napotkanej grupy kolejarzy dowiedziałem się, że mają rozkaz wysadzenia dworca i przejazdu za strzelnicą.

- Ależ panowie, ja tamtędy mam się wycofać z działkiem. W ten sposób odetniecie mi drogę odwrotu.

- A co my panu możemy panu na to poradzić, taki mamy rozkaz.

Nie miałem chwili do stracenia. Wskoczyłem na rower i popędziłem do Godziewskiego.

- I ja panu też nic nie pomogę. Może uda się panu znaleźć jakąś władzę kolejową. Ale mam wiadomość, że nieprzyjaciół jest między Ostro-

wem a Czekanowem. Proszę uważać na tutejszych Niemców, bo oni coś knują. Pojechałem na dworzec, gdzie złapałem jakiegoś inżyniera i wyluszczyłem mu sprawę.

- Mamy rozkaz zniszczenia. Ostatni pociąg odchodzi teraz. Tor już zerwany za Skalmierzycami. Co do tego przejazdu to będę starał się rzecz pomyślnie dla pana załatwić. Wróciłem do działonu i natychmiast wysłałem Wojtczaka, żeby poszukał innej drogi, może przez zabudowania stacyjne, bo tam teren jest jeszcze równy. Na drodze żołnierze z plutonu strzeleckiego robili barykadę z drzew. Wróciłem na stanowisko i zarządziłem zbiórkę.

- Nieprzyjaciel spodziewany za parę godzin. Całość z bronią będzie czuwała na stanowisku.

Usiadłem na armatce. Z kieszeni wyjąłem listy, legitymację plutonowego-podchorążego, starą legitymację z kursu i wszystko to spaliłem. Zostawiłem sobie tylko fotografię domu. Wziąłem teraz blaszkę i gwoździem wyryłem swoje inicjały, adres rodziców i brata. Żołnierze poszli za moim przykładem i po chwili zapłonęło kilka małych ognisk. Patrzyłem w zamyszeniu na migające płomyki i myślałem o zbliżającym się wrogu. Według posiadanych przeze mnie wiadomości czoło kolumny niemieckiej jest zmotoryzowane, a więc prawdopodobnie czołgi, samochody pancerne. Godnie ich przywitamy. Z działka miał strzelać Wojtczak lub ja, Moczynos odpadał, bo miał słaby wzrok. Z jednej strony rwaliśmy się do walki, ale mimo to miny były niepewne, a twarze zamysłone.

- Żeby tak mieć radio, to można by posłuchać muzyki - powiedziałem.

- Panie podchorąży, ja to załatwię - powiedział Cimko.

- Niech pan go puści, on wszystko zrobi co mu pan podchorąży każe - powiedział Moczynos.

- Idź Cimko, postaraj się o patefon.

Wrócił Wojtczak, ale minę miał nie za tęgą. Zrozumiałem go bez słów - drogi odwrotu nie było. Tymczasem Juszczak przyniósł wspinały obiad, ale jakoś nikt się nie rzucił do talerzy. Choć jeść chciało się każdemu to jednak nikt jakoś o jedzeniu nie myślał. Zjawił się również Klimczak z rowerem obładowanym papierosami i słodyczami. O rower starałem się w dowództwie kompanii jeszcze w Gostycynie, ale jakoś nic

z tego nie wyszło. I teraz niespodziewanie miałem stać się posiadaczem tego wielce użytecznego wynalazku. Nadszedł i Cimko taszcząc z sobą gramofon i beczkę wina na dodatek. Do tej pory nie pozwalałem im pić, ale w tej sytuacji... Uruchomiliśmy gramofon i od razu stało się weselej. Płynęły polki i mazurki. Przyczyniło się do tego również wino mające szatańską iście moc. Podejrzywałem nawet, że Cimko dodał do niego spirytusu i chciałem ograniczyć ilość wypijanych szklanek, ale żołnierze – rozumiejąc chyba powagę sytuacji – poprzestali na jednej szklance. W pewnej chwili z tuby gramofonowej popłynęła melodia Mazurka Dąbrowskiego. Wstaliśmy, zrobiło się cicho i podniosło. W oczach zakręciły się łzy. Z sąsiednich domów przyszedli słuchać żołnierze z innych plutonów. Puściłem więc parę płyt ukraińskich. Bardzo lubiłem ten śpiew i te melodie. Moczynos, który od dłuższego czasu badawczo się mi przyglądał, zdobył się wreszcie na odwagę i zagadnął.

– Pan podchorąży lubi nasze pieśni, są bardzo ładne, ja wiem, ale sporo też jest ładnych śpiewek polskich. Ale ja tak myślę, że pan podchorąży jest „nasz.”

– Ja też tak myślę, panie podchorąży – dodał Bazyl.

Tymczasem nasza sytuacja zmieniała się jak w kalejdoskopie. Przyjechał Borowiak z rozkazem majora o zmianie stanowiska, który wykonałem natychmiast. Po pięciu minutach maszerowałem już drogą, Borowiak został z tyłu. Znowu kopanie stanowiska, a nieprzyjaciel blisko. Zatrzymaliśmy się koło kościoła, armatkę zatoczono na szlajach w ogrodzenie kościoła. Teren przylegający był dość duży, mniej więcej 50 na 100 m, ogrodzony siatką drucianą. Poszedłem w róg ogrodu i wybrałem stanowisko naturalnie zamaskowane przez gęste maliny. Ustawiliśmy tu działko, lufę skierowałem wprost na szosę, na której w każdej chwili mogła się pojawić niemiecka kolumna. Nadjechał Borowiak z Godziewskim, który pozytywnie ocenił mój wybór. Po ich odjeździe poszedłem do Sobocińskiego. Stał w podwórzu domu Pussaka, domu w którym mieszkał mój kolega z ZHP i podchorążówki. Weszliśmy na podwórze, na którym spotkaliśmy jego dziadka. Od razu wyczułem niechęć starego do nas. Coś kręcił, nie chciał nas przenocować, tłumacząc się brakiem miejsca. Wyszła jego żona i zaproponowała nam klucz do opuszczonego przez Niemców domu. W tej chwili na podwórzu pojawił się miesz-

kający tu szewc i ten polecił nam nocleg. Obiecywał nawet zakrapiany poczęstunek. Ta jego usłużność i uniżoność wobec nas wzbudziła me podejrzenia. Przypomniały mi się ostrzeżenia Godziewskiego, nie dałem jednak tego poznać po sobie i razem z nim wszedłem na drugie piętro. To co zobaczyłem upewniło mnie, że chyba mam rację i me podejrzenia nie są pozbawione podstaw. Przeszliśmy przez zarzucony stosami niemieckich gazet pokoik do ślepego pomieszczenia, które miałoby służyć mi za miejsce noclegu. Zgodziłem się i obiecałem przyjść wieczorem.

- Tylko proszę przyjść samemu, ja pana obsłużę - powiedział na pożegnanie szewc.

Gdybym miał jakieś wątpliwości, to ostatnie zdanie szewca przekonało mnie, że miał wobec mnie nieczne zamiary. Skierowałem się do owego niemieckiego domu. Był to stary budynek pamiętający jeszcze niemiecki zabór. Tu już moi żołnierze znieśli sobie słomę na noc. Zobaczywszy, że wszystko jest w porządku wziętem rower i pojechałem na stanowisko. Przy okazji postanowiłem wytyczyć drogę ewentualnego odwrotu. Gdy tak jechałem krętymi uliczkami poczułem nagle swąd dymu. Za przejazdem kolejowym uliczka się kończyła wychodząc w szczerze pole. Po prawej stronie dostrzegłem płomienie i unoszące się kłęby czarnego, gryzącego dymu. To paliły się warte parę milionów złotych maszyny drzewne. Zsiadłem z roweru. Na mostku nad przejazdem stał wartownik. Okazało się, że był to jeden z pionierów, którym zlecono wysadzenie mostku, pod którym właśnie rozmawialiśmy. Odkrycie to pomogło mi zrozumieć, że nie ma nadziei na ocalenie. Lepiej bić się na stanowisku i liczyć na odrzucenie nieprzyjaciela, może wtedy? Pożegnałem pioniera, wsiadłem na rower i wyjechałem na szosę. Na szosie kręciło się pocztowe przysposobienie wojskowe. Ich zadaniem było przerwanie połączenia z Kaliszem. Na podwórzu jednego z domów napotkałem żołnierzy PAC-u*. Szli od Ostrowa. Potwierdzili wiadomość o wycofywaniu się 60-ego pułku. Dali mi grochówki, a na pożegnanie kawy i pocztowej czekolady. Po drodze spotkałem jakiegoś zagubionego kaprała poszukującego swej 9 kompanii z 60 pułku. Widać, że nie było wesoło.

* Pułk artylerii ciężkiej.

Wspomniany pułk cofał się w wielkim bałaganie, nie podejmując nawet prób walki z Niemcami. Pogubiono tabory, kompanie, baony, które teraz nie wiedziały co ze sobą zrobić. Ponoć w Ostrowie zbuntował się jakiś podchorąży i został z małą grupką bronić miasta. Czym to się skończyło nietrudno było się domyśleć. Ale czy to prawda, czy tylko plotka, tego ocenić nie potrafiłem. Wróciłem do działonu, wydałem rozkazy na noc i poinformowałem żołnierzy, że Niemcy znajdują się w odległym od nas zaledwie o siedem kilometrów Czekanowie. Potem pojechałem do Godziewskiego i razem z nim udałem się na pocztę obsadzoną już przez wojsko. Tam o 20¹⁰ zatelefonował major Szczygieł, któremu Godziewski złożył meldunek. Major rozkazał nam bronić się do ostatka.

- Jak pan widzi, miły kolego, nasz odwrót to lipa. Życzę panu powodzenia w walce z czołgami.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Wróciłem do działonu i rozpocząłem czuwanie. Chłód był nieprzyjemny, więc włożyliśmy płaszcze. Zezwoliłem na małą rozgrzewkę winem. Wróciłem do armaty. Miałem służbę z Moczynosem, Klimczakiem i Ziółkowskim. Usiadłem na siedzeniu celowniczym. Moczynos jako ładowniczy, Klimczak z Ziółkowskim uważali na przedpole i na rakietę.

- Panie podchorąży - odezwał się Moczynos - jak pana nie było Dubas przyniósł chleb, a to dał dla pana, sam zafasował - pudełko „Heli”. To dobry chłopak, on pana lubi.

- Bardzo mi jest miło, że mnie lubicie. W tych trudnych czasach jesteśmy jak jedna rodzina. Ja mam i tak lepiej od was, jestem stąd, z Wielkopolski, do domu mam blisko, nie to co wy mieszkańcy kresów Polski. A powiedz mi Bazyli, czy ty tęsknisz za domem, przecież możemy żywić z tej wojny nie wrócić?

- Ta mnie życia tak nie żał, co swoich i tej chaty. A najwięcej to żał mi tamtych stron, tam jest pięknie, panie podchorąży. Tam jest inaczej, bardzo chciałbym tam być. Tu też jest ładnie, nie powiem, ale tu inni ludzie, oni mówią na nas „chazaje”. U nas jak przyjdzie wieczór, to my zaczniemy śpiewać nasze pieśni, polskie też są ładne, ale nasze są inne, serce się do nich rwie, dusza leci. Ja tylko raz był w służbę w domu, na Boże Narodzenie. Ot daleka droga do mnie i dużo kosztuje. Ale ja pamiętam tamte dni. Chciałbym też znaleźć tu na wojnie jednego człowieka. Jak ja

wrocil do pulku, to za mną meldunek, że ja na Lachow w swojej wsi źle mowil. Oj, żeby ja go złapał, dałbym ja mu!

- No i co z tym meldunkiem było? - zapytałem.

- A to mnie prowadzali i prowadzali, ale ja do niczego nie przyznał się i tak było dobrze. A ot poradził mi tak kapral Socha, pan nie wie, ale on też jest nasz i on mnie pomógł. Józek Socha był moim instruktorem na kursie ppanc., pochodził z Chełmszczyzny. Miał parę klas za sobą i chciał robić maturę wojskową.

Zrobiło się chłodniej. Wstałem, przechyliłem butlę wina, piłem, reszta nie chciała. Zresztą nie namawiałem, dosyć mieli, byli weseli, a o to chodziło w tym oczekiwaniu, może ostatnim w życiu. Zadudniła szosa, Klimczak padł plackiem na ziemię, słuchał. Rzuciłem się do armatki, trzymałem za przyrządy kierunkowe i za spust. Bazyli wyszeptał - czołgi. Oswietliłem podziałkę i również spojrzałem na szosę, nic nie widac. Strzelać czy nie? Pomogło ucho, to cofała się nasza artyleria. Potem szła piechota. Widocznie 60-ty się cofa pod osłoną nocy. Po chwili z szosy doleciał na krotko tętent koni. Domysliłem się, że to były raczej zwiady konne niż jakies większe oddziały. Niemcy są więc już niedaleko. Jeszcze godzina, dwie i znajdziemy się w ogniu walki. Spojrzałem na zegarek, dochodziła 11-ta.

Napięcie oczekiwania przerwały czyjeś szybkie kroki.

- Gdzie dowódca ppanc?

- Co się stało?

- Natychmiast opuścić stanowisko, cofamy się! Proszę się tylko pośpieszyc, bo jest pan już spóźniony. Zaraz wymarsz.

Odwrót

Jeszcze nie ochłonałem, ale nie było czasu na roztrząsanie rozkazów. Biegiem wpadłem do altanki, aby pobudzić śpiących. Nie patrzyłem na zegarek, ale cała akcja trwała zaledwie kilka minut. Po chwili działon z armatką na przodzie stał gotów do wymarszu. Skierowałem oddział w kierunku zboru ewangelickiego, przy którym zatrzymaliśmy się. Przyszedł Godziewski z rozkazem majora o wycofaniu się w kierunku Szczy-piorna. Mieliśmy iść na końcu jako osłona odwrotu. Niemcy byli już za Skalmierzycami Starymi, więc trzeba będzie bardzo uważac. Tym razem działko jechało na ostatku o jakies 30 kroków za plutonem.

A więc jeszcze nie tu, na razie wykpiłiśmy się śmierci. Mimo nocy było bardzo jasno. Płonął w dalszym ciągu magazyn drzewny, na polach zaś stogi zboża i stodoły pełne zbiorów. W świetle ognia zobaczyłem, że most nad przejazdem jest zerwany. Skalmierzyce spały, zdaje się, że nikt nie zauważył naszego odejścia. Po obu stronach szosy biegali pocztowcy z piłami i podcinali słupy telefoniczne, a nożycami przecinali druty. Dochodziliśmy do pomnika. Do tej pory przejście na szosie między palami nie było zatarasowane. Z daleka dojrzałem koło koszar duży ruch na szosie, oddziały wojska, wozy taborowe, biedki ckm'ów, łączności, taczanki i armatki.

- Stop! - zatrzymał mnie Borowiak - jest pan nareszcie. Widzi pan odwrót, wczoraj Ostrów, dzisiaj my.

- No dobrze, ale do cholery musi być jakiś powód - rzuciłem już zdenerwowany.

- Niech pan ciszej mówi, nie można o tym głośno mówić.

- Więc gdzie idziemy?

- Nie wiem - wzruszył ramionami.

- Nie chcę powiedzieć czegoś przykrego, ale to jest wyraźna z...

- Niech pan nie kończy - powiedział Borowiak - to samo myślimy.

Na razie staliśmy w bezruchu. Przeszedł koło mnie podchorąży Jan-czewski. Od niego dowiedziałem się, że Kalisz był już ewakuowany.

- Nie wiem gdzie się moi rodzice udali, a tak ich zapewniałem, że Kalisza nie oddamy - powiedział na odchodnym.

- Panie poruczniku - zwróciłem się do Borowiaka - to i Kalisz ewakuowany?

- Tak, ciekaw jestem co z moją żoną, myślę, że nie będzie daleko uciekać, zostanie gdzieś na wsi.

- Aleśmy ładną niespodziankę zrobili Kaliszowi. Tak liczyli na nas, a tu patrz - nie tylko, że Niemców nie bijemy, ale bez boju uciekamy od granic - mówiłem do porucznika. Na co tyle kopania na Kościelnej Wsi, na co te wszystkie schrony, pieniądze, na co nasza praca i pot - na to, żeby wiać teraz gdzie pieprz rośnie. Gdzie byśmy mogli się lepiej bić niż tu, broniąc naszego Kalisza.

Podobne odczucia mieli także żołnierze, a najzwzięlejszy to wyraził Cimko.

- Oj coś mi się widzi panie podchorąży, że my nie będziemy w Berlinie w cztery dni. Już z Kalisza wiejemy, a ja jeszcze nie strzelił. A ot i Siarkiewicz miał rację. Na wojnie nie strzela, to sobie przedtem wystrzelił.

Nadjechał major Szczygieł i nakazał natychmiastowy odjazd.

- Na armatki! - krzyknął Borowiak. Kłusem marsz!

Rozkaz nie był łatwym do wykonania cała szosa była bowiem zawałona wojskiem. Maszerowała piechota, toczyły się dudniąc niemiłosiernie armaty, jechały wozy taborowe, kłusowała kawaleria. Wreszcie po pół godzinnym pościgu zrównaliśmy się z taborami I baonu. W końcu zajęliśmy swoje miejsce między 1-szą a 2-ą kompanią. W milczeniu doszliśmy do młyna Reicha. Kalisz spał, tylko gdzieś gdzieś przemknął pod murem spóźniony przechodzień. Szliśmy Górnośląską. Wszedłem na chodnik, aby przeczytać przyklepione na murze obwieszczenie o rozstrzelaniu szpiegów: Milkego i jeszcze kogoś. Przeszliśmy przez Piłsudskiego, Aleję Aleksandry, przez most i wkroczyliśmy na Mariańską. Z restauracji wybiega jakaś kobieta, rozdając żołnierzom piwo i papierosy. Szedłem zamysłony. Opuszczam Kalisz po raz drugi. To miasto bez jednego wystrzału zajmą Niemcy, ale może to pozwoli uniknąć zniszczenia, takiego jak w 1914 roku. Mimo to trudno mi było oswoić się z myślą, że nie będę bronił Kalisza. Liczyłem się nawet z tym, że mogę tu zginąć. Zaciśnąłem zęby. Wychodziliśmy z Mariańskiej na plac Św. Józefa cały zawałony uciekinierami z okolicznych wsi. Ludzie bezradnie tłoczyli się wśród wozów i bydła. Wreszcie zbliżyliśmy się do mostu* przed którym ciągnął się sznur chłopskich furmanek. Tabliczki wskazywały, że to przybysze z okolicznych miejscowości: Odolanowa, Krotoszyna, Ostrowa, ale także i miejscowi z Kalisza. Czekali tu, aż przejdzie wojsko. Patrząc na nich zastanawiałem się, dokąd oni pójda i po co? Przecież nie będzie tu walk, bo nasze oddziały ustępowały bez boju. Po co więc ta ewakuacja? Ale z drugiej strony rozumiałem ich strach przed Niemcami. Wielu z nich zapewne pamiętało sierpień czternastego roku. Borowiak odszedł na chwilę porozmawiać z porucznikiem Nawrockim, adiutantem majora Szczy-

* Nieistniejący już dzisiaj most na kanale „Babinki” przy placu Kilińskiego, na miejscu którego obecnie są planty.

gła. Wrócił z wiadomością, że nasze odejście jest chwilowe, wrócimy tu bowiem najdalej za 2 dni i wtedy damy Niemcom łupnia.

- I pan w to wierzy, poruczniku? - zapytałem. Nie odpowiedział.

- Panie podchorąży - odezwał się po chwili - o ile pojedziemy na Turek lub na Łódź, to ja wpadnę po drodze do żony, a pan mnie zastąpi.

Wreszcie ruszamy. Kierujemy się na most koło Bernardynów, aby obejść wysadzony sporo za wcześnie most koło więzienia i skręcamy na Turek.

- Panie podchorąży idziemy w nasze strony - mówi do mnie Wojtczak. Ja mieszkam w Bibiannej i ... urwał tak nagle jak zaczął. Moje strony... pomyślałem, niby te same, a jednak inne.

Ludzie byli już zmęczeni. Nasz działonowy rower zaczął służyć. Chłopaki się nim wymieniają. Inni próbują siadać na siodełkach armatki, co jest zabronione, ale w warunkach wojny udaję, że tego nie widzę. Mija nas łączność. Dziedziec mnie poznaje, zbliża się i pyta szeptem.

- Co to jest? Czy to nie zdrada? Tyłu szwabów mamy w wojsku, niemieckie nazwiska u oficerów...

- Nie rozumiem tego - odpowiedziałem. Dogonił nas Borowiak.

- No i co poruczniku?

- Żona wyjechała na wieś pod Kalisz, a myślałem, że nie zdąży. Dowiedziałem się ważnych rzeczy. Niemcy obeszl nas z prawej strony od Błaszek. Na Ostrów pełnęli słabszą kolumnę, maskującą właściwe ruchy. Bokiem rzucili całą siłę. Chcieli nas okrążyć i dlatego wycofujemy się z Kalisza. Teraz idziemy za Wartę, tam są stanowiska betonowe jak w Kaliszu i tam będziemy się bronić.

- Niech się panowie obejrzą - dobiegł mnie z tyłu głos Wojtczaka. Niebo nad miastem rozświetlone było luną pożarów. Widać wycofujące się oddziały podpaliły jakieś magazyny, by nie dostały się w ręce niemieckie.

- Wie pan co mi w tej chwili przychodzi na myśl - rzucił Borowiak. To tylko zbieżność dat, ale jakże znamienne. Oto 1 sierpnia 1914 roku wojna światowa, 1 września wybuch tej wojny, akurat w ćwierć wieku później. 4 sierpnia zajęcie Kalisza przez Niemców w tamtej wojnie i oto dziś 4 września historia się powtarza. Nie odezwałem się. Luna nad Kaliszem z każdą chwilą potężniała.

Kalisz, piękny, kochany Kalisz. Miasto z którym wiązało mnie tyle cudownych chwil – płonęło. Razem z nim w płomieniach ginęła moja beztroska młodość. Wiedziałem, że jeśli jeszcze kiedyś zawitam do Kalisza, to nie będzie już to samo miasto. Ale, czy go w ogóle kiedykolwiek zobaczę?

Po chłodnej nocy wstał piękny, słoneczny dzień. Zrobiło się wręcz gorąco. Zdjąłem furazerkę i dostrzegłem, że skrzydło orzełka odłamało się. Czyżby znak?... Marsz stawał się uciążliwy. Kolumna rozciągała się i trzeba było szybko doganiać resztę. To było najbardziej męczące. Armatka już była oblepiona, siedziało na niej po dwu, po trzech i odpoczywało. Teraz jechał na niej Borowiak. Głód zaczął też znać o sobie. Stasiek Sobociński ukrajał pajdę chleba, zanurzył ją w naszej beczulce miodu i podał mnie. Szedłem i jadłem starając się zręcznie schwycić ustami spływający z chleba miód. Cały działon za moim przykładem zabrał się do śniadania.

Mijała nas teraz z hukiem artyleria. W ogóle coś to mijanie mi się nie podobało, bo powodowało okropny bałagan. Co raz to inny oddział nas wyprzedzał, to my kogoś i tak w kołko. W krótkim czasie i my padliśmy ofiarą tego bałaganu, zobaczyłem bowiem, że posuwamy się za jakimś nieznanym batalionem. Stało się jasne, że zgubiliśmy się. Ulokowaliśmy się więc na armatkach i jazda. W czasie tego pościgu dogoniły nas taczanki III batalionu. Poznałem Bogdanowicza i Sikorskiego, moich kolegów z kursu. Pierwszy, Adam, był prymusem w plutonie karabinów maszynowych. Okazało, że oni podobnie jak i my zgubili się. Wreszcie nasza kompania. Rozejrzałem się dokoła, dotarliśmy do toru kolejki wąskotorowej Opatówek – Zbiersk. Nagle z daleka doleciał nas huk motorów. Czyżby niemieckie maszyny? Przygłopotował Hyla na koniu.

- Oddziały w bok z szosy, taczanki do opl, por. Baumert prowadzi plutonem km obronę przeciwlotniczą kolumny marszowej.

Szybko zjechaliśmy z armatkami na łąkę, kolumna rozbiegła się. Ale alarm był fałszywy, maszyny przeszły wysoko i daleko. Z powrotem wjechaliśmy na szosę i pomaszzerowaliśmy dalej. Dojechał do nas podpułkownik Gryl samochodem, zatrzymał się i wysiadł.

- Co tu za bałagan? Majorze, zatrzymać kolumnę, zejść w prawo w las.

Był zdenerwowany. Wspólnie z majorem Szczygłem zaprowadzili porządek wśród oddziałów. Był przy tym wściekły i kto mu się nawinął po rękę, dostawał za swoje i cudze winy. Jednak oprócz nas szosą ciągnęli cywilni uciekinierzy. Ich wozy mieszały się z naszymi, co nie tylko utrudniało marsz w jakim takim porządku, ale doprowadzało do kłótni między woźnicami, którzy nie chcieli sobie wzajemnie ustępować. Widać było gołym okiem, że ewakuacja była nieorganizowana i chaotyczna i wyglądała prędzej na ucieczkę niż zorganizowaną akcję. Strach pomyśleć co by się stało, gdyby dogoniła nas jakaś jednostka nieprzyjaciela.

Mijamy Kamień oddalony o jakieś 12 kilometrów od Kalisza. Dęczy mnie pragnienie. Woła mnie kapral Nowak z II baonu. Idę do nich, dają mi wina. Słońce piecze niemiłosiernie. Podjeżdża do mnie Klimczak z propozycją jazdy rowerem. Wsiadam i jadę. Ale nie jest mi pisana długa jazda, bo po ujechaniu około dwu kilometrów zatrzymujemy się na odpoczynek. Klek objeżdża kolumnę. Konie prowadzone są do pobliskich zabudowań, gdzie zajmują się nimi woźnice. Od Baumerta dostają papierosy, którymi natychmiast dzielę się z Borowiakiem i resztą żołnierzy. Przerwa nie trwa długo, znów jesteśmy na szosie. Męczy mnie nadal pragnienie, choć na postoju wypilem masę wody. Pocieszam się, że zbliżamy się do Cekowa i może tam uda mi się kupić lemoniady. Ceków niedaleko – to będzie połowa drogi do Turku. Tu też odpoczywają uciekinierzy. To nieprzeliczone mrowie ludzi, zwierząt i wozów. Stoją na szosie w upale i unoszącym się kurzu. Wraca Klimczak wysłany po coś do picia. Nie jest to upragniona lemoniada, lecz butelka wstrętnego, rodzynkowego wina. Mimo to piję, bo nie mam wyjścia. Wchodzimy do Cekowa. Przy wejściu uwijają się żandarmi, między nimi „Turek” – Zdzisław Sikorski, dawny kolega szkolny.

– Cześć! Jak się masz? Nie wiesz co słyhać w Turku? – pytam.

– Nie wiem, przybyłem tu z Kalisza.

Niestety sytuacja nie pozwala na dłuższe pogawędki, krótki uścisk dłoni na pożegnanie i idziemy dalej. Wyszliśmy ze wsi. Przed nami po obu stronach szosy ciągną się lasy. Panuje tu przyjemny chłód, więc idzie się o wiele łatwiej. Jesteśmy już o 23 km od Kalisza. W oddali szosa skręca łukiem w prawo, mijamy tabliczkę z napisem Pawłówek. Niedługo dojeżdżemy do granicy powiatu. Zatrzymujemy się na postój niedaleko bia-

łego domku dróżnika. W okolicznych lasach pełno wojska. Porucznik Borowiak otrzymuje rozkaz przygotowanie obrony przeciwzwołgowej. Ponoć nadejście nieprzyjaciela jest wysoce prawdopodobne. Ustawiam armatkę, lufą w kierunku skąd przyszliśmy. Daje się wyczuć wyraźny nastrój podenerwowania wśród żołnierzy. Borowiak ustawił swój działon na zakręcie szosy na podwórzu dróżnika. Sprawdzam nastawy celownika. Wszystko w porządku, pozostaje tylko czekać.

A pan skąd się tu znalazł? – pytam zdziwionym głosem kaprała Rybczyńskiego, który wyrósł koło mnie dosłownie jak spod ziemi.

– Jestem teraz podoficerem kuchennym kompanii ppanc. – melduje z dumą w głosie. Dzisiaj dostanie pan z ze swoim działonem obiad z naszej kuchni.

Rybczyński jest kapralem służby czynnej, przy mnie dostał drugą belkę, jeszcze jako starszy strzelec uczył mnie starszego strzelca z cenzusem o zamku armatki, był kompanijnym fryzjerem i mistrzem ping-ponga. Dowiaduję się od niego, że kapitan Wultański jest tu w lesie przy dowództwie pułku.

Mimo cienia drzew, upał daje się we znaki. Usiadłem na skrzynce z amunicją, oczy mi się kleją. Część moich żołnierzy śpi. Chcę iść za ich przykładem, ale przerywa mi Klimczak.

– Panie podchorąży, żeby mnie pan puścił, to bym przyprowadził drugi rower.

– W jaki sposób?

– A prosto, z rekwizycji.

– Człowieku, cóż będziemy ludzi z rowerów ograbiać, przydadzą się im w ucieczce.

– Tak, tylko, że to jest panie podchorąży inaczej – tu mieszkają kasztany.

– Jak tak, to idź.

Nałożył bagnet na broń i poszedł. Głowa sama opada na piersi a oczy zamykają się. Ostatkiem sił przemogłem się i poszedłem obmyć się pod studnię. Korzystam z okazji, zdejmuję buty i moczę nogi. Czuję ogromną ulgę, bowiem butów nie zdejmowałem od Skalmierzyc. Przytykam oczy, ale sen nie jest mi dany. Spod przymkniętych powiek widzę prowadzącego dwa rowery Klimczaka.

- Dali łatwo? - pytam.

- Jeszcze i trzeci by dali - odpowiada. Ale żeby pan podchorąży widział jak działon się ucieszył. Niedługo i nasza obsługa będzie zmotoryzowana.

Szosa ciągnie jakiś oddział, widać armatki. Poznają, to drugi pluton. Wychodzę na szosę i witam się z Janiakiem. Władek Dux na bosaka i bez oporządzenia siedzi na przodku. Jest bardzo blady.

- Co się stało? - pytam Janiaka.

Historia, którą usłyszałem wskazywała jak mieszkająca w Polsce ludność niemiecka nas nienawdziła i w obliczu klęski gotowa była się posunąć nawet do zbrodni. Władek wracając z rozkazami do plutonu zobaczył płonąca garbarnię i przyglądający się temu tłum ludzi. Nie namyślając się rzucił się do ratowania, rozkazując jednocześnie gapiom na półście za jego przykładem. Ci jednak nie ruszyli się, a kiedy z wiaderkiem skoczył do rzeki, wepchnęli go do wody. Byłby się biedak niechybnie utopił, gdyby nie interwencja wysłanych w jego poszukiwaniu żołnierzy. Spojrzałem na Władka. Leżał blady na przodku, ale się uśmiechał. Wmieszał się niepotrzebnie, ale taki już był, po prostu dzielny chłopak.

Janiak udał się do dowódcy kompanii, zostawiając mi swój pluton. Skoncentrowałem w rejonie zabudowań wszystkie trzy działony. Czołgi nie miały tu żadnych szans. Tymczasem nadciągnęła z Kamienia I kompania Woldańskiego. Rozmawiałem z Rabczyńskim. Groził mu sąd polowy za niewykonanie rozkazu. Żał mu było i nie podpalił stodoły czy stert.

Byłem mocno zmęczony. Kazałem się Wojtczakowi obudzić za godzinę i poszedłem się zdrzemnąć. Po trzeciej byłem już na nogach. Poszedłem na stanowisko armatki. Na szosie panował ożywiony ruch. Właśnie pędzono krowy, gdy dał się słyszeć warkot nadlatujących samolotów. Trzy samoloty szły bardzo nisko, jakieś 10 do 20 metrów nad ziemią. Odezwał się jazgot ckm'ów i pojedyncze wystrzały. Wtem obok naszej armatki zaświsłały kule. Obsługa rzuciła się pod ścianę stodoły.

Maszyny przeleciały nad nami, jedna chwiała się.

- Tchorze chodźcie tu natychmiast. - Wracają powoli, tacy jacyś zawstydzeni swym zachowaniem. Rozglądają się dokoła.

- Panie podchorąży - mówi Wojtczak - niech pan spojrzy. O trzy kroki ode mnie leży bomba-myszka. Robi mi się gorąco.

W tej chwili znów huk przeraźliwy, idą samoloty, znowu z tej samej strony. W jednej chwili ludzie rozbiegają się. Każdy szuka miejsca, w którym mógłby się schować. Oszalałe z przerażenia konie rzucają się w popłochu przed siebie, tratując wszystko na swej drodze. Pod koła kuchni polowej dostają się nasze rowery. Gdy mija pierwsze zaskoczenie i strach, odzywają się znów karabiny. Chwytam karabin i leżąc na plecach strzelam razem z innymi. Obok mnie jęczy jakiś cywil, kula rozharatała mu twarz. Wstaję. Wszyscy są bladzi. Uświadamiam sobie, że śmierć dosłownie się o nas otarła. Żal trochę rowerów, ale cóż one znaczą w porównaniu z ludzkim życiem. Rozglądam się. Konie z przodkami stoją teraz nieopodal na łące i skubią trawę. Słyszę podniecone głosy – tam spadł samolot! Po chwili dwóch jeźdźców galopuje w stronę, skąd widać unoszące się kłęby czarnego dymu. Zewsząd dochodzą jęki rannych. Biegnie jakiś żołnierz – Zabiło porucznika!, Zabiło porucznika! woła z obłądem w oczach. – Jakiego porucznika? – Budzyńskiego. Obchodzę działka. No już spokój, chłopcy, już przeszły, więcej nie przyjdą.

Tymczasem kapral Jędrasiak wskazuje mi na leżące na polu zwłoki pioniera. Leży tam taki bezbronny, z wyschłą woskową twarzą, podkurczonymi nogami i wielką krwawiącą wciąż raną w sercu. Ten widok głębokoboko zapada w mej pamięci. To pierwszy trup jakiego widzę w tej wojnie. Ilu mi jeszcze przyjdzie ujrzeć – myślę. Niestety na odpowiedź nie muszę długo czekać. Idąc dalej natykam się na kolejną ofiarę nalotu – młodego Ozeta z rozszarpaną twarzą. Wracam. Jędrasiak melduje, że w jego działonie jest ranny woźnica i koń. Zewsząd słychać wołanie o pomoc. Przy drodze leży z urwaną nogą gospodarz pobliskiego gospodarstwa. Wołam sanitariuszy, nikt nie odpowiada na moje wołanie. Jestem bezsilny. Zjawia się Rybczyński z wiadomością o obiedzie, ale nikt z mojego działonu nie wstaje.

– Chleb dają – mówi Janek. Rybkę. Poszedł. Jeść się odechciało. Wstałem i poszedłem do budynku, gdzie dyskutowała żywo grupka żołnierzy.

– No tośmy dostali – mówi jeden.

– Wszystko przez tych cywilów – dodaje drugi. Kto to cholera wymyślił, żeby z nimi razem maszerować. Wojsko przyszło, ukryło się, a tu cywile idą i idą. Oni nas zdradzili. U nas bez walki trzy trupy.

Tymczasem na szosie znowu zrobił się ruch. Właśnie z turkotem przejeżdżał wóz, a obok niego idący Żydzi.

- Panie wojskowy, co robić, co robić? - czepia się mnie jakiś stary Żyd. - Zjedźcie z szosy w las, a jak samolot leci, to kłaść się na ziemię. Obstało mnie więcej uciekinierów. Jakaś kobieta płacząc wzywa Boga. Udzielam wszystkim zbawiennych rad, ale wiem, że na wiele się one nie zdadzą. Korci mnie, aby zapytać się ich, po co uciekali, na co liczą. Czy chcą, by znów ich spotkała śmierć na szosie. Przychodzi Janiak.

- Aleśmy dostali panie podchorąży, ale Niemcy też oberwali. Siedem maszyn strąconych w rejonie Morawin-Ceków-Prażuchy. Przyszli wreszcie sanitariusze, opatrują rannych, zbierają trupy i kopią wspólny grób. Jest między łapiduchami sierżant Zakrzewski, szef izby chorych ze Szczypiorna. Nadciąga od Kalisza jakiś oddział. Konie ciągną samolot, ale polski, zestrzelono go przez pomyłkę. Lotnicy idą szosą, jeden z obwiązaną głową, drugi ręką. Wracam do działonu, tam odnajduje mnie Rybczyński z poleceniem natychmiastowego stawienia się u kapitana. Wultańskiego. Otrzymuję polecenia zebrania wszystkich plutonów i dalszego marszu z I batalionem przy III kompanii. Dołącza ze swym działkiem Borowiak. Oba nasze plutony zgromadziły się na dukcie razem z oddziałami I batalionu. Ppor. Józek Górski, Godziewski, Janiak, Janczewski, Borowiak i ja usiedliśmy pod drzewem.

- Jestem niespokojny o swoją narzeczoną - odzywa się Górski - mieszka poza Kaliszem na Zawodziu. Nie wiem, czy dowiedziała się na czas o ewakuacji, byle nie wpadła w ręce Niemców. Rodzice zdążyli wyjechać.

Ściemniło się. Ruszamy. Armatki pierwszego plutonu zamykają kolumnę. Idziemy w stronę szosy. Od Górskiego dowiedziałem się, że kierujemy się na Grabiniec pod Turkiem. Wychodzące na szosę wozy taborowe grzęzną w piachu tarasując drogę. W rezultacie musimy gonić kolumnę. Jest coś po siódmej i zaczyna dokucać głód. Idę razem z Borowiakiem.

- Teraz na pana kolej - mówi - może będzie miał pan możliwość odwiedzenia domu. Rzeczywiście będzie okazja. Nie wiedziałem wprawdzie czy ich zastaną, ale można spróbować.

Mijamy Malanów, jeszcze 10 km czyli około 3 godzin marszu. Zatrzymujemy się na odpoczynek. Siedzę nad rowem, z daleka widać

łuny pożarów. Ogarnia mnie senność. Nagle czuję, że ktoś mnie trąca, zdrzemnąłem się i o mało byłbym został. Noce są chłodne, włożyłem więc płaszcz i maszeruję przy działku, które służy teraz za środek transportu. Na zmianę siedzi teraz na nim oprócz woźnicy, po trzech żołnierzy.

- Panie podchorąży - dochodzi do mnie głos Borowiaka - ja pójde się przespać na wóz plutonowy, a pan mnie zastąpi. Później się zmienimy.

Wóz plutonowy jedzie teraz przed nami, a na nim już paru żołnierzy. Stale teraz ktoś narzeka na nogi. Ja dotąd wytrzymuję, choć mam lekko otarte stopy. Jedyna rada w takim wypadku to myśleć o czym innym. Jesteśmy już 4 km za Malanowem, niedługo Cisew, Tolusz, Muchlin i Turek. Chyba przejdziemy przez miasto, ale nie będzie to, jak marzyłem kiedyś, defilada. Jest wojna, a my mamy już za sobą chrzest bojowy i pierwszych poległych. Przyjechał na rowerze Stefek Janicki i przywiózł wieści z Turku. W mieście jest już masa wojska. Stacjonuje tam także dowódca dywizji generał Alter wraz ze swym sztabem. W szpitalu są już pierwsi ranni. Mimo to trwa ewakuacja, a ludność cywilna kieruje się na Koło-Uniejów-Konin. Panuje straszny bałagan, a do tego zaczyna brakować żywności. W mieście koczują gdzie popadnie setki, jeśli nie tysiące uchodźców z Ostrowa, Odolanowa, Krotoszyna, Błaszek, Leszna, Rawicza, Kalisza. Na domiar wszystkiego zgłasza się dużo ochotników, nawet powołanych rezerwistów, ale już się nikogo nie przyjmuje bo nie ma broni ani mundurów. Poza tym zwożony jest autami drut, bo podobno tu ma przebiegać linia obrony.

Dochodzi dziewiąta. Borowiak obudził się, umył i kazał mi iść się przespać. Czynię to skwapliwie, bo zaczynam odczuwać skutki marszu i brak snu. Właśnie zwalnia się miejsce na armatce, układam się na niej co wymaga nie lada pomysłowości i w takt stuku końskich kopyt - zasypiam.

Obudziłem się właściwie sam. Armatka podskakiwała na polnej drodze wiodącej koło świeżo zaoranego pola. Patrzę na zegarek, już dwunasta. Zaczyna się 5-wrzesnia.

- Skręciliśmy przed Cisewem na drogę boczną, do szosy Turek-Rychwał i idziemy na Słodków - informuje mnie Wojtczak.

- Teraz będzie Bibianna. Pan porucznik pozwolił mi skoczyć na chwilę do domu - mówi dalej Wojtczak.

Dopiero teraz dociera do mnie, że plany spełzły na niczym. Turek omijamy, ale i tak się cieszę, że jestem w swoich stronach. Z daleka ukazują się kontury chałup, głowy ludzkie. Wojtczak zniknął z rowerem, a więc to pewnie Bibianna. Dochodzimy do wsi. Ludzie nie śpią, pakują się. W każdym niemal zabudowaniu stoi wóz, ludzie znoszą pościel, spędzają bydło, płaczą. Zatrzymaliśmy się na chwilę, ale to tylko zwykłe zator wozów taborowych i znowu marsz.

Idę teraz koło Sobocińskiego. Z daleka majaczy jakaś ciemna linia znaczone drzewami, to szosa Turek-Rychwał, przy której leży dwór Słodków kapitana Daniszewskiego. Dochodzimy do majątku, w którym trwa właśnie ewakuacja. Jestem bardzo ciekaw, gdzie podziewa się teraz jego właściciel.

Znów skręcamy i kierujemy się na Obrzębin. Dochodzi druga, robi się widniej. Z mroku wynurzają się tureckie lasy. Tutaj nie potrzeba mi mapy, znam bowiem każdą ścieżkę, każdy dukt, każdą chałupę. Idąc drogą Obrzębin - Grabiniec, przypominam sobie stare dzieje. Właśnie mijamy gospodarstwo Buta. Zaraz dalej będą domostwa Łodzińskiego i Gibasa. Tą drogą biegałem jako brzdąc. Skręcamy w prawo. Widać rowy przeciwczołgowe. Zatrzymujemy się na wzgórzu. Dowódca baonu wzywa dowódców oddziałów.

- Mamy przed sobą 2-3 godziny snu - mówi do mnie po powrocie Borowiak.

Zajmujemy na kwaterę dwie chałupy gospodarza Tyczki, który przy nas wyjeżdża z obejścia pozostawiając nam psy, koty i ptactwo. Rozlokowujemy się i już mamy udać się na spoczynek, gdy na podwórze zajeżdża poczet dowódcy kompanii. Tymczasem Janiak z Borowiakiem wyszukali jakąś chałupę i zapraszają mnie do siebie. Przyszedłem do chałupy. Są dwie izby, w jednej Borowiak śpi z Jańskim, w drugiej zaś ja z Duxem i Janiakiem. Jesteśmy u kresu sił, nogi boją, zwłaszcza poodparzane stopy. Na dobranoc piłem przyniesioną przez Borowiaka wódkę. Janiak z Duxem zdjęli buty, ja odpasałem tylko Visa i zdjąłem maskę. Butów nie ryzykuję ściągnąć, bo w razie „niespodzianki”...

- Pobudka! - krzyknął ktoś głośno pod oknem.

Otworzyłem, oczy - szósta. Więc spaliśmy trochę ponad dwie godziny. Janiak już się ubierał. Zerwałem się i po minucie byłem gotów. Wyszedłem na rejon. Budzę ludzi. Działka kazałem poustawiać pod drzewami w cieniu. Razem z plutonem idziemy po śniadanie, a potem czyszczenie broni.

Janiak i Borowiak poszli do dowództwa baonu. Władek zajął się drugim plutonem. Moi żołnierze przynieśli kawę, a Wojtczak kawał wędzonej słoniny. Kazałem mu rozdzielić ją na pluton. Miny się poprawiły bowiem chłopakom przymusowy post dawał się już we znaki.

- Skąd macie słoninę? - zapytał Władek, który niespodziewanie pojawił się obok pałaszujących z wielkim apetytem moich chłopców.

- Z kompanii, ale ja w ogóle nic nie brałem, przyniósł to działonowy, nie wiem nawet gdzie jest kuchnia i szef Bednarski - odpowiedziałem.

Po śniadaniu czyszczenie broni. Przyszedł Jański, przypomniało mi się, że 2-go miał imieniny, trzeba mu powinszować. Mówił kiedyś, że ma szczęście, bo co roku imieniny wypadają mu w czasie manewrów i nie potrzebuje fundować, teraz ma rzeczywiście szczęście, nawet zapomnieli o jego imieninach.

- Życzę panu - mówiłem - powrotu z wojny.

- To pobożne życzenie, panie podchorąży.

Uśmiechnął się, ale zaraz zabrał się do przeglądu broni, a znał się na tym jak mało kto. Wiedziałem o tym doskonale, bo kiedyś był moim instruktorem. Broń była zaniedbana, stałe marsze, praca przy okopywaniu się, permanentny brak czasu. Oglądaliśmy armatki, a zwłaszcza lufy do czystości których, zawsze przykładałem duże znaczenie.

Stacjonowaliśmy na wzgórzu. Za nami czernią się stare lasy podtureckie. Przed nami mającą zabudowania Turku. Widzę także willę Stasia Marszla, towarzysza lat szkolnych, kolegi z pracy politycznej z JHP* i wojska. Gdzie on teraz jest, zadaję sobie pytanie. Ostatni raz widziałem go w maju w Biedrusku, potem krótko 22 lipca na promocji. Nikt z nas nie przypuszczał wtedy, że parę miesięcy później przyjdzie nam stanąć

* Junackie Hufce Pracy

u bram swego rodzinnego miasta z bronią w ręku. Tymczasem słyszę swoje nazwisko.

- Panie podchorąży - woła do mnie Borowiak - natychmiast pójdzie pan ze swoim działonem na to wzgórze za rowem przeciwczołgowym i zajmie tam stanowisko w schronie betonowym. Ja przyjdę potem do pana.

Wróciłem się do działonu i za chwilę klusem działko zjechało drogą po stoku, a my za nim biegiem. Więc tu są schrony betonowe - przemknęło mi przez myśl - nic o tym nie wiedziałem. Po raz czwarty dostaję pierwsze ogniowe zadanie: Szczypiorno, Skalmierzyce, Pawłówek i tu. Trzy razy obyło się bez niczego, ale do trzech razy sztuka. Gorzej, że nie wiem gdzie jest przejście, bo naokoło ciągnie się rów przeciwczołgowy. Szybko przebiegamy przez pole i dopadamy zagajnika.

Za chwilę jesteśmy w cieniu drzew, które chronić nas przed okiem lotnika. Jedzie konno major z Klekiem.

- Pan dokąd? - pyta mnie.

- Idę zająć stanowisko w schronie betonowym na wzgórzu.

Wskazał mi drogę do przejazdu. Skierowałem się tam wraz z oddziałem. Po kilkunastominutowym marszu znaleźliśmy się na szczycie porośłym brzoškami tworzącymi miły zagajnik. Niestety, bunkra ani śladu, udaję się więc na poszukiwania. Po drodze natykam się na jakiś błąkających się karabiniarzy. Okazuje się, że szukają schronu betonowego dla ckm-u. Szukamy obaj, ale bez skutku. Obszedłem jedno wzgórze - nie ma nic, idę na drugie i szukam nawet w kartoflach, ale bez skutku. Na drugim wzgórzu pracują plutony strzeleckie, stoi przy nich ppor. Burmeister.

- Panie poruczniku, czy pan nie wie gdzie są schrony betonowe?

- Jakie schrony? Czy pan oszalał?

- Nie oszalałem bynajmniej, mam to podane w rozkazie.

- Gdzie tu ma pan schron, jak pan wykopie dół będzie schron, a pan z jakiej broni?

- Działa ppanc.

- A to dobrze, mieli mi przysłać działko, dam panu zadanie.

- Więc schrony to lipa?

- Ależ oczywiście, kto panu o tym mówił?

- Dowódca plutonu ppanc.

- Głupstwo - chodzi mi o to, aby pan dał mi obronę ppanc. Wprzód - dolina biegnąca ku miastu, w lewo - do szosy włącznie, w prawo do tych olszynek.

Udałem się na pobliskie wzgórze, gdzie miało być stanowisko i kazałem żołnierzom kopać.

- Jak to - zapytał mnie Wojtczak - a co ze schronem?

- To bujda na resorach, żadnych schronów nie ma, kopimy stanowisko. Pamiętajcie tylko o zrobieniu pomostu przez rów, bo nie przejdziemy z armatką w razie cofania się. Już was nie ma.

Oddaliłem się parę kroków i przyglądałem jak im idzie robota. Wyjąłem paczkę papierosów i już miałem zapalić, gdy przyszedł Janiak. Niestety z jego wizytą związana była nieprzyjemna historia. Okazało się, że zostałem oskarżony o pobrania słoniny dla plutonu i ukrycie tego faktu przed nim i Duxem. Zamurowało mnie. Staralem się wytłumaczyć, że to nie ja fasowałem słoninę, ale Wojtczak i tak o tym powiedziałem Duxowi.

- Gdy panowie mają do mnie żal - dodałem - to droga służbowa, jak droga honorowa [to drzwi] są otwarte. Zasalutowałem i odszedłem. Nie mogłem dojść do siebie. Było mi żal, bo lubiłem ich obu. Z Władkiem przeżyłem niejedną trudną chwilę, a teraz takie oskarżenia. Skąd się to wzięło, czyżby był to skutek wojny? - zadawałem sobie pytanie. Powiedziałem o tym Wojtczakowi.

- Czy pan przypadkiem nie wziął ich porcji?

- Nie, szef mi wyraźnie powiedział, że to dla I-go plutonu, drugi pluton miał się sam zgłosić. Wydał mi też papierosy i też tylko dla nas.

Chłopcy właśnie zaczęli kopać ogon i przy tej pracy zastał nas Borowiak. Wytłumaczyłem mu, że nie mogłem wykonać jego rozkazu, ponieważ na tym terenie nie było żadnego schronu. Opowiedziałem mu także przygodę ze słoniną.

- Niech się pan tym nie przejmuje, ja to załatwię.

Porozmawiał jeszcze z Wojtczakiem i poszedł. Tymczasem wpadła mi do głowy jeszcze jedna myśl. Przecież gdzieś trzeba spać, w ogniu znów po co tu wszystkich trzymać. Z tyłu, w lewo od stanowiska, na zboczu góry wybrałem do wykopania dół. Będzie na zboczu, wkopany ukosem stanie się osłoną i jaką taką ochroną. Żołnierzom spodobało się to i szybko zabrali się do roboty. W międzyczasie zostało ukończone stanowisko dla

armatki i pozostało go tylko zamaskować. Kazałem więc ziemię wyrzucaną na wierzch rozplantować i przykryć ją wierzchnią warstwą piasku i ziemi pobranej opodal, żeby lotnik nie zauważył świeżego kopania. Pracę zakończyliśmy wkopaniem kilku drzewek i ułożeniem darni.

Z boku zapatrzyłem się na znane tereny. Z prawej Obrzębin, z lewej Zdrojki. Z daleka widać kirkut, jeszcze dalej wstęga drzew szosy Turek – Konin, tak zwanej alejki. Przede mną zaś z porannej mgły wyłaniał się w całej swej krasie – Turek z majaczącym w oddali kościołem i wieżą magistracką. Na prawo w promieniach wschodzącego słońca lśniły swą czerwienią budynki nowego miasta ze szkołą powszechną, gimnazjum i domem P.W.W.F. Nieopodal zieleń drzew rosnących prawdopodobnie w ogrodzie strażaków lub otaczających zbór ewangelicki. Trudno to było ocenić z tak daleka. Na prawo górował nad miastem komin elektrowni. Na horyzoncie zielony szpaler drzew rosnących przy szosie do Kalisza. Patrzyłem ze wzruszeniem na to miasto, które było moim miastem. Podniosłem do oczu lornetkę i skierowałem ją w stronę, gdzie był mój rodzinny dom. Poznałem go. To jeden z tych dwu budynków z wyższym dachem. Odkrycie to ucieszyło mnie, ale spowaźniałem. Przyszło mi na myśl, że możliwe będą tu musiał zginąć, właśnie tu ze wzrokiem utkwionym w dom, w którym ujrzałem światło dzienne. Jak w fotoplastykonie mignęły mi przed oczyma znajome pokoje, a w nich przesuujące się osoby Matki i Ojca. Wigilia Bożego Narodzenia, jestem malcem i biegam koło choinki. Właśnie przyjechał brat z którym bawię się w papierowe wojsko. Mamusia nas woła, kolacja wigilijna, łamiemy się opłatkiem...

– Panie podchorąży – stał przy mnie Wojtczak – pan teraz myślał o swoim domu, czy tak?

– Skinąłem głową i wskazałem ręką na mój dom.

Nagle owładnęła mną szaleńcza myśl – jeszcze raz zobaczyć to miejsce i dopiero potem spokojnie ..., a może jeszcze bym spotkał rodziców. Nie, stanowczo nie! Nie mogę tego zrobić, teraz muszę być tu, przy swoich żołnierzach. Ale z drugiej strony robili to inni. Przecież tylko na chwilę, zaraz wrócę na stanowisko. Przecież to może być ostatnia szansa widzenia rodziców, domu. Tak, ale jak to zrobić, przecież nie mogę oddalić się bez pozwolenia. Setki pomysłów kłębiły mi się pod czaszką.

– Panie podchorąży, ja bym nie wytrzymał, gdybym tak był koło

domu i nie zбочył na chwilę. Przecież to tylko pół godziny, kto się o tym dowie – odezwał się Klimczak.

W tej chwili przyszedł do nas jakiś żołnierz. Rozdaje nam cukierki, czekoladę. – Skąd to macie?

– A byłem w Turku, rozbijają tam nasi sklepy, już wszystką wódkę wypili. To jest z jakiejś „Spójni”.

Nie mogę tego słuchać. Wsiadam na rower i jadę zobaczyć co robi Sobociński. Dojeżdżam do zagajnika, w którym w naturalnym szałasie stoją doskonałe zamaskowane konie. Niestety jest i zła wiadomość. Wykonany przez rów pomost jest zbyt słaby, aby wytrzymać ciężar armatki. A więc droga odwrotu z działem odcięta, a bez działa nie wrócę. Reszta działonu stacjonuje w lasku za rowem o jakieś 150 metrów od naszego stanowiska. Są na drugiej linii i mają zabezpieczony w razie czego odwrot. Wracam na górę. Gnany jednak jakimś nieodpartym nakazem skręcam i po chwili jestem w Obrzębinie, stąd do Turku jest tylko 15 minut. Już się nie zastanawiałem. Naciskam na pedały i mijam opuszczoną wioskę. Tylko tu i ówdzie kręci się jeszcze ktoś po podwórzu, ale są to domki niemieckich właścicieli. Czekają na swoich. Minąłem tor. Po lewej stronie zobaczyłem konny patrol kawalerii. Wołę nie myśleć o spotkaniu z nimi. Szczęście, że znam teren. Śmignąłem szybko na przełaj do toru, już jestem na ulicy Strzeleckiej, zniknąłem im z oczu. Mijam gimnazjum, elektrownię i skręcam w ulicą Składkowskiego. Uderzająca jest pustka, kręcą się tylko wojskowi. Dojeżdżam do 3 Maja. Zsiadam z roweru. Jestem przed domem. Serce zaczyna mi bić mocniej, bo widzę otwarte okna w moim mieszkaniu... a więc? Ale wejście zamknięte. Dobijam się, otwiera mi gospodarz domu, piekarz Heine.

– Nie poznaje mnie pan? – pytam.

– A to pan? Zamknąłem wejście bo piekę chleb dla wojska, a cywilni dobijają się o niego i tylko przeszkadzają.

– Co z rodzicami?

– Wyjechali wczoraj w kierunku na Uniejów. Ojciec pana mówił, że za parę dni wróci.

– A co z mieszkaniem?

– Klucze ojciec pana zostawił, ale tam teraz oficerowie kwaterują, ale teraz ich nie ma.

Poszedłem na górę, dzwonię, rzeczywiście nikt nie odpowiada. Wróciłem na dół, winogrono pnie się po ścianach całego domu, otula balkon i wędruje dalej szukając słońca. Zrywam jeden liść i dołączam go do fotografii. Piekarz stoi, przygląda mi się z żoną. Są Niemcami, czekają na swoich. Nie odczuwam w tej chwili nienawiści. Proszę go tylko, aby poinformował mych rodziców o mej wizycie.

- Życzę panu, aby pan cało przetrwał wojnę.

- Niech pana Bóg prowadzi - mówi Heinowa (jej syn jeszcze przedtem zwał do Niemiec), żeby i pan wrócił żywy.

Jestem wzruszony, ale to pożegnanie było mi potrzebne, bowiem w jakiś symboliczny sposób zamykało moją przeszłość. Spojrzałem na zegarek, dopiero 25 minut jestem w drodze, a dotarłem już do kapliczki. Przejeżdżam przez wieś, na podwórze jakiegoś gospodarstwa zobaczyłem majora, szybko nałożyłem hełm, nie pozna mnie, wyglądam jak gonić, teczka przyczepiona do ramy. Spojrzał w moją stronę, nie poznał. Po pięciu minutach jestem na stanowisku.

Stanowisko gotowe, kończymy teraz schron na zboczu góry. Podchodzi jakiś strzelec i prosi, abym skontaktował się z porucznikiem Burmaistrem. Idę - Burmaister stoi i dogląda prac.

- Panie podchorąży - wita mnie nowym poleceniem - będzie pan jeszcze musiał wykopać dwa stanowiska, jedno w prawo od pańskiego, drugie tu przed linią strzelecką na wzgórzu.

- Jak to, przed linią strzelecką, przed drutami? - pytam ze zdumieniem. Przecież to wbrew regułom.

- Tak, proszę ze mną.

Jesteśmy na zupełnie pustym wzgórzu. Na nic zdają się me tłumaczenia, że trudno się tu nawet będzie dostać, bo konie nie uciągną armatki po zaorany polu. Poza tym zwracam uwagę oficera na zasięki uniemożliwiające mi jakikolwiek odwrót, jak również niemożność zamaskowania stanowiska. Nie dociera to do niego. Taki jest rozkaz i koniec. Salutuję i odchodzę. Po raz pierwszy mam odczucie, że racja jest po mojej stronie, ale to nic nie zmienia, bowiem jestem tylko podchorążym i nie ja tu decyduję. Zastanawiam się tylko jak mam powiedzieć o tym rozkazie moim padającym z nóg żołnierzom.

- Chłopcy kopie my jeszcze jedno stanowisko.

- Gdzie? - zapytał Wojtczak.

- Na tamtym wzgórzu.

- Ale to przed linią strzelecką, tego się nigdy nie robi z działem, ono jest zawsze trochę w tyle.

- Wiem o tym równie dobrze jak i wy, ale nic na to nie poradzę.

Dwóch strzelców zostaje na stanowisku, reszta za mną.

Widziałem przerażenie na wszystkich twarzach. Tu była jeszcze jakaś nadzieja, tam pewna śmierć. Szliśmy przez zaorane pole, kartoflisko i znów orane i pod górę, cały czas pod lufami nieprzyjaciela. Przyszliśmy na stanowisko, wytrasowałem i zaczęliśmy kopanie. Wziąłem szpadel, trzeba im pomóc. Nagle doszedł do naszych uszu warkot motoru.

- Lotnik! Kryj się! - krzyczy Burmaister.

Rozsypaliśmy się po kartoflach. Samolot zniżył się i zaczął krążyć. W pewnym momencie zaczęły bzykać kulki, wysledzili nas. Przeleciał. Zabraliśmy się do pracy na nowo. Z boku za nami było stanowisko specjalnego karabinu przeciwpancernego. Poszedłem go obejrzeć, wydany był dopiero do użytku na czas wojny. Ten polski wynalazek był trzymany przed wojną w głębokiej tajemnicy i znały go tylko osoby po zaprzysiężeniu. Był to karabin mniej więcej o połowę dłuższy od normalnego, z długą lufą, strzelający 20 centymetrowymi pociskami. Obsługiwało go dwóch strzelców. Zdziwiło mnie, że nawet w warunkach wojennych noszony był w pokrowcu. Podobno skuteczność doskonała. Miał on tu wspierać działania naszej armatki. Tymczasem znów nadleciał nad nasze wzgórze niemiecki samolot. Widać było, że rozpoznawał nasze stanowiska ogniowe. Postanowiłem po ukończeniu stanowiska pójść do dowódcy plutonu ppanc, aby za jego pośrednictwem przedstawił nasze zadanie u majora Szczygła, jako rzecz wbrew wszelkiej logice i zasadom sztuki wojennej. Kazałem kończyć pracę i poszedłem do Borowiaka. Odnalazłem go i podzieliłem się z nim swymi wątpliwościami.

- Panie poruczniku, osobiście nie chodzi mi bynajmniej o ulgi do „życia”, bo i to pierwsze stanowisko odcina mi całkowicie możliwość odwrotu, ale rzecz w tym, że dla fantazji pana porucznika Burmaistra stracę ludzi i sprzęt w parę minut.

- Sam nie poradzę, chodźmy do majora.

Niestety nasze poszukiwania dowództwa baonu spełzły na niczym,

a napotkani żołnierze też nie umieli nam pomóc. Kto wie jak długo trwałyby jeszcze nasze poszukiwania, gdybyśmy nie zauważyli jakiegoś ruchu wśród napotkanych pododdziałów. Zasięgnęliśmy języka i okazało się, że to przygotowania do odmarszu. Nie namyślając się wiele biegiem puściliśmy się z powrotem. Dopadliśmy stanowisk drugiej linii strzeleckiej, które się właśnie zwijały. Jakiś podchorąży powiedział nam, że punkt zborny znajduje się w rejonie naszej nocnej kwatery. Dopadłem do zagajnika, Sobocińskiego już nie było. Dochodziła ósma, było ciemno. Wbiegłem na górę – są, czekali na mnie. Usiadłem na ziemi, nogi i serce odmówiły posłuszeństwa, zmęczyłem się niesamowicie.

- Co się dzieje, panie podchorąży – zapytał Wojtczak.

- Odwrót. Zbieramy się i marsz.

Jechałem na armacie. Szczęściem nie przerwali tego przejazdu, bo inaczej trzeba byłoby przenosić armatę. Wreszcie dotarliśmy do kwatery, w której zastaliśmy tylko Borowiaka.

- Panie podchorąży, wie pan co zrobili najlepszego – zostawili nas i sobie poszli, a ja nie wiem nawet dokąd idziemy, nic nie wiem.?

- Cholera, co to za bałagan. – zakląłem – Przecież niepodobna, żeby to zrobiono specjalnie, ale nie zauważyć braku dwóch armat, to trudno pojąć. Co teraz robić?

- Nic nie robić, może po nas przyjdą – odparł porucznik.

- Poruczniku przyść to po nas przyjdą, ale Niemcy, przecież nasi znowu zwiali. Stojący z boku żołnierze słuchali tej naszej wymiany zdań z rosnącym przerażeniem.

- Co to będzie, co to będzie, zginęliśmy – nudził mnie Zielonka.

Sytuacja zdawała się być bez wyjścia. Udaliśmy się z Borowiakiem do chaty.

- Tu zostaniemy i koniec. Gdzie po nocy mamy ich szukać. Przyjdą Niemcy to postrzelamy. Niech pan warty wystawi i śpimy.

Wyszedłem na dwór, aby wykonać rozkaz, ale ogarnęły mnie wątpliwości. Na pewno nikt nie szedł na Turek. Zbierali się do odmarszu w tyle, w stronę szosy ani w stronę Rychwała też nikt nie szedł. Zbierek też odpadał, bo z tamtej strony ciągnęli Niemcy. Wróciłem się i powiedziałem o tym Borowiakowi.

- No to chodźmy – zdecydował. – Wszystko jedno gdzie wpadnie-

my Niemcom w łapy, tyle że tu byśmy się wypali – powiedział z rezygnacją w głosie.

Poszliśmy do tyłu i po pewnym czasie wyszliśmy na jakąś drogę na której widniały liczne ślady kół. Tymczasem dogoniła nas jakaś zagubiona drużyna strzelecka, która zagubiła się na patrolu. Z daleka usłyszeliśmy skrzypienie kół. Po chwili dogoniliśmy pluton Janiaka. Szliśmy teraz lasem. Borowiak nie poszedł się meldować.

- Cały czas o nas nie myślano, niech i teraz nic nie wiedzą.

Wyszliśmy na polanę gdzie nastąpił dłuższy postój. Żołnierze zaczęli układać się do snu. Założyłem płaszcz i położyłem się na mchu, nic to, że był mokry od rosy i że było zimno, zaraz usnąłem. Obudził mnie ogólny ruch. Było po 3-ej i wszyscy szykowali się do marszu. Kolumna skręciła w prawo na Turek. Armatki naszego plutonu szły na końcu batalionu, za nami tabory. Na szosie zwanej alejkami minęły nas ciągniki z działkami przeciwlotniczymi. Za nimi artyleria – 25 PAL. Robił się znów bałagan na szosie, jak po wyjściu z Kalisza. Dojechał do naszego plutonu mjr Szczygieł na koniu. – I-szy pluton z II-gą kompanią kpt. Gorzechowskiego pomaszkuje jako straż tylna. Zatrzymać się przy cmentarzu i poczekać na przejście oddziałów.

Miał szczęście nasz pluton, zawsze najbliższej nieprzyjaciela, ale z której strony go się spodziewać? Doszliśmy do cmentarza. Borowiak odezwał się.

- Pan do tej pory szedł zawsze na pierwszy ogień, teraz pan pójdzie przed kompanią strzelecką, a ja zamknę pochód straży tylnej.

Artyleria minęła nas, teraz szły jakieś pozostałości oddziałów strzeleckich, pomieszanych okropnie z taborami. Zajechało auto z dowództwa dywizji. Na szosę wyskoczył pułkownik Nowak – dowódca 25-PAL-u. Zaczął krzyczeć na przejeżdżające tabory.

- Co tu do cholery za burdel na szosie. Ładnie byśmy wyglądali w zwarciu z Niemcami, prędzej przejeżdżać!

Nie można było mu się dziwić, bo na szosie zapanował potworny wprost bałagan. Pomieszały się pułki i rodzaje broni, 56-ty, 29-ty, piechota, łączność, artyleria. Znowu przejechały dwa ciągniki z działkami przeciwlotniczymi i pułkownik Nowak zwymyślał dowódcę za powolny marsz. Na nic zdały się jednak jego wysiłki, bo sznur wozów taborowych

był ogromny i jeden człowiek na pewno nie mógł zaprowadzić porządku. Nasz batalion już przeszedł, trzeba było czekać na przejście wozów. Powinni być już na przodzie. Moją uwagę zwrócił wygląd tych wszystkich pojazdów, które były przystrojone zielenią i wyglądały jak wozy jadące na majówkę. Niestety to nie majówka była powodem ich wyglądu, a raczej chęć ukrycia się przed wzrokiem niemieckich samolotów zwiadowczych, które krążyły od czasu do czasu nad nami.

Wreszcie dotarliśmy do wyludnionego już Turku. Z sieni niektórych domów śledziły nas nienawistne spojrzenia miejscowych Niemców, którzy oczekiwali na przybycie swoich. Doszliśmy do magistratu, weszliśmy na plac Marszałka i skręciliśmy na plac Sienkiewicza. Po drodze migały mi znajome twarze ale mnie nikt nie poznał. Mundur i hełm zrobiły swoje. Przy kościele skręciliśmy na Uniejów i Dobrą. Tu też w tzw. „Dzi-kim Ogrodzie” kapitan Gorzechowski zarządził postój. Armatki zajęły pozycje, moja u wylotu na szosę Dobrą i Uniejowską, Borowiak na zakręcie z kierunkiem na Rynek. Postój spowodowały zapóźnione tabory, które teraz skręciły do Uniejowa, a więc za Wartę co potwierdzało uzyskane przez Borowiaka na szosie kaliskiej informacje.

Nasz postój nie trwał długo. Kapitan Gorzechowski sformował kolumnę straży tylnej. Otwierało ją moje działo jako osłona od przodu i boków. Na końcu Borowiak z działkiem jako osłona tylna kolumny. Ruszyliśmy. Szósta z minutami. Szedłem dobrze znaną z dawnych spacerów trasą, Aleją Legionów w stronę ulicy 3 Maja. Na prawo wznosił się tu gmach szkoły powszechnej, a o 100 m dalej mój dom stojący na rogu 3 Maja i Składkowskiego. Jeszcze tylko po lewej ogród strażacki, zbór ewangelicki i oto z prawej mój dom. Otarłem się wzrokiem o niego, jeszcze raz spojrziałem, czy go utrwale ze szczegółami w pamięci. Opuszczałem przecież miasto mojego dzieciństwa. Mój dom, moja szkoła – gałęzie, z których rwałem się w świat. Za parę godzin będą tu Niemcy, czy kiedykolwiek jeszcze tu wrócę...?

Kierujemy się na Uniejów. Nagle złowrogi warkot samolotu spowodował popłoch wśród żołnierzy, którzy rozbiegli się po ogrodzie, przyłgnęli do murów kościoła, do drzew, wpadli do bram. Samolot chwilę pokrążył i poleciał na Dobrą. Gorzechowski zebrał znów kolumnę i pomaszzerowaliśmy dalej szosą Uniejowską. Z daleka widać było Żuki.

Kompania rozbiła się na plutony. Teraz staliśmy się ostatnią grupą między naszymi siłami, a nieprzyjacielem. Ale te nasze siły były od nas o kilka kilometrów, więc w razie czego... Nieprzyjaciel osiągnął wczoraj Kalisz, Zbiersk, Stawiszyn i należało go się spodziewać w każdej chwili. Z Kalisza do Turku było 41 km, poza tym Niemcy posuwali się w prawo od nas na Lisków, Dobrą. Zaskoczenie z prawej strony było możliwe. Za Żukami usłyszeliśmy warkot motorów. Momentalnie kolumna zatrzymała się i rozsypaliśmy się w terenie. Od Koła szły na nas cztery maszyny, zaczęły krążyć nad szosą i wtedy poznaliśmy nareszcie nasze polskie maszyny. Lotnicy przelatywali nad drzewami, machali do nas rękami aby się nie bać, że czuwają. Ruszyliśmy dalej ale wielu zadawało sobie pytanie czemu ich nie było przedwczoraj na szosie kaliskiej? Nie byłoby tyle trupów.

Przed nami o parę kilometrów ukazała się Przykona i kościół w Psarach. Zerwano już na szosie mostek i widać było obchodzące tę przeszkodę tabory. Tuż obok nas przejechał w kłusie wóz sanitarny z biegnącymi za nim cywilami w otoczeniu żołnierzy z bagnietami na karabinach.

- Kim są ci ludzie - spytałem jednego z biegnących żołnierzy, który akurat zwolnił obok nas, aby chwilę odsapnąć.

- To Szwaby, strzelali do nas wczoraj pod Turkiem. Nasza wiara kilkudziesięciu szkopów posiekała. Kasztany cholerne, szkoda, że tych pierunów nie możemy utłuc.

To powiedziawszy oddalił się od nas biegiem. Wśród nich było paru starych, reszta to młodzi. Wszyscy na bosaka, zakurzeni, brudni, pokaleczeni, pokrwawieni. Eskorta biła ich kolbami. Żołnierzy moich to bawiło, ja jednak miałem poczucie niesmaku. Zabić w walce to co innego, ale ten sposób. Ruszyliśmy. Tabory zniknęły na horyzoncie. Po ujechaniu ze 100 m dopadł mnie na rowerze goniec od Gorzechowskiego.

- Panie podchorąży. Natychmiast zająć stanowisko. Niemcy za nami.

- Kierunek w lewo, kłusem marsz! - wydałem natychmiast rozkaz. Puściliśmy się na przełaj przez kartofle. II kompania i Borowiak zajęła stanowiska w lewo od szosy z kierunkiem na Dobrą. Dopadłem zabudowań. Wyszedłem z działem przed jedno zabudowanie, ale nauczony smutnym doświadczeniem już się nie okopywałem i działo stanęło

w bramie. Jakaś cofająca się kompania zajęła stanowiska między budynkami i w ogrodzie. Dowodzący nimi porucznik przedstawił się – Fabrycy.

– Czy pan nie jest w cywilu dyrektorem kaliskiego gimnazjum?

– Tak.

– Pan często ocierał się o moje miasto Turek, jako delegat na maturach.

– Czy ja pana egzaminowałem?

– Nie, ja miałem do czynienia z dyrektorem Kościuszki, Byczyńskim.

Fabrycy był srogi i pościłał sporo moich kolegów. Może sądził, że i ja byłem jednym z nich. Dziwne miałem spotkanie.

Tymczasem Niemców nie było nigdzie widać. Widać goniec narobił zbyt czystego szumu. Ubezpieczamy się z dwu kierunków od Turku i Dobrej. Jesteśmy o kilometr od Przykony, osiem do Turku i siedem do Dobrej. Główne siły są już na pewno pod Uniejowem. Ale po co te tabory wloką się na szarym końcu? – pomyślałem. Przecież w razie czego wszystkie wpadną w ręce wroga.

Była 10-ta, a na przedpolu cisza. Armata już była naładowana od Gostyczyny, tylko rozstawić ogony, osadzić, wycelować i strzelać – 10 sekund. To oczekiwanie na starcie było strasznie męczące. Mijał przecież szósty dzień wojny, a my prochu nie wachaliśmy. Tymczasem kompania Fabrycego wycofała się jeszcze dalej do tyłu i zniknęła nam z pola widzenia. Straciłem również z oczu oddziały rozlokowane po lewej stronie szosy. A więc zostaliśmy znów sami. Jakoś koło 11-ej przyleciał do nas goniec od Borowiaka – Zielonka.

– Panie podchorąży, bo już wszystkie oddziały poszły.

– A gdzie porucznik Borowiak?

– Był na szosie, nie wiem gdzie poszedł, kazał mi pana przyprowadzić.

– No to prowadź!

– Kiedy nie wiem gdzie.

Myślałem, że go trzepnę, ale co robić z cymbałem. Po paru minutach marszu byliśmy na drodze, na której dostałem rozkaz o zajęciu stanowiska. Musiałem zdać się na intuicję i skierowałem się w stronę w stronę Przykony. Na szczęście intuicja mnie nie myliła, bo gdy doszli-

śmy do wioski z zabudowań wyskoczył Borowiak. Okazało się, że czekał tu na nas, a jego kapral Nowak uciekł z działkiem ze strachu przed Niemcami. Ruszyliśmy naprzód i po godzinnym marszu złapaliśmy Nowaka, Mikołajczyka i Andrzejaka, bez działka.

- A co wy tu robicie?

- A nas tak pan kapral wyszykował, wsiadł na działko i klusem uciekał krzycząc, że Niemcy z tyłu.

Po dwóch kilometrach zeszedliśmy na boczną drogę i znaleźliśmy się w Laskach. Cała wieś była zalana wojskiem. Żołnierze jedli, myli się, pozdejmowali mundury, koszule. Konie luzem. Z lewej artyleria, z prawej strony piechota. Gdzieś tam tylko posterunki. Borowiak wypytywał po drodze o dowództwo pułku. Zatrzymałem armatkę i czekałem na powrót oficera. Wrócił po chwili z rozkazem zajęcia stanowiska. Niemcy zaszli nam drogę z prawej, o parę kilometrów za Dobrą. Tam już trwała walka. Wjechałem z armatką w podwórze, z boku był mały lasek i tam też ustawiłem działko. Tam znalazł mnie kapitan Wultański.

- Panie podchorąży, z tego lasu spodziewane jest natarcie czołgów, musi pan dobrze obserwować. Nasi opierają się Niemcom pod Dobrą, tylko trzeba robić rzecz z zimną krwią, na przedpolu są i nasze czołgi. Można je poznać oznakowaniu, które jest kanciaste, łamane, a na niemieckich faliste. Poza tym ten sam kolor ochronny co i u nas. Będzie pan w razie czego osobiście odpowiedzialny. Czołem! Jeszcze potem do was przyjdę.

Powiedziałem o tym wszystkim moim ludziom. Kazałem strzelać tylko na mój rozkaz. Wyzaczyłem dwie zmiany i część żołnierzy poszła odpoczywać. Wróciłem na podwórze gdzie spotkałem Borowiaka.

- No znalazłem swojego Nowaka, zatrzymał go kapitan Wultański i dał mu stanowisko, czuwa nad szosą.

Weszliśmy obaj do chałupy. Borowiak opowiadał, że chodzą słuchy, o przystąpieniu do wojny po stronie aliantów Belgii i Holandii. Wiadomości te choć niesprawdzone, bardzo podniosły mnie na duchu. Przystąpiliśmy do toalety. Szczególnie dużo czasu trzeba było poświęcić nogom, które odczuwały trudy ostatnich dni. Potem przyszedł Rybczyński i nas ogolił. Czuję się jak nowonarodzony. Poszedłem zbadać rzecz do kuchni.

- Obiad gotów - powiedział szef Bednarski - ale wy właściwie nie powinniście dostać jeść, bo nie należycie do nas.

- Panie szefie - wybuchnąłem - przecież najważniejsze jest to, żeby moi ludzie jedli. Zgodził się wreszcie na wydanie obiadu, ale o chlebie i papierosach słyszeć nawet nie chciał. Wróciłem do chałupy. Borowiak wystarał się o zsiadłe mleko od starego gospodarza, który został na straży dobytku. We trzech zrobiliśmy sobie „uczte” na którą składało się trochę czarnej kawy, kawałek chleba i mój miód ze Skalmierzyc. Po posiłku Wultański udał się do dowództwa pułku, Borowiak do II działonu, ja do swoich. Chciałem się zdrzemnąć, ale już po chwili musiałem się stawić przed oblicze kapitana.

- Przechodzi pan do drugiego działonu - oświadczył.

Na nic zdały się moje protesty i powoływanie się na życie z ludźmi. Rozkaz był rozkazem i choć bez entuzjazmu, musiałem się mu podporządkować. Otrzymałem polecenie udania się natychmiast do II działonu gdzie miałem kierować oddziałem ppanc kolumny taborowej. Czuję w tym wszystkim rękę Borowiaka, który chciał być w moim działonie, bo ten po prostu był lepszy. Poszedłem się pożegnać z moimi żołnierzami, którzy nie kryli swego zaskoczenia i rozżalenia jednocześnie. Zabrałem mój plecak i koc z przodka i rad nie rad pomaszzerowałem na poszukiwanie mego nowego przydziału. Drogą jechał jakiś wóz, włożyłem tornister i poszedłem za wozem. Wreszcie dostałem się do szosy, gdzie stacjonował mój nowy „nabytek”.

- Co pan podchorąży do nas? - wykrzyknął Mikołajczyk zaolzańczyk ze starego rocznika i były karabiniarz - więc mój kolega po fachu.

- Tak, teraz będziemy razem. Pocieszyło mnie to, że i tu miałem „ulubieńców”: Mikołajczyk, Andrusiak, poza tymi w działonie byli: celowniczy-rezerwista Wietrzyk, woźnica z rezerwy Zielonka, Siarkiewicz, mój dawny obserwator, artylerzysta Janiszewski i jako działonowy kapral Nowak.

Tymczasem obok nas gromadziły się w lesie oddziały zwiadowców konnych i rowerowych pod dowództwem ppor. Janka Szumigalskiego. Przyjechało teraz paru na rowerach, coś opowiadali, zrobiła się koło nich grupa, poszedłem posłuchać. Jeden ozeciarz opowiadał:

„...myśmy otrzymali chrzest lepszy niż pod Cekowem, wyjechaliśmy z naszym porucznikiem z rezerwy za las w prawo, jedziemy, spokój, z daleka wieś, młyn, a nasz porucznik wali naprzód - aż nagle z tego młyną

Niemcy zaczęli grzmocić. Od razu dwu się stulnęło z rowerów, zaczęły szwaby grać z maszynek, a my zamiast nawrócić lub paść na ziemię jedziem dalej, znów jeden leży, a to nasz porucznik podjechał pod jakąś chałupę, zeszlśmy z rowerów, stoimy, ale nie ma na co czekać, trzeba wracać, ale jak wyjść stąd. Co który nos wyściubi już leży. Już czterech było zabitych, trzech rannych. Rannych wzięliśmy na ramę – wyskoczyli my do tyłu na rowerach, ale jak nas zaczęło kosić z boków, każdy na Boga w swoją stronę. Celowniczy km padł zabity, zeskoczyłem, wzięłem rkm i tu przyjechałem. Nie wiem co z resztą, była cała drużyna, może poszli do niewoli.”

- Widzielimy po drodze nasze czołgi – wtrącił drugi. Ale one, strachu mają, że ino wyjechali nad las, strzelają Niemcy z młyna, a one zaraz w nogi.

Na obecnych te wiadomości zrobiły duże wrażenie. Więc przecież ktoś się bije i to niedaleko nas, gdzieś pod Dobrą. Kapral Nowak wziął nóż i odpruł sobie dystynkcje, robili to i inni dookoła więc i ja uczyniłem to samo.

Ruch się zaczął robić na szosie. Przechodził teraz baon specjalny majora Ostrowskiego. Był to batalion naszego pułku, ale występujący samodzielnie. Z kolumny piechoty ktoś wybiegł do mnie Józek Bartosik.

- Cześć Tadek! Już nareszcie przyszła ta wojna, nie było w Polsce co jeść, to może jak zginiemy będzie lepiej, tak jak było to żyć czy umrzeć jeden pies.

Józek był synem chłopca, sam młody chłop, trochę tkacz, ludowiewiczowiec. Często ze sobą toczyliśmy spory – ja maturzysta, on bardzo zdolny i inteligentny samouk. Zielony chłopak młodego pokolenia wsi polskiej. Teraz on i wielu innych co wielkie mieli plany szli zostawiwszy zagrody, miasta, a często i tych, którzy byli ich gnębiciełami.

Przemaszerowały kompanie strzeleckie, ckm'y i wreszcie armatki. Podbiegłem do nich. Por. Solarek na koniu, Rysiek Nieborak podchorąży jako zastępca szedł z karabinem jak zwykły żołnierz, działonowi kaprale Pawłowski i Hempel. Z Ryśkiem widziałem się ostatnio przed Sadowiem, w końcu lipca. Uścisnęliśmy się.

- Biłeś się Tadek z czołgami?

- Nie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

- A my już jeden motocykl spuściliśmy dzisiaj z szosy - prawda Solarek? - dodał z dumą.

- Panie podchorąży a mnie to pan nie wziął do siebie - ładnie, ładnie! A było nam tak dobrze razem w Sadoniu i Wielowski. - powiedział z pretensją starszy strzelec ze starego rocznika Nowak - celowniczy

- Nie mogłem, Teofilu, nie ode mnie to zależało.

Przeszli. Mijały nas teraz tabory BSu*. W tym tłumie dostrzegłem dwu żołnierzy prowadzących jakiegoś cywila. Podszedłem.

- Kto to jest?

- Cholera go wie, szpieg czy wariat, czy udaje wariata, pewnie szwab. Kazali nam go puścić, to go puszczaamy. Kopnął go jeden, odskoczył, ale dalej chciał iść za nami.

- Idź sobie stąd, idź precz! - ryknąłem. Zdawał się nie rozumieć co do niego mówię. Dopiero postraszanie pistoletem poskutkowało.

Dość długo czekaliśmy, a nasza kolumna nie nadchodziła. Kapral Nowak zaczął się już niepokoić. Dopiero około 5-cj ukazała się kolumna tabo-ru pułkowego z kapitanem Wultańskim na czele. Podszedłem do kapitana.

- Pójdzie pan na czele kolumny ze 100 m za szpicą konną. Proszę przy okazji obejrzeć kolumnę i niech pan podciągnie mój poczet do przodu - rozkazał.

Przejeżdżałem kolumnę tabo-ru pułkowego od przodu do tyłu. Za nami w pewnej odległości szli pionierzy pułkowi, dalej jakaś bryczka i wozy sanitarne, sprzętowe. Ciągnęło się to przeszło kilometr. Woźnice robili odstęp, zwalniali. Szła teraz łączność z kapitanem Kurbielem na czele, dalej kuchnie i znów wozy taborowe. Dojechałem do ostatnich wozów i przeczekałem aż cała kolumna znajdzie się na szosie, zawróciłem. Minąłem bryczkę, siedzieli w niej ks. kapelan, kapitan Kurbiel i jakaś kobieta, może która z sanitariuszek.

Zameldowałem się Wultańskiemu, oddałem rower Janiszewskiemu i pomaszero wałem dalej z obsługą. W czasie lustracji kolumny dowiedziałem się od żołnierzy, że pod Uniejowem 4-ego września niemieckie lotnictwo dokonało masakry uciekinierów. Dopiero teraz dotarło do mnie, że i moi rodzice udali się na Uniejów. Ślady tego niemieckiego barbarzyń-

* Batalion Samoobrony

stwa w postaci powalonych drzew, świeżych mogił z drewnianymi krzyżami, zabitych zwierząt i wciąż niepochowanych trupów ciągnęły się przez kilka kilometrów. Mijaliśmy to pobojuwisko w absolutnym milczeniu, porażeni ogromem tragedii, której sprawcami byli niemieccy piloci.

Przeniesienie do innego działonu niosło i inne zmartwienia. Od kaprala Nowaka dowiedziałem się o nienajlepszych stosunkach w oddziale. Trzeba więc było rozpocząć indywidualne rozmowy z żołnierzami, aby dowiedzieć się czegoś więcej i poznać ich punkt widzenia. Na pierwszy ogień poszedł Mikołajczyk, którego kapral nie przedstawił w najlepszym świetle. Ten z kolei oskarżał o wszystko zło Nowaka, który – według niego – trzymał spółkę z Wietrzykiem. Potem jeszcze rozmowa z Janiszewskim i znów skargi. Bardzo mnie to wszystko martwiło, bo przecież mogliśmy w każdej chwili znaleźć się na pierwszej linii ognia, a tu załoga działonu niezgrana. Trzeba było to zmienić za wszelką cenę i to zadanie spadło na moje barki.

Zawróciłem jeszcze raz, przejechałem całą kolumnę. Szef Bednarski spał na kuchni, kapral Jański na jednym wozie, plutonowy Pajchrowski na drugim. Wróciłem na czoło kolumny. Luzak kapitana Procyk jechał na kasztanie, a obok szedł kapitański siwek.

– Może pan podchorąży pojedzie sobie konno – zaproponował mi Procyk. Propozycja była nie do odrzucenia i po chwili jechałem konno na czele kolumny. Wieczór ogarnął świat, od torfowisk ciągnął przejmujący chłód. Ciszę mącił jedynie chrzęst piasku i turkot wozów. Wtem za mną tętent koni, obejrzałem się do tyłu. To artyleria piechoty 29 pułku. Na czele na koniu jechał kapitan Scheur, gruby, postawny, mówił grubo, a często przewlekle.

– To ty Jasiu? – zwrócił się do mnie.

– Nie, podchorąży..., kapitan Wultański jest na bryczce. Ja prowadzę kolumnę.

– To może się pan zatrzyma, chciałbym przeprowadzić artylerię.

Scheur pojechał naprzód, za nim przejechała artyleria pułkowa. Zsiadłem z konia i wsiadłem na rower z zamiarem objazdu kolumny, gdy nagle na zakręcie ujrzałem ogień, to paliły się okoliczne wsie. W pewnym momencie dał się słyszeć grzechot karabinów maszynowych i pojedyncze strzały artylerii. Na niebie rozbłysła oślepiającym blaskiem flara.

A więc Niemcy zaszli nam drogę. Gdzieś w pobliżu rozgorzała bitwa. Tabory pułkowe są w niebezpieczeństwie.

- Bagnet na broń! Podaj dalej! - rozkazałem ostrym głosem.

Szybko zawróciłem i wydałem rozkazy. Po paru minutach byłem znów na czele kolumny obok kapitana. Byliśmy o parę kilometrów od Uniejowa, walki były gdzieś na prawym skraju Spicimierza*, w prawo od szosy. Grzechot ckm'ów stawał się wyraźniejszy, na przedpolu ukazały się rakiety, po raketach artyleria. Zorientowałem się, że to strzela gdzieś z daleka niemiecka artyleria na Spicimierz i Uniejów przecinając nam drogę i utrudniając przeprawę przez Wartę. Na razie bezpośredniego niebezpieczeństwa nie było, ale gdyby tak teraz Niemcom udało się dotrzeć do szosy... - słabą byśmy stawili im obronę.

Zbliżamy się teraz do Uniejowa, już pierwsze mosty. Z daleka widać wieże zamku i park. Nasza kolumna zatrzymała się, ktoś rozmawiał, podszedłem bliżej. To Wultański rozmawiał z moim dowódcą kursu podchorążych majorem Wodeckim. Po skończonej rozmowie dostałem od Wultańskiego zadanie przeprowadzenia kolumny przez miasto. To z pozoru łatwe zadanie okazało się bardzo męczące z powodu dużego bałaganu związanego z przeprawą jednostek przez Wartę. W końcu jednak udało mi się wyprowadzić powierzonych mi ludzi na szosę. Szliśmy teraz szosą, gdy z cmentarza padła nagle salwa. Zeskoczyłem z roweru. Stój! Podbiegłem do szpicy, ale oni sami sobie dali radę. Oto dwu ozeciarzy prowadziło czterech cywilnych szwabów z karabinami. Ukryli się na cmentarzu z zamiarem postrzelania do przechodzącego wojska.

- Odprowadzić ich do miasta do majora Wodeckiego! - rozkazałem.

Żołnierze odebrali szwabom broń i poprowadzili rowem do miasta. Myślałem, że ich rozszarpiemy. Lojalna szwabska ludność Polski! Do tej pory może bym nie wierzył. Teraz nie żałowałem tych spod Turku i Przykony.

Byliśmy koło cmentarza, tu trzeba było poczekać na kapitana. Sprowadziłem kolumnę na lewą stronę szosy. Z prawej przejeżdżały tabory artylerii. Wreszcie parę dział, a za nimi wysunęła się łączność, prowadzona przez kapitana Kurbiela.

* Spicymierz

- Dlaczego pan się zatrzymuje?
- Taki miałem rozkaz od pana kapitana Wultańskiego.
- To niech pan stoi.

Przeszli, a za nimi część taborów. Wultańskiego ani śladu. Wsiadłem na rower, wyjechałem do tyłu szukać kapitana ale bez skutku. Marsz! - wydałem rozkaz. Po 10 minutach dogoniłem Kurbiela. Zrobiło się zupełnie ciemno, mogła lub dziewiąta, może dziesiąta. Od rzeki widać było tylko łuny. Dowiedziałem się od Kurbiela, że idziemy do majątku Stemplew. Tymczasem nadciągnęła kolumna. Kurbiel zatrzymał całość na chwilowy odpoczynek. Żołnierze rozbiegli się do chałup w poszukiwaniu czegoś do jedzenia i picia. Poszedłem i ja napić się wody. Przerwa się skończyła. Ruszyliśmy. Żołnierze czepiali się wozów, włązili na nie. Moi chłopcy obsiedli armatkę. Bractwo spało. Kurbiel też drzemał na wozie. Wypuściłem się znowu jako szperacz do przodu na rowerze, tym razem sam. Przed nami dał się słyszeć skrzyp wozów. Przyśpieszyłem i po niedługim czasie dogoniłem bryczkę na której dostrzegłem Wultańskiego i jakiegoś nieznanego mi księdza. Okazało się, że zatrzymał go pułkownik, a później pojechał krótszą drogą.

Wreszcie dotarliśmy do opuszczonego dworu w Stemplewie. Opustoszały budynek stał się dla nas wspaniałą wprost kwaterą. Otrzymałem rozkaz zajęcia stanowiska przy bramie. Trochę później stanowisko zostało wzmocnione na rozkaz pułkownika jeszcze dwoma działkami i w ten sposób miałem pod swą komendą dodatkowo dwa działony.

Tymczasem mój działon przyniósł słomę. Ułożyliśmy ją pod jakąś płaczącą wierzbą i poukładaliśmy się do snu. Niestety nie dane mi było zasnąć, bowiem zostałem wysłany przez Wultańskiego na bezowocne poszukiwanie zagubionego z armatką Borowiaka.

Trzeci batalion

Siódmy wrzesień. Obudziły mnie rozmowy obok, otworzyłem oczy. Żołnierze jeszcze spali, było po dziewiątej. Pobudka! Wyszedłem spod gałęzi. Od grupki stojących w oddali żołnierzy i oficerów dolatywały strzępy rozmowy. Podeszedłem.

„... zdobyliśmy wczoraj sporo maszyn na Niemcach. Cały nasz 60-ty pułk trzymał front, dostali grzanie ...było sporo ofiar, ale cóż, opłaciło się.

Ten motocykl też zdobyty. Takich było więcej, tylko nie miał za bardzo kto na nich jechać, nasi nie umieją prowadzić motorów. Zdobyliśmy też konserwy niemieckie – ciągnął dalej nasz rozmówca – między innymi puszkę z zielonym groszkiem. Ale najlepiej spisała się nasza kawaleria. Przydybała na wsiadanej kompanii zmotoryzowaną. Spalili ze 100 samochodów, dopadli parę samochodów pancernych i też je puścili z dymem. Ale to bestie, pierona, prawie każdy ma motor, każdy umie prowadzić, mają motocykle z przyczepami, a na nich lekkie karabiny maszynowe.

Spojrzałem na motocykl WH – Wehrmacht – niemiecki.

– Nic dziwnego, że nas dogнали nad rzeką – powiedział Wultański – my na piechotę, oni samochodami, szanse marszowe nierówne. Odwołał mnie na bok i nakazał wzmożoną uwagę ze względu na przerwanie linii frontu przez dwa samochody pancerne, parę motocykli i jeden czołg.

Posłałem Mikołajczyka i Zielonkę z menażkami po kawę. Otworzyłem niemieckie puszkę z groszkiem, dałem żołnierzom. Widać, że nie bardzo smakowały, ale na bezrybiu i rak ryba. Tymczasem wojsko rozpoczęło działalność we dworze. Dobrali się do piwnic, wynaleźli wódki, wina, soki. Janiszewski przyniósł dwie butelki z sokiem z czarnych jagód. Chętnie to zjedliśmy, a na zakończenie popiliśmy czarną kawą. Chleba nie było. Kapitan zjadał się groszkiem. Znalazł się też Borowiak, który pomylił drogę. Przywitałem się z nim i zacząłem go znów męczyć o powrót do swego dawnego działonu. Tymczasem Cimko z Sobocińskim przenieśli mój tornister z drugiego przodka na pierwszy stawiając go niejako przed faktem. Myślałem, że mi się udało, ale radość moja nie trwała długo. W południe przyszedł znów kapitan z rozkazem przenoszącym mnie do III batalionu na dcę plutonu ppanc. Nic gorszego nie mogło mnie spotkać, idę do zupełnie nieznanymi mi ludzi, bowiem w III-im batalionie była sama rezerwa. Ale cóż, rozkaz jest rozkazem, a moim obowiązkiem jego wykonanie. Pojechałem do dworu. Na schodach siedział mjr Wodecki nad mapą i wydawał rozkazy oficerom.

– Panie majorze melduję się posłusznie jako dowódca ppanc. w III batalionie.

– Niech pan zaraz obejmie pluton, były dca plutonu gdzieś się zapodział, tam jest piekielny bałagan. Proszę doprowadzić wszystko do porządku i przygotować się do wymarszu.

W działonie znalazł się rezerwista Brudnicki, który pamiętał mnie jeszcze z ćwiczeń na kursach ppanc., co mnie trochę pocieszyło. Dowódca porucznik Suski gdzieś się zapodział i sytuacja w oddziale nie przedstawiała się za dobrze. Żołnierze byli rozgoryczeni, bowiem nikt nie zadbał o ich zaprowiantowanie i od pewnego czasu nie dostawali w ogóle jeść. Po krótkim wywiadzie okazało się, że porucznik Suski niezbyt dbał o swych podkomendnych, a ich przydział do ósmej kompanii porucznika Kurowskiego i tak się okazał iluzoryczny, bo nikt nie interesował się ich losem. Widać było jak na dłoni, że trzeba to natychmiast zmienić. Na domiar wszystkiego zginął im wóz amunicyjny wraz z kapralem obs. Malinowskim, strz. obs. Jaroszem i woźnicą. Ale to niestety nie był koniec kłopotów. Musiałem znaleźć działon kaprała Kozy, który jak dowiedziałem się podczas mego rekonesansu po parku, prawdopodobnie dołączył do 7-mej kompanii. Podczas tych poszukiwań natknąłem się również na Manlickiego, kolegę z kursu. Od niego dowiedziałem się, że w km'ach są Marszel, Muszyński i Steinbart wszyscy Turki.

Batalion zaczął się formować i po chwili znów znaleźliśmy się na drodze. Ze swego siedziska na przodku widziałem ciągnącą za nami długim sznurem artylerię Scheura. Z prawej strony drogi ciągnęły się lasy, z lewej łąki. Zbliżaliśmy się do jakiejś wsi. Na zakręcie dostrzegłem majora Wodeckiego. Wyglądało na to, że na kogoś czekał. I rzeczywiście przecucie mnie nie myliło. Dostrzegłszy mnie Wodecki skinął w mój kierunek. Podbiegłem.

- Pójdzie pan w prawo z jednym plutonem 9-ej kompanii. Obsadzicie wioskę w prawo. Pan zajmie stanowisko na skraju z kierunkiem strzału na lasy.

A więc Niemcy muszą być niedaleko - pomyślałem. Dowództwo 9-tej na skrzyżowaniu drogi. Pan zajmuje stanowisko ogniowe na skraju.

Doszedłem do ostatnich zabudowań o jakieś 600 m od głównej drogi.

- Stój! Odprzodkować. Przodek na podwórze.

Niestety sposób w jaki wykonywano mój rozkaz potwierdził tylko najgorsze me obawy. Szymczak i celowniczy znali się trochę na armatce, ale reszta nie miała pojęcia o niczym, byli dobrani do nas z „zajaków” i mieli wszyscy po 40-tce. Lewandowski był wprawdzie ppancistą, ale kto

na jego miejsce zostanie woźnicą. Wreszcie armatka stanęła na stanowisku, co było zasługą działonowego, celowniczego i moją.

Wojna wojną, ale żołądek upominał się o jedzenie. Wysłałem kilku żołnierzy, lecz ich talenty organizacyjne zbliżone były do umiętności obsługi działka ppanc. I tylko Szymczakowi zawdzięczaliśmy, że zasiadliśmy przy stole na którym królowały jaja na twardo, chleb oraz słodkie i kwaśne mleko. Na dodatek gospodarze tej chałupy byli Niemcami i nietrudno się domyśleć, że niechętnie nas u siebie gościli. Nie zdziwiło mnie zbytnio, gdy po posiłku zażądali zapłaty, choć do tej pory nikt pieniędzy od nas nie żądał. I kto wie czy byśmy w końcu nie zapłacili, gdyby nie jakiś podoficer z plutonu strzeleckiego, który wsiadł na niemieckich gospodarzy z taką furją, że ci – acz niechętnie – od żądania zapłaty odstąpili. Po tym incydencie znalazło się jedzenie i dla innych. Pochowały je szwaby po piwnicach.

Nie zagrzailiśmy długo miejsca w tej niegościnniej wiosce, bowiem po posiłku nadbiegł goniec od dowódcy kompanii z rozkazem natychmiastowej zbiórki oddziałów na głównej drodze. Po upływie kilkunastu minut brnęliśmy przez torfiaste łąki do innej drogi. Cięższe wozy taborowe zapadały się w błocie jakie wytworzyło się w wyniku przemarszu setek nóg. Zbliżyłem się do jakiegoś wozu sanitarnego, na którym bez dystynkcji na mundurze obok woźnicy siedział porucznik Suski.

- Cześć panie poruczniku!

W pierwszej chwili mnie nie poznał, a gdy przypomniałem mu kim jestem, nie ucieszył się zbytnio z tego spotkania. Od razu zaczął się gęsto tłumaczyć, że był chory na anginę i stąd jego obecność na wozie sanitarnym. Nie dyskutowałem z nim, choć dziwnym się wydawało, że o jego chorobie nie wiedział ani major, ani ludzie porucznika. Odszedłem i zacząłem gonić działon. Wśród wozów spostrzegłem wozy z rannymi. Na jednym poznałem swojego kolegę z kursu, Witricha. Z przerażeniem patrzyłem na jego okrwawioną, wykrzywioną grymasem bólu twarz z wyrwaną dolną szczęką i pałające gorączką oczy proszące o pomoc. Obok niego leżały ludzkie tułowia bez rąk lub nóg. Jedni strasznie jęczeli, inni nieprzytomni leżeli w milczeniu. Jakiś lżej ranny szedł obok wozu.

- Co się stało? Skąd jesteście? - zapytałem.

- My z czwartej kompanii, 2 batalion. Dzisiaj dostaliśmy prawdziwy chrzest. Podczas naszego ataku to nas tak artyleria niemiecka urządziła, całą kompanię rozbiła, walili miejsce przy miejscu, pociskami, szrapnelami.

- Jak daleko idziecie?

- Chyba ze trzydzieści kilometrów, ale Niemcy mają technikę. My na bagnety, a oni z armat i karabinów maszynowych. Co paru żołnierzy to karabin maszynowy, a u nas co - trzy na kompanię. Zajeżdżają na motocyklach, prażą z boku

Przerwał mu straszliwy huk. Kolumna w jednej chwili rozbiła się, a od strony szosy doszły nas okrzyki „Gaz! Gaz!” Żołnierze jak opętani rzucili się do ucieczki.

- Stać! - krzyknąłem. - Stać do cholery! Załóżcie maski!

Coś było, zdaje się, że chlor w słabym natężeniu. Wyciągnąłem szybko maskę i w tej chwili mój wzrok padł na wóz z rannymi. Witrich bezsilnie machał ręką, podskoczyłem, włożyłem mu maskę i założyłem swoją. Zacząłem gwizdać gwizdkiem maski na zbiórkę. Weszliśmy na szosę. Czoło kolumny było już bardzo daleko, dlatego zarządziłem bieg, aby ich dogonić. Wsiadłem na rower i pojechałem czegoś się dowiedzieć. Na czele kolumny maszerowało jakieś działko. Coś mnie tknęło i okazało się, że przeczucie mnie nie myliło. To był mój zaginiony kapral Koza ze swymi ludźmi.

- Jak z zaprowiantowaniem - zapytałem Kozę?

- Zasadniczo w siódmej, ale nie dostajemy jeść. Nasz dowódca plutonu nie zajął się nami - tłumaczył Koza.

Dochodzimy do Dąbia, mijamy most na Nerze i kierujemy się Grabów Łęczycki.

- A my mamy patefon - odezwał się Skrzypski.

- Tak? Natychmiast mi coś zagrajcie.

- On nie jest zbyt dobry - tłumaczył Koza.

- To nic, niech pan gra.

„*Gdy zakwitną znów jaśminy, tęskniej tulą się dziewczyny...*” nieoczekiwanie dla wszystkich słowa popularnej piosenki uniosły się nad armatką.

- Ppance mają humor - odezwał się za mną major Wodecki.

Skończyła się jedna piosenka i rozbrzmiała druga tym razem o pan-

nie Annie, której głównym problemem było wychodne. Ten frywolny tekst zupełnie nie pasował do powagi chwili i nieliczni przechodnie przypatrywali się nam ze zdziwieniem. Jakiś mężczyzna odezwał się: „Cieszą się, że jeszcze żyją”.

Tymczasem wokoło mojej armatki zebrało się grono słuchaczy, a wśród nich rozpoznałem Zdunka, który pamiętał mnie jeszcze z czasów, gdy trafiłem do ppanców z Biedruska jako starszy strzelec z karabinów maszynowych. Okazało się, że zginął on z plutonu porucznika Janiaka. Zaproponowałem mu, aby dołączył do moich żołnierzy, na co przystał z chęcią. Wśród słuchających znalazł się jakiś kapitan i porucznik, który dowodził na prawym skrzydle w czasie naszego postoj. Przedstawili się – kpt. Ślązak, dowódca siódmej, porucznik Ścibor dca dziewiętej, obaj z rezerwy. Jak się okazało Józef Ścibor był również „Turkiem”, a w cywilu nauczycielem.

Powoli zaczęło się ściemniać. Uszliśmy jeszcze jakieś trzy km od Dąbia, gdy major zatrzymał kolumnę.

- Teraz idziemy na odpoczynek i nocleg na wieś - mówił. - Panie podchorąży, zakwateruje pan działka przy dziewiętej kompanii. I wypijcie się dobrze chłopczy, bo już wkrótce będziecie potrzebni.

Zatrzymałem pierwsze działko, posłałem Skrzypskiego na rowerze po drugie, a gdy przyszło, skręciliśmy w prawo na drogę do wioski. Zakwaterowaliśmy się w dużej oborze. Armatki stanęły w równym rzędzie przed budynkiem. W czasie tej krzątania przed snem natknąłem się na kolegę z kursu Janka Polkowskiego, który był czymś w rodzaju adiutanta dowódcy poczty przy dowódcy kompanii. Janek przeszedł pułk manewrowy, dostał się do szkoły zawodowej, z tej racji był tylko st. strzelcem, ale jednocześnie zawodowym podchorążym.

Powiedziałem mu o Witrichu.

- To już pierwszy z nas, a ilu nas ostatniej serii Szczypiorna zostanie? - zapytał w zadumie.

Wyszedłem na podwórze, na którym właśnie rozpoczął się jakiś ruch. Zajechały kuchnie i rozpoczęło się wydawanie kolacji. Zwołałem swoich ludzi, ale znowu nie obyło się bez kłopotów. Pomogła dopiero moja osobista interwencja u porucznika Kurowskiego, dowódcy ósmej kompanii. Raczylimy się więc zupą i kawą, gdy nagle błysk i potężny

huk ogłuszył nas. W jednej chwili kto żyw rzucił się do panicznej ucieczki. Kuchnie w prawo, wozy w lewo. Nagle spostrzegłem przelatujące obok mnie moje armatki. Rzuciłem się w pogoń.

- Stać, czorty, durnie, pierony - zatrzymywałem ich wreszcie - kto wam kazał jechać? Działonowi do mnie! Co za bałagan wprowadzacie, kto wam kazał uciekać, tchórze?

- Panie podchorąży, kiedy wszystko zaczęło uciekać - mówi Koza.

- Pluton na moją komendę, kierunek w tył w lewo marsz!

Przyprowadziłem działka z powrotem. Rzeczywiście prawie wszystko zwało, kuchnie, wozy taborowe, wojsko.

Z chałupy wypadł Kurowski.

- Panie poruczniku, chyba się stąd nie ruszamy?

- Nie, skądże, ale gdzie wojsko? - wybiegł na drogę.

Powoli panika minęła i wojsko zaczęło powracać. Zapadał zmierzch i ludzie zaczęli układać się do snu. Poszedłem i ja za ich przykładem, ale ledwie zmrzyłem oczy wezwano mnie na odprawę. Poszedłem do chałupy. Siedział tu porucznik Ścibor, podporucznik Słaby i jeszcze jakiś podporucznik rezerwy. Na rozłożoną na stole mapą pochyłał się por. Ścibor. Naszym zadaniem była obrona przeprawy przez Ner. Spojrzałem uważnie na mapę. Bardziej w lewo o jakieś trzy km pozostał jeden nieobsadzony most i stamtąd groziło oskrzydlenie. Ale swoimi spostrzeżeniami nie podzieliłem się z obecnymi, wolałem milczeć. Ścibor jeszcze coś mówił, wydawał rozkazy, ale jego głos oddalał się jakoś ode mnie. Usnąłem.

Dąbie nad Nerem

Ktoś mnie szturchnął, to Słaby.

- Obudź się pan, kiwa się już pan z pół godziny. Idziemy. Wstałem wyszedłem na dwór. Nagle stanąłem jak wryty, koło obory nie było działek. Pobiegłem drogą w stronę szosy, nigdzie nie ma. 9-ta kompania szykowała się właśnie do odmarszu. Spytałem czy kto nie widział działek - a to już pół godziny temu przeszły - odpowiedział mi jakiś napotkany żołnierz. Zakląłem z bezsilności. Co za tumany z tych działonowych, kto im kazał jechać? Ale ja dostałem pluton nie ma co mówić. I tak oto zostałem dowódcą bez oddziału. Chcąc nie chcąc poszedłem i zameldowałem o tym porucznikowi Ściborowi.

- Ale jaki ma pan pluton, co za podoficerów.
- Dopiero rano ich wzięłem, a drugi działon wieczorem.
- Pójdziemy na Dąbie - mówił dalej, może ich gdzie po drodze złapiemy.

Byłem wściekły. Nagle zapragnąłem za wszelką cenę dopaść swój pluton. Pozostawało tylko pytanie czym, bo nawet mój rower ci głupcy zabrali ze sobą. Zgłosiłem się do Ścibora.

- Wie pan co - powiedział Słaby - tu jest ten cywil - ochotnik, co już od rana nas nudzi, żeby go wziąć do wojska, ma rower, weź pan od niego.

- Poszedłem do cywila, poprosiłem, zgodził się.

Wskoczyłem na rower i puściłem się pędem przed siebie. Nie zwracałem uwagi na otaczające mnie ciemności, nie myślałem nawet że mogę na kogoś wpaść. Wiedziałem tylko, że moi uciekinierzy mieli nade mną półgodzinną przewagę i będę miał dużo szczęścia jak ich dogonię. Pod Dąbiem spotkałem taczanki.

- Nie widzieliście działek?

- A szły niedawno.

Ruszyłem ostrym slalomem pomiędzy oddziałami wojska i wpadłem na rynek w Dąbiu. Wojska tu była masa, mimo to wiedziony jakimś instynktem wypatrzyłem ósmą kompanię i niedaleko magistratu dopadłem działka. Zeskoczyłem w biegu z roweru.

- Działonowi do mnie! Czyście ludzie poszaleli, czy co do diabła. Po jaką cholere żęście pojechali. Kto wam kazał? Mielście na mnie czekać, jak tak zaczęliście będę wyciągał konsekwencje. Odpowiednio się zajmę, uważam to za waszą głupotę, ale czy wiecie czym się kończy niekarność na wojnie? Ja strzelać mogę. Co macie na swoje usprawiedliwienie?

- Szła ósma kompania to i myśmy ruszyli - odezwał się Koza.

- Uciekali inni to i wy uciekaliście, idą inni to i wy, ale nawet nie pomyśleliście, że jako dowódca plutonu też powinienem być z wami. Zabraliście mój rower, wątpię czy on mógłby wami dowodzić. Do swoich działonów! Na mój rozkaz kierunek w lewo.

- Panie podchorąży - biegł do mnie Wodecki - jest pan tu. Natychmiast na most. Pobiegł przodem. Kłusem marsz! Wybiegłem przed pluton, dobiegliśmy do mostu

- Niech pan zajmuje stanowiska - krzyczał major.

- Stój! Odprzodkować, przodki w prawo na podwórze. Działa na moją wysokość na stanowiska. Kierunek strzału most-szoza. Celownicowie sprawdź nastawy.

Major Wodecki rozmawiał z kimś na moście, ta druga postać zbliżyła się. Był to major Szczygieł, ale jakoś zmieniony.

- To jest pan tu, pan się uratował?

- Od rana jestem w III-cim batalionie, panie majorze - odpowiedziałem.

- Myślałem ...

Poszedł. Wodecki zbliżył się do mnie.

- Pierwszy batalion przestał istnieć. Dostał się w zasadzkę, cały rozbito. Szkoda ludzi, szkoda sprzętu, szkoda Szczygła, martwi się chłop. Niemcy idą na nas, nie damy się. Musimy pomścić tamtych.

Stałem jak skamieniały. Doszło do mej świadomości, że tam był Władek Dux, Janiak - co z nimi. Boże, gdybym tam został z nimi?

Ktoś szedł przez most, poszedłem naprzeciw. Trzech żołnierzy bez tornistrów, jeden bez karabinu, w jednym poznałem ordynansa podchorążego R.

- Co się stało, chłopcy? - moje pytanie pozostało jednak bez odpowiedzi.

Ale oto za nimi o parę kroków wyłoniło się znów paru, między innymi kapral Kraska, d-ca mojej drużyny w Gostycynie i od niego dowiedziałem się strasznej prawdy.

- Stało się to pod Wieleniem. Walimy naprzód nie oglądając się na boki, major jechał ze szpicą konną na przodzie. Weszliśmy na drogę leśną, dochodziliśmy do polany, gdy nagle z dwu stron padły strzały. Wpadliśmy w zasadzkę. Niemcy walili w nas. Zginął kapitan Woldański, podchorąży R., por. Hyla, ktoś krzyknął, że pan major jest w niewoli. Rzucili się nasi na pomoc, ale majora już nie było. Każdy z nas ratował się jak mógł. Kto mógł przodem, kto mógł do tyłu. Całą kompanię km, łączność, cały sprzęt, tabory zabrali Niemcy.

- Dosyć - przerwałem - wasz major jest już w Dąbiu, maszerować na rynek tam na spotkanie.

Przeszli. Wszyscy byli bez tornistrów, niektórzy bez butów, a jeszcze

inni bez broni. Stracili w ucieczce karabiny. Upłynęła znów chwila, teraz coraz częściej przechodziły grupki żołnierzy z wszystkich kompanii. Odsyłałem ich na punkt zborny. Przyszedł mój znajomy z Gostyczyny, zastępca dcy plutonu podchorąży G.

- Jak było? - spytałem.

- Co „jak było”. Mogliśmy się bronić, ale dowódcy potracili głowy. Każdy umykał gdzie mógł i z tego taki bałagan. Nasz dca plutonu podchorąży G. biegł jak zając, potem go dogoniłem. Z nim razem szedłem, ale gdy usłyszał jakieś głosy, powiedział że to Niemcy i znowu drapnął.

Przyszedł jakiś ckm, dzielna obsługa, przyjechali w komplecie, ckm, biedka.

- A gdzie taczanki?

- Wszystko zostało, zabrali Niemcy.

Zbliżył się do mnie major Wodecki.

- Oto co zostało z batalionu.

- Panie majorze, jakim sposobem tu się pierwszy znalazł dowódca batalionu?

- Mówi, że go koń poniósł.

Major Szczygieł dołączył do nas, czekał na rozbitków. Jakoś po chwili przymaszerowała większa kolumna. To ppor. Józef Górski zebrał po drodze przeszło 100 ludzi, sam lekko ranny przyprowadził oddział w czwórkach. Ten się ładnie spisał. Major Szczygieł go wyściskał. Razem zebrało się już 300 ludzi z całego batalionu, który mógł mieć około, a może ponad 1000 ludzi. Jeszcze nadciągały drobne, wystraszone grupki. Była to już jednak zbieranina bez broni, taborów i koni. Batalion był zdemoralizowany, niezdolny do walki co najmniej na parę dni. Dopiero teraz doceniłem ostrożny „szkolny” niemal marsz Wodeckiego ze Stemplewa.

Znowu przyszła jakaś grupka, wśród niej Świątnicki i paru jego ludzi. Podbiegłem do niego.

- Co z ppancami?

- Pan podchorąży Dux nie żyje.

Więść uderzyła mnie mocno, spuściłem głowę.

- Pan porucznik Janiak w niewoli, z Jędraczkami nie wiem co się stało.

- A z waszym działkiem?

- Zostało tam, konie nam zabili, jakiś czas ciągnęliśmy, potem Niemcy dali ognia z dwu stron, wszystko zaczęło uciekać, wszyscy stracili głowy. Nikt nie dowodził, ci co mieli rozkazywać - uciekli. Nagle wybiegł pan podchorąży Dux z pistoletem, strzelał do uciekających, zatrzymywał ich, zostawił działka, zabrał ze sobą jeden ckm i poszedł do natarcia. Dalej nie wiem co się stało, wiem tylko tyle, że pan podchorąży nie żyje. Myśmy wtedy uciekali z działkami.

- Idźcie teraz na punkt zborny batalionu. Ja teraz jestem w III batalionie. W razie czego to się do mnie zgłóście.

Władek Dux - spaliśmy opodal siebie na kursie. Połączyła nas jakaś niewidzialna nić przyjaźni powstała w Biedrusku. Wspólne dowodzenie w ckm'ach wśród rezerwistów 36 pułku. Potem Kalisz, kurs ppanc. Było nas ośmiu, gdy pięciu poszło do swych pułków, a jeden - Kamecki zachorował i odszedł do szpitala, a potem do domu, zostaliśmy sami. Więzi zacisnęły się, przyjaźń okrzepła. Potem przyszło Sadowie, spaliśmy, jedliśmy, chodziliśmy i bawiliśmy się obok siebie. Wielowieś - tu mnie pielęgnował, gdy byłem chory. W Szczypiornie nas rozdzielono. Potem w Gostycynie powstała jakaś rywalizacja między nami o to czyj pluton lepszy. A jeszcze 30 sierpnia byliśmy razem w Kaliszu w „Ziemiance”. Potem to nieporozumienie pod Turkiem, ale w głębi naszych serc było inaczej, przyjaźń się nie startła. Wygrałem zakład w Wielowosi, wojna stała się faktem, ale z tym faktem związana jest śmierć Władka. Usiadłem na działku, było mi bardzo smutno. Odszedł drogi kolega, miał ciężkie życie, a mimo to skończył prawo i ekonomię mając 22 lata. Odbył wojsko i zginął. O śmierci Władka powiedziałem Zdunkowi, był żołnierzem jego plutonu. Tak było zawsze, on miał „swoich” żołnierzy i ja swoich.

Zaczął powoli szarzyć. Dochodziła czwarta. Po dwu żołnierzy czuwał, reszta spała tuż przy armatkach. Wyznaczyłem też dyżur działonowych, teraz miał czuwać Szymczak.

- Skrzypski, wy będziecie moim gońcem, ja tu pójde na próg domu, w razie czego to pan kapral mnie łatwo znajdzie, cały czas będę w rejonie tego domu.

Poszedłem jeszcze do przodków, jeden zostawiłem na miejscu, drugi wysłałem na inne podwórze. Zajrzałem na kwaterę majora Wodeckiego.

Usnął na słomie rzuconej na podłogę. Wszedłem do sieni, usiadłem na schodach, skryłem się w sobie i przytulony do muru usnąłem.

Obudziłem się. Było parę po szóstej. Ósmy dzień wojny. Wstałem, wszystko mnie bolało. Przeciągnąłem się parę razy i poszedłem do przodków.

- Zaraz zająć mi się końmi. Śniadanie na własną rękę, może będzie kawa, a może nie.

Poszedłem na kwaterę majora. Spotkałem tu podchorążego st. strzelca Szurka, pełnił przy Wodeckim rolę „sekretarza” i d-cy pocztu. Powiedziałem mu o śmierci Władka.

Major już się obudził, zwrócił się do mnie.

- Niech pan tylko dobrze pilnuje mostu. Dziś trzeba się tu spodziewać Niemców. Po obu stronach mostu są kompanie siódma i dziewiąta, ósma przeciwsturmowa jest w samym mieście. Nie możemy się dać zaskoczyć jak pierwszy batalion, trzeba Niemców odprawić z kwitkiem.

Wróciłem na most, przechodził akurat na wypad oddział zwiadowców konnych z Szumigalskim na czele. Jechał też z nimi Świątnicki.

- Jadę panie podchorąży poszukać działka - krzyknął do mnie.

Przez most przeszła zmiana na placówkę, a od strony npla jeszcze kilku żołnierzy z rozbitego baonu. Leżeli całą noc nad rzeką, bali się podejść, myśleli, że tu są Niemcy. Tymczasem na most przybyli saperzy, sierżant i jeden podchorąży - kaliszczanin. Most był podminowany i w odpowiednim czasie miał być wysadzony. Saperzy stali się kompanią zmotoryzowaną po walkach 60 pułku pod Uniejowem. Stało się to możliwe dzięki zdobytym na Niemcach samochodom. Zaskoczony byłem, gdy widziałem pierwszy, czarny wóz niemiecki z tabliczką WH, a w nim polskich saperów w skórzanych kurtkach, czarnych беретach na głowie. Takich wozów było więcej, tylko, że dużo spalono.

Moi żołnierze wrócili z „połowu” w Dąbiu z kieszeniami obładowanymi chlebem, czekoladą, cukierkami i marmoladkami. Od każdego dostałem garść. Teraz ja wypchałem sobie torbę i maskę tymi produktami. Od jednego z żołnierzy dostałem w prezencie notes i ołówek pochodzący z rozbitej księgarni. Ze składu aptecznego były brzytwy, żyletki i mydło. Ale największą radość sprawiły nam dwa dobre patefony, kilkanaście płyt i wino. Rozdzieliłem to pomiędzy działony - teraz

przy którym działku będzie słycać śpiew i muzykę. I rzeczywiście już po chwili dały się słyszeć słowa piosenki, którą słyszałem rok temu na dancingu Ciechocinku: „*Bu-hu, ja muszę znów usłyszeć kilka twoich słów*” Następna płyta z Popławskim i jego piosenką „*Pokochaj mnie ...*” zgromadziła koło naszych armatek wielu słuchaczy. amatorów Nic dziwnego, że przy moście zaroilo się od słuchaczy.

Wracał teraz jakiś patrol konny, między innymi Świątnicki, który nie znalazł działka, widać Niemcy już je zdążyli zabrać.

Wyszedł Wodecki.

- Wie pan - zwrócił się do mnie - tylko jedna kompania motorowa narobiła tyle bigosu I-mu batalionowi. Żeby tam choć pomyślano o walce, ale wszystko zwiewało aż się kurzyło. Po południu urzędę próbę przeciwwuderzenia ósmą kompanią przez most, zrobi się tak, jakby to było naprawdę. Pan też swoich ludzi cofnie, a potem rzuci do mostu.

Zbliżała się pora obiadowa, ale czas ten mogliśmy wypełnić tylko słodyczami. Poszedłem nad rzekę, umyłem się i wymoczyłem nogi, które dawały mi się ostatnio we znaki zwłaszcza po ostatnich marszach. Bądź co bądź miałem w nich odległość między Skalmierzycami a Dąbiem. Mimo to czułem się w formie. Akurat kończyłem mą toaletę gdy zawołało mnie do majora.

- Widzi pan tam w prawo pod lasem czołg.

Przybył major, patrzyliśmy przez lornetki wszyscy trzej - rzeczywiście coś się czerniło, czołg rozpoznawczy, czy też krzak. O ile to czołg, to warto go ośmielić, może więcej ich wyjdzie. Postanowiliśmy obserwować jego ruchy. Wyznaczyłem specjalnego obserwatora na moście i wróciłem na podwórze. Nastąpiła próba. Cofnąłem swoje działony, ale major zmienił decyzję i koniec końców nie wzięliśmy udziału w ćwiczeniach. Pozostała mi więc rola obserwatora. Z rynku wybiegła ósma kompania z Kurowskim na czele. Biegli z bagnetami na karabinach, twarze poważne i skupione jak przed bitwą. Dopiero na moście przekonali się, że to tylko ćwiczenia. Działka znów wróciły na swoje stanowiska. Zbliżał się wieczór, przyjechał do nas jakiś pułkownik-saper, rozmawiał z majorem Wodeckim. W rezultacie major wezwał mnie do siebie.

- Weźmie pan jeden działon i zrobi pan z drugiej strony mostu barykadę.

Zrobiło mi się żal moich ludzi, ale trudno. Wziąłem działon Kozy i pomaszerowałem na most. Barykada miała spełniać swe zadanie w nocy, czołgi najadą na nią, może się na chwilę zatrzymają, a wtedy będzie można do nieruchomych skuteczniej postrzelać z działek. Miałem trochę wątpliwości, czy czołgi nie podejną za blisko, ale dowódca nie podzielił ich i kazał wykonać barykadę. Do budowy wykorzystałem dwa wozy i jakąś ciężką rolwagę, przyciągniętą z miasta. Zamknąłem nimi szosę, ale nie przewróciłem a ustawiłem w ten sposób, aby nadjeżdżający czołg popchnął je do przodu powodując dużo hałasu. Powinno to osłabić impet uderzenia, a to umożliwi nam skuteczny ostrzał.

Zdziwiłem się bardzo, gdy wróciłem na stanowisko. Oto nadjechało działo artylerii pułkowej z działonowym sierżantem Skrzypczyńskim ze Szczypiorna. Ustawiono je w środku między działkami, ale wąska przeźreń jezdni zrobiła to, że między działkami zniknęły odstępy. W ten sposób w akcji ludzie potracą głowy, będą wpadać na siebie. Zwróciłem się z tym do majora. Kazał usunąć mi jedno działko i ustawić je na chodniku. Nic to jednak nie dało bo chodnik był o wiele niżej od jezdni, co spowodowało, że działko nie mogło skierować lufy na szosę. Nic jednak nie mogłem zrobić i pozostało mi pogodzić się z decyzją przełożonego. Wycelowałem działko na dolną linię pudeł wozów, aby w nocy strzelać w ten punkt, gdzie prawdopodobnie zatrzyma się czołg. Ostatnim spojrzaniem obrzuciłem nasz brzeg mostu – wyglądał imponująco. Może postrzelamy dzisiaj.

Zapał wieczór. Poszedłem na stanowisko. Dookoła panowała cisza, z nad rzeki ciągnęło przenikliwym chłodem. Usiadłem na poduszce i zamyśliłem się. Oto jak wyglądał nasz opór nad Wartą, pod Uniejowem. Niemcy zaszli nam drogę z boku, walczyliśmy o przeprawę. Niemcy też przeszli Wartę i oto już kilka kilometrów za Uniejowem znieśli nasz batalion, a teraz czekamy ich nad Nerem. Kiedy się wreszcie skończy to cofanie? Rozmawiałem z wielu ludźmi na ten temat. Tłumaczono mi to różnie, a to że wobec naszej zwycięskiej ofensywy na Prusy Wschodnie zmuszeni jesteśmy chwilowo tu do obronnej postawy; że to tylko chwilowo, potem nabierzemy rozpędu i w parę tygodni ujrzymy Berlin. Ciekawą opinię wygłosił dzisiaj jeden oficer – saper. Ta nasza chwilowa wstrzemięźliwość unaoczniała światu postępowanie Niemców

w stosunku do ludności cywilnej i potem będziemy mieli wytłumaczenie przed opinią międzynarodową naszego marszu do serca Niemiec – Berlina. Przeważały opinie, że wojna potrwa najwyżej miesiąc. Nadchodziły wiadomości o zwycięskiej ofensywie aliantów i tylko czekać na nasze kontrnatarcie i złamanie Niemców. Jeszcze dziś przynieśli nam, saperzy nowinę o wystąpieniu po naszej stronie Holandii, Belgii, o tym, że Włochy zerwały z Niemcami, że Ameryka się szykuje. Im już dziś brakuje materiałów pędnych. Pewnego dnia wszystko to stanie na szosach, samoloty nie będą mogły się wzbić. Nie chciało mi się jakoś w to wierzyć. Niemcy gdy się zdecydowali na wojnę musieli się do niej przygotować, ale komu to można powiedzieć. Zaraz zaczęłyby się podejrzenia o sianie nastrojów defetystycznych, tchórzostwo a nawet zdradę. Patrzyłem w dal na szosę, jakoś ani śladu niebezpieczeństwa. Wprost nie chciało się wierzyć, że jest wojna.

Grabów Łęczycki

Obudzono mnie 10 minut po północy 9–ty września. W sali panował jakiś ruch. Wyjrzałem na dwór, działa już nie było, na jego miejscu stało moje drugie działko.

– Co się stało? – spytałem.

– Pan major tak kazał – odpowiedział mi Koza.

– Wróciłem na kwaterę, natknąłem się na majora.

– Odchodzimy, pan tu zostaje na moście dla osłony odmarszu. Poczekaj pan na przybycie kawalerii.

W istocie szybko zaczęto się zwijać, telefoniści likwidowali linię, major już odszedł, przez most przeszła placówka.

– Panie podchorąży, a my nie idziemy? Spytał Koza.

– Widzicie, że stoimy.

Wszyscy się jakoś od razu obudzili, zaczęli komentować nasze pozostawienie. Okuń zaczął coś tłumaczyć, „Niemcy nas zafasują” doleciało do mnie.

– Pst – zamknąć się, cisza – rzuciłem.

Minęło dziesięć lub piętnaście minut. Wróciłem na kwaterę, drzwi zostawiając otwarte, żeby się nie bali, że im zwiąłem. Usiadłem na podłodze. I znowu odwrót, a przecież do tej pory nie oddaliśmy ani jednego

strzału. Pograżonego w tych smutnych dopadł mnie sen. Nie spałem jednak długo bowiem na moście zadudniły kroki. To zbliżyła się spieszona kawaleria pod dowództwem oficera.

- Zostawcie nam chociaż działka - zwrócił się kawalerzysta do adiutanta Wodeckiego, który szedł obok niego.

- Macie przecież kb spec., a poza tym możecie ulokować po domach żołnierzy z benzyną i podpalać czolgi.

- Żeby pana! Kawalerzysta machnął ręką.

Adiutant zbliżył się do mnie.

- No niech pan zabiera działka i na punkt zbiórki na rynku.

Odszedł zaraz. Wydałem rozkaz do odmarszu. Zaobserwowałem ulgę na twarzach. Po chwili maszerowaliśmy ulicą. Na rynku gromadził się batalion. Przy jednej kompanii spostrzegłem Janusza Madejskiego, kolegę ze szkoły a zarazem z podchorążówki, jedyne go z paczki tureckiej, który służył jako zajac w kompanii strzeleckiej jako drużynowy. Niestety na dłuższą rozmowę nie było czasu. Otrzymałem rozkaz, miałem osłaniać armatkami kolumnę od tyłu, maszerować jeszcze za taborami. Kolumna ruszyła, czoło skręciło na szosę w stronę Grabowa Łęczyckiego, w którym jeszcze nie tak dawno nocowaliśmy. Świtało gdy opuszczaliśmy miasteczko. Minęliśmy rynek, jakąś ulicę i znaleźliśmy się na znanej mi szosie. Jechałem rowerem obok działek. Było piekielnie zimno, a ja niepotrzebnie płaszcz i hełm zostawiłem na działku.

Z lewej strony mijala nas 7-ma kompania. Zatrzymałem działka i kompania Ślązaka weszła między nas a tabory. Widocznie tył nie był zbyt pewny. Niemcy mieli być przecież niedaleko od Dąbia, kawaleria ich długo nie utrzyma. Przypomniało mi się coś, oto w 3-ej kompanii ckm'ów służy sporo z moich kolegów z podchorążówki, w tym paru „Turków”, między innymi Stasiak Marszel. Dobrze byłoby się z nim zobaczyć, ale musiałem z tym poczekać do rana. Tymczasem zimno mi dokuczało, dlatego zsiadłem z roweru i szedłem pieszo. Faktem jest, że pomogło, ale znów zachciało mi się piekielnie spać. Słyszałem, że zmęczeni żołnierze potrafili ucinać sobie drzemkę podczas marszu, ale nie zawsze wychodziło to im na zdrowie. Klimczak zasnął i wszedł pod samochód, który go porządnie poturbował choć poza paru guzami i zadrapaniami nic mu się na szczęście nie stało. Dobrze robią papiero-

sy, ale w nocy nie można palić. Zmęczenie doskwierało również moim żołnierzom. Usadowili się na działkach tak, że oprócz woźnicy jechało na nim czterech ludzi – rzecz nie do pomyślenia w czasie pokoju. Co pewien czas następowała zmiana. I tak wojna rewidowała wiele z tego, czego uczono nas w podchorążówce. Inna rzecz, że do tej pory nie-wiadomo, czy to wojna czy manewry. 9-ty dzień wojny, a mój batalion jeszcze nie strzelał, za to w nogach mieliśmy sporo kilometrów, bo od Skalmierzyc to droga daleka. W porównaniu z tym odległości jakie pokonywaliśmy na manewrach wydawały się teraz niewinnymi spacerkami.

Na ranem znów poszły w ruch patefony przeganiając wśród piechurów resztki snu. Wesołe melodie wywoływały duże zdziwienie wśród mieszkańców mijanych wiosek. Co dziwne, ale mijaliśmy coraz więcej wsi, których mieszkańcy nie uciekli jakby nie wierząc w celowość ewakuacji. Widząc jak wyglądała w praktyce ta ewakuacja, przyznałem im rację.

Nadarzyła się stosowna okazja, aby dojechać do Staśka. Kapral Szymczak będzie moim zastępcą, w razie czego pchną po mnie gońca. Ruszyłem w drogę. Po drodze minąłem 7-mą kompanię a w niej dostrzegłem na taczankach plutonowego Sikorskiego z Konina i poznaniaka Adama Bogdanowicza. Byli to moi koledzy z kursu, Adam był nawet prymusem plutonu km. Podjechałem do nich.

- Jedź jeszcze do przodu, tam spotkasz swoich „Turków” – Antka i Staśka.

Jakoś za 9-tą kompanią ciągnęła się 3-cia komp. ckm'ów por. Tadeusza Schneidera. Przy jednej z biedek znajoma sylwetka, dogoniłem go, klepnąłem w plecy. Za chwilę ściskaliśmy się ze Staśkiem Marszlem.

- Odkąd ty u nas? – zapytał mnie – przecież byłeś, zdaje się w pierwszym batalionie?

- Tak. Ale w Stemplewie przeszedłem do was, może uniknąłem w ten sposób końca pod Wieleniem gdybym pozostał przy majorze Szczygłe. A ty Stasiek co porabiałeś?

- Myśmy wyszli niedługo po was z Kalisza, jakoś 25 sierpnia, obsadziliśmy później Nosków – Sulistawice – Piwonice.

- A co w Turku?

- Ja – mówił Stasiek – jeszcze 4-go wieczorem wyrwałem się naprzód na rowerze, ale już matki nie zastałem. 5-go widziałem się jeszcze na wsi

z ciotką. Wiesz, jak to ciężko zajechać do opuszczonego domu. Nie czas jednak na roztkliwianie się – Stasiek zmienił temat rozmowy.

– Pamiętasz Tadek czasy szkolne, ile myśmy na nie narzekali, a jak były szczęśliwe. Przypominasz sobie nasze rozmowy, spory. Jakie to dziś odległe. Ty jeszcze miałeś swoje sprawy polityczne, organizacyjne, piśmo, kółka. Zawsze się dziwiłem, że ci się jeszcze chce. A teraz co...?

– Teraz wojna – dokończyłem.

– Co sądzisz, Tadek, jak długo będzie trwała wojna?

– Sądzę, że długo. Spójrz dziś jest 9-ty dzień wojny, a my nawet wroga nie widzieliśmy, nie mówiąc już o strzelaniu.

– Tak – powiedział w zadumie Stasiek – ale kto wie, co nasz jeszcze czeka. A powiedz mi szczerze, wierzysz, że wrócisz?

Zamyśliłem się. Długo nie mogłem zebrać myśli. Stało mi przed oczyma zdarzenie z orzełkiem.

– Wiesz Stasiek, trudno mi odpowiedzieć, choć mam co do tego wątpliwości. A ty – zrewanżowałem mu się tym samym pytaniem.

– Ja wierzę, że wrócę. – odpowiedział bez wahania.

Przyłączył się do nas – Leszek Grabowski „Turek”. Poznaliśmy się jeszcze w szkole, potem był w orkiestrze wojskowej. Teraz spotkaliśmy się jak żołnierze. Znali go zarówno oficerowie i podoficerowie. Prawie ze wszystkimi był na „ty”, ogólnie morowy chłop.

– I co Tadiusz, twoje plany diabli wzięli. Widziałeś choć rodziców.

– Nie.

– Ciekawym, kto z nas wróci – powiedział na odchodnym.

Od Staśka dowiedziałem się też o losach dwu innych kolegów z kursu, Antku i Bertoldzie.

– Antek Muszyński jest karabinowym – mówił Stasiek, a Bertold Steinbart dowódcą czy też zastępcą dowódcy plutonu w II ckm'ach.

– Ja bym mu za bardzo nie wierzył – powiedziałem.

Byliśmy tak pochłonięci rozmową, że nie zauważyliśmy nawet jak znaleźliśmy się jakiejś wsi czy osadzie. Było już jasno, pełno ludzi wyległo na drogę i przyglądało się nadchodzącemu wojsku. Zrozumiałem, że czas wracać do swoich. Uścisnęliśmy w milczeniu sobie dłonie silnym, męskim uściskiem. Czy się jeszcze zobaczymy – pomyślałem. Stałem aby poczekać na działka. Po chwili Stachu zniknął mi z oczu.

Czekałem na skrzyżowaniu dróg pół godziny. Batalion wchodził w zabudowania dużego folwarku. Skręciliśmy pod drzewa i zatrzymaliśmy się w cieniu na odpoczynek. Mieliśmy za sobą jakieś 15–17 km. Usiadłem na działku, żołnierze pokładli się na ziemię. Widać było jednak, że zapowiada się dłuższy postój. Poszczególne oddziały szukały zakwaterowania w stodółach. Znalazłem wolne klepisko i kazałem tam rozlokować się moim żołnierzom. Wreszcie mogłem usiąść. Wyjąłem i wypełniłem kartę zaprowiantowania i udałem się z nią w stronę dworu, gdzie stały kuchnie i taborzy trzech kompanii strzeleckich. Zbliżyłem się do siódmej.

- Panie szefie, ja przynoszę tu stan do zaprowiantowania plutonu ppanc.

- Rychło w czas, od 24 sierpnia minęło przecież dosyć czasu.

- Tak, ale od Stemplewa jestem dowódcą tego plutonu.

- Ja w to nie wchodzę, ale dziś jeszcze nie dostaniecie obiadu.

- Panie szefie, o ile się nie mylę, to właśnie od 24 sierpnia ppanc płaciła za pluton stawne, co?

- Ale tu chodzi o formalności.

- Czy w boju też będzie o to chodziło?

Skierowałem się z powrotem, z daleka zobaczyłem Steinbarta. Ze względu na jego rasistowskie poglądy byliśmy na bakier. On był hitlerowcem i nie ukrywał swych przekonań.

Na spóźnione śniadanie zjedliśmy zapasy jeszcze z Dąbia. Dostaliśmy jednak kawę i co najważniejsze – papierosy. Z tym było już gorzej, dał mi trochę Stasiek, ale za mało jak na pluton. Zaraz potem wezwał mnie major i polecił utworzyć stanowisko ogniowe na szosie. Po wykonaniu rozkazu zarządziłem generalną toaletę w działonie. Sam ogoliłem się, podstrzygłem i poczułem się po tym jakiś rzeświejszy. Wyszedłem na drogę. Akurat przeciągała rowerowa kompania OZ, ciągnęli w prawo na Grabów. Skrzypskiego wysłałem na rowerze do Grabowa na zaciągnięcie języka, a przy okazji miał poszukać naszego wozu. Skrzypski wrócił szybko z wiadomością, że wóz kompanijny znajduje się przy II batalionie za Grabowem.

Było trochę czasu więc pojechałem do miasteczka. Leżało ono o jakieś 800 m od dworu. Wjeżdżałem w nie po wybojach, z prawej grało gdzieś radio, tłumy ludzi kręcili się tu i tam. Migwały mi znajome twa-

rze. Niepomniecznie zdziwił mnie natomiast widok sklepów, w których kupowało się towary za pieniądze. Wjechałem na rynek, na środku którego królował skwer. Jakież było moje zaskoczenie gdy spotkałem Jędrzejczaka z II-go plutonu, który był pamiętnego dnia w I baonie.

- Jakim cudem się pan uratował? - spytałem.

- Wycofałem się zaraz do tyłu - tłumaczył mi kapral. Wszystko wiało, nie miałem na co czekać. Pan podchorąży Dux szedł wtedy do walki, zostawił nas. Później się błąkałem, aż wreszcie znalazłem swoich.

- A co z Janiakiem - spytałem.

- Znalazł się.

To mnie bardzo ucieszyło. Stały tu jeszcze działony Nowaka i Wojtczaka. Spotkałem również szefa Bednarskiego stojącego przy kuchni, a z nim kaprala Jańskiego i Rybczyńskiego. Szef był jakby zmieniony, zaproponował mi obiad z kotła. Zjadłem z radością, potem obdarował mnie jeszcze papierosami. Przy kuchni mistrzami ceremonii byli Musioł i Lewandowski - starzy znajomi, co odbiło się korzystnie na zawartości talerza. Kuchnia miała jednak więcej wielbicieli, przychodzili wygłodzeni i utrudzeni marszem do nikąd cywile - kobiety i dzieci. Szef ich karmił, ale ponosiło go na widok młodych łazików. Tych przepędzał bezlitośnie krzyżąc niemilosierdzie:

- A co włączyć się po szosach chcecie, a bić nie laska, wy będziecie żreć, a żołnierze będą głodować.

Gdy natręt był żołnierzem dawał się przekonać. Włóż mu tam Musioł - mówił.

Dowiedziałem się też o miejscu pobytu kapitana Wultańskiego i postanowiłem go odszukać. Po drodze spotkałem Borowiaka i Janiaka. Przywitaliśmy się jak po bardzo długim niewidzeniu. Byli wyraźnie ucieszeni. Janiak błąkał się po drogach i polach. W bród przechodził rzekę zanim odnalazł nasze wojsko.

Kapitan kwaterował w większym domu po lewej stronie rynku.

- Cieszę się, że was widzę razem. Jeden z nas już odszedł. Dux był dobrym żołnierzem, szkoda go, dzielny chłopak.

Siedzieliśmy razem, opowiadając sobie wzajemnie, gdzie kto był, co robił. Przyszedł jeszcze dowódca pionierów, porucznik Kuśmirek. Wreszcie zaczęliśmy się rozchodzić. Kapitan w sprawach służbowych,

porucznicy na wiadomości południowe w radio, ja musiałem odprowadzić wóz. Podjechałem do II batalionu. Przy naszym wozie stał akurat znajomy z ćwiczeń rezerwy turkowianin Jarosz, który od razu mnie poznał i podbiegł przywitać się. Poprosiłem go, aby odszukał kaprała Malinowskiego, – dowódcę pocztu – aby ten dopilnował powrotu naszej zguby wraz z załogą. Oprócz wozu udało mi się jeszcze odzyskać rower porucznika Suskiego, na którym odbyłem drogę powrotną. Po drodze mijalem rzeźnika i nie mogłem się oprzeć pokusie, aby kupić jak za dawnych dobrych czasów kawałek wędliny. Wędlina była sporym pętem kielbasy, który mimo „obiadu” z dziwną łatwością połknąłem. Wszedłem jeszcze na pocztę spróbować wysłać list do Warszawy, ale nic z tego bo działał tylko telefon, a obsługa już była wojskowa. Na rynku spotkany tam porucznik Borowiak opowiadał mi najnowsze wieści z frontu.

– Grupa Bortnowskiego obsadza Prusy Wschodnie, na zachodzie Francuzi biją Niemców, flota angielska ma dużą przewagę na morzu.

Podniesiony tymi optymistycznymi wiadomościami dotarłem wreszcie do swego działonu. Tu już czekał na mnie goniec od majora – na odprawę.

– Batalion nasz wyruszy za godzinę przez Grabów – mówił major – z ogólnym kierunkiem na Mikołajewice w rejon Łęczycy. Marsz ubezpieczony działkiem ppanc. zorganizuje podchorąży Pietrzak – zwrócić się do mnie – jedno działko na przodzie, drugie z tyłu. Być może, że już wkrótce batalion nasz wejdzie w strefę działań wojennych. Kończymy nasze cofanie się, przechodzimy do natarcia.

– I to już tylko kwestia paru tygodni – dodał adiutant majora. Prusy nasze. Francuzi odnoszą druzgoczące zwycięstwa i teraz my ruszymy naprzód.

– Tak, Niemcom dają się odczuwać braki w dziedzinie środków napędowych, kwestia paru dni i ich samoloty, samochody, maszyny staną, zapasów nie mają – dodał kapitan Ślązak.

– Teraz kolej na nas – zakończył major Wodecki. A teraz panowie przeczytajcie sobie instrukcję, która została znaleziona w strąconych samolotach niemieckich.

Czytałem odpis polskiego tłumaczenia. Rzeczywiście Niemcy zna-

komiecie się zorganizowali. Były w tej instrukcji znaki porozumiewawcze między armią niemiecką, a miejscowymi Niemcami, rozpoznawanie Niemców w armii polskiej i przechodzenie ich na stronę niemiecką, hasło „Echo”, żółte wstążki jako znaki, instrukcje w sprawie sabotażu, dywersji dla miejscowych Niemców i słowa o wyzwoleniu praniemieckich ziem z polskiego jarzma. Krew mogła człowieka zalać.

Oczekiwanie

Wymarsz. Działon dołączył do czoła kolumny do kapitana Ślązaka. Za nami i jego kompanią szły kaemy, potem ósma kompania. Od Grabowa nadjechał mój wóz i jakieś nowe działo, a na dokładkę ppor. Suski. Przywitał się ze mną.

- Wracam na swój pluton z powrotem. Pan ma dostać nowe zadanie, ale teraz chwilowo proszę zająć się moim trzecim działonem.

W działonie z uciechą spostrzegłem moich znajomych, obu z młodego rocznika, Czarnoleskiego i Śniegowskiego. Od niego dowiedziałem się, że ludzie z naszej kompanii przeznaczeni do zmotoryzowanych działek gdzieś z Kalisza wyjechali.

- Przez cały czas panie podchorąży źle się nam działo. Nikt się nami nie zajmował i chodziliśmy głodni. Bałagan był okropny, robili z nami co chcieli, odłączyli nas od plutonu.

Co miałem powiedzieć, pokiwałem tylko ze zrozumieniem głową. Wchodziliśmy teraz na rynek Grabowa. Ścibor zbliżył się do mnie.

- Upatruję, wie pan, kogoś z Turku, był tu mój brat, ale nie mogę go odnaleźć.

Rozglądałem się i ja, ale widziałem tylko sporo Żydów. W prawo dostrzegłem nagle urzędnika od komornika tureckiego, małego człowieka. Uśmiechnęliśmy się do siebie. Znałiśmy się do tej pory tylko z widzenia.

Szedłem z Suskim, ale nie pytałem go o nic, podzieliłem się z nim natomiast papierosami. Przemarsz przez Grabów poszedł szybko i ani się obejrzelśmy gdy mijaliśmy rogatki miasteczka. Przyszedł też czas na podział zadań między Suskiego a mnie. On miał zostać przy dziewiątym działku, ja miałem się zająć siódmym i ósmym działonem. Dojechałem do Szymczaka.

- Panie kaprału, będę się posuwał przy działach czołowym, w razie czego tam do mnie przysłać gońca.

Długo jechałem zanim dobiełem do czoła siódmej. Major Wodecki i kapitan Ślązak jechali na czele na koniach, za nimi szło działko Kozy. Szliśmy szosą na Łęczycę, choć prawdę powiedziawszy nikt z nas nie wiedział jaki jest cel naszego marszu. Rozdane odcinki map świadczyły, że kierowaliśmy się na Aleksandrów i dalej na Łódź. Może weźmiemy udział w obronie tego miasta. Major wspominał jednak coś możliwości wcześniejszych starć, ale żeby się spotkać z nieprzyjacielem to trzeba by chyba obrócić się na Dąbie, Uniejów, chyba, że nam Niemcy znowu zasłżyli drogę.

Zaczęło się ściemniać, nic dziwnego był przecież wrzesień. Wraz z zachodem słońca robiło się znacznie chłodniej, ale przecież i tak nie można było narzekać. Tegoroczny ten wrzesień był wyjątkowo piękny. W dzień niebo bez jednej chmurki i ostro przygrzewające słońce przypominało raczej upalne dni lipca, a do tego ani śladu deszczu. Rzeczywiście wyjątkowy rok szkoda tylko, że był to rok wojny. Ściemniło się zupełnie, gdy doszliśmy do jakiejś bocznej drogi.

- Stój! Zejść w prawo - rozkazał Ślązak. Zeskoczyłem z roweru. Kapitan nakazał absolutną ciszę. Wojsko zatrzymało się po prawej stronie, przeważnie w rowie, żołnierze wykorzystali czas do odpoczynku. Kapitan usiadł w pewnym oddaleniu od oddziału. Zbliżyłem się do niego i usiadłem obok. Siedział tam jeszcze jakiś sierżant.

- No zaczyna się - odezwał się Ślązak. - Chcieliście bić Niemca, proszę bardzo, jest zaledwie o krok. Niech pan idzie - zwrócił się do sierżanta - do oddziałów, mają zachować ciszę i broń Boże palić.

Noc była jasna. Siedzieliśmy w milczeniu czekając z niepokojem, a zarazem dreszczem emocji na to co mogło się za chwilę zdarzyć. Gdzieś niedaleko Łęczycy. Major pojechał na odprawę i musimy czekać na jego powrót. Siedzieliśmy tak jeszcze z pół godziny gdy zjawił się major. Zaraz powstaaliśmy, zeszliliśmy z szosy w boczną piaszczystą drogę. Jazda rowem stała się teraz prawie niemożliwa. Zastanawiałem się czy jeszcze tej nocy przyjdzie nam zetknąć się z wrogiem. Ale gdzie jest ten wróg. Cisza wokoło słychać tylko cichy chrzęst piasku pod żołnierskimi butami

i skrzypiące od czasu do czasu wozy taborowe. Czyżby to była cisza przed burzą – pomyślałem. Naraz skręciliśmy w prawo i weszliśmy na jakąś wiejską drogę. Tuż przy pierwszej chałupie dostrzegłem działko Jędrasiaka. Podbiegłem do nich.

– Co wy tutaj – spytałem.

Nie zdążył mi odpowiedzieć, bo oto zza drzew wyszedł Wultański.

– Panie podchorąży, jutro z rana weźmie pan działon 9–ty i jako spec przejdzie pan do dyspozycji pułku.

Szliśmy teraz stale wsią. Ciemne chmury przesłoniły gwiaździste dotąd niebo. Zrobiło się ciemno. Kompanie zatrzymały się, widać będziemy nocować w tej wsi. Zatrzymałem działka, trzeba było poczekać na Suskiego, ale ten jak na złość się nie pojawiał. Moi żołnierze zaczęli się niecierpliwić. Nie miałem na co czekać. Wojsko było zmęczone i trzeba było udać się na odpoczynek, im szybciej tym lepiej. Weszliśmy do pierwszej z brzegu chałupy. Niestety kolację trzeba było sobie samemu zorganizować. Widać jednak było po twarzach, że chłopaki marzą już tylko o odpoczynku.

– Pamiętajcie tylko o koniach. Ja teraz idę do dowództwa. A nie zrobię ci takiego kawału jak pod Dąbiem. – dodałem na odchodnym.

Poszedłem szukać dowództwa, choć nie miałem zielonego pojęcia gdzie go znajdę. Widać jednak szczęście mi sprzyjał, bo po półgodzinnym błędzeniu, w odległości dobrego kilometra od moich działek znalazłem to czego szukałem. Niestety byłem spóźniony i narada odbyła się beze mnie. Dowiedziałem się tylko od adiutanta majora, że teraz odpoczynek, pobudka o trzeciej i potem idziemy do natarcia. Niemcy są niedaleko więc cały czas pełne pogotowie marszowe. Trzeba uważać, bo może być zasadzka.

Wróciłem do swoich. Dopiero teraz zacząłem odczuwać zmęczenie, i ściskający żołądek – głód. Dobrnąłem wreszcie do ppanców, zaszedłem do Szymczaka i wyznaczyłem służbę.

– Tylko niech wartownicy pilnują uważnie. Spać w pełnym oporządzeniu, hełmy obok siebie, karabiny między nogami, żeby w razie alarmu nikt nie szukał karabinu. Dobranoc.

Poszedłem do swojego działonu, który rozgościł się w chałupie. Na kuchni gotowało się mleko i jajka. Czekali na mnie i na kolację. W izbie byli cywile, jakieś dwie kobiety i dwóch wyrostków. Nic nie mówiłem do

żołnierzy. Po chwili zorientowałem się, że jesteśmy w niemieckiej zagrodzie co gospodarze chcieli najwyraźniej ukryć. Odkrycie ich pochodzenia podrażniło moich ludzi. Zaczęli mówić o Niemcach, o dywersjach, o Hitlerze. Jednak głód jakby przyćmił różnice narodowościowe i kiedy na stole pojawiło się mleko i jajka oraz dawno nie jedzony chleb, wszyscy ucichło bowiem obecni rzucili się na jedzenie. Po kolacji zapaliliśmy papierosy i wyszliśmy na dwór. Teraz wydawałem im rozkazy.

- Szczególnie tu musimy być ostrożni, nasi gospodarze to Niemcy. Sam gospodarz pewnie się ukrył ze strachu przed nami, wartownik musi uważać co się dzieje na drodze, żeby też nasz batalion nie odszedł, ale ma też pilnie uważać na zagrodę żeby stąd nikt nie wychodził. Mogą być próby dania znać o nas Niemcom, oni są niedaleko, za parę godzin się z nimi spotkamy. Teraz spać, ale broń przy sobie, działo ustawić koło drogi, konia w zaprzęgu. Zdunek spał na przodku, z resztą poszedłem do stodoły. Na klepisku było trochę słomy, ale i bez niej było wygodnie. Położyłem się, hełm na rękę, pistolet wyciągnąłem z futerału i włożyłem za pas, przykryłem się płaszczem. Koło mnie położył się z jednej strony Koza z drugiej Skrzypski. Nawet nie wiedziałem kiedy zasnąłem.

Obudził mnie huk artylerii. Momentalnie zerwałem się na równe nogi, włożyłem hełm. Żołnierze zaczęli szukać broni.

- Prędzej wychodzić! - krzyknąłem, ale nie było to takie łatwe. Wbrew mojemu ostrzeżeniu pomieszali karabiny i teraz wpadli w popłoch.

- Spokój do cholery! - ryknąłem.

Poskutkowało. Wypadli na dwór. Wyszędłem. Wokół panowała ciśza. Był to chyba jakiś zabłąkany pocisk, ale trzeba było uważać.

- Panie podchorąży, uciekamy - ktoś zapytał.

- Co wyście powariowali? - jak żywa stanęła mi sytuacja spod Dąbia. Trzeba zbadać co robią inne oddziały.

- Razem z Karolakiem wyszedłem na drogę, ale tam panował spokój.

Wróciłem na podwórze. Wiedziałem, że swym opanowaniem muszę dać im przykład, bo widać było wyraźnie, że się bali.

- No marsz z powrotem spać. Ale, ale, macie nauczkę, jak się śpi broń koło siebie. Gdyby tak na nas Niemcy wpadli, ładnie byśmy wyglądali. Weszliśmy do stodoły, położyłem się, żołnierze jakoś nie, czuwali. Pał ich sześć, jak chcą tracić sen. Usnąłem.

Obudził nas wartownik.

- Panie podchorąży, batalion zbiera się do odmarszu.

W jednej chwili żołnierze byli gotowi. Widać, że nocne wydarzenia zrobiły swoje. Wyszedłem na drogę, wsiadłem na rower, aby odnaleźć 9-ty działon. Cofnąłem się, ale nigdzie ich nie znalazłem. A może - przyszło mi na myśl - podporucznik Suski poszedł z działkiem do pułku. To bardzo prawdopodobne. Uspokojony pojechałem na czoło kolumny, która akurat wstępowała na szosę i kierowała się na Łęczycę, od której dochodziły głuchoe detonacje. Droga pięła się pod górę i gdyśmy znaleźli się na jej szczycie, oczom naszym ukazało się spowite dymem miasto. Nagle doszło do mej świadomości, że jesteśmy w kleszczach. W tyle za nami pozostało zajęte już na pewno przez Niemców Dąbie, przed nami znów Niemcy nacierający na Łęczycę. Spojrzałem na twarze idących obok mnie żołnierzy. Malowała się na nich jakaś powaga. Uprzytomniłem sobie, że oto idzie w bój batalion, który dotąd nie miał kontaktu z nieprzyjacielem.

Przedmieścia witają nas oczodołami okien wypalonych domów i sterzczącymi w niebo kikutami kominów. Dokoła nas roznosi się smród pogorzeliisk. Tu w nocy była ostra walka - pomyślałem. Przechodzimy teraz obok nasypu kolejowego, zza którego widać wstęgę szosy. Obejrzałem się do tyłu i zobaczyłem, że kolumna znacznie zmalała. Zniknął też z pola mego widzenia major, z daleka tylko dostrzegałem brnące przez pola oddziały mego batalionu. Byliśmy już jakieś półtora kilometra od miasta. Dalszą drogę zagrodziła nam rzeka. Cofnąłem się i razem z działonem zszedłem w pole. Nagle doszedł naszych uszu szum motorów. Jak na komendę wszyscy spojrzeli w górę. Wysoko nad nami krążyły niemieckie samoloty. Jak na złość nie było żadnych drzew ani niczego pod czym można było się ukryć. Szczęściem samoloty odleciały i nic się nie stało.

- Panie podchorąży, tam hitlerów prowadzą - zawołał Skrzypski.

Rzeczywiście, szosą prowadzono dwóch jeńców. Po raz pierwszy z tak bliska zobaczyłem mundury koloru feldgrau.

Byliśmy od Łęczycy o jakieś 2 kilometry. Mimo to dochodziły do nas odgłosy walki, grzechot ckm'ów, artylerię i wybuchy pocisków. Kiedy my pojedziemy w bój - zadawałem sobie pytanie. Tymczasem na szosie gromadziły się tabory. Wśród, nich dostrzegłem znajomą sylwetkę Su-

skiego. A więc 9–ty działon się znalazł – pomyślałem. Po kilku minutach już z nim rozmawiałem, powtórzyłem mu rozkaz Wultańskiego. Przyjął do wiadomości, ale właściwie gdzie szukać teraz dowództwa pułku. Przyznał rację. Wróciłem do swoich działek. Suski ulokował się gdzieś po drugiej stronie nasypu. Usiadłem w trawie obok swoich ludzi i siedzieliśmy już tak w milczeniu z pół godziny. Wszyscy myśleli tylko o jednym o walce i o tym, kto jej nie przeżyje. No cóż, wojna to nic innego, jak właśnie walka o życie. W tej chwili zajechały kuchnie artylerii. Zerwałem się, wziąłem paru żołnierzy i podbiegliśmy do nich. Jakiś kapral, podoficer kuchenny wydał nam grochówkę. Ale oto batalion zaczął się z lekka posuwać, ruszyła kompania ckm, a za nimi my jedząc po drodze zupełny Marsz nie trwał jednak długo, jakieś 200 m i znów stanęliśmy. Takimi skokami posuwaliśmy się jeszcze kilka razy. Na niebie znów pojawiły się niemieckie samoloty, ale tym razem przywitały je nasze działka przeciwlotnicze. Staliśmy, obserwowałem działanie działa, pociski gdzieś wysoko wybuchały, ale żadna z maszyn nie dostała, tyle tylko, że szybko się oddaliły. Znów powoli ruszyliśmy do przodu. W rowie leżały trupy naszych żołnierzy. Widok był zaiste wstrząsający i widziałem przerażenie na twarzach przechodzących. Oto kadłub bez nóg, dalej trup bez ramienia, tu znów odłupane pół twarzy. Ilość poległych się powiększała. To żołnierze z 60–go pułku, powiedział jakiś żołnierz, który podszedł, aby zidentyfikować przynależność pułkową poległych.

Marsz utrudniały leżące słupy telefoniczne wraz ze zwojami poskręcane drutu i drzewa, jedne wyrwane z korzeniami, inne przełamane jak zapalki. Nie trudno było się domysleć, że ten pogrom spowodowany został przez niemiecką artylerię. Świadczył też o tym zupełny brak trupów nieprzyjacielskich.

– Widocznie tędy od Topoli Małej musiało iść nasze natarcie – pomyślałem.

Znów spojrzałem w rów, w wodzie leżeli dwaj martwi żołnierze – jeden z wnętrzościami na wierzchu, drugi z rozbitą czaszką i urwaną nogą. Co dziwnego, ale wydało mi się, że po śmierci jakoś się pokurczyli, wydawali się tacy mali jak dzieci, przypominali figurki woskowe. Nikt z nas się nie odzywał. Nagle od kolumny zaczęły odłączać się pojedynczy żołnierze. Podbiegali do leżących i zabierali im, a to ładownice z amuni-

cją, a to chlebak. W pierwszym odruchu chciałem interweniować, ale po chwili zrozumiałem, że takie są prawa wojny. Tamtym to się już na nic nie przyda, amunicja mogła być użyta w dalszej walce.

Na szosie robiło się coraz ciasniej. Zeszliśmy na łąkę, aby maszerować dalej, ale ta zaślana była trupami poległych i trzeba było je omijać. Stopniowo ten przerażający widok przestał na nas robić jakiegokolwiek wrażenie i uważaliśmy tylko, aby nie nadebrać na nieżyjących. Co dziwniejsze, zamiast odwracać wzrok się od tego strasznego widoku, patrzyliśmy na każdego zabitego uważnie jakby podświadomie się ciesząc, że to nie my tam leżymy. Nawet konie się rozglądały, szły niespokojnie, strzygły uszami. Jakiś sierżant spadł z konia, który stąpnąwszy na trupa, stanął niespodziewanie dęba i przerażony uskoczył do tyłu.

Pochód zatrzymał się. Z Łęczycy ciągnęli cywile, jakaś kobieta z dzieckiem na ręku w samej koszuli, za nią mężczyźni, w rękach liche tobołki. Wszyscy uciekali, nikt ich się o nic nie pytał, uciekali z piekła.

Gdy tak stałem przyglądając się uciekinierom w pewnym momencie podszedł do mnie jakiś km'arz.

- Znalazłem przy jednym zabitym legitymację i kalendarz, podchorąży Fürus.

Wziąłem do ręki mały, trochę już wytarty kalendarz, z którego - jak zakładka - wystawała legitymacja. Otworzyłem ją. Rzeczywiście niesamowity wprost zbieg okoliczności - Fürus, mój kolega z kursu, ewangelik z Poznania. W kalendarzu, drobnym pismem notatki. 31-go sierpnia - list od matki; 1-go września - wojna i dopisek: „*nie mogę napisać do domu, co z nimi? noc - idziemy na Łęczycę*”. Wziąłem ołówek i dopisałem: „*10-go września - poległ w natarciu*”. Trzeba to przekazać rodzicom na pamiątkę. Zobaczyłem Antka Muszyńskiego, kolegę z którym przyjaźń się zerwała i podałem mu z prośbą o przekazanie ich bliskim poległego. Mógłbym to zrobić samemu, ale miałem jakieś złe przeczucia. Cofnąłem się do swoich. Dogonił mnie Suski, z boku minęły nas taczanki pod prymusem kursu Adamem Bogdanowiczem.

Wchodzimy do miasta pod niesłabnącym ostrzałem nieprzyjaciela. Wokół płonące domy, gruz na ulicach. Dochodzimy do rynku i tu wrzucenie chwyta za gardło - na ratuszu targana powiewami wybuchów polska flaga. Łęczycy jest nasza.

Ostrzał artyleryjski nasilał się. Jeden z pocisków uderzył w ratusz. Na chodniku leży trup w niemieckim mundurze. Z boku dochodzi nas jednostajny grzechot ckm'ów. Mijamy rynek gdy nagle z przeraźliwym świstem pada mi prosto pod nogi pocisk. Fontanna piachu i odłamki płyt chodnikowych wzbijają się w górę. W pierwszej chwili nie wiem za bardzo co się stało. Po chwili już wiem – miałem niebawale szczęście – to uderzył pocisk, który jakimś cudem nie eksplodował. Uświadomiłem sobie nagle, że mogłem wyglądać tak, jak ci nieszczęśnicy na łące. Ale nic to. Trzeba się cofnąć. Biegiem wracamy na spowity dymem rynek. Widzę, że wszystko ucieka w popłochu. Sytuacja zaczyna się wymykać spod kontroli. Nie ma rady. Wyjmuję pistolet i ochryplym głosem krzyczę

– Stać! Nawracać!

Działka zatrzymują się, przez moment stoją jakby niezdecydowane, ale przeważa widać poczucie obowiązku, bo nawracają. Ludzie przywierają do ścian, szczęśliwcy wpadają do otwartych bram. Rozglądam się. W sieni pobliskiego domu dostrzegam jakiegoś koniarza i Suskiego. Obok nich nieznanym dwóm młodym kobietom.

– Proszę panów – mówi jedna – to straszne, oni już tu byli dwa dni. U nas byli na kwaterze oficerowie, dowiedzieli się, że myśmy tu uciekły z Ostrowa. Mówili, że nas odwiedzą jak wrócimy. Ale już poszli. Ich było dwa razy więcej niż was. Was tak mało, ale wy nasi żołnierzyki, nie dacie się im – prawda? To pytanie zostaje jednak bez odpowiedzi, bo i cóż tu odpowiadać.

Ruszamy. Znów wchodzimy w tę samą ulicę. Upała potęgują płonące domy i dymiące, ale wciąż bijące żarem, zgliszczka. Nagle warkot. Padam na ziemię. Widzę wytryskające gejzery ziemi – to pociski z karabinu maszynowego wrogiej maszyny. Wszystko trwa tylko chwilę. Wstaję. Dochodzą mnie jęki rannych. Sanitariusz prowadzi chwiejącego Janka Polkowskiego.

– Dostałem w obie nogi – mówi do mnie nieswoim głosem, jakby chciał się usprawiedliwić.

Idziemy dalej, ulica się kończy, rzeka. Przechodzę przez mostek na łąkę, na której rozlokowują się kompanie. Czekamy, Niemców nie widać, za to ich artyleria wali jak wściekła. Rezultaty tego ostrzału widać na przeciwnym brzegu, z którego przed chwilą przyszliśmy. Nad wodą

rośnie grube drzewo, dosięga do niego most, z boku rozrywa się pocisk. Ktoś krzyczy. Seria, pocisk za pociskiem. Żołnierze rozsypują się, padają na ziemię. O jakieś 200 m stoją dwa działa naszej artylerii, ale strzelają tak rzadko.

Wreszcie trochę się uspokoiło. Mimo grozy sytuacji chce mi się piekielnie spać. Oczy zamykają mi się ze zmęczenia. Nagle silny wybuch gdzieś chyba w pobliżu, bo ziemia aż drży od wstrząsu. Podrywam się natychmiast i szybko oceniam sytuację. Jest tylko jedno działko ppor. Suskiego, Szymczak widać odszedł z inną kompanią. Podchodzę do oficer. Tuż koło niego w wysokiej trawie coś się rusza. Podchodzimy bliżej i naszym oczom ukazuje się przerażający widok. Obok siebie leżą dwaj niemieccy żołnierze. Jeden nienaturalnie wykręcony – nie żyje, drugiemu skurcz bólu wykrzywia twarz. Jedna ręka ściska wychodzące na wierzch trzewia, druga z głęboką raną leży nieruchoma.

- Dobić go – ktoś mówi. Nikt jednak się do tego nie pali. Gdy tak stoimy znów zaczynają padać niemieckie pociski. W jednej chwili wszyscy ruszają do przodu, aby uniknąć śmierci. Chwytam rower i podążam za Suskim, który właśnie ruszył szybko z działkiem Łuczaka. Szybko oddaliśmy się od niebezpiecznego miejsca. Oglądam się za siebie. W miejscu gdzie leżeli Niemcy widnieje teraz głęboki lej. Biegniemy w stronę zabudowań. Po drodze muszę zbierać i poganiać maruderów, którzy dekują się po rowach. Po prawej stronie, z biegiem rzeki idzie natarcie naszej ósmej kompanii. Są ode mnie o jakieś 300 m, wsiadam na rower i gonię ich. Pójdę z ósmą do natarcia. Po drodze zatrzymuje mnie Wodecki.

- Panie podchorąży, niech pan zagna tę bandę, niech pan patrzy, jak oni idą.

Pojechałem dalej i nagle ze zdziwieniem dostrzegam chłopą pasącego na polu krowy. Głupi czy bohater?

Wreszcie udaje mi się dogonić. Idą tu ze dwie drużyny i moje działko.

- Rozsypać się do diabła! – wydaję rozkaz.

Zeskakuję z roweru, roztrącam ugrupowanie. Poganiam niezdyscyplinowanych waleniem po plecach. W rezultacie natarcie zaczyna przypominać przepisową tyralierę.

- Działko o 200 m do tyłu za strzelecką – ryczę do Szymczaka.

Posuwamy się na rosnący w oddali las, z którego w każdej może ruszyć natarcie niemieckich czołgów.

- Niech to! moje działko stoi - zawracam wściekły, zeskakuję z roweru.

- Kłusem marsz!

Boją się, po 40 lat, a tchórze - krzyczę do nich - pod pierzynę wam pilno, teraz wojna! Szymczak trzyma się dzielnie, ale inni, woźnica Lewandowski blady jak trup, reszta obsługi rozciąga się do 100 m. Zeskoczyłem z roweru, biegam od jednego do drugiego. Udaje mi się zmusić ich do ponownego biegu, gdy nagle z prawej strony otwierają na nas ogień wrogie ckm'y. Szczęściem ogień z bardzo daleka jest niecelny, pociski świszczą nam nad głowami. Prawy koń dostaje postrzał w zad, ale idzie.

- W dół nad rzekę - krzyczę.

Dochodzimy nad rzekę. Któryś z żołnierzy idzie i płacze. Rozumiem go, to przecież pierwszy raz w ogniu. Jadę teraz górą po skarpie, ckm'y biją, ale za nic mi się nie chce iść dołem na piechotę. Mamy jeszcze 500 m do lasu. Nagle świst i huk artylerii. Od tyłu wzdłuż rzeki zakotłowało się na polu i natarcie strzeleckie załamuje się, artyleria bije teraz mocno. Zbiegli się znów w kupę i padli na ziemię. Krzyki, jęki.

- To nasza artyleria - ktoś woła.

Rzeczywiście ogień idzie z tyłu z tych dwu dział, które szły za nami. Pociski padają na drogę po której idą nasze tabory. Natarcie strzeleckie pęka, biegną w prawo od rzeki, uciekają spod ognia. Rzucam rower, biegnę do swoich ludzi. Moi zatrzymali się, woźnica uciekł od koni, ale jak dostał ode mnie po łbie, już jest znowu przy przodku. Działonowy świetnie się trzyma, ale nie umie sobie dać rady, reszta zadekowała się w tyle.

- Biegnij chłopie do tyłu zameldować majorowi Wodeckiemu, że nasza artyleria rozbija natarcie na las. Są trupy, ranni. Zmienić celownik o 1000 m do przodu - rozkazuję pierwszemu napotkanemu żołnierzowi.

Trzeba teraz wyciągnąć działon spod ognia.

- Kierunek w prawo kłusem marsz! - wydaję rozkaz.

Trzeba zatrzymać resztki ze strzeleckich, przecież już w lesie ma być nieprzyjaciel. Wsiadam na rower i ruszam do przodu. Ale o dogonieniu

ich nie ma mowy. Wracam do dział. Tymczasem obsługa sparaliżowana strachem stoi w miejscu. Od strony rzeki wybiega Szymczak. Biegnę i krzyczę:

- Uciekać w prawo, przecież tu jesteście na linii ognia.

Nagle podmuch rzuca mnie o ziemię. Czuję uderzenie w głowę, w ustach mam pełno piasku. Nie wiem czy to był pocisk czy też po prostu potknąłem się podczas biegu. Wstaję i po chwili jestem koło dwu śmiertelnie wystraszonych żołnierzy. Ci zaczynają wreszcie biec, reszta jedna zostaje. Wyrывam jednemu z nich karabin i strzelam nad ich głowami. To skutkuje, podrywają się i biegną a z nimi działko.

- Jezu, Jezu! - krzyczy Lewandowski. - Został tam jeszcze Brudnicki i jeszcze ktoś.

Łapię go za kark, potrząsam. Powoli przychodzi do siebie. Gdy niebezpieczeństwo zostaje zażegnane, przychodzi czas na podsumowanie strat. Sytuacja nie wygląda dobrze. Zostało mi czterech ludzi, jeden poszedł do tyłu, trzech zginęło od pocisków naszej artylerii. Co teraz? Goniec już tam pewnie dobiegł, bo kanonada ustala.

- Naprzód marsz!

W lesie są Niemcy, idę na nich z jednym działkiem.

W lewo od lasku droga i folwark. Tam są zapewne kompanie z Kozą. Nie ma rady, trzeba do nich dobić. Dochodzimy do lasku. Nieprzyjaciela ani śladu. Widać albo uciekli, albo są za laskiem. Przed nami rzeka, którą trzeba przejść w bród. Zdejmujemy buty. Jest mi szkoda roweru i koca, ale jak mus to mus. Wchodzę w wodę, dosięga mi do pasa i już jestem na drugim brzegu. Nim zdążyłem włożyć buty gdy nagle świst - strzelają z lasu. Dobiegamy armatki i jedziemy klusem przez pole w kierunku chałup. Choć to blisko droga dłuży się niemiłosiernie. Wreszcie jesteśmy. Za chałupą zgrupowani jacyś żołnierze i dwu oficerów. Melduję się jednemu z nich i opowiadam o mych przejściach i utracie czterech ludzi.

Przyglądam się, chałupa drewniana, przykryta słomą, w lewo od chałupy długi rów, obsadzony przez żołnierzy. Gdzieś z boku gra też ckm. Niemcy walą z ckmów, pociski przelatują nad dachem, spadają na drogę.

- Tu niebezpiecznie z działem - mówi jeden oficer.

- Lewandowski - wydaję rozkaz - jedź z działem na folwark.

Trochę się boi, ckm'y wała, woźnica skulony ze strachu, podciął konie, ruszył kłusem. Ciekaw jestem co się będzie działo, armata i ludzie już „bezpieczni”. Usiedliśmy wszyscy pod ścianą. Po pochyłym dachu, niczym spadające kamyczki, grzechoczą pociski. Jakiś żołnierz dzieli się ze mną sucharem. Jem też, a w zamian częstuję go papierosem. Od strony folwarku słychać głośną komendę „Naprzód!”

- Kto tam dowodzi - pytam.

- Major Krezur - pada odpowiedź.

Słyszałem o nim dużo, podobno dobry oficer. Nagle huk - patrzę - z folwarku grzmocą dwa działa naszej artylerii, w te niemieckie ckm'y. Rzeczywiście po paru minutach ich ogień słabnie. Major Krezur podrywa kompanię do natarcia.

- Pójdę tylko po działko i idę z wami. Biegnę do folwarku, gdy wtem coś przeleciało ze świstem, huk, potem drugi, trzeci, leżą na ziemi. Zza lasu strzelają teraz Niemcy, wymacali naszą artylerię. Chwila przerwy, wstaję, biegnę dalej. W ogrodzie stoją działa, koło nich kręci się Kazik Schmidt, mój dawny znajomy z JHP'ów, kaliszczanin, witamy się.

Zbliża się jakiś żołnierz-celowniczy - mówi śpiewnym akcentem:

- A to i ja im dogrzałem. Biję raz - nic, drugi raz - jeden ckm cichnie, biję drugi raz, stogi się palą, germanie wieją. Za trzecim razem wykończyłem ich z 1000 m.

Nagle znów świst i huk, niemiecki pocisk rąbnął o jakie pięć metrów. Padamy na ziemię gdy zza grubego drzewa rosnącego w środku ogrodu dochodzi do nas wołanie celowniczego, który znalazł się tam przed nami:

- Chodźcie pany tu!

Skokiem dopadamy zbawczego schronienia. Wtem ziemia zaczyna trząść się od huku. To niemiecka artyleria wstrzeliła się dokładnie w cel. Leżymy plackiem za drzewem już z dziesięć minut, gdy wreszcie artyleria przestaje bić w ogród i przenosi ogień na folwark. Wykorzystuję tę przerwę, zrywam i biegnę w stronę, gdzie przed ostrzałem widziałem działko. Z tyłu zabudowań leży wciśnięta w ziemię kompania odwodowa. Pytam czy kto nie widział działka ppanc, nikt nic nie wie. Wracam na podwórze i znajduję ich w oborze. O dziwo mam prawie pełną obsługę. Jest ów goniec i jeszcze dwu, brakuje tylko Okunia.

- Gdzieście byli?
- A my tam nad rzeką, jak artyleria waliła tośmy leżeli nad rzeką i nic nie widzieli, że działo odeszło.
- Biedni. A jak artyleria przestała bić? Domyślałem się, że wykorzystali ten moment, by zwać do tyłu.
- A komu meldowaliście o ostrzeleniu przez naszą artylerię?
- Panu majorowi Wodeckiemu - opowiada zapytany goniec. - Był bardzo zły i polecił zaraz sam do baterii.
- Spojrzałem na zegarek, dochodziła czwarta.
- Za pół godziny, chłopcy, odmarsz, pójdziemy do swoich.
- Co znowu w ogień? - spytał błady Lewandowski.
- A ty żeś myślał? ...
- Panie podchorąży, przecież my ledwo żywi wyszli, na dziś dosyć
- odezwał się Brudnicki.
- Spojrzałem na niego, starczyło mu.
- To przecież dopiero pierwszy raz, a ile będzie jeszcze takich dni.
- Panie podchorąży, niech pan obejrzy swój hełm.
- Zdjąłem go, na środku lekko wgnieciony, poza tym cały porysowany
- ach to wtedy nad rzeką, coś mnie uderzyło, nie wiedziałem co to jest. Wyszedłem przed oborę i skierowałem się do bramy. Napotkanego cywila zapytałem o drogę do Łęczycy. Wróciłem po działo i za parę chwil w komplecie maszerowaliśmy w poszukiwaniu swego oddziału. Wokoło panował spokój. Widać było, że natarcie się skończyło. Maszerowaliśmy teraz terenem, który jeszcze nie tak dawno był w rękach niemieckich. Trzeba było uważać, aby nie wpaść w leje po pociskach. Mijamy miejsce w którym niedawno stały dwa stogi słomy będące osłoną dla niemieckich karabinów maszynowych. Mijamy mostek, gdy nagle spostrzegam ludzi z 29-go. Szło ich paru, jeden nawet bez karabinu, dwu ciężko rannych, jednego bez nogi wiozło dwu kolegów. Na czele tej grupy podchorąży Zakrzewski.
- Co się stało - pytam podbiegając.
- Jak to? Nic nie wiesz? Atakowaliśmy szosę, nasz batalion (trzeci) rozbity, cały pułk się cofa. Niemcy znów nacierają, szosę zajęli.
- Zwariowałeś, czy co, kto rozbity? Przecież tu 56-ty poszedł na przód.
- Nie zwariowałem, właśnie tak jest. A ty dokąd idziesz?

- Właśnie na tę szosę.
- Nie możesz tam iść, szosa zajęta.
- Tchórze!

Spojrzał na mnie z wściekłością. Poszedłem dalej, to niemożliwe. Dochodząc do Leśmierzka spotykam podchorążego Grędę z dwoma żołnierzami z tego samego batalionu, który potwierdza słowa tamtych.

- Nie chodź tam – mówi – tam już Niemcy.

Machnąłem ręką. Moi żołnierze słyszeli to wszystko, zwalniali.

- Biegiem marsz! Trzeba ich otrząsnąć. Wpadamy do Leśmierzka, tu jest spokój, kręcą się żołnierze, nawet spacerują z dziewczynami. Koło restauracji jeńcy niemieccy rozmawiają ze swą eskortą. Wydają się być nawet zadowoleni z takiego obrotu sprawy – ocalili przecież życie.

Ruszyłem dalej. Przecież to niemożliwe żeby tu się tak stało – po prostu ogień rozpędził część wojska, a Zakrzewski i Gręda zrobili dramat. Ale oto nadjechali cykliści – Ozety z kapralem na czele.

- Panie podchorąży, proszę zawrócić. Szosa w rękach niemieckich, sami ledwośmy uszli cało.

- Wracamy się na waszą odpowiedzialność. Tymczasem obejmuję komendę nad wami. Jeszcze dzisiaj musimy odnaleźć nasz pułk.

Nawróciłem z działkiem, wzmocniony o pięciu ozeciarzy. Tymczasem w Leśmierzu zrobił się jakiś ruch, skończyło się łązenie, ludzie biegli na stanowiska. Doszliśmy do mostku.

- Panie podchorąży – odezwał się kapral – my jesteśmy na rowerach, to może pojedziemy naprzód.

- Dobrze, jedźcie w lewo wzdłuż rzeki na Łęczycę, nie wysuwać się za daleko, być w łączności ze mną.

Nagle na polu przed nami fontanny ziemi i straszny huk. To znów Niemcy walą, moi ludzie popadali na ziemię. Spojrzałem na pole, cykliści zniknęli mi z oczu. Ostrzał ustał tak nagle jak się zaczął. Na polu dostrzegłem biegnącego żołnierza, mundur poszarpany i twarz zalana krwią. Niespodziewana kanonada urwała się, ale o jakieś 100 m od nas biegnie jakiś człowiek stamtąd, bez broni, pokrwawiony – to jeden z tych Ozeciarzy, turkowanin.

- Nie chciał pan wierzyć – krzyczał – a co się stało, tamtych czterech nie żyje, myśmy tam posłani po śmierć – biegł dalej, płacząc ze strachu.

Żołnierze patrzyli na mnie bladzi. Niemcy znów zaczęli ostrzeliwać rzekę.

- W prawo marsz! - krzyknąłem - pójdziemy na Tum Łęczycki.

Doszedłem do folwarku, jakiś oficer zawołał mnie.

- Pan skąd?

- Z 29-go.

- Dobrze, niech pan zaraz idzie do naszego pułkownika.

Ustawiłem działko pod murem, poszedłem za oficerem. Pułkownik Tyczyński stał koło auta.

- Pan skąd?

- Z dwa dziewięć.

- Tu 29-ty panikę szerzy, że pułk ich rozbity, ja o tym nic nie wiem.

Co pan powie?

- Melduję posłusznie, że dwóch moich kolegów podchorążych z II-go baonu 29-go i kapral z O.Z.K.* pułkowych mówili mi, że Niemcy z powrotem obsadzili szosę. Szedłem tam, cofnąłem się i chcę iść inną drogą do Łęczycy.

- Czyż to możliwe - odezwał się pułkownik - w takim razie z nami gorzej. Niezwłocznie trzeba zbadać sprawę i wysłać meldunek. Pan niech się zatrzyma tutaj przy naszej kompanii ppanc.

Wróciłem do swoich ludzi, ale wcale mi się ten punkt rozkazu nie podobał. Koniecznie trzeba dojść do swojego pułku, już za dużo tych „rozbitków”, ale chwilowo ogień artylerii uniemożliwiał przemarsz. Nie zamelduję się w tej kompanii ppanc tylko zwięzę do swoich. Niemcy przemieśli teraz ogień, bili na drogę koło dworu prowadzącą do Tumu. Tu nie przejdą, ale tamtych mam na sumieniu. Wycofałem działko na podwórze, za nami na środek podwórza wpadł pocisk, jeden potem nieco dalej drugi. Ustawiłem działko pod murem obory, a ludziom kazałem wejść do środka. Z daleka poznałem dcę ppanc kapitana Mendelowskiego, był z nami w Sadowiu. Przyszli jacyś ludzie z menażkami do kuchni. Kapitan wyprawiał ich z jedzeniem dla działek na stanowiskach - tu jakoś o swoich myślało. Na podwórze zajechały dwa działka, a z nimi podchorąży Kleszak. Było po siódmej. W pobliżu słyhać było detonacje, trzeba

* Oddział Konnych Zwiadowców

więc było odłożyć odmarsz. Poszedłem co kuchni. Tam dali mi menażkę zimnego grochu, co miało starczyć na cały działon. Po powrocie zobaczyłem, że jest tu także Skrzypski z 7-go działonu.

- A ty skąd tutaj - przecież powinienes być u Kozy.

- Tak, ale i myśmy się pogubili, dobiłem do 56-go pułku, dowiedziałem się, że jest tu działko i jestem tutaj.

Robiło się późno i trzeba było odpocząć. Żołnierze położyli się w oborze i mimo ciągłego ostrzału niemieckiej artylerii, zmęczeni usnęli. Ostatnim spojrzeniem ogarnąłem śpiących żołnierzy i po chwili zagrzebany po uszy w słomie też usnąłem. Obudziłem się - piąta. Powstań! Przygotować się do odmarszu! Wyszliśmy na podwórze, raz dwa strzepnęliśmy ze siebie słomę i wykorzystując przerwę w ostrzale, wyruszyliśmy w drogę. Skierowaliśmy się na Tum Łęczycki pozostawiając za sobą Łęczycę. Posuwaliśmy się teraz drogą wysadzoną grubymi drzewami. Szliśmy szybko, aby jak najszybciej opuścić ten niebezpieczny z powodu ostrzału rejon. Wkrótce też ukazały się zabudowania Tumu, ale nie to przykuło naszą uwagę. Oto rowy przydrożne zasłane są porzuconym w pośpiechu sprzętem wojskowym i trupami zabitych Niemców. I co najdziwniejsze w tym wszystkim, przechodzimy obok nich obojętnie, nikt im nie współczuje. Można nawet zaobserwować pewną radość na twarzach żołnierskich. Oto nasza, polska odpowiedź za tych, których rozszarpane pociskami ciała mijaliśmy na swej drodze z Kalisza.

Zbliżyliśmy się do zakrętu na którym kilkunastu Niemców - jeńców pilnowanych przez paru naszych żołnierzy z 69 pułku, znosiło broń i na swoich barkach dźwigali zwłoki swoich kolegów. Doszliśmy do wsi, w której zobaczyliśmy liczne grupy jeńców niemieckich przy pracy. Mogło ich być ze stu. Jakiś nieznan mi żołnierz z 69-go tłumaczył mi:

- Z artylerii umieją pukać, broni maszynowej mają dużo, strzelają dużo, ale niezbyt celnie, ale jak przyjdzie się bić po naszymu na bagnety to zaraz broń rzucają albo poddają się.

We wsi widać już było zniszczenia, ściany chałup ze śladami po kulach, niektóre nadpalone, ale najbardziej ucierniał kościół, częściowo spalony, z wyrwami w murach, z uszkodzoną wieżą. Koło kościoła stał jakiś kapral i trzech żołnierzy z 29-go pułku.

- Chodźcie z nami, właśnie idziemy do pułku. Teraz droga skończyła się w sadzie, ślepa droga, jak iść? Łęczycza wyznacza kierunek, chyba na przelaj przez łąki, ale tu bagna. Trudno, będziemy się przedzierać.

Przeszliśmy między chałupami i weszliśmy na podmokłą łąkę porośniętą wysoką, sięgającą za kolana, trawą. Szliśmy kierując się na łączyccki magistrat. Nagle z tyłu dobiegł mnie krzyk:

- Panie podchorąży, prędzej, Niemcy!

Wróciłem się biegiem, wyrwałem pistolet z kabury, odbezpieczyłem. W wysokiej trawie leżało dwóch Niemców. Stałem koło nich.

- Powstań! Ręce do góry! - zakomenderowałem po niemiecku.

Wstali z uniesionymi rękoma.

- Gdzie broń?

Jeden wskazał głową mówiąc „Mein Gewehr ist hier”. Karabin leżał z boku na ziemi. Spojrzałem na drugiego, wskazał na kieszeń. Wyjąłem mu browning z kulami - parabellum. Oznak nie miał a miał pistolet. Spytałem kim jest?

- Maschinengewehr*, u nas każdy celowniczy ma pistolet, doch ich bin obergreifer*.

Zabraliśmy im broń, maski i mapy a zostawiliśmy rzeczy osobiste. Kazałem im zdjąć pasy. Już miał być koniec, gdy jeden wskazał na ziemię.

- Tu leży kompas i naboje, kompas przyda się wam, a naboje pasują i do polskich pistoletów.

Uśmiechnąłem się, kompas był ładny, o naboje było u nas trudno to i to się przyda.

Spojrzałem na jeńców i nagle uświadomiłem sobie, że będą oni dla nas przysłowiową kulą u nogi. Trzeba było ich odprowadzić do dowództwa, a ja nie wiedziałem gdzie ono teraz jest. Trzeba będzie dojść do Łęczyczy i tam poszukać. Poza tym podejrzewałem, że wokół na bagnach jest jeszcze wielu takich dezertów. Nakazałem więc wzmoczoną czujność i ruszyliśmy do Łęczyczy.

* mój karabin jest tutaj

* karabin maszynowy

* przecież jestem starszym szeregowcem

- Sie sind aus sechzigen Regiment?*

- Nie - odpowiedziałem - tego pułku tu nie ma.

Nie uwierzyli, ale jak oni dobrze się orientowali, a to przecież zwykli żołnierze.

- Tak, powiedzcie mi, dlaczego jest wojna, czy wy jesteście moimi osobistymi wrogami lub ja osobiście jestem wam wrogiem?

- Tak, dlaczego - odezwał się podoficer - ja jestem z Lager Sudety, mogłem do tej pory żyć spokojnie, jestem rezerwistą, a już od marca jestem w wojsku, to wszystko zrobił jeden człowiek, przekłeta wojna und verfluchter Hitler*. Po co mi ta wojna, miałem z czego żyć, ale przyszli oni z Reichu i zaczęło się, leje się krew i rzeczywiście ja panu nie jestem wrogiem, ani pan mnie, a mimo to walczymy i zabijamy się.

Spojrzałem w tej chwili na niego, czy było to szczere, a może to po prostu chęć przypodobania się.

- A co tam na Zachodzie, Francuzi przerwali wam Zygfyda?

- To kłamstwo, na Zachodzie wojny nie ma.

Po chwili Obergefreiter spytał:

- Czy pan jest Niemcem?

- Tak - skłamałem.

- I pan idzie przeciw Niemcom?

- Tu się urodziłem.

- Tak, ja się daleko stąd urodziłem, Sudety, doch was machen die Polen mit Gefangenen?*

- Wymiana, odpowiedziałem.

- Dobrze żeście wczoraj szli na nas, nie przypuszczałem, Polacy są odważni.

- Przekonaliście się o tym - odparłem.

Zbliżyliśmy się do Łęczycy. Drugi jeniec wyjął cukierki, chciał mnie poczęstować.

- Dziękuję, zostawcie sobie, przyda się wam, idźcie do niewoli.

Zostawiliśmy im chleb, cukierki, sami bardzo głodni, ale duma, koleżeństwo.

* Czy pan jest z 60-tego pułku?

* i przekłety Hitler

* co robią Polacy z jeńcami?

Drugi odezwał się.

- Ja jestem z Westfalii.

- A który pułk?

- 125.

Nie uwierzyłem. Pierwszy wyjął zza koszuli blaszkę, uwiązaną na sznurku. Taka jak nasza, to paszport każdego żołnierza. Dochodziliśmy do rzeki, z boku leżały trupy Niemców. Szedłem tą samą ulicą co wczoraj, koło rynku stało sporo naszych żołnierzy, ucieszyli się na nasz widok.

- O, a gdzieście tych szkopów złapali?

- W bagnach się pokryli - wytłumaczyłem.

- Takich to zaraz wziąć i pozarzynać, po co tu przyszli cholery, za brakło już masła u siebie - ktoś perorował.

Pomruki zrobiły się częstsze, dobywano bagnetów. Niemcy przestraszili się, zrobili się bladzi. Ktoś się odezwał:

- Zostawcie ich, co oni winni, to Hitler ich tu przygnał.

- Głupis - odezwał się inny z żołnierzy, to takie całe nasienie, chcieli Hitlera, to go mają.

- Gdzie jest tu jakie dowództwo - zapytałem.

- Jeńców odsyłają do Topoli Małej - ktoś mi wytłumaczył.

- A gdzie się bije 29-ty?

- A trzeba iść tędy prosto przez rynek, biją się wzdłuż szosy.

- Skrzypski, zaprowadzisz tych drabów do Topoli. Zamelduj gdzie, jak i kiedy zostali wzięci, cośmy im zabrali. Masz tu ich papiery, potem pójdziesz w lewo, wzdłuż tej szosy. Twoja głowa, żebyś nas znalazł, a jak będą chcieli uciekać wal w łeb, za to pójdziesz do nieba.

- Tak jest. - Odbezpieczył karabin, włożył bagnet. Niemcy to widzieli, dałem im jeszcze przestrożę, żeby nie wiali.

- Glück mit Euch, Kamarad* - odezwał się podoficer - Żeby pan wrócił z wojny z życiem.

- Wzajemnie - odpowiedziałem.

Zasalutowali i poszli. Wyszliśmy na rynek, który był już uprzątnięty z trupów. Przejeżdżało jakieś auto, zatrzymałem je.

- Panie poruczniku, gdzie się bije 29-ty?

* Życzę szczęścia kolego.

- Pójdzie pan prosto szosą to ich pan spotka. Ale, ale - wzrok jego zatrzymał się na zatkniętym za pasem zdobyczym parabellum - ma pan dwa pistolety? - To zabronione, broń zdobyczną oddaje się. Jestem porucznikiem pułku z dowództwa dywizji, proszę mi go oddać. Wiedziałem, że mnie nabiera, ale nie miałem zamiaru się z nim użerać, a poza tym po kiego licha mi dwa pistolety.

Ruszyliśmy naprzód. Po drodze niespodziewane spotkanie z dwoma fryzjerami z Turku, Józefowiczem w stopniu kaprała i Zygmuntem, obecnie łapiduchami. Cała trójka ucieszyła się tym spotkaniem, które choć na mgnienie oka przeniosło nas do rodzinnego miasta. Wtem znów świst i po chwili gdzieś wybuch. A więc znów Niemcy nam nie dają spokoju. Nagle coś uderza w chodnik. Wszyscy odwracamy głowy - to pocisk-niewypał. Patrzymy po sobie i myślimy zapewne o tym samym - widać, to jeszcze nie czas. Nastaje cisza. Wykorzystujemy to i szybkim marszem opuszczamy po raz drugi Łęczycę. Spoglądam za siebie. Nad miastem unoszą się kłęby dymu. To znów Niemcy zaczynają swój artyleryjski koncert, jakby chcieli się zemścić za to, że oddali miasto polskiej piechocie, która w krwawym boju zdobyła go na bagnety. Mijamy koński trup z rozprutym brzuchem. Nasze konie idą strzygą uszami, a w ich oczach widać strach, jakby przeczuwały, że i je może spotkać taki żołnierski los.

Wyszliśmy na szosę. Kłębiły się na niej zwoje drutu z powyrywanych słupów telefonicznych. Łącznościowcy zakładali nowe linie telefoniczne. Po rowach walały się niemieckie bębny z kablem, pozostałości niemieckiej linii telefonicznej. Ślady walki były tu aż nadto widoczne. Głębokie leje po pociskach to ślady niemieckiego ostrzału tego odcinka, zaś trupy ludzkie i końskie świadczyły o jego skuteczności. Jednak widok ten już nikogo nie przerażał. Oswoiliśmy się ze śmiercią i traktowaliśmy jako coś zupełnie normalnego, co może i nas w każdej chwili osiągnąć. Taka już żołnierska dola.

Nagle moją uwagę zwróciło parę potłuczonych rowerów. Zatrzymałem się chwilę. - Kto z was jest majstrem rowerowym?

Wyrwał się Brudnicki.

- Zostań tu i zmajstruj mi jaki rower, potem nas dogonisz.

Zgodził się chętnie i zaraz zaczął oglądać rowery. Ruszyliśmy naprzód. Byliśmy już jakieś pięć kilometrów od Łęczycy. Natarcie szło

dobrze, choć swoją drogą denerwowało, tak łatwo ustępowaliśmy terenu, a z takim trudem go odbijaliśmy. Uwagę moją zwróciły ruiny domku po prawej stronie szosy. Leżało tam kilku poległych żołnierzy i rozbita biedka, ślad po wczorajszym ataku. Nieco dalej stały rzędem biedki trzeciej kompanii ckm. Wśród odpoczywających spostrzegłem Antka Muszyńskiego i Leszka Grabowskiego. Od nich dowiedziałem się o zdradzie Steinbarta, który wczoraj przeszedł do Niemców. Nie byłem tą wiadomością zaskoczony bowiem nigdy nie ukrywał swych sympatii politycznych. Przyszedł do naszej szkoły do piątej czy szóstej klasy ze zlikwidowanego gimnazjum niemieckiego w Sompolnie. W ósmej klasie siedzieliśmy razem w jednej ławce. Był dobrym kolegą, ale już wtedy okazywał nadmierny podziw dla Niemiec. Cieszył się z zajęcia Austrii, przekonując, że tylko w oparciu o wielkie Niemcy można naprawić Europę. Przyszło wojsko. Zrazu było wszystko w porządku, był dobrym i zdolnym żołnierzem, otrzymywał wysokie lokaty. Przyszła jednak sprawa Czech, Kłajpedy i coś się popsło w naszych kontaktach. Miał dostać jedną z pierwszych lokat – dostał jedną z ostatnich, choć przyznać bezstronnie należy, że była to decyzja polityczna. Oburzył się mocno, zaczął się skarżyć, że stało się to z powodu jego niemieckiego nazwiska. Jego brat zamalował w szkole na mapie Polski Wielkopolskę, Pomorze i Śląsk na barwę niemiecką. Spytałem go wtedy czy czuje się Niemcem czy Polakiem. Pytanie me zostało bez odpowiedzi. W jakiś czas potem drogi nasze się rozeszły. Wiedziałem o nim sporo, nikomu jednak zwierzeń nie czyniłem – nie chciałem go „wykończyć”, bo mimo różniących nas przekonań, był naszym kolegą. Na zakończenie kursu dostał lepszą lokatę i stopień plutonowego podchorążego, więc powód niezadowolenia upadł. Ja jednak straciłem do niego zaufanie i okazało się, że miałem rację.

Koledzy poczęstowali mnie obgryzioną już nieco kurzą kością i szklanką brudnego rosółu, co przyjąłem z wdzięcznością.

Ruszyliśmy. Doszedłem do skrzyżowania na którym stały inne armatki. Dostrzegłem z daleka Janiaka, był trochę w przodzie z działaniem Jędrasiaka, w lewo działo Siwy i Wojtczaka. Podeszedłem do Janiaka. i opowiedziałem mu wydarzenia ostatnich dni.

– O, myśmy tu mieli gorąco – odpowiedział Janiak. Atakowaliśmy cegielnię i las. Niemcy przywitani nas ogniem zaporowym artylerii, było

sporo ofiar. Zginął Suski i jakiś działonowy. Straciliśmy jedno działko.

Naszą rozmowę przerwał ponowny ostrzał artyleryjski. Porucznik skoczył w jakiś lej, ja do rowu. Pocisk upadł w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą staliśmy. Na szosie zrobił się popłoch, wozy taborowe, biedki, armatki rzuciły się w beładzie do ucieczki.

- Stój! Krzyknąłem. Na próżno. Cała ta masa ludzi, wozów i koni rzuciła się bezwładnie do ucieczki. Wskoczyłem na rower i po chwili byłem już przed uciekającymi. Musiałem działać zdecydowanie, wyciągnąłem pistolet i skierowałem lufę w stronę uciekających.

- Stój, bo strzelam!

- Woźnice spięli konie,

Na trasę wybiegł z jakiegoś domku pułkownik, zatrzymał biedki ckm'ów.

- Stać! Groził wyciągniętym z kabury visem. Stać tchórze! Uciekacie przed Niemcami, przed artylerią? Zawracać, naprzód do boju!

Dobiegł do mnie.

- Podchorąży! Co dziesiątego z waszych działek rozstrzelać.

Bałem się oponować, bo wyglądał strasznie, ale jednocześnie wiedziałem, że bez względu na konsekwencje tego rozkazu nie wykonam. Podeszedłem do ppanców.

- Nie bójcie się chłopcy, przecież ich już pędzimy, nie bądźcie tchórzami, nie możemy przegrać, nie możemy uciekać. Spojrzałem się na trzęsącą się postać jednego z woźniców.

- Co tak się boisz, Marek?

- Ja nie wiem, ja się boję, Jezu, Jezu.

- Marek ty umrzesz, bo się boisz ...

- Ja wiem o tym. Jezu, Jezu! ...

Chłopak dzielił ze mną salę w koszarach pokadeckich w Kaliszu, on jako nowy rocznik, ja na kursie ppanc.

- No chłopcy, nie ma co. Idziemy z powrotem, kierunek szosa, w prawo marsz!

Nad nami gwizdały pociski. Dobiegł Janiak.

- Zabieram Jędrasiaka.

Trzeba było jakoś rozlokować armatki. Szymczakowi rozkazałem zajęć zajęł stanowisko w zabudowaniach Dalej umieściłem Siwę. Szedłem

teraz tylko z pierwszym działaniem. Nagle ni stąd ni zowąd wyrósł obok mnie Wojtczak.

- A pan skąd się tu wziął?

- Zagubiłem się.

Czy to pech, czy też zła organizacja - zadałem sobie pytanie. Poszedłem do jakiegoś kaprala łączności, który trudził się nad założeniem linii telefonicznej.

- Gdzie jest jakieś dowództwo?

- Nie wiem, tu powinien być III-ci batalion.

Wszedłem w jakieś podwórze, zderzyłem się z Nowickim.

- A pan tu skąd? - spytałem - przecież pan był w II-gim batalionie.

- Tak, ale teraz wszystko pomieszane, zgubił mi się kapral Kałużny.

- Tu jest Wojtczak z I-go batalionu, to niech go pan sobie weźmie.

- Chętnie. Tu jest major Wodecki, pewnie pan się chce z nim zobaczyć?

Przechodziliśmy koło zwęglonych szczątków. Zwęglone ciała ludzkie, hełmy, broń niemiecka, to nasza artyleria tak tu urządziła kwaterujących Niemców. Obok nad rowem leżał jakiś raniony w nogę jęczący Niemiec. Dalej szereg trupów niemieckich, chodzą tu koło nich nasi sanitariusze.

- Ale przygotowali się na nasze kobiety, każdy ma przy sobie po kilkanaście kondomów - dolatuje do mnie głos jednego sanitariusza.

Skręcamy w prawo i za białym domkiem spotykam majora Wodeckiego.

- Dobrze że pana widzę, myślałem, że już po panu. Wczoraj straciliśmy jedno działo za cegielnią. Proszę odpocząć a przy okazji wysłać żołnierzy po obiad. Poszedłem z Nowickim do działonu Siwy. Tu są moi znajomi, Kałużny i Urbaniak. Zlecam im zawiadomienie innych o czekającym ich obiedzie.

Usiedliśmy z Nowickim. Po krótkiej rozmowie przechodzimy na ty. Na wojnie przecież wszystko trwa tak krótko. Razem oglądamy mapę Polski i oceniamy postępy Niemców, którzy są już podobno pod Łodzią.

Dobrze to wszystko nie wyglądało, ale mnie zaprzątnęła teraz inna myśl. Noce są coraz zimniejsze, a ja nie mam płaszczka i marznę niemiłosiernie. Wstałem i poszedłem się rozejrzeć. Już po chwili natknąłem

się na leżący mocno podniszczony plecak i płaszcz ćwiczebny. Pod kołnierzem stara naszywka z napisem: strzelec z cenzusem Rosin. Czyżby już się z nim coś stało? Na wszelki wypadek spakowałem mu znowu tor-nister. Artyleria bije w dalszym ciągu, ale przenoszą na pole. Po chwili odzywają się i nasze działa. Siedząc przy studni staram się odróżnić świst jednych pocisków od drugich i po pewnym czasie nawet mi się to udaje. Wrócili żołnierze wysłani po obiad.

- Nie warto było iść - opowiada Kałużny - kuchnie najadły się strachu i nie przyszły, a za to w polu ogień jak jasna cholera.

- To macie słoneczniki i wodę - mówię do nich.

Zostają wezwany do majora.

- Panie podchorąży niech pan się zajmie odnalezieniem tego działa, które - według meldunku - jest gdzieś między cegielnią a lasem. Wysłałem tam ludzi, ale nic z tego, mówią, że ogień tam straszny. Niech pan spróbuje. O 3-ej nasze natarcie więc jeszcze pan zdąży. A powiem panu jeszcze coś miłego. Wczoraj czwarta kompania kapitana Biskego zdobyła dwie armaty.

Zasalutowałem, wsiałem na rower i pojechałem. Nad naszym traktem leżały poukładane niemieckie pociski artyleryjskie, było tu ich kilka setek, widocznie było tu ich poprzednie stanowisko i nie zdążyli ich całkowicie sprzątnąć w odwrocie. Przeprowadziłem się na drugi brzeg. Przede mną, o jakie 20 m, była owa słynna cegielnia. Ale, jak na złość, Niemcy skrócili teraz swój ogień, bili gdzieś niedaleko chyba za cegielnię, a las był o jakie 800 metrów dalej. W oddali coś czerniało. Podeszedłem bliżej i stanąłem jak wryty. O parę kroków ode mnie stały dwa wielkie działa niemieckie, czarne, na ogromnych żelaznych kołach. Obok poprzewracane jaszczke i stopy wysypanej amunicji. Dokoła sporo zabitych żołnierzy i trupy ogromnych koni, wykorzystywanych w niemieckiej armii jako siła pociągowa. Przy koniach zauważyłem torby skórzane na obrok, odczepiłem jedną i umocowałem ją przy ramie. Będzie służyła mi jako teczka. Niestety nikt z tych pozostawionych w popłochu armat nie strzelał do Niemców. Czyżby były uszkodzone, a może po prostu nikt ich nie potrafił obsługiwać. Znów zaczął się ostrzał artyleryjski, a ja byłem już o jakieś 500 m od lasu. Trzeba było wiać i to szybko. Wsiadłem na rower i skierowałem się do swoich. Ziemia za mną jęczała od wybuchów,

a mnie się zdawało, że pociski gonią tylko za mną. Wreszcie dopadłem zabudowań cegielni, gdzie zgromadziła się większa część naszego batalionu w oczekiwaniu na natarcie. Podczas ostrzału dnia poprzedniego zdarzyła się historia, wypisz wymaluj jak ta w Leśmierzu sprzed paru dni. Podobnie jak i tam niemiecka artyleria waliła bardzo celnie dziwnym trafem omijając cegielnię. Aż tu jeden z żołnierzy zadziera głowę i widzi jak z komina jakiś szwab daje sygnały chorągiewką. Zestrzelili drania i tak się skończyła jego współpraca z rodakami.

Wsiadłem znów na rower i mimo ognia udałem się na dalsze poszukiwania. Szosa szła teraz skośnie w stronę lasu, mogłem więc względnie uważnie obserwować przedpole. Leżało tam wielu poległych i nagle wśród nich dostrzegłem zrolowany płaszcz, jakby akurat dla mnie. Pozostało mi jeszcze znaleźć tyżkę i menażkę. Dojechałem pod sam lasek lecz nigdzie działka nie dojrzałem. Już miałem zawrócić, gdy nagle koło ucha zabzykały mi kule. W jednej chwili leżałem na ziemi. Ostrzał km'u był prowadzony z lasu. Trzeba było się wydostać spod ostrzału, ale żał mi było zostawić rower ciągnąłem go więc po polu z wielkim wysiłkiem. Moja męka trwała około 400 metrów i skończyła się wraz z dotarciem do rowu.

Działka stały już na drodze gotowe do marszu, gdy do nich dołączyłem.

- Jedliście co - zapytałem w działonie Siwy.

- Z obiadu nic - posiedział Siwa - ale my tak po swojemu - panie podchorąży - mamy pomidory, marchew i brukiew, chce pan?

- Czy chcę? Dajcie co macie.

Łapczywie pożerałem wszystko co mi dano.

- A gdzie major?

- Pewnie gdzieś pojechał, może do pułku.

Tymczasem na naszą drogę skręciło jakieś auto, a w nim nieznanym mi pułkownik.

- Dowódca ppanc jest tu?

- Na rozkaz panie pułkowniku.

- Jestem Frydrych, dca 60-tego, ale nasze ppance się spisują, działo na polu zostawili i w nogi, tak się u was postępuje? Moi żołnierze uratowali wam działo i ściągnęli z pola, jest gdzieś przy wiadukcie kolejowym. Co pan na to?

- Melduję posłusznie, że nie jestem dowódcą całości ppanc, ani tamtego działonu, ale w imieniu służby posłusznie dziękuję.

Uśmiechnął się

- No to trzymajcie się chłopcy.

Pojechał. Co zrobić z tym fantem? Trzeba się natychmiast tym zająć, a majora nie ma. Nawet Staśka Nowickiego nie widzę.

- Panie kapralu - zwróciłem się do Siwy - proszę zameldować panu majorowi, że pojechałem ze Skrzypskim zając się tym działkiem.

Po małej błąkaninie znaleźliśmy wreszcie drogę do wiaduktu. Po drodze przejeżdżaliśmy przez jakiś dwór. W bramie stała zapłakana kobieta. Zatrzymałem się, aby dowiedzieć się co jest przyczyną jej płaczu.

- Co wam matko - spytałem - uspokójcie się, powiedzcie co się stało?

- O Jezu, panie, jaka ja nieszczęśliwa, zabili mi Niemcy męża i syna, taki był, osiem lat miał. Wyście szli z Łęczycy, oni uciekali, wpadli do nas do domu, potem rzucili się na męża, zabili, dziecka broniałam, krzyczałam, uderzyli mnie w głowę, upadłam, oni go zabili, mnie zbili. Całą wieś zebrali tam w cegielni, powiedzieli, że nas wszystkich zabiją. Potem znów powiedzieli, że kul im szkoda, że polska artyleria nas rozbije. Zamknęli nas, myśmy się modlili i oto ocalił nas Pan Bóg. Ale gdzie mój mąż, gdzie dziecko?...mówiła łkając. Zebrało się więcej ludzi, kobiet, dzieci - wszystko płakało. Widziałem już tyle śmierci, mijałem je obojętnie, ale ta mnie poruszyła. Nie mogłem wydobyć z siebie ani słowa i tylko ucałowałem jej spracowaną dłoń*.

- Co oni tam robią z naszymi w poznańskim - odezwał się do mnie Skrzypski.

- Tak, wcale się teraz nie dziwię tym uciekinierom - powiedziałem.

W prawo ukazał się nasyp kolejowy i ów wiadukt. Za chwilę ujrzałem działko i stojących przy nim Świątnickiego, Sowińskiego i Starostę. Podeszedłem do nich, aby ocenić stan armatki. Było to działko na którym uczyliśmy się podczas kursu ppanc. i nazwane zostało przez nas „Stefką”. Niestety „Stefka” nie była w najlepszym stanie, - uszkodzony przodek, tarcze, pręt ochronny, zgubiony celownik, nie działające mechanizmy, nawet dyszel złamany. Jedynym ratunkiem był rusznikarz, po którego

* Relacja ta jest jeszcze jednym świadectwem zbrodni Wermachtu.

postanowiłem pojechać do Łęczycy. Kazałem obsłudze pożyczyć konie i dociągnąć działko do swoich, a sam wyruszyłem w drogę.

- Jeszcze pojedziemy do dowództwa pułku - odezwał się do Skrzypskiego - trzeba o tym komuś zameldować.

Mieliśmy szczęście, bo pułkownika spotkaliśmy na szosie i jemu złożyłem meldunek i jazda w dalszą drogę.

- Panie podchorąży, tam stoją jakieś kuchnie - powiedział do mnie Skrzypski.

- To artyleria, ale możemy poprobać.

Mieliśmy dużo szczęścia, bo bez specjalnych kłopotów wydano nam po porcji kaszy ze skwarkami, która smakowała jak najlepsze przysmaki francuskiej kuchni.

- Pańskie nazwisko przypomina mi kogoś, miałem takiego kolegę w Kaliszu - zwrócił się do mnie kapral.

- A jak miał na imię?

- Włodzimierz *.

- To mój brat.

- Tak? - ucieszył się, nigdy bym nie przypuszczał, że jego brata nakarmię. Nazywam się Olejniczak. Ja gimnazjum nie skończyłem, tak się jakoś złożyło. Gdyby pan to przeżył, niech pan wspomni o tym spotkaniu swemu bratu, może wtedy ja już nie będę żył, kto wie?

Artyleria bezpieczna - wtrąciłem.

- Ale nie bardzo. Teraz mamy tu działa w tym zabudowaniu, strzelamy, ale nie zmieniamy stanowiska, taki rozkaz, a Niemcy nas już zmacali. Poza tym te tabory koło stanowiska, a niemieckie samoloty patrolują, a potem do nas walą.

Podziękowałem za obiad i pojechaliśmy. Nagle nad nami zaczęły przelatywać pociski, jeden za drugim.

- To pewnie nasi próbują te zdobyte na Niemcach działa - wytłumaczył napotkany oficer.

- Dziwne tylko, że ta próba odbywa się na nasze tyły, zamiast na niemieckie - odpowiedziałem.

* Starszy brat autora pisarz i poeta, uczestnik powstania warszawskiego, w którym poległ.

Mijaliśmy powracających na swoje gospodarstwa chłopów. Widać wierzyli, że Niemcy już tu nie wrócą. Wjeżdżamy do Łęczycy, do której powoli wracało życie. Porządku pilnowała żandarmeria wojskowa. Od nich dowiedziałem się o miejscu pobytu kapitana Wultańskiego.

- To już drugie działko - powiedział wyraźnie zafrasowany. No, ale trudno, pojedzie z panem Pajchrowski. Konie wysłę, niech pan tam dopilnuje to działko do końca. I jeszcze jedno, nie wie pan czy nas Niemcy z boku nie obeszlą, bo ich artyleria wali stamtąd.

- O tych strzałach mówił mi jakiś oficer, że to działa zdobyte próbują.

- Kretyn - i w nas strzelają. Ale bym zapomniał o najważniejszym. Dca pułku skarżył mi się, że u nas w ppancach zrobił się bałagan. Działka pogubiły się, ludzie się gubią. Tam gdzie potrzeba ich nie ma. Ja muszę być przy tych nieszczęsnych taborach. Jestem dowódcą kompanii i nie mogę się osobiście wami zająć. Pana mianuję swoim zastępcą, jest pan młody, ale mam do pana zaufanie. Jest inna trudność, na plutonach są podporucznicy, a pan jest podchorążym. Moja w tym głowa, aby przy pierwszej okazji zrobić z pana oficera. Pomówię o panu z dcą pułku. Teraz był pan gdzie?

- III baon.

- No więc tak, jak mówię, dzisiaj ma pan robotę z działkiem, a jutro objazd w moim imieniu po wszystkich batalionach. Proszę się dowódcom batalionów meldować jako mój zastępca. Sprawdzi pan wszędzie stan ludzi, bo się gubią. Przecież to wstyd, żeby obcy pułk nam działa ratował. Tych wszystkich pojedynczych niech pan odsyła do swoich działonów, a działony - o ile to możliwe - do swoich baonów. Proszę choć równomiernie podzielić działony, zbadać ilu mamy zabitych, rannych, stan broni, koni i amunicji. Gdyby panu ktoś utrudniał, to zamelduje pan, że robi pan to z mego rozkazu. Na plutonach pozostaną tylko Janiak, Borowiak i Nowicki, starczy to. I-szy batalion i tak dogorywa. Niech pan się stara zawsze ze mną łąpać kontakt. Zacząłem się żegnać z kapitanem.

- Powiem panu jeszcze coś pocieszającego - odezwał się. Na Śląsku trzymamy się, Prusy Wschodnie obsadzili Bortnowski i Sosnkowski*,

* Kazimierz Sosnkowski gen. dow. Frontu Południowego

a i Kalisz został odbity przez lwowskie dywizje gen. Włada*.

- A Poznań i okolice?

- Trzymamy się nad granicami.

Odmeldowałem się. Tymczasem kucharz Musiał przyniósł mi kawał chleba z szynką, którym podzieliłem się ze Skrzypskim.

- Wy tam się bijecie, a tu się gotuje i wylewa - powiedział kucharz. Kuchnie się boją do was podjechać. Nasz szef też taki bohater. Ale pan pewnie jest głodny?

Majstrował coś koło mojej torby przy ramie. Czego on chce? Poszedłem do szefa, po drodze poszukałem Jańskiego, Pajchrowskiego, Rybkę i Kółteczkę. Sylwek Kółteczko został podoficerem taborowym.

- Pan jeszcze żyje? - zdziwił się szef.

- Zdarza się, panie szefie, ale jak będzie z papierosami?

- No dam panu, jakie pan chce - płaskie czy wiarusy?

- Wiarusy.

- Masz pan na dodatek i płaskie.

- Panie szefie, czy nie dostałbym papierosów dla działonów?

- Oni nie są u nas zaprowiantowani.

- Ciekawym, gdzie są w takim razie w boju zaprowiantowani, chyba w polu.

- Ma pan tu dla Skrzypskiego paczkę, więcej nie dam.

Jechaliśmy we trzech, Pajchrowski, Skrzypski i ja. Skrzypski przysunął się do mnie na rowerze.

- Panie podchorąży. Musiał włożył panu do sakwy pół bochenka chleba. Teraz zrozumiałem co on tak manipulował przy moim rowerze. A szef to chytry - ciągnął dalej Skrzypski - cały wóz ma pełen chleba i papierosów, a nikomu nie chce nic dać.

Po siódmej byliśmy przy kwaterze dcy pułku, gdzie stała już „Stefka”. W świetle latarki elektrycznej Pajchrowski naprawiał uszkodzenia. Rozebraliśmy armatę, na szczęście uszkodzony był tylko przyrząd podniesień i to niegroźnie. Niestety celownika nowego nie było, a i spust działał bardzo opornie. Było to już działko-kaleka.

* Franciszek Wład, gen. dowódca 15 Dywizji Piechoty w Armii „Poznań” - poległ w bitwie nad Bzurą.

Na linii panował niby to spokój, artyleria biła już rzadziej, a i ogień ckm'ów był sporadyczny. Wydałem dyspozycje i poszliśmy poszukać noclegu co jednak nie było proste, bo wszędzie nie było miejsca. Nawet szopy, stajnia i stodoła zajęte były przez pluton pionierów Kuśmirka i pluton pgaz Gutowskiego. Oba plutony nie mając nic lepszego do roboty pełniły straż przy dowództwie pułku. Wszedłem do domu mieszkalnego, tu znów pułkownik, oficerowie i poczet – nie ma miejsca. Na podwórzu stał samochód, zapuściłem się do niego, ale szofer strzegł.

– Prześpijmy się tu pod murem, naniś słomy, nawet jak pocisk wyróżnie to pod murem lepsza nadzieja, a że samochód obok stoi to i lepiej, w razie gdyby się dowództwo pułku przenosiło to warkot motoru nas obudzi.

Skrzypski przyniósł słomy, wyciągnęliśmy się obaj wzdłuż muru, hełm dla pewności zostawiłem na głowie, przykryłem płaszczem i mimo stałego ostrzału artylerii zasnąłem.

12 września. O 5-tej obudziło mnie przeraźliwe zimno. Wstawaj bracie – szturchnąłem Skrzypskiego. Za śniadanie musiał nam wystarczyć suchy chleb i papieros.

Po tym nader skromnym „posiłku” wyruszyłem zgodnie z zaleceniem Wultańskiego na objazd batalionów. Pierwszym spotkanym był specjalny batalion BS pod dowództwem majora Ostrowskiego. Miałem szczęście, bo służył tu znany mi jeszcze sprzed wojny kapral Wacek Sołtyśiak. Od niego dowiedziałem się o stratach w batalionie, które zresztą nie były duże i dotyczyły głównie koni. Dowódcą plutonu, w którym służył, był Solarek, oficer zawodowy.

– Byliście już w akcji?

– O tak.

– Z jakim rezultatem?

– Solarek rozbił jeden czołg.

– Jak z amunicją?

– 37 mm użyliśmy dopiero 5-10 sztuk, od kbk też niewiele, starczy.

Wsiadliśmy ze Skrzypskim na rowery i z powrotem.

– Teraz gdzie panie podchorąży?

– Chciałby dobić do tego lasku, tam w lewo za BS jest już 56-ty, tu w lesie powinien być pan major Wodecki.

Dojechaliśmy do pierwszych zabudowań.

- Proszę się tu nie zatrzymywać - odezwał się jakiś oficer - jechać dalej, tu stanowiska artylerii.

W tej chwili zagrały nasze działa. Pojechaliśmy dalej między zgłiszczami domów. Zszedłem z roweru, wśród zabudowań leżało masę zabitych niemieckich żołnierzy, pozostawiona broń, ckm'y, moździerz, dostali tu porządnie. Koło studni leżał jakiś feldwebel, z kieszeni wystawała widokówka z Turynii, data stempla 6 września. A więc poczta działa, szkoda że u nas o tym ani słycho.

Wtem przeleciał pocisk i upadł gdzieś o 100 m od nas. Drugi rozszarpał zwłoki feldwebela koło studni. Z lasu zagrały karabiny maszynowe. Biegliśmy przez pole do drogi. Tam na rowery i przed siebie. Wzdłuż drogi kładła swój ogień artyleria. Dopadliśmy do drogi głównej i tam trochę odsapnęliśmy, bo niemiecka artyleria skróciła ogień.

- No Skrzypski, jeszcze nie koniec, musimy za wszelką cenę dobić do III-go batalionu.

W drogę, wyszliśmy na trakt. Przed domem leżał na boku żołnierz z rozharatanymi plecami. Schyliłem się do niego.

- Byli tu sanitariusze?

- Tak, zaraz tu przyjdą, poszli po wodę.

- Gdzie cię tak urządzili?

- To nasi

- Jak to?

- Wracał nasz patrol, dowódca nic o nim nie powiedział, że będzie szedł. Oni pewnie nic nie wiedzieli, że to swoi i gdy podeszli my do nich, to do nas wygarnęli i na bagnety! Ktoś rzucił granat, dwu zaraz padło, mnie uderzyło na plecach.

Krew się z niego lała.

- Jak długo leżysz?

- Ze cztery, może pięć godzin albo więcej.

Chciałem się nim zająć, ale już wrócili sanitariusze. Coś za długo ich nie było, ale krążyły opinie, że „rewidują” trupy w pogoni za zegarkami, pieniędzmi. Przeszedłem na drugą stronę szosy, tu znów leżał zabity niemiecki oficer. Wyciągnąłem mu z mapnika dwie mapy: Łęczycy i Łódź - ci się zaopatrzyli - przemknęło mi przez myśl.

Ruszyliśmy w dalszą drogę. Wjechaliśmy ze Skrzypskim w stary las. Trzeba było piąć się w górę, szliśmy na piechotę, wolno – baliśmy się niespodzianek. No wreszcie mam ich. Zauważyłem, że byli okopani, w dołach słoma, więc tu spędzili noc.

- Ale co was tak mało? Było ich chyba na pluton.

- Już poszli

- Jak to, gdzie batalion?

- Nie wiemy, już wyszedł z lasu.

- A działka?

- Też.

Rowerem na oślep między drzewami dojechałem do przeciwnego skraju lasu gdzie były stanowiska artylerii.

- Nie widzieliście gdzie batalionu?

- Poszedł w lewo.

Skierowałem się w lewo nad lasem i po forsującym biegu przez podmokłe łąki i kartoflisko, dotarłem do wioski. Drogą ktoś szedł, poznałem Wultańskiego.

- Ach, jest tu pan – co za szczęście!

Był w hełmie i z papierosem w ręce.

- Panie podchorąży, proszę natychmiast odnaleźć batalion Wodeckiego i skierować go do sąsiedniej wsi z pomocą dla I-go batalionu, którego atakuje nieprzyjaciel. Wskoczyłem na rower i popędziłem na poszukiwania. Po kilometry zobaczyłem ich na drodze. Żołnierze zajmowali chałupy, podwórza, ckm'y stały na stanowiskach. Na skrzyżowaniu dróg stało działo ppanc a przy nim major.

- Panie majorze, rozkaz dcy pułku, przerwać natarcie, maszerować w prawo na sąsiednią wieś, tam zachodzą z boku Niemcy.

Wszedłem na podwórze najbliższego gospodarstwa. Tam spotkałem Nowickiego z działkiem Siwy.

- No, jak widzę, masz swój pluton w całości, brak ci czego?

- Nie, wszystko w porządku.

- Słuchaj więc, skoro już tu jesteś skompletowany to zostań przy tym batalionie na stałe.

Musiałem teraz dotrzeć do I-go batalionu. Już miałem wyruszyć, gdy nagle wzrok mój padł na jednego z żołnierzy.

- Siarkiewicz, co wy tu robicie?
- Tak jakoś zabłąkałem się.
Na nogach miał oficerskie buty.
- Włóczycie się, a po drodze trupy obdzieracie. Gdzieście się zgubili?
- Nie wiem.
- Za to ja wam powiem, drapnęliście stamtąd, ale będę o was pamiętał. Znajdźcie się na swoim miejscu, sam znajdę wam działon Nowaka. Odmaszerować.

Ruszył się batalion. Szli drogą na sąsiednią wieś z działkami na przodzie. Trochę mi się to wysuwanie działek nie podobało, zawsze powinny być lekko w tyle, ale dowódcy piechoty widzieli w nich tarcze na wszystko.

Już miałem jechać gdy mimochodem spojrzałem na opustoszałe podwórze, po którym kręcił się jeszcze Siarkiewicz. Rzuciłem rower na ziemię i za chwilę byłem przy nim. Byłem tak wściekły, że nawet nie wiedziałem kiedy w mej ręce znalazł się pistolet.

- Siarkiewicz, zastrzelę cię jak psa.
- A co ja takiego zrobiłem?

Nagle spojrzał mi w oczy i zrozumiał, że sekunda dzieliła go od śmierci. Zbladł strasznie i biegiem puścił się za działkami, zostawiając ze strachu swój rower. Obróciłem się do tyłu, batalion Wodeckiego dochodził do wsi skąd dochodził grzechot ckm'ów. Wśród rozwalonych chałup leżały stosy broni niemieckiej porzuconej w odwrocie, masa trupów, ranni Niemcy. Teraz prowadzono do tyłu grupę jeńców – około 40 chłopca. Żołnierze nasi byli weseli, przygadywali tamtym: „Łęczycza ist schön, nicht?”* Twarze jeńców były posępne, uwalane krwią i ziemią, a mimo to pewne siebie, wiedzieli – nie zginą.

Zdziwiłem się bardzo gdy natknąłem się na Malinowskiego, kaprała-obszwaratora z trzeciego batalionu.

- Co pan tu robi?
- Zgubiłem się i siedłem z 60-tym. Tu miał iść nasz batalion.
- Tak, ale przeszedł gdzie indziej, proszę wrócić do dowództwa pułku, tam się pan przyda. Ale proszę opowiedzieć mi o śmierci Su-

* Łęczycza jest piękna, nieprawdaż?

skiego*. Jak to się stało, że obsługa zostawiła działko?

- Działko moje z porucznikiem - opowiadał Malinowski - poszło wtedy znad rzeki do ataku na cegielnię. Szliśmy w pierwszej linii, z lasu Niemcy siekli z ckm'ów. Do tego rozpoczął się ostrzał artylerii. Kazano nam strzelać z działka pociskami smugowymi. Zaraz po tym rozpoczęło się piekło. Niemcy celowali po smudze. Pocisk rąbnął w obsługę, padł kapral i jeszcze ktoś, a reszta się rozbiegła. Myśmy z porucznikiem dołączyli do batalionu. Wczoraj po południu rozpoczęło się znów nasze natarcie. Nad wieczorem Niemcy rozpoczęli kontrnatarcie, które odparliśmy. Okopaliśmy się na wzgórzu, ale przyszedł pan major i rozkazał abyśmy przeszli o jakieś 30 m do przodu i tam się okopali. Poszliśmy na drugie wzgórze, aż tu nagle piekło, artyleria i ckm'y. Batalion się zachwiał, major kazał się cofać na poprzednią linię, ale już było za późno, ledwo kto uciekł z tego. Myśmy z Suskim byli na lewym skrzydle, okopaliśmy się razem we dwóch, ale byliśmy odcięci ogniem od reszty. Ja chciałem się cofać do batalionu, ale porucznik powiedział, że teraz nie można, za silny ogień. Zacząłem próbować, czołgałem się, gdy się obróciłem padł tam pocisk, ale kto wie, może wyszedł z życiem, może ranny, może w niewoli.

Nasza rozmowa została przerwana przez nasze ckm'y. W górze zjawił się nasz wywiadowczy samolot artylerii. Teraz dopiero się rozpoczęło, pocisk za pociskiem i akurat w drogę. Skrzypski i Malinowski zerwali się, wpadli do rowu. Poszedłem ich śladem, ale wylądowałem po drugiej stronie drogi pod ceglany płotem. Moim sąsiadem był pułkownik Frydrych. Na drodze zrobiło się pusto, wszyscy żołnierze rozbiegli się po rowach. Wtem straszny huk a potem jęki rannych. To pocisk wpadł prosto do rowu. Za chwilę ziemia zatrzęsa się pod nami, podmuch detonacji przewrócił murek i zasypał nas gradem cegieł. Otrząsałem się nieco i spojrzałem na pułkownika, był cały szaro-czerwony od kurzu i cegły, mundur w paru miejscach poszarpany. Jęki dochodziły ze wszystkich stron. Frydrych pobiegł do rannych, wstałem, ale zaraz upadłem i doczołgałem się do rowu. Było mi słabo. Czulem dziwne zniechęcenie, już mi było wszystko jedno. Wtem spojrzałem, drogą czołgał się żołnierz bez stopy, jęczał.

* Symboliczna mogiła ppor. Suskiego znajduje się na Cmentarzu Miejskim w Kaliszu.

- Czołgaj się do rowu - rzuciłem mu.

Chwilę tylko się namyślałem, znowu gdzieś blisko wybuch. Wstałem, podszedłem do niego, podniosłem go, był ciężki, zgiąłem się, ale ściągnąłem go do rowu.

- Sanitariusze! ...

Ale tych nie było widać. Frydrych też ich szukał. Mój żołnierz mocno krwawił. Znowu wstałem, wsadziłem go na rower, trzymając go jedną ręką drugą prowadziłem rower za kierownicę.

- Jeszcze strzelają, jeszcze strzelają - szeptał.

- Nie bój się, nas nie trafi.

Opadł nagle z sił, osunął się na mnie.

Drogą posuwał się upiorny korowód rannych. Zewsząd dochodziły jęki i prośby o wodę. Z wielkim trudem doszedłem do jakiegoś domku, przy którym stało paru żołnierzy.

- Chłopcy, pomóżcie mi!

Dwóch podbiegło, wzięli mój ciężar. Odetchnąłem i oparłem się o drzewo. Dopiero teraz poczułem coś ciepłego na twarzy. Spojrzałem w lusterko, po czarnej twarzy spływała mi zza ucha strużka krwi. Machnąłem ręką, wsiałem na rower i pojechałem. Teraz trzeba było znaleźć dowództwo i złożyć meldunek. Nagle przypomniał mi się Skrzypski. W pierwszym odruchu chciałem się wrócić, zwyciężyło jednak poczucie obowiązku wobec przełożonych. Dojeżdżałem do przejazdu gdzie wczoraj stało działko, przeniósłem rower przez wodę i skierowałem się w stronę folwarku. Na dziedzińcu panował wzmożony ruch. Właśnie koło stodoły przechodził kapitan.

- Panie kapitanie, melduję posłusznie wykonanie rozkazu. Batalion majora Wodeckiego poszedł na wieś. 60-ty pułk dostał się pod bardzo silny ogień artylerii niemieckiej. Dowódca pułkownik Frydrych o mało nie zginął.

- Panie podchorąży, pan tu zostanie i poczeka na dalsze rozkazy.

Przysiadłem się do łączności. Wśród saperów znalazłem dwóch chłopaków z Turku, znajomych z dawnych lat. Od biedki łączności podbiegł do mnie plutonowy K. Usiedliśmy na pniu i zaczęliśmy pogawędkę przerwana nawałą artylerii niemieckiej. Tym razem pociski spadały na dziedzińiec, widać nieprzyjaciel wyśledził siedzibę dowództwa pułku.

W jednej chwili zakotłowało się, żołnierze, cywile rzucili się do ucieczki. Stałem za drzewem. Pięć pocisków spadło na dziedziniec i nic. Jeden upadł koło ganku dworku, gdzie było dowództwo pułku. Wultański wyszedł zobaczyć co się stało.

- Panie podchorąży, za dworem są trzy działony: Koza, Szymczak i Świątnicki. Te działony tworzą pluton dyspozycyjny dowódcy pułku, którego pan zostaje dowódcą. Dowódcy oddziałów strzeleckich skarżą się, że działek brakuje tam gdzie ich najwięcej potrzeba. Teraz gdy my będziemy decydować to się zmieni. Proszę za mną.

Więc znów ten sam pluton co w trzecim batalionie, mam znowu swoich ludzi. Do Świątnickiego przybyło dwóch strzelców z dawnego działonu Łuczaka, Kaźmierowski i Rokoszewski. Zwróciłem się do Rokoszewskiego:

- Słyszałem o was, jeszcze w pułku, że byliście jednym z najlepszych celowniczych, w każdym razie jesteście chłopakiem z Turku, a więc do rzeczy.

Wultański oddalając się kazał mi przygotować obronę ppanc. Zbliżyłem się do działonowych.

- Koza stanowisko u wylotu folwarku na tor kolejowy, Szymczak: koło spichlerza na szosę i cegielnię, Świątnicki: za dworem, w lewo na szosę i las za cegielnią. Wykonać!

Rozeszli się do swoich działonów, a ja poszedłem zobaczyć jak wygląda sytuacja z prawej strony zabudowań folwarku. Uspokoilem się jednak, gdy zobaczyłem, że za nasypem kolejowym płynie rzeczka i stamtąd atak czołgów raczej nam nie grozi. Wracając zatrzymałem się przy żołnierzach z PAC-u. Kucharz - fest chłop - orzekł widocznie, że też jestem kamratem bo zawołał:

- Chodź bracie, zostało mi tu w kuchni żarcie, pożresz sobie.

Zjadłem grochówkę z apetytem, wyskrobując z niej resztki. Obok kuchni siedzieli żołnierze i żywo dyskutowali.

- No to jakoś nam idzie, ale jak ciężko swoje odebrać. Trzy dni a dziesiątki kilometrów zrobiliśmy, a ile trupa padło...

- Tak - zaczął drugi - ale już Kalisz odebrany, tylko nie mogę wyrozumieć, jak to Kalisz odebrany, a pod Łęczycą są Niemcy, po co my w takim razie wiali z Kalisza, po co Łęczycę opuścili, żeby teraz to wszystko odbierać.

- Ot głupi - powiedział kucharz - nasz kapitan mówił, żeśmy się dlatego cofali, żeby nabrać siły i rozpędu. Teraz to w parę tygodni, może dwa i pójdziemy na szwabskie piwo.

- Albo dziś jeszcze do Abrahama na piwo - wtrąciłem. Chodźcie chłopcy, mam mapę Polski, to wam pokaże jak to jest.

Usiedli koło mnie, a ja wyjąłem fizyczną mapę Polski i podzieliłem się z nimi tym wszystkim, czego się sam dowiedziałem.

- Radujcie się, Prusy już nasze, na Śląsku idziemy naprzód, w poznańskim żeśmy się cofali, ale za to teraz na linii Częstochowa-Wieluń-Kalisz poszliśmy naprzód i osiągnęliśmy granicę. Pomorze się trzyma, od Poznania odepchnęliśmy Niemców aż po Zbąszyn i już byłoby dobrze gdyby... patrzcie tu tylko podeszli, - wskazałem na Łódź, Łęczycę, - mamy ich teraz w kleszczach, chodzi o to, aby ich tu zgnieść, a wtedy ich odrzucimy. Ale i tak wojna nie będzie trwała tak krótko, rozbite zupełnie Niemiec - to parę lat.

Mój wykład przerwały pociski i moi słuchacze schronili się w oborze. Po ostrzale trwającym z 15 minut poszedłem zobaczyć do działonów, już nie uciekli jak pod Dąbiem, zdążyli się przyzwyczać. Teraz zajechała nasza kuchnia z Rybczyńskim. Janek wydawał obiad. Poszedłem do Szymczaka. Zamaskowaliśmy działo w krzakach, obsługa też się ukryła. Niemcy używali masowo samolotów, które krążyły nad terenem zajęтым przez nas, wypatrywali, a w ślad za nimi szły pociski artylerii. Obejrzałem jeszcze działon Kozy i poszedłem w stronę dworku. Tymczasem przez folwark przechodziła kawaleria, czyżby odsiecz?

Była to brygada kawalerii podolskiej, jakież 500 koni, koniki malutkie, zwinne karabiny maszynowe na jukach, taczanki, a nawet 2 armatki, obsługa na koniach, hełmy zupełnie odmienne od naszych, zakrywające czoło, ładniejsze niż w piechocie. Przeszli wśród tumanów kurzu i rozstawili się poniżej w gęstym zadrzewieniu za dworkiem.

(Brak dwóch stron, w oryginale 448 i 449 - przyp. JPS)

Zmiana miejsca postoju dowództwa pułku była potrzebna. Czekaaliśmy na oficera, aż w końcu zjawił się kapitan i objął komendę. Poszliśmy na poprzednie miejsce. Rozstawiłem teraz działka. Koza poszedł na szosę, Szymczak z lewej strony budynku na drogę. Świątnicki skorzystał, jego działko bez celownika było do niczego w nocy.

Wszedłem do domu, tu już chłopcy spali, natknąłem się na leżącego kapitana.

- Niech pan się zajmie kolacją dla plutonu i pocztu.

Poszedłem do działonów i pocztu, wysłałem ośmiu ludzi z mezażkami. Usiadłem przy działku Kozy. Po krwawym dniu noc wydawała się jakaś cicha i spokojna. Wrócili żołnierze z mezażkami. Teraz kolej na mnie. Musiał zabierać się już do drzemki.

- A to pan podchorąży?

Po chwili zajaadałem ryż. Musiał wydobyć skądś cukier, naprawdę, królewskie jedzenie, ale jeszcze bardziej ucieszyłem się z kawy, pić mi się bardzo chciało.

Dlaczego?

Wracałem z kuchni gdy z daleka doszedł mnie jakiś gwar. Czyżby apel? Zwiększyłem tempo. Na szosie koło dowództwa grupowali się żołnierze. Gdy dojechałem, kapitan biegał już po podwórzu.

- Panie podchorąży, natychmiast odmarsz, proszę wysłać gońca do taborów, ustawić działka na szosie. Kierunek na Łęczycę.

Czyżbyśmy się cofali? - szepnąłem sam do siebie, a głośno powiedziałem:

- Naprzód marsz!

Szybkim marszem doszliśmy do taborów i razem z nimi wyszliśmy na szosę tworząc długą kolumnę. Kapitan jechał na koniu na czele przy nim zaś poczet kompanijny - wszyscy na rowerach. Wyjechałem na czoło.

- Panie kapitanie, co to znaczy?

- Nasz pułk się wycofuje.

- Ale dlaczego?

- Taki rozkaz.

Czyżby luzowanie pułku - myślałem - wprawdzie mocno się wykrwawił w walkach, ale na luzowanie to za wcześnie. Kapitan znów mnie zawołał.

- Panie podchorąży, proszę wziąć jednego strzelca i pojechać w kierunku Topoli Małej, tam stoi Bednarski z częścią taborów. Niech pan go złapie i poczeka na nas w Topoli.

Wyjechałem do przodu z jednym st. strzelcem z pocztu. Ujechaliśmy kawałek gdy mnie zapytał:

- Panie podchorąży, co to znaczy?

- Nie wiem, zdaje się, że luzowanie pułku, ale nie rozumiem tego.

Dojechaliśmy do Łęczycy - pusto, zaledwie żandarmeria gdzieniegdzie na ulicach. Wjechaliśmy na rynek i w lewo na szosę. Było po północy - środa.

Szosa była dobra, asfaltowa, toteż jechałem szybko. Wreszcie ujrzałem jakiś słup, zapaliłem zapałkę - Topola Mała.

- Zostańcie tu, ja sam pojedę, uważajcie tylko na naszą kolumnę. W razie gdyby przeszli, pamiętajcie w którym kierunku. Pojechałem boczną piaszczystą drogą. Wokół cicho i ciemno. Zaglądałem do każdej chałupy. Dojechałem do końca wsi, ale szefa nie znalazłem. Zawróciłem. Wieś tu była trochę zniszczona, ale mieszkańcy powrócili. Dojechałem do szosy, którą ciągnęły masy wojska.

- Panie podchorąży, to cała dywizja ucieka. Przed chwilą szedł batalion 56-go, teraz idzie coś z 60-tki. Szosę oświetlały pojazdy motorowe. Przejeżdżały ciągniki z działami przeciwlotniczymi, potem jakieś wozy taborowe 56-go, potem trochę wozów sanitarnych. Nagle przejeżdżające z chrzęstem tankietki zatrzymały się. Podbiegłem do jakiegoś oficera trzymającego mapę.

- Co się dzieje panie poruczniku?

- Co pan wariata struga, nie wie pan, cofamy się.

Teraz już nie miałem wątpliwości, znowu odwrót tak jak z Ostrowa, Kalisza, Turku, ale dlaczego? Przecież szliśmy naprzód, odbiliśmy Łęczycę, Niemcy ustępowali, nacieraliśmy, a teraz się cofamy? Dokąd? Po co ta ucieczka, po co tyle krwi przelanej? Znowu przechodził jakiś batalion 60-tego pułku, wszystkie twarze skupione. Przeszli. Wreszcie dojrzałem kolumnę z białym koniem na czele. Poznałem to Gryf - a więc nasza kolumna.

Po chwili zameldowałem kapitanowi o mojej wyprawie. Kapitan skinął głową, był poważny. Noc kryła bałagan jaki wytworzył się na szosie. Coraz bardziej wyglądało to na ucieczkę niż na planowany odwrót. Na czele kolumny szło działko Świątnickiego, na tyle Koza i Szymczak, dobre działka osłaniały odwrót. Poczujęm znużenie, zachciało mi się spać.

Mój pluton poniósł stosunkowo nieduże straty. U Szymczaka zginął znowu Okuń, jeden strzelec u Kozy. Z trzecim działonem było go-

rzej: działko bez celownika, z dawnej obsługi tylko dwóch ludzi. Teraz dopiero zauważyłem, że dołączył do nas Ukrainiec Chała z I-szego batalionu rozbitego pod Wieleniem, podkomendny Władka.

Po jakichś trzech godzinach marszu zatrzymaliśmy się z prawej strony szosy. Usiadłem na kamieniu przydrożnym i zasnąłem krótkim, nerwowym snem z którego zbudził ordynans kapitana.

Wskoczyłem na rower i znów jechałem na czele kolumny. Te kilka minut snu jednak mi pomogło. Znów zawołał mnie kapitan.

- Panie podchorąży, niech pan jedzie naprzód i zorientuje się, gdzie jest miejsce 29 pułku. Tam mamy się zatrzymać.

Szarżało gdy zbliżałem się do jakiejś wsi. Dostrzegłem napis: Witonie. Byłem na miejscu. Od Kutna dzieliło nas zaledwie 10 km. Byliśmy zatem już za Wartą. Widać i gen. Wład, się cofa, a w każdym razie cofa się cała linia.

W Witoniu nasz pułk zajmował prawą stronę miejscowości. Czekałem na zakręcie na swoich. Z Łęczycy do Witonie niedaleko, a więc to nie będzie długi odpoczynek - rozmyślałem. Tymczasem nadeszła nasza kolumna. Zdałem raport kapitanowi.

- Niech pan się teraz zajmie rozstawieniem działek i taboru kompanijnego po domach i zagrodach, ja się zajmę resztą kolumny.

Przeszedłem na prawą stronę szosy. Każde działko posłałem na sąsiadujące z sobą podwórza. Potem obszedłem je wszystkie i kazałem działka i wozy postawić pod drzewami lub w krzakach między domami. Ludzie z działonu Szymczaka już się myli pod studnią. Z domu, w którym kwaterowali, dolatywał zapach świeżo pieczonego chleba. Przybył Szymczak.

- Panie podchorąży, tam mają chleb, a nie chcą dać.

Wszedłem do środka,

- Proszę pana - tłumaczyła kobieta - to jest chleb dla dowództwa, nie mogę sprzedać.

- Trudno, trzeba się obyć smakiem. Napilem się wody.

- Przyszedł kapitan.

- Dowództwo pułku jest po drugiej stronie szosy w ciemnym domku, ja tam zaraz idę, a pan niech się kładzie spać. Tym razem polecenie wykonałem z wielkim zadowoleniem.

Witonie – Kutno – Raków

Obudziła mnie krzątająca dookoła. Obok mnie kręcili się żołnierze z działonu Kozy. Na klepisku stała odprzodkowana armatka. Wstałem i wyszedłem na zalane południowym słońcem podwórko. Szybko zdjąłem z siebie mundur i dołączyłem do myjących się pod studnią. Przy okazji tej toalety oceniłem stan korkowych wkładek do butów i skarpetek, które nadawały się już tylko do wymiany. Szukając w swych rzeczach zauważyłem brak zaoszczędzonej przeze mnie puszki konserw będącej podarunkiem urodzinowym od brata. Znalazłem też zapomniany gruby pulower, który teraz przyda się bardzo. Nie oglądając się na nic włożyłem go od razu na siebie, a resztę rzeczy schowałem do torby przytroczonej do roweru. Do pełni szczęścia brakowało mi tylko golenia, niestety nie miałem czym.

Po toalecie przyszedł czas na czyszczenie broni do którego, oczekujący na obiad żołnierze przystąpili bez zbytniego zapału tym bardziej, że z kuchni jeły już dolatywać smakowite zapachy gotującej się zupy i kawy. Sam też dla dania przykładu zabrałem się za czyszczenie swego służbowego visa.

Tymczasem z kuchni przyszedł Rybczyński.

- Działonowi niech się do mnie zgłoszą po papierosy.

Wiadomość ta bardzo poprawiła humory po czyszczeniu broni na głodniaka. O żołdzie jednak jakoś nic nie było słyhać. Poszedłem do kuchni.

- Obiad już gotów – odpowiedział Musioł, dziś gotujemy i dla pionierów i pgaz.

- Skoro gotów to zaczynajcie wydawać.

Zupa z kawałkami słoniny i do tego na talerzu smakowała wspaniale. Na dokładkę dostaliśmy jeszcze kawy i chleba. Z rozkoszą po obiedzie, ale jeszcze głodny, zaciągnąłem się dymem papierosa. Było koło czwartej gdy mnie wezwał do siebie dowódca kompanii. Kapitan rezydował w ładnym, czerwonym domku, w pokoju, który był dla gospodarzy domu czymś w rodzaju salonu. Z drugiego pokoju dochodziły dźwięki patefonu.

Kapitan przywitał mnie stroskaną miną.

- Panie podchorąży, sytuacja nasza jest poważna. Właśnie dowiedziałem się, że pod Sochaczewem nieprzyjaciel przerwał linię obrony generała Bortnowskiego. Idziemy teraz na Sochaczew na wsparcie tam-

tych oddziałów. Za jakieś dwie godziny ruszamy, chwilowo na Kutno. Pana miejsce będzie przy dowódcy pułku.

- Drugi raz panie kapitanie od chwili pamiętnego sierpnia dwudziestego zmuszeni jesteśmy oprzeć się o Wisłę. To chyba będzie decydująca chwila w naszych działaniach wojennych.

- No jeszcze nie o Wisłę, mój panie, ale pocieszające jest to, że przez Prusy Wschodnie ma nadejść odsiecz francusko - angielska.

Po powrocie do działonów zarządziłem natychmiast gotowość marszową. Po szóstej przyjechał konno kapitan i pochód ruszył.

- Pan - zwrócił się do mnie - niech jakiś czas idzie na końcu kolumny. Proszę mi zwłaszcza popędzić por. Gutowskiego, bo strasznie marudzi ze swoimi pgazami. Zawróciłem i wykonałem rozkaz kapitana. Nic teraz nie stało na przeszkodzie bym dołączył do maszerującej kolumny. Podczas marszu musieliśmy ustąpić miejsca wyprzedzającej nas kolumnie sanitarnej wyposażonej w autobusy pomalowane na barwy wozów sanitarnych. Za nimi jechały wozy konne z wielkimi czerwonymi krzyżami. Wszystko to było wypełnione rannymi, których wieziono do szpitala w Kutnie. Za kolumną sanitarną chciały się przemyścić tabory jakiegoś pułku artylerii, ale się im wyrwaliśmy do przodu. Zaczął się formalny wyścig. Trzeba było mi teraz specjalnie uważać, żeby się jakie wozy nie pomieszały i nie pogubiły. Zły pojechałem do prowadzącego tabory artylerii i po awanturze wymusiłem zgodę na zatrzymanie jego kolumny. Było coś koło 11-ej gdy dochodziliśmy do Kutna nad którym unosiły się tony pożarów. Ten największy węzeł kolejowy w kraju był obiektem wściekłych ataków niemieckich lotników.

- Dokąd się kierujemy, panie kapitanie? - spytałem, gdy miasto pozostało za nami.

- Idziemy na odpoczynek do dworu w Rakowie.

- O, to konie się podreperują.

- O tym samym i ja myślę - odparł kapitan.

Po krótkim postoju spowodowanym przez jakąś kolumnę taborową dostrzegłem, że zawiruszył się gdzieś działon Kozy. Nie było trudno się domyśleć, co się stało, na pewno zmieszał się z przechodzącą obok nas obcą kolumną. Zawróciłem i po 15-to minutowej pogoni dopadłem „uciekiniera”.

- Kaprału, do jasnej cholery, dokąd pan idziesz?

- Ano z kolumną ...

- Z jaką?

- Ano z naszą.

- Oszalałeś człowieku, to jest inna kolumna, nasza wali prosto szosą, a ja was po polach szukam. Nawracać! Obsługa na armatkę i kłusem marsz!

Znów maszerowaliśmy szosą. Szarzało gdy zeszliliśmy zboczyliśmy z drogi na piaszczysty trakt, który doprowadził nas równo ze świtem do zabudowań dworskich. Przez bramę wjechałem na podwórze. Po prawej stronie ciągnęły się rzędem stodoły i obory, zaś w głębi wśród bujnej zieleni drzew bielily się ściany dworu. Na podjeździe do zaparkowanego samochodu pakowano walizki. Widać było, że właściciele szykowali się do opuszczenia domostwa.

Przywitałem ich i poinformowałem o nadciągającej kolumnie.

- Wiemy. Już tu był pułkownik i paru oficerów. Ale nie to jest w tej chwili ważne. Jak pan sądzi, czy uciekać do Warszawy, czy też zostać na miejscu?

- Na państwa miejscu - odpowiedziałem - pozostałbym na miejscu. Idę od samej granicy i, proszę mi wierzyć, widziałem los cywilnych uciekinierów.

Ukloniłem się i udałem się w stronę swego oddziału.

- Idźcie zająć jakąś dobrą stodołę na kwaterę, dla naszej ppanc, bo znów nas ktoś ubiegnie.

Sam poszedłem obejrzeć podwórze pod kątem jego obrony ppanc. Gdy wracałem z gotowym planem na podwórze folwarku wjeżdżał kapitan z kolumną.

- Niech pan od razu da ochronę ppanc, rozstawi baon pod względem opl. Nie rozpuszczać bractwa, ale niech idą na odpoczynek. Połowa odpoczywa, a druga na stanowiskach. Wykonać.

Szymczaka wyrzuciłem za stodołę, Świątnickiego do bramy wyjazdowej, do wjazdowej Kozę. Zanim sam rozstawiłem odpowiednio wozy i kuchnie, zrobiła się dziewiąta. Nie pozostawało mi nic innego, jak iść spać. Gdy się obudziłem, była już druga. Po podwórku nikt się jeszcze nie kręcił, widać bractwo spało zmęczone nocnym marszem. Od stro-

ny kuchni dolatywał zapach gotowanego obiadu. Obok dworu kręcił się jakiś gimnazjalista z karabinem, który był prawie tak duży jak jego właściciel. Po krótkiej rozmowie wiedziałem, że niechący rozdzielił się z rodzicami i na ochotnika zaciągnął się do wojska. Przydzielono go do oddziału sanitarnego.

- Ale pan pewnie głodny - powiedział do mnie. Widać było, że przypadłem mu do gustu. - No to niech pan idzie ze mną.

Spodobał mi się ten chłopak. Walimy do kuchni przy której kręciły się służące ze dworu, nasi pułkowi kucharze i jakaś kobieta w mundurze P.O.K.*

Do tej zgłosił się młody wojak.

- Przeprowadziłem tego pana, on jest głodny.

Nie wywołało to żadnego zdziwienia i już po chwili pałaszowałem dwa placki kartoflane i popijałem kawą. Podziękowałem i wyszedłem z dworu. Właśnie trafiłem na wydawanie obiadu, który nasze kuchnie przygotowały również dla całej kolumny dowództwa pułku, przeszło 200 osób. Zjadłem i ja, ale kiszki nadal mi grały przysłowiowego marsza.

Skierowałem się na ganek dworu gdzie ożywioną dyskusję prowadziło kilku wojskowych i cywili. Spotkałem tam mego kolegę z łączności. Razem szykowaliśmy się do Zegrza aby w rezultacie wylądować w Szczypiornie. Był też ranny w nogę pułkownik oraz doktor pułku, którego poznałem jeszcze jako strzelec z cenzusem w Szczypiornie. Koło auta pułkownika spotkałem znajomego z Turku Kukulskiego, który był teraz szoferem pułkownika. Dotarłszy do stodoły, rozsiadłem się wygodnie na słomie, wyjąłem podarowany mi przez żołnierzy w Dąbiu zeszyt i rozpocząłem pisać pamiętnik. Pisałem zwięźle, główne punkty dnia - cośmy w nim robili i ważniejsze zdarzenia. Tak dociągnąłem do 14 września. Pisałem ten pamiętnik z potrzeby serca, dlatego pisanie przychodziło mi łatwo, a przed oczyma jak w kinie przewijały się wydarzenia ostatnich dni. Napisałem też list do brata w Warszawie nie wiedząc jednak, czy go zdołam kiedykolwiek wysłać.

Skończyłem i wyszedłem na dwór. Właśnie nadjechał autobus komunikacji międzymiastowej i zaczęto z niego rozdawać papierosy „Li-

* P.O.K. - Przynależność Obronne Kobiet

gia”. Dostałem paczkę „płaskich” i paczkę „wirusów” i gdy je chowałem po kieszeniach podszedł do mnie Kukulski.

- Wie pan ten co rozdaje, to jest też Turek, pracuje u nas w „Tkaczu”. Mnie poznał i dał mi więcej, niech pan tam do niego idzie.

Podbiegłem bliżej i krzyknąłem: „Panie, ja też Turek”. Spojrzała na mnie i widać poznał, bo już po chwili w mym kierunku poleciały dodatkowe paczki. Zdobyć była zaiste imponująca – sześć paczek „Lotów” i pięć paczek cygaretek „Ligia”. Turki umieją trzymać ze sobą sztamę – pomyślałem.

Przy bramie wyjazdowej spotkałem się z kapitanem.

- Panie podchorąży, dziś w nocy należy spodziewać się alarmu, niech więc bractwo kładzie się spać. Sygnałem trąbki znalezionej pod Łęczycą, nasz sygnalista kompanijny Ukrainiec Olejniczak z cywila muzykant, dał znać o kolacji. Po kolacji podwórko opustoszało i zapanowała cisza.

Sanniki

Rano drobne nieporozumienie. Wśród gąszczu nóg ktoś mnie bierze za kapitana i wyciąga siłą na odprawę. Pomyłka się wyjaśnia i zadowolony z tego obrotu sprawy zapadam znowu w sen. Budzi mnie ponowne szarpanie za nogę. Już chcę powiedzieć komuś parę słów do słuchu, gdy słyszę nad sobą głos Wultańskiego:

- Proszę wstawać panie podchorąży. Za chwilę wyruszamy. Trzeba przygotować kolumnę do wymarszu.

Zrywam się jak oparzony. Po paru chwilach już moi posłańcy rozbiegają się po oddziałach. Wyszedłem na dwór. Trochę za późno wyruszamy – myślę – będziemy teraz łatwym celem dla lotnictwa. Mimo tego pośpiechu wyruszamy dopiero gdzieś około szóstej. Kierunek marszu Sanniki. Więc znów idziemy do walki. Niemcy nacierają na linii Warszawa – Łowicz – Sochaczew. Łęczycy znów w ich rękach. Wypierają nas w stronę Wisły.

- Czyżby miał się powtórzyć cud nad Wisłą? – pomyślałem. Im jednak dłużej się na tym zastanawiałem, tym bardziej traciłem nadzieję na powtórkę z historii. Wtedy pamiętnego sierpnia 1920 roku, sytuacja była zupełnie inna. Teraz cofaliśmy się przed wrogiem oddając mu całe połacie kraju. Żeby plany kontrofensywy się powiodły to musiałyby pójść

uderzenie od Prus Wschodnich – które ponoć były w naszych rękach – na Grudziądz i Toruń. Ale jak tam sytuacja wyglądała naprawdę, tego zdaje się nie wiedział nikt. Niepokoiła mnie też sytuacja na Śląsku. Jeszcze przed wojną prasa podawała, że na Słowacji Niemcy gromadzą znaczne siły pancerne. Chyba je teraz wykorzystali. Im dłużej o tym wszystkim myślałem, tym bardziej nie było powodów do radości. Jeśli sprawdziłyby się moje najgorsze przypuszczenia to groziło nam okrążenie. A co wtedy – lepiej było nie myśleć.

Moje rozważania przerwane zostały przez huk silników mijającej nas właśnie kolumny zmotoryzowanej. Jeden za drugim ciągną się samochody z piechotą. Machają nam rękami. Patrzę na nich z pewną zazdrością, bo my niestety nie mamy takich wygod i – jak przystało na naszą formację – drałujemy na piechotę. Wśród mijających nas żołnierzy migają znajome twarze – to chyba drugi batalion, ale pewności nie mam. W oddali znikają ich umajone pojazdy i gdyby nie wojna, można by pomyśleć, że jadą na zabawę, a nie do walki.

Dojeżdżam do miejsca, w którym grupka naszych saperów odbudowuje zniszczony przez cofające się nasze oddziały mostek. Nie byłem pewien, ale wśród saperów mignęła mi sylwetka Gucia Fibigera z Kalisza. Dochodzimy do opuszczonej wsi i tu kapitan zarządza odpoczynek. Znając Wodeckiego rozstawiamy bez rozkazu działka. Po tej czynności żołnierze rozbiegają się w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Niestety wracają z niczym. Mieszkańcy zabrali ze sobą wszystko, aby nic nie dostało się w ręce wroga. Spotkałem dwóch cywilów, gospodarzy z sąsiedniej wsi. Ich wieś też była opuszczona.

– Gdzie są Niemcy – spytałem.

– Panie, my sami nie wiemy, tu nic nie wiadomo, jedni mówią, że byli w Sochaczewie, drudzy, że są w Łowiczu. Tu ich nikt nie widział. Ludzie uciekają, bo znają ich ptaszki, latają i latają. Szczęście, że do tej pory nie zrobili nam żadnej krzywdy.

Wtem alarm! Zza lasu wyskoczyły cztery maszyny. Huk, jak pod Cerkowem. Zadzieram głowę do góry i dostrzegam na skrzydłach znajome biało-czerwone szachownice. A więc nasi – oddecham z ulgą. Trzeci raz od początku wojny widziałem polskie maszyny. Raz strąconą na szosie od Kalisza, drugi raz pod Przykoną za Turkiem, trzeci raz – teraz. Maszy-

ny krążyły nad nami, piloci machali do nas rękoma, żeby się nie bać i do nich nie strzelać. Gdyby tak więcej się pojawiały, to może byłoby inaczej – przemknęło mi przez myśl.

Zbliżył się do mnie kapitan.

– Mam tu dwa pudełka cygar, wziąłem je z myślą o panu, ja i tak nie palę.

Postał chwilę i patrzył na mnie.

– Wie pan, jakoś od rana mam złe przeczucia. Mówię o tym tylko z panem, ale proszę nie rozumieć mnie źle, to nie strach ale jakieś przeczucie, że coś się dziś ze mną stanie. No, ale dość o tym. Proszę zarządzić, żeby kuchnia wydała kawę i potem w drogę.

– To widać Sanniki – powiedział do mnie Wultański, gdy po godzinie marszu zbliżyliśmy się do jakiejś osady. Z boku szosy wędrowała samotnie krowa. Razem z Musiołem rzuciłem się za nią w pogoń. Z tryumfem i przy radosnych okrzykach całej kolumny, przywiązałem ją do wozu kuchennego.

– Że też się panu chciało – odezwał się kapitan. Proszę teraz jechać naprzód i przygotować kwatery dla kolumny i stanowiska dla armatek.

Pojechałem. Sanniki to osada podobna do Witonia. Miasteczko ciągnęło się wzdłuż szosy, na której kręciło się już sporo wojska z naszego pułku. Dojechałem do otoczonego pięknym parkiem dworu w Osmolinie. Wymarzone miejsce dla naszych taborów, a i działka można tu będzie ustawić – pomyślałem. Dwór zajmowało już dowództwo pułku. Za stodołami natknąłem się na działo z plutonu Nowickiego i działon Kałużnego, a w nim Swistuna, miłego chłopaka z Małopolski Wschodniej. Rozlokowałem przybyłą właśnie kolumnę i za przykładem żołnierzy Świątnickiego ułożyłem się pod drzewem i zasnąłem.

Pogrom

Obudziły mnie detonacje. Dopadłem do drogi. W rowie jęczy ktoś bez nogi. Zza czworaka wyskakuje rycząc z bólu ranny Lewandowski. Zatrzymałem się.

– Panie podchorąży, to samoloty – dobiega mnie głos Szymczaka.

W jednej chwili oprzytomniałem, rzeczywiście znów zbliża się i narasta warkot motorów. Wpadłem za czworaki, działon Szymczaka rozbie-

ga się w pole, biegnę do przydrożnego rowu. Czegoś podobnego jeszcze nie przeżywałem. Sześć maszyn przechodzi po dwie nad nami. Z rowu widzę oszalałe ze strachu konie ciągnące za sobą wozy. Zewsząd dochodzą nieludzkie wprost jęki rannych. Widzę naszą bezradność. Nagle nieopodal mnie straszna detonacja, czuję mocne uderzenie w rękę, patrzę – krwawi. W uszach jeszcze dzwoni. Znow słycać warkot lecących nisko nad ziemią samolotów. Patrzę w górę na lecącą maszynę. Boże! Wprost na mnie leci czerwona kula. Zamykam oczy – czyżby to już koniec? Upadła o 10 m za mną. Podnoszę głowę. Wokół płonące domy i dym, który wdziera się w nozdrza. Zaczynam kaszleć. Powoli nalot zbliża się do końca, jeszcze tylko dwie maszyny przelatują nad polem i sieką z karabinów maszynowych do leżących tam żołnierzy. Patrzę na odlatujące maszyny – to bombowce. Nagle nastaje grobowa cisza, ale trwa to tylko jedną chwilę. Zerwałem się. Zewsząd słycać jęki rannych. Gdzie kapitan? Trzeba znowu wszystkich zebrać. Najpierw ściągam działon Szymczaka. Jak na razie jeden poszkodowany Lewandowski. Za czworakami paru cywilów pomstują na nas. Są ranni – jakiś cywil bez stopy i Bródnicki bez ręki. Szymczak sprowadził im sanitariuszy. Przeszedłem przez drogę i wszedłem do parku. Z daleka widać trupy końskie. Przy bramie gromada żołnierzy, jest i szef. Na ziemi leży zabity Świątnicki, a nieopodal zwłoki kapitana Wultańskiego bez głowy. „Myszka” mu ją obcięła – mówią zgromadzeni. Coś mnie chwyciło za gardło. Szef płacze. Po raz pierwszy podczas tej wojny poczułem napływające do oczu łzy. Obok ktoś jęczy – to Zygmunt, ordynans kapitana. Zamiast nogi krwawiąca miazga. Błaga o skrócenie jego cierpień, ale nikt się nie rusza.

Natykam się na trupy końskie. Wśród nich jest też Gryf Wultańskiego. Odszedł ze wszystkim – pomyślałem o kapitanie. Obok koni leży nasz podoficer kompanijny, Sewek Kóleczo. Pajchrowski ranny, ma podziubane plecy – robią mu opatrunek. Jański ranny w rękę. Kilkanaście trupów żołnierzy leży na ziemi.

– Zaskoczyli nas we śnie – zdają się mówić, jakby chcieli wytłumaczyć się, że zginęli bez oddania choćby jednego wystrzału.

Wtem znow warkot. Ludzie w panice, nie wyłączając łzej rannych rzucają się do ucieczki. Znow biją w to samo miejsce.

– Czy ci lotnicy nie mają sumienia, przecież to też ludzie – krzy-

czę bezgłośnie. Nie może mi się pomieścić w głowie, że można być tak okrutnym. Ogarnia mnie strach. Wyjąłem moje medaliki, trzymam je w lewej ręce i palę papierosa. Kto czegoś takiego nie przeżył, ten nigdy nie zrozumie tego dławiącego wprost strachu, a jednocześnie złości na swą zupełną bezradność. Jesteśmy podobni do tych biednych Abisyńczyków, ale oni nie mieli lotnictwa, my mamy, ale na miłość boską gdzie są teraz nasze samoloty. Dlaczego nas nie broniły, dlaczego niemieckie maszyny mogą bezkarnie latać po polskim niebie niosąc strach, zniszczenie i śmierć.

Znów nalatują. Bomby zmiatają z powierzchni ziemi czworaki. Z wielkim hukiem motorów przelatuje nade mną jedna z wrogich maszyn. Sam widok tak nisko lecącej maszyny jest straszliwy. Wtulam się w rów. Ale to koniec, znów odlatują, czyżby po nowy zapas bomb? Ze strachem myślę co by się stało, gdyby tak nalot doścignął nas podczas marszu. To dopiero byłaby masakra.

Zajrzałem na stanowisko Kozy. Konie zabite. Koza i jeszcze ktoś, odciągają działko w krzaki.

- Panie podchorąży, co będzie z końmi?

- Co będzie, chłopie, to jeszcze nie koniec, to pewne.

Jakby na potwierdzenie moich słów znów nalot, wpadłem do rowu z jakimś starym rezerwistą.

- Olaboga, takie rzeczy, olaboga, co się dzieje.

- Cicho – krzyknąłem.

- Tak cicho, a po co mnie tu być, po co?

- Jak to po co? Jesteście z rezerwy, wzięli was i koniec.

- Ja z rezerwy, ja mam 46-ty rok, ja nigdy we wojsku nie byłem, mnie powołali, ja mówiłem, że nie był we wojsku, a oni na to, że pomyłka, ale iść kazali.

- Skąd jesteście?

- A spod Konina.

- Z którego pułku?

- A bo ja wim? Jo się zgubiłem, byłem sam nie wim w którym. Jeszcze mnie Niemcy ubijają, o Jezu!

Maszyny niemieckie szły jeszcze niżej, a bomby spadały na pusty już teraz park. Nadeszły znów cztery bombowce, które za cel obrały sobie

pole. Nagle wśród tej nawałnicy przypomniało mi się ni stąd ni zowąd, że dziś – jak na ironię – jest 15 września, data mego wyjścia do cywila.

Ziemia drży od wybuchów. „*Ojczy nasz ...*” zaczynam się modlić. To pomaga. Z nagle robi mi się wszystko jedno – jak zginę to zginę – trudno. Ale samoloty znów odlatują. Patrzę na zegarek. Ten nalot trwał 40 minut był więc dwa razy dłuższy od poprzednich. Jedyna nadzieja w tym, że się zaraz ściemni, byle dotrzeć. Jeśli te naloty potrważą jeszcze jakiś czas to nasz pułk zostanie rozbity bez walki – myślę. No! Nareszcie koniec.

Ściągam porozbijane działony Szymczaka i Kozy oraz niedobitki od Świątnickiego.

– Panie Rokoszewski, pan dowodzi teraz tym działkiem. Podchodzę do taborów, w których brakuje zarówno ludzi jak i koni. Trzeba będzie to jakoś uzupełnić – myślę. Na szosie spotkałem dowódcę pułku i zameldowałem mu o śmierci kapitana. W wyniku tej rozmowy tymczasowym dowódcą plutonu zostaje porucznik Gutowski. Gdy się ściemnia spotykam się z nim. Ppance są dla niego zupełną nowością dlatego sprawy techniczne pozostawił w mej gestii. Stan działonów zostaje uzupełniony ludźmi pgazów, w dworskiej stajni rekwirujemy konie. Gdy wszystko jest gotowe poszedłem pożegnać się z kapitanem. Żołnierze kopali właśnie groby – jeden wspólny, drugi dla kapitana. Był już nasz wojskowy kapelan, z którym w czasie naszej wędrówki zdążyłem się zaprzyjaźnić. Obaj bardzo lubiliśmy kapitana, dla mnie zaś poległy przełożony był mym starszym kolegą. Żołnierze wyjmowali zabitym dokumenty, pieniądze i oddawali to księdzu. Grób powoli zapełniał się zwłokami 20 poległych. Po kilkunastu minutach staliśmy na dwoma mogiłami – żołnierzy i ich dowódcy. Ciszę, przerwała modlitwa kapłana. Wszyscy obecni pochylili głowy i pograżyli się w modlitwie.

Wieczorem wydano na kolację wystygłą zupę. Mimo głodu niewielu ją jadło.

Bitwa nad Bzurą

Ściemniło się już dobrze gdy kolumna pułkowa ruszyła w dalszą drogę. Dowódcą kolumny został porucznik Nawrocki, poczet naszej kompanii ppanc miał pod sobą ppor. Gutowski, zaś szef Bednarski zajął

się kolumną i wozami kompanii, ja zaś zostałem dowódcą plutonu dyspozycyjnego.

Szliśmy w milczeniu. Moja nowa rola była zupełnie nieciekawa. Przy Wultańskim coś niecoś wiedziałem, teraz nikt mnie o niczym nie informował. Czułem się niepotrzebny i zagubiony. Nowy dowódca zrobił na mnie dobre wrażenie, chciałem więc u niego nieco zaczerpnąć języka, ale jak na złość nie mogłem go nigdzie dojrzeć.

Był to już piętnasty dzień wojny, a zarazem piętnasty dzień marszu bez dłuższego odpoczynku. Czułem to zresztą w nogach, które mi bardzo dokuczały. Niestety rower diabli wzięli podczas bombardowania.

Było już po północy, gdy z daleka na szosie ujrzeliśmy sznur oświetlonych pojazdów. To jakaś nasza zmotoryzowana kolumna poruszała się beztrząsco po szosie.

Ruszyliśmy w drogę. Po raz pierwszy od chwili naszego wymarszu z Kalisza pomyślałem, że nasza sytuacja nie wygląda zbyt różowo. Nieprzyjaciel zajęł już Łęczycę i Kutno. Mieszkańcy mijanych wiosek mówili, że Niemcy są już w Łowiczu i Sochaczewie. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Łódź też była w ich rękach. Widać było jak na dłoni, że się cofamy a wróg depta nam po piętach. Bardzo byłem ciekaw czy i nasze dowództwo doszło do takiego niewesołego wniosku.

* * *

16 września. Świt Cóż przyniesie nam nowy dzień, czy znów naloty i śmierć? Powoli przestawała mnie dziwić nasza sytuacja militarna. Opowieści o brakach w materiałach pędnych po stronie niemieckiej można było uznać za bajki. Świadczyły o tym choćby stałe naloty i błyskawiczne posuwanie się armii nieprzyjacielskiej do przodu. Podczas, gdy my drałowaliśmy na piechotę, a nasz sprzęt i tabor ciągnięty był przez konie, oni poruszali się samochodami i czołgami. Ich żołnierz nie był tak zmęczony marszem jak nasz. Mieli również przewagę w sprzęcie, a o skuteczności ich artylerii i wyszkoleniu pilotów mieliśmy się szanse przekonać na własnej skórze. Niestety i dzisiejszy dzień miał jeszcze raz udowodnić, że polskie niebo niepodzielnie należało do wrogich samolotów. Najpierw w górze ukazał się jeden i tym razem został przywitany ckm'ami opl. Za chwilę dołączył do niego drugi i oba zaczęły pikować

z rykiem w dół, a ich broń pokładowa zaczęła siać spustoszenie w kolumnie. Żołnierze rozbiegli się po polu. Woźnice w popłochu zeskakiwali z pędzących wozów, a te jechały dalej ciągnięte przez rozszalałe ze strachu konie. Na zastanawianie się nie było czasu, natychmiast skierowałem działka do pobliskiego lasu. Zauważyłem, że szef wziął moje wozy wraz z kuchnią i też swował się ucieczką do zagajnika. Mielśmy ogromne szczęście, bo niemieccy piloci zaczęli bombardować las nie przypuszczając nawet, że ktokolwiek mógł szukać schronienia w niewielkim przecięż zagajniku. I to nas uratowało.

Nalot trwał jeszcze około pół godziny. Gdy się wreszcie uciszyło, skierowałem się z moim oddziałem w stronę widniejącego z dala folwarku. Tym razem jednak nauczony smutnym doświadczeniem, postanowiłem iść lasem tak długo, jak to będzie możliwe. Po godzinnym marszu wyszedłem z zagajnika i skierowałem się w stronę wsi. Jakaż była moja i żołnierzy radość, gdy natknęliśmy się tam na szefa z kuchnią i dwoma wozami. W dalszą drogę ruszyliśmy więc razem. Wieś choć opuszczona, nie nosiła śladów walk. Od przygodnie spotkanych mężczyzn dowiedzieliśmy się, że Niemcy są prawdopodobnie w sąsiednim Julianowie. Spotkani przez nas cywile skarżyli się, że Niemcy wpadają niespodziewanie do wsi i pod zarzutem szpiegostwa rozstrzelują mężczyzn. Podobno dwa dni wcześniej przechodzący tu jakiś polski oddział złapał dwu przebranych w nasze mundury i natychmiast ich rozstrzelano.

Ruszyliśmy naprzód. Usiadłem na armatce Rokoszewskiego i przypatrywałem się maszerującym żołnierzom. Widać było na ich twarzach zniechęcenie i znużenie. Do tej pory szli w kolumnie pułkowej, ta się jednak rozpadła, a dowództwo przejął podchorąży, szef kompanii i na dodatek kapelan wojskowy, który dołączył do naszego oddziału podczas nalotu. Czy ta trójka wie co robi – wyczytywałem na twarzach.

Moje niewesołe rozmyślenia przerwały zrazu odległe, ale z każdą chwilą przybliżające się odgłosy wybuchających pocisków. Zza zakrętu widać park a w nim bielejące mury dworskiego budynku. Aby jednak do niego dotrzeć trzeba przejść przez pole znajdujące się pod ostrzałem. Nagle wszystko cichnie. Wykorzystuje to nasz ksiądz, który biegiem rusza w stronę dworku. Ma widać szczęście, bo bez szwanku dociera do bu-

dynku. Już mamy ruszyć w jego ślady, gdy znów na polu wyrastają gejzery ziemi, wyrzucane w górę od wybuchających pocisków.

- Panie podchorąży, schrońmy się za stogi - proponuje szef.

Ulokowaliśmy się za szeregiem stert i tam przeczekaliśmy najgorsze. Zjawia się wreszcie Gutowski i razem z nim docieramy do folwarku Białogóra, w którym przebywał już dowódca pułku.

Niewątpliwie miłą niespodzianką tego dnia było spotkanie z porucznikiem Borowiakiem, z którym ostatnio widziałem się w pod Grabowem Łęczyckim. W czasie gdy byłem zajęty rozinową ze swym byłym dowódcą, dołączyła do nas nieznana kolumna żołnierzy. Już na pierwszy rzut oka widać było, że coś nie jest w porządku. Panował tu ogólny nieład, wozy taborowe przemieszane z armatkami, biedki bez ckm'ów, a niektórzy żołnierze bez broni.

- Co się stało? - spytałem przechodzących.

- Uciekamy, Niemcy nas rozbili i gonią.

Jakby na potwierdzenie ich słów niemiecka artyleria znów zaczęła swój śmiertelny koncert. Ogień nasilał się z każdą chwilą. Nie było na co czekać. Ruszyliśmy polem obok drogi, którą ciągnęły rozbite oddziały. W tym posępnym pochodzie, Borowiak spostrzegł swego znajomego z Kalisza podporucznika Michalskiego. Szedł strasznie blady, na bosaka w poszarpanym płaszczu.

- Co tam się stało - spytał Borowiak.

- Niemcy mają miażdżącą przewagę, rozbili nas, a ja jestem ranny.

Szliśmy dalej. Wyjąłem mapę Polski i ustaliłem, że jesteśmy gdzieś w okolicach Hłowa. Zatrzymaliśmy się. Nasze plutony zajęły stanowiska wzdłuż drogi. Ledwo rozlokowaliśmy się, a pojawiło się niespodziewanie nowe niebezpieczeństwo, tym razem jednak ze strony jadących ciągników z działami przeciwlotniczymi. Jeden z nich szedł prosto na działon Kozy.

- Stój - krzyknąłem.

Nie pomogło, wymierzyłem pistolet i strzeliłem. Poskutkowało, ale bez awantury się nie obeszło. Oficer z plot oburzał się, ale w końcu ustąpił. Jakby tego wszystkiego było mało, na niebie pojawiły się niemieckie samoloty. Cofnąłem działka do tyłu pod drzewa i tam zająłem stanowiska ogniowe. Niestety „niespodziankom” nie było końca. Okazało się,

że Nowak powiedział dwóm strzelcom Mielonce i Mikołajczykowi, że wojnę przegraliśmy, wyrzucił zamek od działka w pole i uciekł gdzieś z celowniczym.

Ledwie żeśmy zdążyli znaleźć zamek, złożyć wszystko do kupy i ściągnąć działko z powrotem, gdy znów rozległ się warkot nadlatujących samolotów. Tym razem jednak pod chmurami rozgorzała walka polskich maszyn z Niemcami. Niestety doleciały następne wrogie maszyny i z powodu liczebnej przewagi nasi odlecieli. Zagrały teraz nasze działa przeciwlotnicze i te na chwilę ostudziły zapał niemieckich pilotów, zmuszając ich do odlotu. Niemcy jednak nie dają za wygraną i po chwili znów nadlatują, ale tym razem na bardzo niskim pułapie, do którego trudno się jakoś było dostosować naszym działkom. Kryjemy się wśród pobliskich wzgórków. Wreszcie samoloty odlatują. Rozglądam się wokoło i nieopodal dostrzegam stanowiska artylerii ciężkiej. Próbuje zasięgnąć języka u ich dowódcy, niestety z miernym skutkiem, bo i on nie ma zielonego pojęcia gdzie znajduje się dowództwo, a tym bardziej gdzie przebiega linia frontu.

- Jezu teraz po nas – krzyknął naraz jakiś mój żołnierz.

Instynktownie spoglądamy w górę. Na niebie dziesiątki, może setki niemieckich bombowców, wszystkie nadlatują od strony Warszawy. Wiadac nie mają już bomb, bo byłoby źle z nami – myślę.

- Panie poruczniku – odezwałem się do Borowiaka – pójdę teraz do kuchni po jedzenie. A potem trzeba się będzie poważnie zastanowić, co robić dalej.

- No, panie szefie, bo nasi ludzie są głodni – zwróciłem się po dotarciu na miejsce do szefa.

- Dobrze, że pan jest, mam grochówkę, a tak tylko łapserdaki z innych kompanii się schodzą.

- Panie podchorąży melduję się posłusznie - z boku doleciał do mnie znajomy głos.

Spojrzałem - to Skrzypski stał obok mnie z rowerem.

- No, toś mnie ucieszył, zaraz wrócisz na swoje miejsce. Tymczasem ściągnij mi ich tu na grochówkę. Po godzinie byliśmy wszyscy po zupie, która tylko rozbudziła nasze apetyty. Czas było wracać. Niestety mieliśmy straszliwego pecha, bo gdy tylko doszliśmy do drogi wiodącej do dworu, ta znalazła się pod ostrzałem niemieckiej artylerii. Wycofaliśmy

się w pole i tu Borowiak zaproponował, że sam pójdzie do dworu zasięgnąć języka ja zaś miałem zostać na miejscu. Był to dobry pomysł i po chwili porucznik zniknął mi z oczu.

Było koło szóstej, gdy wrócił Borowiak.

- Widziałem się z Gutowskim. Po południu był atak czołgowy na dwór. Mają do nas pretensje, że nas nie ma w razie potrzeby. I nic ich nie obchodzi, że nie mamy dowódcy. Teraz mamy zająć stanowiska, jedno za dworem na łące, drugie na drodze. W każdej chwili można się spodziewać czołgów.

Wziąłem Szymczaka i Kozę i ustawiłem ich na łące sam zaś wyszedłem na drogę, na której spotkałem kolegę z podchorążówki Haita wracającego z paroma strzelcami z patrolu. Stracił kilku żołnierzy, paru było rannych.

Znów zaczęła się kanonada. Trzeba było natychmiast zmienić stanowisko, bo bez walki poniesiemy tylko straty - pomyślałem. Już miałem wydać stosowny rozkaz, gdy za plecami usłyszałem głos Borowiaka:

- Właśnie przyszedłem panu powiedzieć, że ja też stamtąd wyciągam działo. Ale mam jeszcze prośbę. Niech pan chwilowo wszystkim się zajmie, bo ja czuję się fatalnie i muszę choć chwilę odpocząć.

Ogień artylerii znów się wzmógł. Koło nas w pełnym cwale przejechał oddział kawalerii.

- Panie podchorąży, oni się cofają, wycofujmy się i my, tu poginiemy bez potrzeby.

Borowiak pobiegł do działek wydać rozkaz zmiany stanowiska. Nagle - czy to konie przestraszone, czy przestraszeni i niepomni na nic woźnice je pognali dość, że działka ruszyły z miejsca. Rzuciłem się za nimi w pogoń. Borowiak krzyczy, żeby się zatrzymać. Nic nie pomaga. Biegnę resztkami sił. Porucznik wyciąga rękę i tym samym pomaga mi dostać się na pędzące działko. Artyleria bije dalej, pociski przelatują obok nas i ponad głowami. Wreszcie zatrzymujemy się.

Powoli zapada jesienny zmierzch.

- Wracamy? - pytam Borowiaka

- Tak, ale trzeba udać się po rozkazy do dworu, bo i tak nasze poprzednie stanowiska są już nieprzydatne. Może tam we dworze będziemy nocować.

Niestety nasze nadzieje spełzły na niczym. We dworze zamieszanie potworne, nikt nam nie potrafił udzielić żadnych informacji. Wracamy do swoich i wybieramy nocleg w majaczącej w zapadającym mroku ster-cie siana.

- Wie pan co poruczniku, wydaje mi się że nasza sytuacja jest bez-nadziejna. Prawdopodobnie armia zachodnia jest rozbita. Mówił mi jeszcze Wultański, że idziemy na wsparcie linii pod Sochaczew. Mnie natomiast się wydaje, że Niemcy już tam są i to muszą być zupełnie inne oddziały, niż te z którymi myśmy mieli do czynienia. Ci „nasi” posuwali się z kierunku Wieluń - Częstochowa - Kalisz i minęli nas pod Kutnem, a teraz są już zapewne pod Sochaczewem. Gdy te dwie grupy się zejdą, to wezmą nas w kleszcze. Jedynym naszym ratunkiem jak sądzę, będzie przeprawa przez Wisłę między Warszawą a Modli-nem. Za Wisłą na pewno szykuje się druga linia oporu. Tam się dostać no to byłoby coś, ale w całości się tam nie przebijemy, najwyżej małymi grupkami.

Tymczasem drogą obok nas przeszedł oddział kawalerii, potem znów jakiś batalion i trochę piechoty.

- Dokąd idziecie? - spytałem.

- Na przeprawę.

- Na jaką przeprawę?

- Sami nie wiemy.

Też nic nie rozumiałem. Gdyby była przeprawa to Borowiak coś by wiedział. Niemożliwe żeby nas tak zostawiali.

17 września

Przejmujące zimno rozbudziło nas. Drogą włoczyły się jakieś zagu-bione, obce oddziały. Widać było jak na dłoni brak dowództwa.

- Wie pan co panie poruczniku, coś mi się zdaje, że rzeczywiście w nocy odbyła się przeprawa przez Bzurę.

- Chyba ma pan rację. Ale swoją drogą to skandal, że o nas za-pomniano - odpowiedział Borowiak.

Cofnęliśmy się z działkami do wsi. Szef Bednarski miał podobne podejrzenia tym bardziej, że w nocy ciągnęło tu sporo wojska w stronę rzeki.

- Panowie nie dawali mi żadnej wiadomości więc stałem. Jest tu jeszcze część taborów pułkowych i jeden sierżant ze sztandarem naszego pułku. Ma przygotowaną benzynę i jest gotów sztandar spalić, aby się nie dostał we wrogie ręce.

Po naradzie nasza kolumna - cztery działka, kuchnia, dwa wozy kompanijne, cztery pułkowe i żołnierze, - razem tak wszystkich ze 200 ludzi - ruszyła w stronę rzeki. Zachowaliśmy na wypadek ataku powietrznego spore odległości. W drodze dołączały do nas jeszcze jakieś zagubione oddziały i pojedynczy maruderzy. Z Borowiakiem szliśmy na przedzie. Właśnie skręcaliśmy na drogę, gdy huraganem ognia przywitała nas artyleria. W jednej chwili cała kolumna rozsypała się po polu. Nagle, wśród tego tumultu, dostrzegłem galopującego samotnie ułańskiego konia. Bez namysłu rzucam się za nim w pogoń i po chwili koń jest mój. Konno wracam do kolumny.

Droga była zatarasowana cofającymi się wozami i dwoma ciężkimi działami. Nasze przypuszczenia potwierdziły się. Ubiegłej nocy saperzy zbudowali prowizoryczny most i część oddziałów przepawiła się na drugi brzeg. Po naszej stronie pozostał tłum żołnierzy bez dowództwa, zagubionych i w każdej chwili gotowych do dezercji. To już nie wojsko, a bezwładnie cofająca się masa ludzi zdanych na łaskę i niełaskę losu. Na dodatek czuliśmy za sobą zbliżającego się nieprzyjaciela, który szlak swej wędrówki znaczył zgliszczami i dymami pożarów zbliżającymi się do nas bezustannie. Na domiar wszystkiego nie mieliśmy ani jednej mapy, która pozwoliłaby wytyczyć dalszą marszrutę.

I znów artyleria przypomina o sobie. W górze pojawiają się niemieckie samoloty. Tymczasem drogą ciągną rozbitki z 29-go pułku. Na podwórze, które służyło nam za tymczasową kwaterę wpada jakiś porucznik.

- Co wy tu robicie? Niemcy podchodzą do nas z Julianowa i drogą z Sannik.

Ruszamy za innymi. W tym tłumie widać wyraźnie brak dowódcy. A wystarczyłby choć jeden zawodowy oficer, ale tych jak na lekarstwo. Jakby na ironię z szumem silników mijają nas dwa auta pełne wyższych oficerów. Nadjeżdża trzecie. Borowiak wyskakuje na drogę i macha. Samochód z podróżującymi w nim majorem i kapitanem, wymija Boro-wiaka i jedzie dalej.

- Zdrada! - Krzyczy paru żołnierzy, którzy to widzą.

Po 15 minutach nadjeżdża znów auto. Tym razem terenowy łażik z kapitanem zatrzymuje się.

- Co to wszystko znaczy, panie kapitanie - pyta Borowiak.

- Jesteśmy otoczeni.

- No dobrze, ale tu jest sporo jeszcze wojska, może pan obejmie komendę.

- Ja mam inne zadanie.

- To proszę chociaż o mapę.

- Nie mam - pada krótka odpowiedź.

Auto odjechało. Borowiak był oburzony.

- Widział pan, on nie może objąć komendy, ale uciekać to potrafi.

Postanawiamy doczekać do wieczora i pod osłoną ciemności przepawić się przez rzekę. Od wieczoru szybsze są jednak niemieckie samoloty, które ponownie nas bombardują. W czasie tego nalotu zostaję przyciśnięty przez upadającą sosnę. Mam jednak dużo szczęścia, drzewko jest młode i nie robi mi wielkiej krzywdy. W akcji bierze udział sześć maszyn niemieckich, ale już tym razem nie bombowce, a samoloty nurkowe, spadają tylko „myszki” no i tłuką z broni maszynowej. Po pół godzinie przerwa. Na szczęście tym razem straty niewielkie. Nalot nalotem, a jeść się chce. Pamięta o tym szef i wydaje pęczak. Nie mam menażki, ale ktoś mi dal dekiel. Znów nalot. Biegnę do swojego rowu i tam zabieram się do jedzenia, co okazuje się bez łyżki czynnością nader trudną. Gdy tak usiłuję jeść, dobiega mych uszu modlitwa żołnierza, który skrył się tu przed samolotem. Ucałowałem i ja swój medalik. Dobrze wiedzieć, że nad tym wszystkim czuwa Bóg i wtedy śmierć nie jest taka straszna.

Ponowną przerwę w nalocie wykorzystujemy na naradę. Borowiak chce wynosić się stąd, ja i szef uważamy, że trzeba przeczekać już tu do wieczora. Porucznik daje się przekonać - zostajemy. Znów nalot. Tym razem w moim schronie zastałem dużo cywilów. Pytam ich o bród, ale nie wiedzą gdzie jest. Nagle detonacje od mojej strony. W jednej chwili zrozumiałem, że to znów artyleria. Nie trudno było się domyśleć, że nieprzyjacieli szykuje natarcie poprzedzone przygotowaniem artyleryjskim i nalotami. Trzeba było się jak najszybciej stąd zabierać. Widać Borowiak

podziela moje zdanie, bo zaraz po nalocie przychodzi do mnie i mówi, że musimy się posuwać w stronę rzeki.

Ruszamy stąd starając się posuwać jak najdłużej lasem. Nad nami latają samoloty, od czasu do czasu przeciągając serię z km'ów. Zatrzymujemy się. Tu się poczeka zmierzchu. Mimo, że nas tak męczą od paru godzin w ppancach nie ma ofiar. Leżymy jak myszy pod miotłą modląc się, żeby nas nie odnaleźli. Trwa to godziny.

Wreszcie koniec - dali za wygraną, odlecieli. Znów w drogę. Jadę konno. Wychodzimy z lasu i kierujemy się w stronę rzeki. Drogą maszeruje kolumna około 100 ludzi z kapitanem piechoty na koniu. Dołączymy do nich,

- Jakie są pana zamiary? - pytam dowodzącego kapitana?

- Przeprowadzić się przez rzekę. W razie czego przebić się z bronią w rękę. Jestem zdecydowany na wszystko. Lepsze to niż dostać się do niewoli.

Wysoko nad nami ciągną samoloty, ale obok nich pojawiają się małe obłoczki. To strzela nasza artyleria przeciwlotnicza.

- Ach, żeby nie ten bałagan, tu można by dużo uratować.

- Ma pan rację - mówi kapitan - tylko, że w takich chwilach mało ludzi chce przyjąć na siebie odpowiedzialność. Widziałem dowódców, którzy kazali się ratować na własną rękę i porzucali powierzone im oddziały:

- Toż to jawna zdrada - powiedziałem w uniesieniu.

Skracamy w prawo, robi się zupełnie ciemno.

- Niech pan jedzie ze mną na zwiad.

Z pistoletami w garściach ruszyliśmy kłusem. Dojechaliśmy do drutów, kapitan trochę w przedzie. Nagle jego koń potknął się o druty i kapitan spadł wprost na minę. Zanim ochłonąłem od huku eksplozji, już od strony dworu odezwał się jazgot karabinów maszynowych. Mój koń szarpnął i zawrócił kłusem. Wpadłem do zbawczego lasu, ale kolumny już nie było widać.

Dojechawszy do rozstajnych dróg miałem dylemat gdzie skręcić. Wybrałem drogę w lewo i okazało się wkrótce, że miałem nosa, bo po chwili jazdy dogoniłem swoich. O całym zdarzeniu opowiedziałem Borowiakowi.

- Miał pan szczęście. Nas prowadzi kapitan, który mówi, że przeprawę rozbitków organizuje sam generał Tokarzewski*. Skoro generał chce się przebijać z bronią w rękę, to i my będziemy. Wspaniały chłop ten generał - pomyślałem.

Idziemy teraz szybko, oficer prowadzi pewnie. Idziemy cicho jak tylko to jest możliwe. Po drodze przyłączają się do nas pojedynczy żołnierze, tam znów grupki. Zatrzymujemy się, przed nami ciągnie jakaś duża kolumna, tak na oko ze 2500 ludzi.

- Panie poruczniku, przejadę się to może jeszcze kogoś znaleźć. Zawróciłem konia w stronę lasu. Nie myliłem się, wśród drzew błakali się nasi żołnierze, podawałem im miejsce zbiórki. Niektórzy byli już bez broni.

- Wyjdźcie z lasu, tam się organizuje przeprawa.

- To panowie uciekają i my im potrzebni na osłonę.

- Do kogo to mówisz?

- Ot, ja tak sobie.

- Wiecie, że mogę wam strzelić w łeb.

- Wiem, ale nas tu jest też paru - w jego głosie dało się odczuć wyraźną groźbę.

- Słuchajcie chłopcy, nie jestem z szarż, ale nie mam też z tego powodu zamiaru dać się tu w lesie zarżnąć Niemcom. Mamy szansę się przebić. Przeprawą kieruje osobiście generał Tokarzewski. Chodźcie ze mną. Widać moje argumenty przemówiły im do rozsądku, bo zgodzili się już bez szemrania pójść za mną. Sam nie byłem pewien, że przeprawą kieruje osobiście generał, ale na pewno robiło to wrażenie. Nagle do mych uszu doszedł odgłos stąpających koni. Zatrzymałem się i na wszelki wypadek odbezpieczyłem pistolet. Okazało się to niepotrzebne, bo po chwili usłyszałem polską mowę. Spiąłem konia i podjechałem do grupy oficerów i zameldowałem się prowadzącemu grupę rotmistrzowi.

- Panie rotmistrzu, melduje się (tu wymieniłem swój stopień i nazwisko). Pragnę poinformować, że pod dowództwem pana generała Tokarzewskiego odbywa się przeprawa przez Bzurę. Zbiórka oddziałów na piaskach pod lasem.

* Michał Tokarzewski-Karaszewicz, gen., dowódca grupy operacyjnej w armii „Pomorze”.

- Dobrze, proszę nas prowadzić.

Wyjechaliśmy na piaski. Przeprawa już się rozpoczęła. Kawalerzyści zeszedli z koni, jeden pluton poszedł na ubezpieczenie do tyłu, a ja razem z nim. Tymczasem usłyszeliśmy motory. Nasz oddział wycelował broń na drogę. Ukazały się dwa samochody. Dojechali do nas i utknęli. Trzeba będzie spalić wozy.

Znów jedzie auto na pełnych reflektorach.

- Rozbić mu reflektor, cholero. Rozległ się głos tłuczonego kolbą szkła. Podbiegłem do samochodu.

- Kto jedzie? Ludzie, przecież zdradzicie naszą przeprawę. Z auta wyszedł szofer i jakiś oficer.

- Jestem pułkownik Świtalski.

- Panie pułkowniku, właśnie przeprawiamy się na drugi brzeg – nasze czoło dochodzi już do rzeki, im później nas odkryją tym dla nas lepiej.

- Kto ją robi?

- Podobno generał Tokarzewski.

- Gdzie jest?

- W przodzie.

Przyszedł do nas jakiś oficer kawalerzysty.

- Tam dalej jest rotmistrz dowódca naszego szwadronu, może tam pan pułkownik przejdzie.

Pułkownik poszedł. Co to za Świtalski – pomyślałem, był kiedyś taki premier.

Puszcza Kampinoska

Gdzieś w oddali zaterkotały karabiny maszynowe – pewnie szturmują przeprawę. Artyleria ich bije wzdłuż naszej drogi, na tle nocy wygląda to potwornie, ciemno, aż tu nagle płonąca fontanna piasku i żelaza zrywa się od ziemi w górę.

- Wie pan co – odezwał się porucznik – bezpieczniej będzie opuścić ten teren.

Odwiązałem konia i położyłem się w rowie za drzewem, detonacje coraz bliższe. Nagle tuż, tuż pocisk wyrznął z tyłu na autem. Odłamki pokiereszowały tylną część karoserii. Od rotmistrza przyszedł goniec z rozkazem dołączenia do reszty kolumny.

Ruszyliśmy z miejsca lekkim kłusem w stronę przeprawy. Grzechot ckm'ów znacznie się oddalił. Niemcy bili już tylko z artylerii. Spojrzałem na zegarek, było po drugiej w nocy – rozpoczął się 18-ty wrzesnia. Gdzieś z lewej strony dał się słyszeć turkot kół i trzeszczenie wozów. Szosą ciągnie nieskończona ilość taborów sprzętowych, amunicyjnych, prowiantowych. Wozy z rannymi, kuchnie i parę dział artylerii lekkiej. Ich jedyną osłoną był nasz szwadron kawalerii. Zatrzymaliśmy się by ich przepuścić. Dołączyły teraz do nas jeszcze dwie grupki konnych z 16 i 17-ej dywizji. Uprzytomniłem sobie, że jesteśmy rozbici i kto wie, czy przed nami nie było już Niemców.

Nagle komenda: marsz! Znów jedziemy kłusem, mijamy cały rząd taborów. Zbliżamy się do rzeki. Widać jak wozy zanurzają się w wodzie. Nagle wystrzeliwują w niebo gejzery wody. To niemiecka artyleria wymacała przeprawę. Konie nasze przestraszone tymi wybuchami stają dęba. Odszkodzyliśmy od rzeki o jakieś 100 m.

Zatrzymał nas rotmistrz i zawrócił w powrotem.

- Chłopcy, nie mamy wyjścia – trzeba spróbować jeszcze raz. Do rzeki dojeżdżamy kłusem pod gradem pocisków. Tu wprost dantejskie sceny. Rżenie przerażonych koni, krzyki ludzi i wołanie o pomoc. Nie zważamy na to i wskakujemy w szare wody Bzury. Mój koń płynie, woda dostaje mi się do kieszeni, ale niech to. Rozglądam się dokoła. Jestem jednym z pierwszych, którym udało się bez przeszkód znaleźć w wodzie. Obok mnie toną wozy, ktoś krzyczy, że się topi jakaś kasa pułkowa, ale nikt nie zwraca na to uwagi. Obok mnie płyną żołnierze, niektórzy są bez broni. Szeroka tu jakoś Bzura. No, nareszcie, koń już idzie po dnie. Kochany mój koń wychodzi na brzeg. Większość plutonu znalazła się po drugiej stronie rzeki. Teraz posuwamy się stępa do przodu, czekając na resztę. Wyjeżdżamy na otwartą przestrzeń i kłusem ruszamy naprzód. Nagle pole zalewa ostry blask flary i po chwili zapadają znów zbawcze ciemności. Znów jasno i w jednej chwili dostajemy się pod ogień karabinów maszynowych. Ludzie padają z koni, krzyki, jęki. Przywieram do końskiego grzbietu. Zmieniamy kierunek jazdy, ale nie zdaje się to na wiele, bo prażą do nas i z boku i z tyłu. Galopujemy w zupełnych ciemnościach rozświetlanych tylko smugami pocisków. Trwa to zapewne chwile, ale dla nas ciągną się one bez końca. Wreszcie udaje się nam wyjść

spod ognia. Dojeżdżamy znów do jakiejś wody, to chyba odnoga Bzury. Tym razem mego wierzchowca nie trzeba zachęcać. Po chwili jesteśmy znów na drugim brzegu. I znów galop na złamanie karku. Jest to niemal wyścig, mój koń nie jest zbyt szybki, ale trzyma się dzielnie. Robi się powoli widno. Wpadamy na drogę do wsi. Tu drogę zastępuje nam chłop z pobliskiej chałupy.

- Panowie, uważajta, na drugim końcu wsi są Niemcy.

Znów kłus. Przelatujemy przez pole, jakąś drogę. Nie podoba mi się ten rajd bez żadnego ubezpieczenia, ale z drugiej strony nie mamy wyjścia. Swoją drogą cieszę się, że jestem w kawalerii, wprawdzie tylko dywizyjnej, ale zawsze. Przed wojną były tylko w pułku oddziały zwiadowców konnych. Ten szwadron jest dopiero na szczblelu dywizji i to sformowany na czas wojny.

Dogania mnie czwórka oficerów. Jedziemy teraz razem.

- Panowie, w tej mgle zgubił nam się rotmistrz - odzywa się nagle jeden z nich.

- Jechał z pierwszym plutonem na przedzie - powiedział któryś z żołnierzy.

Oficerowie wysforowali się naprzód, ja za nimi. Galopujemy, ale we mgle nic nie widać. Skrzyżowanie dróg. Gdzie teraz?

- Jedziemy wzdłuż toru kolejowego - postanowił jeden z jeźdźców.

Skręcamy w las - jest ósma rano. Sytuacja nie jest wesoła. Jesteśmy sami, Bóg wie gdzie i w dodatku bez dowódcy. Z doświadczenia wiem, że nie wróży to nic dobrego. Na domiar wszystkiego zaczynam odczuwać trudy ostatnich kilkunastu godzin. Dopiero teraz czuję, że bolą mnie piekielnie nogi od za krótkich strzemion. Jeść mi się chce jak diabli - przecież poza wczorajszymi paroma tykami czarnej kawy i deklek ryżu nic do tej pory nie jadłem. Koń też jest prawdopodobnie głodny, ale dla niego mam dwa woreczki owsa pod siodłem.

Z zagajnika wyjeżdżamy na szeroki trakt zasłany trupami ludzi i koni. Tędy musiał iść nasz odwrot i tu dopadły go niemieckie samoloty. Widać, że straty ogromne. Obok zmasakrowanych ludzkich zwłok, leżą trupy końskie, porozbijane wozy taborowe i sprzęt. Taczanki z ckm'ami, karabiny, armatki ppanc, maski pgaz. Wszystko to porozrzucane bezwładnie, zostawione w popłochu przez ludzi, którzy za wszelką cenę

chcieli ratować swe życie. Nieco dalej rozbite biedki łączności, radiostacje, jeszcze od dział i rozbite armaty. Tak wyglądała ta „droga śmierci” cofających się znad Bzury dywizji.

Staliśmy w milczeniu, konie strzygły uszami. Teraz już nie miałem wątpliwości. Nasze lotnictwo to taka sama złuda, jak te działka motorowe, co to od roku miał je otrzymać nasz pułk. Szliśmy na tę wojnę jak bydło na rzeź, wystawieni na ataki niemieckiego lotnictwa, przed którym nie broniły nas nasze samoloty, ani my nie mieliśmy się jak bronić, bo nie mieliśmy czym. Obietnice o dozbrojeniu okazały się zwykłym kłamstwem. Podczas gdy w Sannikach czułem nienawiść do niemieckich pilotów, tu się dołączył jakiś niewypowiedziany żal do swoich.

Mijamy spaloną wieś. Za nią rów wypełniony trupami. Teraz znowu rozbite dwie taczanki, dalej porozbijane ciągniki z działami przeciwlotniczymi. A więc prócz strat w ludziach są też ogromne straty w sprzęcie, którego i tak mamy niewiele w porównaniu z Niemcami. Co za los czeka tę kolumnę taborów, która razem z nami przeprawiła się przez Bzurę – wszyscy zadajemy sobie to pytanie. Wjechaliśmy w las. Otulająca wszystko mgła zaczęła powoli opadać. Dopiero tu w lesie poczuliśmy się bezpiecznie. Popuściłem koniowi poprzęgi, podwiązałem mu worek z owsem, drugim podzieliłem się z innymi. Byłem głodny. Nasypałem trochę owsa do hełmu i próbowałem jeść, ale zupełnie nie przechodził mi przez gardło. Zrezygnowałem.

- Czy to nie aby Puszcza Kampinoska – odezwał się jeden z oficerów.
- Wszystko na to wskazuje – potwierdził drugi.
- Nie pozostaje nam nic innego jak jechać naprzód.

Rzeczywiście, byliśmy na skraju Kampinosu, ale nie było się z czego cieszyć. Bez map, bez znajomości terenu i na domiar bez wiedzy o ruchach i pozycji nieprzyjaciela. Szliśmy chyba w kierunku Wisły na Modlin – Płock, ale nikt z nas nie wiedział czy Niemcy nie sforsowali rzeki i nie ma ich w Płocku. Te pytania pozostawały bez odpowiedzi. Mimo dręczącej nas niepewności ruszamy w dalszą drogę. Konie muszą odpocząć więc idziemy na piechotę. Dopiero teraz odczuwam skutki przykrótkich strzemion i dlatego z ulgą wsiałem razem ze wszystkimi na konia.

Było po 10-tej rano. Mgła, która dotąd utrudniała widoczność, co prawda opadła, ale teraz byliśmy wspaniałym celem dla wrogich lotni-

ków. Po drodze spotykaliśmy uzbrojonych maruderów, którzy bardziej przypominali bandytów niż wojsko. Widać to było zresztą po ich zachowaniu, bowiem gdy nas widzieli czmychali gdzieś na boki. Zbliżyliśmy się właśnie do dużego kompleksu leśnego, gdy otaczającą nas dotychczas ciszę przerwały dalekie odgłosy karabinów maszynowych. Zatrzymaliśmy się, a oficerowie zaczęli się naradzać.

Teraz stało się jasne, że odgłosy walki dochodzą do nas od przodu i dlatego ogarnęło mnie zdziwienie, gdy postanowiono wysłać dziesięcioosobowy patrol, ale trochę w bok od dobiegających nas strzałów. Stało się dla mnie jasne, że w ten sposób postanowiono obejść bokiem niebezpieczeństwo. Nikomu się nie opowiadając dołączyłem do patrolu, którego dowódcą był kapral spoza 25 K.D.

Bardzo szybko zmieniła się też moja pozycja w oddziale. Gdy dowódca dowiedział się, że jestem podchorążym z ppanców, poprosił mnie o objęcie dowództwa.

Wjeżdżamy na szeroki dukt leśny. Po nim ciągnie kolumna taborowa, gdzieś w oddali słychać ckm'y.

- Czołgi, czołgi! Idą wprost na nas.

- Panie kapralu, niech pan tu zostanie z czterema ludźmi, dwu na ochotnika ze mną!

Pojechaliśmy jeszcze 100 m do zakrętu. Jakież było moje zdziwienie gdy ujrzałem stojące w krzakach działko, a przy nim jednego żołnierza.

- Co tu robicie - spytałem.

- Ta ot - zaczął wschodnim akcentem - co ja tu robię? Słychać było czołgi no i moja obsługa, sukinsyny, uciekła. Teraz ich niet i czołgu niet.

- A ty kim jesteś?

- A ja woźnica, co już mam dalej robić?

- Czekaaj, spróbujemy wrócić do naszych. Nagle chłopak chwycił mnie za rękę.

- Słuchaj pan, znów je słychać.

Rzeczywiście od strony leśnej drogi dochodził głośny huk motorów. Nie wierzyłem własnym oczom. Oto pierwszy raz w tej wojnie, a ściślej mówiąc w osiemnastym dniu jej trwania widzę nieprzyjacielskie czołgi. Wyłaniają się z lasu, są ogromne, na wieżyczce bielą się biało-czarne krzyże. Są od nas o jakieś 800 metrów i idą wprost na nas.

Nie zamieniliśmy ani słowa. Poruszamy się jak automaty. Po chwili armatka jest już na skraju lasu wycelowana w nieprzyjacielskie tanki. Leżę na lewej poduszce, on ładuje. Z czołgów nas dostrzegli i z odległości 500 m prażą z ckm'ów. Za późno. Biorę pierwszy czołg na nastawę podziałki i naciskam spust. Huk i czołg w dymie. Tymczasem drugi strzelił do nas, ale pocisk wybucha za armatką. Znów naciskam spust – dostał. Jeszcze raz – dostał. Kłęby dymu świadczą o celności mych strzałów. Oba czołgi stoją nieruchomo spowite kłębami dymu. Ale w dali słychać znów szum motorów. Zbliżają się następne. Jednym rzutem oka oceniam nasze szanse – są niewielkie.

- Trudno – mówię do mego nowego towarzysza walki – zrobiliśmy co w naszej mocy. Nasze życie jeszcze może się przydać ojczyźnie.

Odstępując od działka woźnica rzuca w nie granat. Nie dostanie się w niemieckie ręce.

Biegniemy lasem, on prowadzi konie. Za nami słychać wzmagającą się kanonadę. Widać trafione przez nas czołgi były tylko forpocztą jakiejś większej grupy. Potwierdza to tylko słuszność mej decyzji. Dobiegamy do miejsca w którym zostawiłem konie i dwóch ochotników. Nie ma po nich nawet śladu, ale mój koń stoi. Oddaliśmy się szybko od miejsca mego chrztu bojowego. Jak na pierwszy raz to zupełnie nieźle – dwa czołgi i oba wyłączone z walki. Gdy się wycofywaliśmy to jeden płonął. Dopiero teraz jest czas, aby dowiedzieć się czegoś więcej o tym dzielnym towarzyszu walki. Okazuje się, że pochodzi spod Złoczowa i jest grekokatolikiem.

Opowiadam mu pokrótce swą historię i to jak się znalazłem w kawalerii. Dojeżdżamy do miejsca w którym zostawiłem kaprała z resztą żołnierzy, ale tu ich nie ma. Nie ma co, trzeba jechać naprzód. Jedyne co mnie teraz pociesza to mój nowy towarzysz żołnierskiej tułaczki. Ruszamy aby po chwili znaleźć się znów w lesie. Otaczają nas potężne drzewa, niemi świadkowie dziejów ojczystych, dokonujących się właśnie na ich oczach. I znów – jak to już bywało „i naszych garstka, i wrogów gromady” – historia lubi się przecież powtarzać.

Niestety las nie przynosi spodziewanej ochrony, coraz to bliżej słychać głuche detonacje. Ponownie znaleźliśmy się pod niemieckim ostrzałem. Idziemy, po drodze spotykam dwu ludzi z naszego szwadronu.

Są to niedobitki z pierwszego patrolu. W drodze wpadli na Niemców, dwu zginęło reszta się rozpierzchła w popłochu. Tak więc miałem trzech ludzi pod swą komendą. Jedziemy teraz głębokim wąwozem. Po pewnym czasie na wzgórzu widzimy konie i jakiś ludzi – czyżby nasi? Podjechałem. I rzeczywiście bardzo dużo koni za to jeźdźców niewiele.

– Gdzie dowódcy – spytałem jednego z ludzi.

– My tu jesteśmy konni zwiadowcy. Z nami jest tylko jeden podporucznik. Reszta poszła na rozpoznanie jakieś dwie godziny temu.

– Dużo was tu jest?

– A będzie ze trzydziestu.

Konie przywiązaliśmy do drzew a ja usiadłem obok innych żołnierzy. Pytany przeze mnie ułan, nie ma pojęcia dokąd poszły patrole. Coraz mniej zaczyna mi się to podobać. Dokoła nas są Niemcy czego dowodem są wydarzenia ostatnich godzin. Patrole nie wracają, może wpadły w pułapkę. Dopiero teraz widać, że trzeba było mimo ostrzału artyleryjskiego przeć do przodu. Może byśmy się przebili, a tak jesteśmy w potrzasku. Trzeba będzie co kombinować na własną rękę – myślę. Zresztą wydaje mi się, że na tym polega filozofia naszego odwrotu. Kto pierwszy ten lepszy, byle do przodu i jak najdalej od nieprzyjaciela. Zresztą faktycznie przypomina to bardziej bezładną ucieczkę, niż planowany odwrot. Nikt ze spotkanych nie ma map, poruszamy się po omacku w przeciwieństwie do Niemców znakomicie obeznanych z terenem. Tu nie ma już żadnego frontu, a nieprzyjaciel posuwa się do przodu w błyskawicznym tempie. Puszcza Kampinoska leży w ramionach Bzury i Wisły, a stąd już niedaleko do Warszawy. Czyżby zbliżał się koniec – nie mogę się odpędzić od tego pytania. Jest bardzo źle, a to przecież dopiero 18-ty dzień wojny.

Zjawił się porucznik Lewik.

– Chłopcy, nie ma co – zaczął – musimy i my kombinować na własną rękę. Na koń!

Jedziemy lasem. Każdy z nas ma koło siebie po parę koni, co bardzo utrudnia nam jazdę. Po 10 minutach wyjechaliśmy znów na dukt. Tu spotkaliśmy paru oficerów – jakiegoś pułkownika i dwóch kapitanów. Daliśmy im konie i dalej w drogę. Ku naszej wielkiej radości zjawiło się trochę naszych ułanów z rozpoznania.

- Jak tam było?

- A niech cholera porwie to całe rozpoznanie - zaczął jeden. Wpadliśmy w zasadzkę, obrzucili nas granatami zanim który zdążył strzelić.

Znów doszło paru oficerów, teraz grupa liczyła znów ponad pięćdziesięciu ludzi. Komendę objął pułkownik. Ruszyliśmy kłusem, ja jako ostatni z kolumny.

- Kawaleria, chodźcie na pomoc, generałów biorą Niemcy do niewoli! Spojrzałem, między drzewami stał pułkownik Nowak z 25 PAL-u i krzyczał w naszą stronę. W jednej chwili zebraliśmy z Lewikiem żołnierzy z kaliskiej dywizji i rzuciliśmy się na pomoc. Wpadliśmy na drogę na której stał nasz samochód, a obok niego generał Alter, zdaje się, że i gen. Knoll* oraz pułkownik Nowak. Z lasu Niemcy strzelają do nas.

- Naprzód! - rozlega się ułańskie „hura” i po chwili kilkunastu jeźdźców rusza w stronę Niemców. Widzimy jak zmykają, ale nie mamy zamiaru ich gonić. Zadanie zostało wykonane, generałowie nie dostali się do niewoli. Jedziemy teraz obok auta jako ochrona. Droga wiję się, skręca a po kilometrze nagle się urywa. Zawracamy na trakt, auto z genalicją oddala się szybko.

Znów spotykamy trzech jeźdźców, z tego jednego artylerzystę. Wjeżdżamy w stary las dębowy. Tempo stale duże. Od czasu do czasu jakiś rów czy krzewy, skaczemy. Drzewa zdają się rzędnąć - zbliżamy się do skraju lasu, puszcza się kończy. A więc Kampinos sforsowany! Z dała widać wieś. W jej kierunku ciągną wozy, idą drobne grupki wojska. W górze ukazały się samoloty niemieckie, lecą ale nie bombardują, może tylko ostrzeliwują z broni maszynowej, bo wozy i ludzie wieją na wszystkie strony.

Wreszcie samoloty odleciały. Puszcza się galopem przez pole w stronę wioski. Odpocząć, za wszelką cenę, odpocząć - powtarzam w myślach. Mamy szczęście, moje prośby do Stwórcy zostały chyba wysłuchane, bo we wsi nie ma Niemców i wreszcie po kilkunastu godzinach jazdy możemy wreszcie odsapnąć.

* Edmund Knoll-Kownacki, gen., dowódca grupy operacyjnej w Armii „Poznań”.

W zagrodzie znalazłem się z kawalerzystami, inni rozeszli się po innych zabudowaniach. Rozluźniłem popręgi u siodła i nakarmiłem konia resztką owsa. Mocniej też przytroczyłem płaszcz do siodła wraz ze zwiniętym w nim pulowerem, który już kiedyś mnie ochronił od zima. Byłem mocno zmęczony i niemal zataczając się wszedłem do chałupy. Siedziało tu już kilku z piechoty, przywitali mnie mile. Jeden z nich wręczył mi świński ogon, siadłem jeżdząc to łapczywie. Gospodyni mimo próśb nic nie chciała dać do jedzenia.

- Ja zapłacę.

- Ech, i tak nie wiadomo co z pieniędzmi robić, zresztą już nic nie ma, ci panowie wszystko zjedli. Zrezygnowany sięgnąłem po papierosa.

- Jak dawno tu są walki – spytałem.

- O już ze trzy dni. Z nami było gorzej, bo tu już Niemcy byli we wsi, ale nasi znów ich kawał odepchnęli.

Żołnierze zbierali się do wyjścia, wyszedłem i ja. Zdumiałem się jednak bardzo, gdy nigdzie nie mogłem zobaczyć naszych, wreszcie spotkałem oficera artylerii.

- Wie pan – zaczął – odjechali nam sprzed nosa. Tu jeszcze zostało ich pięciu. Znów trzeba jechać na własną rękę. Zebraliśmy się w siedmiu na zakręcie drogi.

- Dowiedziałem się, że jadąc drogą w prawo powinniśmy dojechać do Wisły i tam się przepawić gdzieś w okolicach Modlina względnie Wyszogrodu.

Tymczasem ukazał się w oddali samochód generałów, a nad nim krążyły jak sępy niemieckie samoloty. Pojazd zatrzymał się i generałowie schowali się pod drzewa. Gdy po odlocie wrogich maszyn wyszliśmy ze swego ukrycia w zagrodzie, po naszych generałach nie było ani śladu. Ruszyliśmy stępą, ja chciałem wprawdzie kłusować, ale artylerzysta ociągał się.

- Po co konie męczyć?

Miał trochę racji. Przy zaciąganiu popręgów zauważyłem na tyle końskim dwa ślady krwawe. Pociski przeszły wierzchem, ale szarpnęły trochę konia, biedne pocziwe zwierzę. Bardzo tego konia polubiłem, taki wierny towarzysz.

Do naszej grupy dołączył jakiś sierżant piechoty i jechał teraz z tyłu z porucznikiem. Powiedziałem im o punkcie zbornym, o którym dowiedziałem się od spotkanego kolegi jeszcze JHP Kuczewskiego i nagliłem do przyśpieszenia marszu, ale bez rezultatu. Wobec tego wraz ze swą piątką przeszedłem w tęgiego klusa. Upajała mnie ta jazda, doszedłem nawet do wniosku, że o wiele lepiej czułem się jako kawalerzysta niż przeciwpancerniak. Do armatki trudno się było przywiązać, a tu wchodziła w grę styczeńność z żywym stworzeniem, które przyzwyczajało się do człowieka, cieszyło na jego widok, czego żadne działko ppanc. nie potrafiło.

Słońce chyliło się ku zachodowi, wieczór był jasny, a wkoło panowała kojąca cisza. W takiej chwili trudno było uwierzyć, że kończył się kolejny dzień wojny.

W oddali na drodze widać maszerujące oddziały. Zbliżamy się do nich galopem. Nagle z radością spostrzegam, że to moje ppance, te same z którymi 24 sierpnia rozpoczynałem mobilizację. Znajome twarze, witają mnie radośnie. Towarzyszący mi kawalerzyści dołączają do rozbitków kawalerii dywizyjnej. Schodzę z konia, witam się ze wszystkimi. Sobociński wsuwa mi nogę od kury i kawałek chleba. Nadbiega Gutowski.

- Jak się cieszę, panie podchorąży, że pana widzę. Myśleliśmy, że już pan nie żyje.

Trzyma menażkę w ręku.

- Proszę jeść, to pańska kolacja.

Nie trzeba mnie dwa razy prosić, jestem piekielnie głodny i od razu rzucam się na jedzenie.

- Co z działkami - spytał porucznik.

- Razem z Borowiakiem mieliśmy pod Białogórą cztery działka, trzy moje i jedno jego, teraz on je prowadzi. Może konno trochę żeśmy nadrobili, ale i on powinien się już szybko znaleźć. W paru zdaniach opowiedziałem mu jak doszło do tej mojej kawaleryjskiej przygody.

- Widzę, że pana koń coś wart. Jeśli się pan zgodzi to teraz będzie on i mnie służył. A teraz chodźmy do majora Wodeckiego.

Po drodze Gutowski zaproponował mi nowe stanowisko w oddziale. Od tej pory miałem zastąpić szefa Bednarskiego, który przeprawił się

przez Bzurę. Niezbyt odpowiadała mi ta funkcja, ale nie miałem wyboru i chcąc nie chcąc musiałem się zgodzić. Jediną mą nadzieją był powrót Borowiaka z działkami, bo wtedy zgodnie z obietnicą miałem wrócić do mej dawnej funkcji.

Weszliśmy do zawalonej w zdecydowanej większości żołnierzami 25 dywizji wsi. Było też trochę artylerii i jakiś taborów. W chałupie od drogi kwaterował major. Gdy wszedłem do izby przy lampie naftowej ujrzałem Wodeckiego, Rosiaka, Ścibora.

- A, to mój podchorąży, jak się pan miewa?

- Melduję posłusznie swój powrót z kawaleryjskiego rajdu przez Kampinos.

- No, to pan i kawalerię poznał. Dobrze, że się pan znalazł, choć już uważano pana za poległego. Doskonale się sprawujecie - tym razem zwrócił się do wszystkich pozostałych - przy pierwszym awansie nie zapomnę o was i przedstawię dowódcy pułku do awansu.

- A wie pan, że Marszel zabity lub ciężko ranny, dokładnie nie wiem - powiedział Ścibor.

- Tak - potwierdził Wodecki - zdaje się, żeście się przyjaźnili, bo on mi o tym wspominał w Białogórze.

- Nie mogę w to uwierzyć, panie majorze - powiedziałem.

- Niestety to pewne, ale teraz trzeba pomyśleć o zajęciu dla pana.

- Właśnie mianowałem go szefem w mojej kompanii - wtrącił się Gutowski.

- To mało - znów odezwał się major. Porucznik Gutowski ma nadzór nad taborem pułkowym, pan niech mu pomaga, a oprócz tego powierzam panu moją resztę taboru batalionowego. A teraz niech się pan napije kawy.

Wyszedłem na ganek i położyłem się na ławie. Nie od razu zamknąłem oczy lecz patrzyłem się w rozgwieżdżone niebo. Mimo, że na wojnie śmierć była czymś oczywistym i ocierałem się o nią na każdym kroku, to śmierć Staśka wywarła na mnie przygnębiające wrażenie. Znałismy się jeszcze ze szkoły powszechnej, potem był rok kaliskiego i sześć lat tureckiego gimnazjum. W czasie trwania naszej znajomości okazał się być wiernym i lojalnym kolegą. Towarzyszył mi w ósmej klasie i bezpośrednio po maturze w działalności politycznej. To z nim spędzałem pierwsze

pomaturalne wakacje, to on czytał u mnie Regulamin Osobisty Krzyża i Miecza, a później towarzyszył mi w podchorążówce. Pamiętałem jeszcze naszą rozmowę na trasie Dąbie – Grabów i z tego powodu nie potrafiłem pogodzić się z jego śmiercią. Jak przyjmie to jego matka.

- Panie podchorąży do pana majora - zawołał mnie ordynans Wodeckiego.

- Żal mi, że pana trudzę, ale proszę obejść ubezpieczenia, zwracając uwagę na obronę ppanc - mówił major.

Wyszedłem na dwór, nałożyłem hełm, odebzpeczyłem pistolet i ruszyłem. Obejście wszystkich stanowisk nie zabrało mi dużo czasu. Sprawdziłem wszystko i wyczuliłem obsługi na ewentualny atak. Zdałem sobie sprawę z doniosłości ich zadania. To właśnie oni, trzeci batalion 29 pułku ubezpieczał całą poszarpaną dywizję. Osobiście nie wierzyłem w atak Niemców, ale kto wie. Trzeba być przygotowanym. W oddali na niebie zaczęły rozbłyskiwać flary oświetlające teren, a ostre snopy reflektorów omiały pole przed wioską. Porządnie zmęczony dobrnąłem z powrotem do kwatery majora. Położyłem się na ławce i od razu usnąłem.

Obudziło mnie zimno i skrzypienie wozów. Ku memu niepomier-nemu zaskoczeniu leżałem na ziemi. Rozejrzałem się nieprzytomnym jeszcze wzrokiem dokoła. Byłem gdzieś w rowie przy drodze, którą ciągnęły wozy taborowe. Wstaję i idę chwiejnym krokiem przed siebie. Po kilkunastu minutach docieram wreszcie do znajomej zagrody. Wszystko się zgadza, jest dom z gankiem i ławką na której zasnąłem. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że musiałem w jakiejś malignie wstać i przejść bezwiednie kilkaset metrów. Gdy zasypiałem świecił wspaniały księżyc. Lunatykiem nigdy nie byłem, a jednak to możliwe, że to pod jego wpływem odbyłem ten marsz. Wszedłem do izby trafiając na krótką odpawę.

- Idziemy - mówił major - na miejsce większej koncentracji oddziałów w rejon Palmir. Tam musi być punkt zborny oddziałów walczących nad Bzurą i tam nastąpi przeorganizowanie i skupienie się przed nową akcją. Nasz batalion idzie jako osłona marszu dywizji na końcu. Pan podchorąży będzie zamykał pochód z jednym działem ppanc. na osłonie taboru pułkowego i batalionowego, zaś pan porucznik Gutowski prowadzi specjalną obronę całości taborów.

Szarzało już gdy większość naszego batalionu ruszyła. Za nami tabory, działon Wojtczaka i o 400 m w tyle pluton strzelecki. Dywizja, którą mieliśmy osłaniać nie była liczniejsza od pułku z okresu mobilizacji. A tak w ogóle, to nasze siły przedstawiały się nader ubogo. Poza tym w każdej chwili mogło zabraknąć żywności. Jechałem na wozie kompanijnym, bo konia wziął mi Gutowski. W oddali słychać było detonacje. To niemiecka artyleria ostrzeliwała drogi wychodzące z puszczy. Oddziały przyspieszyły kroku, bowiem odgłosy wybuchów jakoś niebezpiecznie zaczęły się zbliżać do nas. Na szczęście trwało to krótko, widać ostrzał był prowadzony trochę na wycucie i nieprzyjaciel nie bardzo się orientował w naszym położeniu. Wreszcie, po ujęciu około trzech kilometrów na horyzoncie zobaczyliśmy połyskujące w porannym słońcu fale rzeki. Czyżby Wisła? Ciekawiło mnie gdzie są te Palmiry, jeśli po drugiej stronie to czekała nas jeszcze przeprawa. Szkoda, że nie mam konia – pomyślałem, pamiętając mą poprzednią przygodę z wodą. Okazało się jednak, że moje przewidywania nie spełniły się, bowiem kolumna skręciła w bok i po chwili rzeka znikła nam z oczu. Spojrzałem na zegarek, dochodziła ósma rano. Był to już 19 dzień wojny. Od czoła zjawiał się goniec z rozkazem zabrania nam działka. Po chwili szliśmy już zupełnie bezbroni, a w razie niespodziewanego ataku nieprzyjaciela... nie, wolałem nie myśleć co by wtedy było.

Odległość między nami a Niemcami na pewno nie wynosiła więcej niż jakieś 6-7 kilometrów co dla zmotoryzowanych oddziałów nie było żadną odległością. Gdybym teraz – po przejściach nad Bzurą, po sforsowaniu Kampinosu, będąc tak blisko Warszawy – miał się dostać do niewoli, byłaby to zaiste ironia losu. Dopiero teraz sytuacja w jakiej się znaleźliśmy odarła mnie ze złudzeń. Jasne było, że nie tylko my, ale cała armia polska cofa się pod naporem Niemców. Nasza ofensywa na Prusy, jeśli rzeczywiście miała miejsce, to już na pewno zakończyła się klęską. Jakoś od początku nie chciało mi wierzyć w opowieści o lądowaniu oddziałów francuskich i angielskich w Królewcu. Jaką drogą by się tam mieli dostać, a gdzie w tym czasie podziwiała się flota niemiecka. Wszystko to było za piękne, aby mogło być prawdziwe. Bardziej mnie interesowały nie Prusy Wschodnie lecz to, czy Niemcy są po drugiej stronie Wisły. Miałem nadzieję, że oddziały znajdujące się za rzeką w razie niespo-

dziewanej ofensywy nieprzyjaciela, zamkną się w twierdzy modlińskiej i stamtąd będą się bronić.

Moje taktyczno-bojowe rozważania przerwało spotkanie z Gutowskim, który zaproponował mi konia. Jechałem więc teraz konno. Miałem okazję, aby połączyć tabor batalionowy z resztą pułkowego, którą prowadził Gutowski. Po wykonaniu tego zadania, przerzuciłem jedno działko z przodu kolumny na jej tył. Wiedziałem, że w razie czego będzie się czym bronić, w razie ataku nieprzyjaciela od tyłu. Las się skończył, wyszliśmy w lewo na drogę – jakaś wieś, oddziały zatrzymały się na chwilo- wy odpoczynek. Zatrzymałem się z działkiem Wojtczaka przy stertach. Mżył lekki deszcz i wiało. Ustawiłem się z koniem między dwie sterty i tak mi tam było ciepło od konia i od sterty, że nawet nie wiedzieć kiedy usnąłem. Obudziło mnie bolesne szturchnięcie w bok.

- Co, chcecie kulę w łeb?

Spojrzałem, przede mną stoi żandarm polowy. Rzeczywiście od- działu nie było widać i tylko w dali zobaczyłem ostatnie działko.

- Jestem podchorążym z ppanc. Bynajmniej nie mam zamiaru zo- stawać tu dla Niemców, tylko zasnąłem i nie zauważyłem ich odejścia.

- Dobrze się stało, że jednak tu przyszedłem, żeby nie koń to bym pana nie zauważył – tłumaczył żandarm.

- Jak to, przecież konia zza sterty nie było widać?

- Nic, ale na drodze stoi drugi pana koń.

Wyszedłem zza stert, rzeczywiście stoi tu smukły koń kawaleryjski, widocznie zabłąkał się i przybiegł skądś, do siodła miał przytroczoną szablę. Wsiadłem na niego i pokłusowałem w stronę oddalającego się oddziału.

Dochodzimy znów do wsi – czy to byłyby już Palmiry. W każdym razie do Warszawy niedaleko, może jakieś 20 – 25 kilometrów.

Dochodzimy do zakrętu. Tu stoi Wodecki z Gutowskim.

- Panie podchorąży – zwraca się do mnie – kolumnę taborową od- prowadzi porucznik Gutowski, a pan zajmie się przygotowaniem obro- ny ppanc wsi.

Po wykonaniu rozkazu udałem się do dowództwa baonu. W lesie spotkałem wielu znajomych, a wśród nich strzelca Urbaniaka, któremu kula przeszła pierś. Chciano go zostawić w jakiejś chałupie, ale ubłagał

ich żeby go zabrano. Żal mi się go zrobiło i zaproponowałem mu miejsce na moim wozie.

- Jak dojedziemy do Warszawy, to pójdziesz do szpitala - powiedziałem.

Spotkałem jeszcze kolegę ze Szczypiorna Mesiniaka. Był jakiś dziwny, nie wierzył w życie i spodziewał się śmierci. Pamiętam, że jeszcze w szkole miał skłonności samobójcze. Zupełnie inny nastrój wprowadził Kazik Lewandowski, żołnierz zapalony, a w przeszłości junak z Hufców Pracy. I jemu dały się we znaki trudy wędrówki, ale nie myślał o śmierci. Martwił się tylko tym, że nie zdążył zacząć nauki w szkole zawodowej w której miał się stawić 1 września.

Na drodze spotkałem wlokącego się o lasce Borowiaka.

- Kto tu jest z naszych szarż? - spytał.

- Major Wodecki.

- To ja się pójde zameldować.

Weszliśmy z Borowiakiem na podwórze kwatery majora stając się świadkami przykrew sceny. Otóż jakiś żołnierz odmówił wykonania rozkazu i major w mgnieniu oka wyciągnął pistolet i chciał go zastrzelić, ale jakoś się opanował i skończyło się na niczym.

- No „szefie” co z jedzeniem - spytał major opanowany po tym nagłym wybuchu.

- Panie majorze z jedzeniem kłopot, ale może byśmy tak jakiegos prosiaczka oporządzili - zaproponowałem.

Pomysł się spodobał i już po chwili przystąpiono do wprowadzenia go w czyn, ja natomiast skierowałem się w do wsi. Już z daleka doszły mnie jakieś hałasy i krzyki. Widać zaniepokojony tym rejewachem, pojawił się pułkownik. Zobaczywszy mnie kazał wziąć mi dwóch żołnierzy i zrobić porządek. Za chwilę na czele patrolu, z Visem w ręce wkroczyłem na podwórko gdzie kilku żołnierzy dobijało się kolbami do drzwi chałupy.

- Co się tu do cholery dzieje - ryknąłem na gardło.

- Nie chcą sklepu otworzyć.

Podszedłem do drzwi. Ktoś wyjrzał przez okno drzwi, zostały otwarte.

- Co to za zamykanie?

- Bo oni wpadają - tłumaczyli - walą i narobią szkody.

- Wchodzić i kupować spokojnie – zwróciłem się do zebranych.
Poszedłem do drugiej zagrody i znów sytuacja się powtórzyła.

- Tu szkopy mieszkają – powiedział ktoś.

Wszedłem do sklepu. W środku sklepikarz z nalaną gębą od razu na mnie z pyskiem.

- To tak! – krzyczy – tak wojsko robi?

- Milcz! Gdzie towar?

- Sprzedany.

- Ach tak? No zobaczymy. Dwu ze mną, reszta czekać! Skierowałem się drzwi gdy nagle sklepikarz zastąpił mi drogę. Grzmotnąłem go w łeb ręką i odepchnąłem. W drugiej izbie pełno kiełbasy i szafka z bułkami. Rozdać to żołnierzom, a ciebie drabie, trzeba by pod sąd polowy. Wyszedłem na podwórze witany okrzykami radości. Wykonawszy zlecone mi przez pułkownika zadanie wróciłem do działonu, w którym trwały właśnie przygotowania do „wystawnego” obiadu. Wszędzie dokoła żołnierze zabierali się do kur, jajek, kaczek a nawet prosiaków.

Gałuba już oprawił i poćwiartował zabitego świniaka. Spodziewana uczta zgromadziła zarówno oficerów jak i pozostałych żołnierzy. Wszyscy byliśmy piekielnie głodni. Siedziałem przy stole z Wodeckim, Borowikiem, Gutowskim i jakimś rotmistrzem z kawalerii. Na progu siedziała kobieta z małym dzieckiem na rękach i szlochała. Co jej jest? – spytałem.

- Cóż, przysły tu czołgi niemieckie, zabrali jej chłopca i zabili – wyjaśnił major.

- I jak, panie, zabili – jęczała kobieta – na moich oczach go zabili. Jedenasty rok miał chłopczyzna, popatrzył się na nich, a oni go zaraz złapali. Prosiłam, całowałam im buty i ręce – na nic. Powiedział jeden, trochę po polsku rozumiał, że my do nich strzelamy z chałup i z lasów, że tu przedtem był we wsi ich patrol i Polacy go rozbili. Wzięli dziecko na bagnet i tyle. Jeszcze i mnie chcieli zabić bo miejscowe szkopy powiedzieli, że ja jeść daję polskim żołnierzom.

- Gdzie oni są?

- Uciekli gdzieś, jak tylko Niemcy odeszli. Bali się Polaków.

- Niemcy ciężko zapłacą – odezwał się powoli major – za krzywdy nam wyrządzone. Przyjdzie czas, że krwią spłynie niemiecka ziemia. Oni nie wiedzą jeszcze co to wojna.

Siedzieliśmy chwilę w milczeniu. Rotmistrz wyjął papierosy i podzielił się z nami. Paliliśmy, a on nam opowiadał swoje przeżycia.

- W tym wszystkim obok niedozbrojenia uderza mnie wśród korpusu oficerskiego nieudolność i nieporadność. Cóż panowie powiecie, że oto mojej brygadzie kawalerii kazano się trzymać od linii frontu 12 do 30 kilometrów. Czyż to nie oczywisty nonsens. Co można tu było robić z brygadą, jak ją dzielić. Oczywiście, rozkazy wypełnialiśmy, ale nie przynosiło to żadnego pożytku. Współczesna wojna - panowie - polega na współdziałaniu różnego rodzaju broni, a u nas co. Kto widział nasze samoloty albo czołgi?

Nasze niewesoły nastrój poprawił przyniesiony przez Gałubę obiad. Każdy dostał talerz rosółu z wieprzowiny z kartoflami i przyozdabiającą talerz marchewką, a na drugie kawał gotowanej wieprzowiny. Na deser uraczono nas czarną kawą. Po tak sytym obiedzie należało udać się na odpoczynek co też uczyniliśmy. Po drodze spotkałem porucznika Solarka, dawnego jeszcze przed Wultańskim dowódcę kompanii ppanc. Chwilę porozmawialiśmy, ale jemu się śpieszyło, a i ja marzyłem o odpoczynku. W izbie czekało już na mnie posłanie na słomie i już miałem zasypiać, gdy zjawił się Gutowski z pętem kielbasy i wszystkim rozdał po kawałku. Po izbie rozszedł się wspaniały zapach wędzonej wędliny. To dopiero był wspaniały deser. Za oknem niebo przybierało już granatowy odcień znak, że trzeba było się wyspać przed następnym dniem. W izbie ucichły rozmowy i po chwili wszyscy zapadli w sen nie wiedząc, co przyniesie najbliższa przyszłość.

Obudził nas major na odprawę. Usiedliśmy w kuchni wokół stołu, tym razem już tylko oficerowie z naszego batalionu, a Gutowski i Boro-
wiak jako goście.

- Manj przed sobą - mówił major - ostatni etap marszu do Warszawy. Zbliżamy się do granic stolicy i wchodzimy do akcji. Niemcy nacierają na całym froncie, musimy się zatem liczyć ze stratami, ale to jest wojna - panowie.

- Pan - zwrócił się do mnie - zamknie kolumnę prowadząc nasz tabor.

Było koło dziesiątej. Siedzieliśmy przy stole czekając na rozkaz wymarszu. Coraz wyraźniej było słyszeć zbliżającą się kanonadę. Mimo to

sen przewycięzył jawę i po chwili zasnąłem. Obudził mnie silny wstrząs. Dokoła było ciemno. Wszyscy rzuciliśmy się do drzwi. W księżycowej poświacie ujrzeliśmy ze dwa metry od naszej chałupy głęboki lej po pocisku. A więc znów boska opatrność dała znać o sobie. Nie było jednak czasu na zastanawianie się, ruszyliśmy w ciemność. Gdzieś tam w oddali czekała na nas skrwawiona w bojach stolica.

Mijamy wieś, na skraju której zaczynają płonąć chałupy. Wchodzimy na szosę, ale znów pech. Zostałem sam z kolumną nie znając drogi. Mam tylko ze sobą paru podoficerów i trzy działka. Idziemy szosą, która – mam taką nadzieję – prowadzi do Warszawy. Wtem dostajemy się pod silny ostrzał ckm'ów – zasadzka myślę szybko. Wszyscy zeskakują z wozów do przydrożnego rowu. W pierwszym momencie straciłem orientację, ale nie trwało to długo. Z dała widać o jakieś 100 metrów od nas zagajnik. To z niego prowadzony jest do nas ostrzał. Podejmujemy wyzwanie i po chwili odpowiadamy ogniem rkm'ów. Ta wymiana ognia nie trwa długo. Nieprzyjacielskie ckm'y cichną – może to tylko niemiecki patrol – przychodzi mi na myśl. Ruszyliśmy. Dochodzi siódma gdy po godzinie marszu doganiamy czoło kolumny.

20 września. Jeszcze 3-go byłem w Skalmierzycach pod Kaliszem, a teraz u bram Warszawy. Za mną Proсна – Warta – Bzura – Wisła. Spotykam przy taczankach Adama Bogdanowicza z Poznania i Dzikka Sikorskiego z Konina – rozmawiamy. Okazuje się, że Marszel żyje, jest tylko ciężko ranny. Spod ognia wyniósł go Antek Muszyński.

– A co z Koszadą? – pytam, ale tym razem chłopaki nic nie wiedzą.

Dołącza do nas Leszek Grabowski. Ten jednak twierdzi, że Marszel nie żyje. Rana, którą otrzymał 17 września była bardzo poważna i wymagała interwencji chirurgicznej, ale tej nie było.

Znów ruszyliśmy. Moje samopoczucie jest jednak nieszczegółne – boli mnie gardło i łamie w kościach. Poza tym boli głowa, a wargi mi spierzchły. Czuję gorączkę, ale o chorowaniu oczywiście nie ma nowy. Trudno trzeba się jakoś trzymać, może minie. Jakby teraz przydała się aspiryna, ale skąd ją zdobyć?

Las rzednieje. Zza drzew wyłaniają się rzędy domów. Czytam napis na przydrożnej tablicy – MŁOCINY, a więc jesteśmy pod Warszawą.

W obronie Warszawy

Nareszcie postój. Żołnierze pokładli się na ziemię. Przydałaby się teraz odrobina snu. Tymczasem od Wisły posuwała się jakaś kolumna, zbliżyli się. Pięciu naszych prowadziło grupę jeńców niemieckich złożoną z 60 ludzi. Co jednak uderzało, to brak entuzjazmu na twarzach naszych żołnierzy. Smutny to jednak obrazek, ale i ja złapałem się na tym, że widok ten wcale mnie nie uradował. Czym to tłumaczyć?

Poszedłem do majora Wodeckiego.

- Z dniem dzisiejszym mianuję pana adiutantem batalionowym - usłyszałem z jego ust. Proszę zdać plutony.

Zdałem pluton kaprała Szymczaka i wspomniałem o tym Borowiakowi. Nagle alarm. Przybiegł do nas Gutowski.

- Natychmiast przygotować się do odmarszu, nieprzyjaciel atakuje Młociny. Ustawił rzędem działka, a z powodu braku działonowych powierzył tę funkcję dowódcom plutonów czyli Borowiakowi, Nowickiemu i mnie.

- Panie poruczniku - wystąpiłem - melduję moją obecną nominację na adiutanta majora Wodeckiego. Muszę iść natychmiast do mojego baonu.

- Nic o tym nie wiem - odparł Gutowski. Nic mnie nie obchodzi, kompania ppanc zależy od dowódcy pułku.

Ustąpiłem i w duchu przyznałem mu rację. Stałem koło działka. Całą obsługę stanowił woźnica Kaźmierowski, celowniczy i ja. Z niejakim niedowierzaniem przeczytałem na armatce napis „Stefka”. Toż to te pechowe działko, przy którym zginęło tylu ludzi - czyżby na mnie kolej. Nie byłem zbyt przesydny, ale akurat rano oderwało mi się drugie skrzydełko u orzełka. Może na te niewesołe myśli miało wpływ me fatalne samopoczucie, rosnąca gorączka i ściskające w dołku uczucie głodu.

Posuwamy się wolno szosą, gdy wtem nad naszymi głowami słychać znajomy warkot niemieckich maszyn. Ziemia drży od wybuchów. Uciekamy z szosy jak najdalej. Niebezpieczeństwo mija, ryk samolotowych silników milknie w oddali. Ale znów problem - zgubił się gdzieś Borowiak. Ponoć poszedł zasięgnąć języka.

- Jak długo jeszcze będziemy czekać na Borowiaka - zapytałem Nowickiego.

- Nie możemy czekać, bierzemy jego działko i naprzód. Po drodze spotykamy patrol łączności z 30-tego pułku.

- Jest tu gdzie dowództwo?

- Nie, ale o jakie 600 m stąd jest stacja radiowa.

- Nie ma co - zwracam się do Staśka - jeden z nas musi iść do tej stacji. Może się tam dowiemy o położeniu pułku.

- No to ja pójde - mówi Stasiek - ale pamiętaj, czekaj tu na mnie.

- Daję ci słowo, że będę czekał tak długo dopóki nie przyjdiesz.

Zatrzymałem się przy drużynie ubezpieczeniowej.

- A wy z którego pułku?

- 31-szy,

- Gdzie byliście do tej pory?

- Na północy, to jest na północ od Warszawy na linii Pułtusk - Narzew - tłumaczył kapral. Tam nad Narwią jeszcze się trzymaliśmy, ale bliżej Wisły marnie, za dużo samolotów.

- Nam mówili ciągle o tym, że północne oddziały zajmują Prusy.

- A to cholera, nam zaś stale powiadali, że na zachodzie nasi przeszli granicę. A pan skąd?

- No, ja właśnie z zachodu.

- No i co?

- No i jestem tu jak pan widzi.

Naszą rozmowę przerwało przybycie gońca z rozkazem wycofania się dla ubezpieczenia. Udałem się w stronę działek z zamiarem wyprawienia ich do widniejących w oddali zabudowań. Sam postanowiłem czekać na Nowickiego. Było już po piątej po południu, a jego jakoś nie było widać. Wreszcie, ku mej niekłamanej radości, ukazał się na zakręcie szosy. Nagle nad mostem pojawia się niespodziewanie jedna maszyna. Przeleciała o jakieś 100 m nad nami, ale nie rzucała bomb. Sam widok wystraszył znów obsługi, znów się odsunęli w stronę wsi. Na skrócie ukazał się Stasiek. Niestety wieści miał niewesołe. Wszystkie oddziały były w stanie permanentnego odwrotu.

- Nie ma co, trzeba dojść do szosy i przekonać się dzieje. Wtedy podejmiemy decyzję, w którą stronę iść - zadecydowałem.

Szliśmy przez pole. Z lasu poczęły wysuwać się małe grupki żołnierzy. Nagle znów nad nami ukazały się samoloty. Tym razem jednak nie poprze-

stały na lataniu nad nami, ale zaatakowały. Piekło nalotu przeczekaliśmy leżąc wciśnięci w ziemię. Wreszcie koniec – odleciały. Znow ruszyliśmy w stronę wsi. Pierwszym spotkanym działkiem, było działko Borowiaka.

- Gdzie reszta, Mikołajczyk?

- A poszli dalej, mówili, że pan porucznik i panowie zabici, że trzeba iść dalej.

Zrezygnowany machnąłem ręką. Nie pozostawało nam nic innego jak iść w kierunku Warszawy.

Warszawa

Kilka chałup dalej spotkaliśmy oba nasze pozostałe działa. Dochodzimy do szosy gdy zza lasu wypada na nas sześć niemieckich maszyn. Znow popłoch, każdy stara się ukryć gdzie może. Mamy jednak szczęście, bo sieką tylko z karabinów, widać bomb im zabrakło.

No, przerwa. Korzystając z niej wychodzimy z działkami na szosę, Nowicki z dwoma działkami w przedzie, ja ze „Stefką” w tyle.

- Dokąd teraz pójdziemy, panie podchorąży – pyta Rokoszewski.

- Dojdziemy do miasta, tam musi być jakiś punkt zborny, szkoda czasu tu się błąkać.

- Panie podchorąży – mówi Rokoszewski – żeby pan wiedział ile grandy dało już chodu do domu. Przebijają się za cywilów i uciekają. Żeby nie to nie byłoby nas tak mało.

Byliśmy już na przedmieściu, gdy znow ukazały się samoloty. Skręciliśmy w boczną uliczkę. Tu Rokoszewski wyjął zafasowaną gdzieś puszkę z konserwą mięsną i posililiśmy się tym. Było to moje pierwsze po wczorajszym obiedzie jedzenie.

Znow marsz. Pogrążam się w myślach – Niemcy muszą być bardzo blisko. Ci wczorajsi jeńcy niemieccy świadczą tylko o tym, że nieprzyjaciel przerwał drogę na Modlin. Z rozmów z drużyną ubezpieczeniową można natomiast wysnuć wnioski, że cofali się oni przed oddziałami nieprzyjaciela nacierającymi od strony Prus. Sytuacja była zatem nader poważna. Prawdopodobnie Warszawa znalazła się w okrążeniu. Te rozmyślenia przygnębiły mnie bardzo.

Dotarliśmy wreszcie do jakiegoś posterunku, skąd skierowano nas do cytadeli.

Na drodze staje nam barykada. Udaje się nam jednak przejść.

Na szosie stoi podchorąży zawodowy.

- Co tu u was za bałagan - pytam.

- Jak pan widzi znaleźliśmy się w oblężeniu. Najgorsze jest jednak to, że dowództwo jest jakieś niezdecydowane, nie ma planu obrony, a poza tym brakuje stałych sił. Wszystko to zbieranina, tak jak wy.

Niestety dalsze wieści też nie były pocieszające: Niemcy pod Lwowem, wejście bolszewików na mocy układu z Niemcami. Wszystko to wygląda na czwarty rozbiór Polski. Do tego zupełnie niezrozumiały dla mnie rozkaz zakazujący oporu przed wkraczającymi Sowieciami.

- A jak się panu podoba to - dodał na zakończenie - że od początku oblężenia Warszawy moje działa ani razu nie strzelały. To samo inne. Jest rozkaz nie strzelać.

Pokiwałem tylko głową i w milczeniu podałem mu rękę i na odchodnym zasalutowałem.

Idziemy dalej. W drodze spotykają nas żołnierze, którzy właśnie wracają z cytaдели. Nie wpuszczono ich tam i poradzono wręcz, żeby przebierali się w cywilne ubrania i wracali do domów. Mimo to nie zrażeni postanawiamy iść dalej. Znowu barykada, tym razem jednak dowodzący oficer jest nieugięty i nie przepuszcza nas dalej. Naradzamy się na boku. Staje na tym, że ja pójdę sam do miasta. Wracam do barykady i mimo sprzeciwu porucznika przechodzę dalej.

Niestety szanse na zdobycie czegoś do jedzenia są nikłe. W sklepach nie ma niczego, a i mieszkańcy nie mają się już czym z nami dzielić. Zrezygnowany zawracam i w drodze powrotnej spotykam kaprała Jańskiego, wędrującego do miasta w tym samym co ja celu. Proszę go, aby i nam, jeśli się mu uda, coś skombinował do jedzenia. Wracam do swoich. Siedzimy teraz w ciemnościach pod murem w chłodzie i z pustymi brzuchami. Tymczasem jeden z żołnierzy przyniósł wiadomość o koncentracji naszej dywizji na terenach Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego na Bielanach. Nie oglądając się ruszamy, tym razem szczęście nam dopisuje i docieramy bez przeszkód do punktu zbornego. Niestety tu jak i gdzie indziej panuje straszny bałagan, niczego nie można się dowiedzieć, dlatego proponuję Staszкови powrót na naszą poprzednią „kwaterę” pod chmurką i pozostawienie na miej-

scu gońca. W drodze z tej nieudanej wyprawy towarzyszy nam huk niemieckiej artylerii i wybuchy pocisków, z których jeden pada nieopodal naszego postoju.

Łomianki

Z tym gońcem to był niezły pomysł, bo gdzieś około szóstej obudził nas meldując o odnalezieniu batalionu majora Wodeckiego. Tym razem droga do CIWF-u wydawała się nam sympatyczniejsza, bo wszyscy liczyliśmy na jakiś posiłek. Już przy wejściu spotykamy Rosiaka z III baonu, a obok niego mojego byłego dowódcę plutonu km z kursu podchorążych porucznika Smekczyńskiego, nawiasem mówiąc też ziomka z Turku. Był to bardzo dobry oficer, przy tym oficer z fantazją. Cieszyłem się jego sympatią i teraz przywitaliśmy się z uśmiechem.

- Co słyhać z batalionem? - spytałem Rosiaka.

- Stoi trochę dalej, no już mu dużo brakuje do batalionu, idziemy obsadzać Wisłę za Łomiankami.

- A co z Niemcami?

- Wczoraj obsadzili częściowo ten rejon, ale w nocy zostali odparci i teraz my będziemy bronić tego odcinka.

- A więc znów powrót do Młocin. Idzie mi się ciężko, jestem piekielnie zmęczony, a poza tym boli mnie gardło. Po drodze widać zniszczenia poczynione przez niemiecką artylerię i naloty bombowe.

Znów nachodzą mnie te same, niewesołe myśli. Jakoś nie wierzę już w możliwość obronienia stolicy, wydaje mi się, że nasz koniec jest już bliski. Zresztą wejście bolszewików, zdaje się przypieczętowały nieuchronność klęski. Czy ktokolwiek przed wojną brał pod uwagę taki rozwój sytuacji? Nie, w tym wypadku zarówno lewica jak i obóz rządzący byli zgodni - nie może być mowy o porozumieniu Stalina z Hitlerem. A jeszcze rok temu czytałem korespondencje Smogorzewskiego z Berlina o niepodobieństwie takiego porozumienia z powodów ideologicznych. O święta naiwności, jak można w polityce kierować się takimi przesłankami. Dzisiejsze wydarzenia udowadniają, że to czysty idiotyzm. Polska znalazła się między przysłowiowym młotem a kowadłem. Jakże trafne było to powiedzenie w odniesieniu do sytuacji naszej ojczyzny.

Rozmyślania przerwał odgłos karabinów maszynowych. Dostaliśmy się pod ogień ckm'ów, na szczęście niecelny, bo prowadzony z drugiego brzegu rzeki. Dochodziliśmy do Młocin, a stąd do Łomianek. We dworze rozlokowały się resztki naszego kaliskiego PAL-u. Dochodzimy do zagajnika i zajmujemy stanowiska na leśnym cyplu.

Podjeżdżamy z armatkami do majora. Ten zwrócił się do mnie:

- Za niewykonanie rozkazu winien pan iść pod sąd polowy.

- Panie majorze, meldowałem o poleceniu pana majora porucznikowi Gutowskiemu, ten na swoją wyłączcie odpowiedzialność zabronił mi być adiutantem batalionu i wysłał mnie z działkiem.

- Dosyć, potem sprawę wyświetlę, teraz proszę zająć stanowiska. Który z was jest starszy?

Wskazałem na Nowickiego.

- Dobrze. Kierunek ognia na to pole między nami a tamtym lasem.

Poszliśmy ze Stasiem wybrać stanowiska. Ja usadowiłem się na lewym końcu cypla, Stasiek trochę dalej - w środku. Cypel obsadzał kapitan Ślązak. Właśnie przechodząc koło nas głośno skomentował nasze położenie.

- No proszę panów, dziś zdaje się, że to ostatni dzień naszego życia.

Tymczasem na cypel przyjechali konni artylerzyści, między innymi Kuczewski. Tu miał być ich punkt obserwacyjny, a stanowisko we dworze. Patrol łączności przeciągał druty od nich do dworu. Byliśmy gotowi do walki.

Nagle przeleciał ponad nami pocisk artyleryjski.

- To nasza artyleria maca Niemców - mówi do kapitana Ślázaka major.

Znów świst pocisku, potem jeszcze drugiego i trzeciego.

- Skąd nasi biją, przecież to nie moje działa - powiedział Kuczewski.

- To strzelają gdzieś z lewej - powiedział Stasiek.

Rzeczywiście, ma rację, biją gdzieś z tej wsi w lewo za ogródkami działkowymi. Nagle huk przeraźliwy. Pocisk wybucha między zagajnikiem a pierwszą działką, a za nim drugi i trzeci.

- O do diabła, co oni robią? - krzyknął major.

Po chwili się wyjaśniło. Kuczewski i jakiś artylerzysta niosą podchorążego z urwaną stopą.

- Myśmy chcieli od was przodek – mówią.

- Nie ma mowy, tu jest akcja bojowa i przodek może być potrzebny.

Czuję, że to co robię jest nieludzkie i czuję, że oni też tak sądzą, ale nie mogę rozłączać przodka od działka, po prostu nie mogę. Szczęśliwie gdzieś znalazł się koń na którym odtransportowano nieszczęśnika. Znowu padają pociski na nasz cypel, znów jęki – nie to coś nie w porządku, czy to przypadkiem nie Niemcy.

Nagle jakieś wybuchy w zagajniku i świst kul. Boże, toż to Niemcy atakują nas od tyłu. Jedyne ratunek to odwrócić działa. W jednej chwili zaprzęgamy konie i zataczając szeroki łuk powracamy na stanowisko.

Boję się, żeby mnie nie posądzili o ucieczkę. Niestety moje intencje zostały źle zrozumiane, bo oto podbiega do mnie z pistoletem w rękę major Wodecki.

- Podchorąży, zastrzeleń pana, pan ucieka ze stanowiska.

- To kłamstwo panie majorze, zamieniam tylko kierunek dział bo dostałem ogień w plecy. Zapada milczenie w czasie którego patrzymy na siebie wściekłym wzrokiem wśród gradu kul. Major cofnął się. Dopiero teraz zorientowałem się, że trzymam w ręku odbezpieczoną broń. Nawet nie wiem, kiedy znalazła się w mej dłoni. Ognia! – komenderuje major. Jazgoczą teraz nasze ckm'y i gęsto strzela nasza piechota. Nieprzyjaciela właściwie nie widać, ale bijemy w miejsce skąd szedł niemiecki ostrzał. Wtem major zarządził kontrnatarcie. Chwyta od jakiegoś żołnierza karabin z bagnetem i na czele około pięćdziesięciu żołnierzy rusza do przodu. Rozlega się głośne hurra i dopiero teraz można dostrzec naszych prześladowców, odrywają się od zagajnika i uciekają w stronę ogródków, a za nimi nasi chłopcy. Niestety nie trwa to długo. Po chwili niemiecka zapora ogniowa pokrywa zagajnik. Nasi muszą się wycofać. Kompania Tührera rozbita.

Artyleria niemiecka i ich ckm'y ostrzeliwiają cypel. Bronią placówki tylko moi ludzie i ze 20 strzelców. Z zagajnika uciekają. Dwa uszkodzone ckm'y cofnęły się, został tylko jeden – mój, który bez przerwy prowadzi ogień w kierunku zagajnika. Wreszcie i on zamilkł, skończyła się amunicja. Teraz już tylko pozostaje wycofać się. Obaj ze Staśkiem i resztą naszych ludzi, ściągamy działa ze stanowisk i hajda w tył. Pędzimy drogą. Oba nasze konie są ranne, dostały po grzbiecie. Wokół pobojuwisko

skąd dochodzą jęki rannych. Nagle nasz woźnica nie zdążył ściągnąć koni i koło armatki przeleciało po jakimś rannym. Strasznie jęknął. Z tyłu dolatują nas niemieckie okrzyki. A więc cypel w rękę wroga.

Bielany

Dojechaliśmy do szosy. Tędy wycofywały się pierwsze grupy z lasu. Tymczasem Niemcy przenieśli swoją artylerię na naszą szosę i trzeba było włączyć czym prędzej do rowu. W rowie przydrożnym spotkałem Janiaka z działaniem.

- A pan co tu robi - spytałem.

- My tu z drugim batalionem czekamy na Niemców.

Ruszyliśmy dalej. Szosa była cały czas pod ostrzałem. Wreszcie dotarliśmy do Bielana. Tu już było kilkunastu żołnierzy z III-go baonu, paru podoficerów i jeden plutonowy z [oddziałów] strzeleckich. Zjawił się dowódca pionierów porucznik Kuśmirek.

- Marsz na front, co tu robicie tchórze jedne!

- Pan porucznik tu siedzi z tyłu to łatwo wymyślać - powiedział jakiś kapral.

Panie poruczniku - powiedziałem - rzeczywiście, trzeci baon jest rozproszony, major Wodecki ranny lub zabity. Najlepiej niech pan porucznik tu wszystkich zatrzyma, to się reszta batalionu będzie miała gdzie zebrać.

- Dobrze, ale nie wolno wam przekraczać rowu.

- Uwaga, czołgi!

Rzeczywiście polem posuwa się nasz czołg. Obsługa machała chorągiewkami, żeby nie strzelać. Poza paru tankietkami to pierwszy i jedyny polski czołg jaki do tej pory widziałem. Czołg przejechał obok nas bardzo szybko. Po drodze spadła mu tarcza ochronna od ckm'u. Czekamy na polu. Do naszej grupki dołączył podchorąży Knychalski z grupką żołnierzy. Tymczasem artyleria niemiecka zaczęła wstrzeliwać się w nas.

- Niech robi Kuśmirek co chce, a ja działek nie chcę tracić, odprowadzę je trochę dalej - odezwał się Nowicki.

Z Knychalskim usadowiłem się w płytkim rowie przeciwczołgowym. Knychalski wyjął łopatkę i zaczął pogłębiać swe iluzoryczne schronienie. Żałowałem teraz braku łopatki. Wokół nas zrobił się nagle

ruch. To niepomni na rozkaz Kuśmirka żołnierze wycofywali się pod ostrzałem na tyły. Po pół godzinie kanonada ustała. Wyszliśmy z rowu, naszych działek nie było widać, ale za to od Młocin najechało klusem działko Borowiaka.

- Rozbili nas - wykrzyknął woźnica.

Nie było na co czekać - ruszyliśmy drogą w stronę Bielan. Znowu droga pod ostrzałem, kryjemy się za grubymi drzewami. Niewiele to pomogło więc kryjemy się za nasypem kolejowym. Tu też rozstawiliśmy nasze działka - czekamy. Na razie spokój. Co raz wyraźniej przypomina o sobie głód. Nieopodal stoi kilka domków, nie namyślamy się i po chwili walimy do drzwi - odpowiada nam głucha cisza. Któryś z żołnierzy dostał się do wnętrza przez okno od kuchni. Nasze „łupy” są nader skromne - trochę kartofli, mąki żytniej i niewielka ilość kawy. Nasi ludzie zabrali się do gotowania. Na pierwszy ogień poszła kawa, na drugie na znalezionej resztkę smalcu zrobiliśmy sobie placki. Jednak ten skromny posiłek nie tyle zaspokoił co zaostrizył nam apetyty.

Zapadał zmierzch. W okolicy zrobiło się tłoczno od innych niedobitków z naszej dywizji. Przeżycia ostatnich godzin wyczerpały nas ogromnie, oczy wprost same się zamykały. Nie przeszkadzała nam nawet niemiecka artyleria. Zmęczenie wzięło górę, powoli cichły rozmowy, aż wreszcie zapanowała zupełna cisza.

Był ranek 22 września. Niestety nocleg na schodach nie sprzyjał wypoczynkowi, byłem połamany.

- Co dalej - spytał Stasiek.

- Bo ja wiem? Pójdę zobaczyć nad szosę, co się dzieje, czekajcie na mnie.

Szosa ciągnęły akurat jakieś oddziały.

- Co za pułk - spytałem.

- 29-ty, drugi batalion - odpowiedział jakiś żołnierz.

Spotkałem też sześciu poruczników z III baonu i zaproponowałem im dołączenie do mojego oddziału. Doszłusował jeszcze do nas kapral Wojtczak ze swym działkiem.

Wróciłem do swoich. Nasz oddział liczył teraz około stu żołnierzy z czterema działkami ppanc. Niestety poza powiększeniem stanu pozostałe wieści były niepokojące. Od spotkanego oficera z 56-go dowiedzie-

liśmy się, że na normalną organizację oddziałów nie ma raczej co liczyć. Wszystko cofało się bezwładnie w stronę stolicy nie próbując nawet zorganizować jakiegokolwiek obrony. Są co prawda gdzieś pojedyncze próby oporu jak ta na Bielanych, gdzie okopują się jakieś oddziały, ale to tylko chlubne wyjątki potwierdzające regułę. Wszystko to po powrocie tłumaczyłem Staškowi uświadamiając mu, że tak naprawdę trudno jest podjąć jakąś rozsądną decyzję. Tymczasem szeregowi żołnierze myśleli jak tu zaspokoić głód, który każdemu coraz bardziej dawał się we znaki. Włamując się do piwnic, znaleźli trochę żywności i teraz próbowali coś upitrasić.

Dziwnym zrzędzeniem losu odnajdywałem teraz swoich towarzyszy broni, z którymi rozpoczynałem swą wędrówkę z Kalisza. Tak właśnie zupełnie niespodziewanie pojawił się znów porucznik Janiak, który brał udział w walkach o Młociny.

- Cóż chcecie robić dalej - spytał Janiak.

- Na razie czekać, przecież chyba będzie jakaś nowa organizacja oddziałów. Warszawa powinna nas wycofać na odpoczynek.

- Macie duże wymagania - powiedział z uśmiechem - ale w tej chwili bardziej mnie interesuje czy macie co jeść?

Po „zaspokojeniu” głodu przeszliśmy do dużego pokoju.

- Warto byłoby zmienić bieliznę - powiedział Nowicki.

Poszperaliśmy w szafach - coś się znalazło. Jaka to przyjemność włożyć na siebie nową bieliznę.

Z porucznikiem poszliśmy na piętro. Znalazłem się teraz sam w innym pokoju. Usiadłem przy biurku, na wierzchu porozrzućane medale sportowe, widać było, że już ktoś tutaj szukał „skarbów”. Na oknie kartka pocztowa, po odczytaniu zorientowałem się, że mieszkał tu sportowiec - kapitan Kluk. Były też książki, przejrzałem je. Nagle ogarnęła nieodparta chęć posiadania jednej z nich. Wybrałem „Sonety krymskie” Mickiewicza choć żałowałem, że to nie „Konrad Wallenrod”. Nasza walka zbliżała się ku końcowi. Jeśli nie zginę, a dostanę się do niewoli to chciałbym mieć ze sobą polską książkę. Ogarnęło mnie dziwne wzruszenie, oto będę teraz zabezpieczony na wszelką samotność i niedolę w słowa mojego kochanego poety. Na biurku zobaczyłem jeszcze ryngraf z Matką Boską Częstochowską i też go wzięłem. Wychodząc z domu czułem się teraz przygotowany na wszelką ewentualność.

Trzeba było teraz znów rozejrzeć się za czymś do jedzenia. O 300 m od nas działała kuchnia. Poprosiliśmy o zupę, ale przechadzający się koło kuchni oficer nas odgonił. Dopiero po jego odejściu kucharz okazał się więcej wyrozumiały i zaproponował nam surowej jeszcze grochówki. Trochę pożywieni wyszliśmy na ulicę Słowackiego. Przy jednym domu uwagę naszą zwrócił jakiś ruch.

- Co tu jest - spytałem. - To jest kuchnia dla żołnierzy.

Poszliśmy za innymi do piwnicy.

- Panowie z jakiego pułku - spytała nas jakaś pani.

- Z poznańskich oddziałów - wyrwało się Knychalskiemu.

- O to dla panów nie ma, to jest tylko dla warszawiaków*.

- Opłaciło się nam bronić Warszawy - powiedział Knychalski i wyszliśmy. Chcieliśmy coś kupić, ale sklepy były puste. Udało mi się za to kupić gazetę. Wiadomości były niby krzepiące, ale jakoś nie chciało mi się w nie w żaden sposób wierzyć. Na zachodzie atak aliantów choć bez bliższych danych. Ze wschodu trochę już nie najświeższe wiadomości o obronie Gródka Jagiellońskiego i Grodna przed bolszewikami i o Warszawie. W tych ostatnich wieściach o znacznych naszych sukcesach zwłaszcza pod Łomiankami i Młocinami. No, o tych ostatnich wiedziałem sam najlepiej. Wróciliśmy do reszty. Dałem gazetę Janiakowi i Nowickiemu.

- No i co - spytałem.

- Niepodobne, żeby to już był koniec - powiedział Janiak. Przecież bolszewicy mają wkraczać jako sojusznicy.

- No cóż panowie - wtrąciłem - nie ma się co dłużej czarować. Nasza walka z Niemcami dobiega końca. Gdyby nie wkroczenie bolszewików, może można byłoby się jeszcze bronić, ale w tej sytuacji mamy do czynienia z rozbiorem, kolejnym zresztą w naszej historii. Dwu wrogów łączy się nad ofiarą.

- I co dalej? - podchwycił Nowicki.

- Bo ja wiem co dalej. Co poróżni dzisiejszych sprzymierzeńców. Sam nie wiem nawet, czy tego doczekam?

* Po wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku, 29 pp Strzelców Kaniowskich, otrzymał zaszczytne miano obrońcy stolicy, niestety dziewiętnaście lat później nikt o tym nie pamiętał (patrz „Historia 29 pułku ...” we wstępie).

Naszą rozmowę przerwał nagle szum nadlatujących samolotów. Tym razem zamiast bomb spadły na nas ulotki a w nich wezwanie do poddania Warszawy do tego to a tego dnia. Jeśli nie, grożą dalszymi bombardowaniami. Natomiast druga ulotka zupełnie inna w treści. Informuje, że już koniec, rząd uciekł ze Śmigłym 17-go września do Rumunii, że cały kraj zajęty, że czekają na nas w niepokoju żony, dzieci, rodzice itd. Pisane oczywiście po polsku.

Samoloty odleciały a my czuliśmy się jednak tak jak po najcięższym nalocie. Jeśli prawdą jest, że rząd uciekł, że prezydent i wódz naczelny uciekli... Że rząd uciekł – no to jeszcze pół biedy, ale żeby wódz naczelny? Nie, w to nie uwierzyłem. Nieprawdą też jest, że to już jest koniec oporu, nie to nie może być prawdą.

Dzień zbliżał się do końca. Przed snem pożywiliśmy się pieczenią z koniny, którą przyrządzili nasi żołnierze z jakiegoś zabitego konia. Nie był to szczyt sztuki kulinarnej, ale w obliczu głodu smakowała jak najwykwintniejsze danie. Nocowaliśmy w willi kapitana Kluka, choć nie było nam dane spać spokojnie tej nocy. Zrazu obudził nas Rokoszewski zaniepokojony zbliżającym się do nas ostrzałem artyleryjskim. Po raz drugi obudzili nas żołnierze. Nie musieli nawet tłumaczyć powodów swego zdenerwowania, bowiem grzechot karabinów maszynowych słychać już było bardzo blisko.

Jednak zmęczenie wzięło górę, wróciliśmy na swoje postania i ponownie zapadliśmy w głęboki i twardy sen.

* * *

23-go września. Obudziliśmy się o 9-ej rano. Wyszędłem na zewnątrz. Nasi ludzie poszli szperać po sąsiednich piwnicach w poszukiwaniu żywności, ale wrócili z niczym. Wyszędłem na drogę i tu miła niespodzianka spotkałem bowiem dwóch kolegów z kursowego plutonu km ze Szczypiorna – poznaniaków Szolca i Śledzińskiego, teraz w 56-tym. Okazuje się, że ich pułk został rozbity a oni sami szukają jedzenia i pomocy medycznej. Nagle – oczom nie wierzę – w oddali widzę kuchnię, wóz i szefa Bednarskiego. Pędem znalazłem się koło niego.

- Co pan? Jakim sposobem?

- Ano i ja dostałem się tu znad Bzury.

- Co ze sztandarem?

- Zdaje się, że spalony. Wędrowałem przez Puszcę Kampinoską, zrazu dobrze. Samolot przeleciał, rozbił moją kolumnę. No idę dalej, znalazłem inną kuchnię i dwa wozy, wziąłem to i powędrowałem dalej. Pewnie kuchnie tamte i tamte konie z wozami idą same. Żeby było łżej, zszedłem z kuchni, aż tu patrzę wyjeżdża, motocykl niemiecki, zatrzymał się. Nie miałem już wyboru, jakby nigdy nic idę dalej. Tamci myśleli, że za mną idzie jakiś oddziałek i dali nura z powrotem w las. Teraz mam tu ze sobą kuchnię, no i nasz wóz przywiozłem. Podjechaliliśmy pod naszą willę witani radosnymi okrzykami.

Szef się z nami pożegnał i poszedł do miasta. Byczy chłop - pomyślałem i w jednej chwili zapomniałem mu całą „opiekę” nad naszą 8-mą kompanią na kursie ppanc w Kaliszu. Od Białogóry nad Bzurą do Biełan samemu z taborem, kuchnią - no, to jest wyczyn wart krzyża.

Po godzinie wrócił Janiak.

- Szczęśliwie spotkałem się z oficerami naszego pułku, cała nasza dywizja jest złączona i przechodzi do Warszawy. Dowódcą kompani już jest nie Gutowski, a Solarek. Wiem gdzie ma być punkt zborny pułku, to dość blisko - ruszamy zaraz.

- Pan zna Warszawę, panie podchorąży? - zwraca się do mnie z pytaniem.

- Śródmieście tak, ale Żoliborz słabo, trzeba będzie się pytać po drodze - odpowiadam zgodnie z prawdą. Po 15 minutach nasza kompania ruszyła. Gdyśmy dochodzili ulicy Słowackiego minęły nas akurat oddziały idące na luzowanie nas.

Nie miał to być jednak spokojny spacer. Ulica Słowackiego znalazła się pod ostrzałem niemieckiej artylerii. Na nasze szczęście jednak ulica była zadrzewiona i można się było posuwać skokami. Jedynym pocieszeniem dla nas był fakt, że tym razem szliśmy na ulicę Królewską, która miała być punktem zbornym naszego pułku. Janiak zadecydował, żebym z nim tam poszedł a następnie wrócił po kompanię. Wbrew pozorom jednak nie było to zadanie łatwe. Przejście pod ostrzałem przez most nieopodal Dworca Gdańskiego było nader ryzykowne, ale nie mieliśmy zbytniego wyboru. Ja na rowerze, Janiak biegiem przebyliśmy most. Niemcy nie bili za celnie, ale sam złowrogi świst przelatujących

pocisków wystarczył. Mą uwagę zwrócili jednak ludzie, ruch był tu bowiem w miarę normalny, a i sklepy pootwierane, choć nie było w nich nic do kupienia. Po godzinnym szybkim marszu dotarłem do Placu Teatralnego. Teatr Wielki bardzo ucierpiał podczas działań wojennych i był porządnie uszkodzony. Na sam plac nie weszliśmy z powodu wybuchających na nim niemieckich pocisków. Zatrzymaliśmy się koło jakiejś jadłodajni. Janiak wszedł do środka i po chwili przyniósł mi kawałek chleba ze śledziem, wielkości dwu 10-cio złotych.

- Ile to kosztuje? - zapytałem.

- 3,50 zł - odpowiedział.

Przed wojną można było za te pieniądze zjeść przyzwoity obiad, ale teraz gdy brakowało żywności żyłowano klientów niemiłosiernie. Poszliśmy dalej ulicą Focha i Krakowskim Przedmieściem i znaleźliśmy się na Królewskiej. Tu dopadł nas znów ogień niemieckiej artylerii, która widać macała znajdujące się w Ogrodzie Saskim baterie naszej artylerii. Zaczęło się poszukiwanie, pytania, wreszcie znalazł się żołnierz z plutonu Solarka.

- No, co u was słychać?

- E, tu w Warszawie nie jest dobrze.

- A co z waszym plutonem?

- Też kiepsko, straciliśmy działko jedno pod Warszawą.

- W jaki sposób?

- Szły czołgi. Pan porucznik, wiadomo, ma zawsze czas, ma flegmę. Kazał je bliżej podpuścić, żeby ich więcej rozbić. W rezultacie jak czołgi się zbliżyły obsługa uciekła, a czołg przejechał działko.

- Gdzie ma kwaterę porucznik?

- Pod 27 na drugim piętrze.

Weszliśmy na górę. Porucznik przywitał nas radośnie.

- No, co mi przynosicie?

- Cztery działka z plutonów Borowiaka, Nowickiego i Suskiego.

Poza tym kuchnię i dwa wozy.

- No to trzeba sprowadzić - powiedział Solarek.

- Tak, właśnie wracam po nie - powiedziałem.

- Dobrze, ale niech się pan poczęstuje czekoladą - to mówiąc wyjął pudełko z czekoladkami z szuflady. - to jedyne nasze pożywienie. Aha -

dodał – gdy pan już wróci z działkami, to proszę je rozstawić na kilku podwórkach, czasem nie na jednym.

Drogę powrotną na Żoliborz przejechałem na rowerze. Miałem nadzieję, że może w tym tłumie spotkam gdzieś swą szwagierkę, która – jak sądziłem – mogła być sanitariuszką. Niestety nie dane mi było się z nią spotkać jednak ujrzałem z daleka znajomą twarz instruktora i oficera Alfreda Sachsa, turkowianina. Jego matka była moją nauczycielką i wychowawczynią, siostra zaś koleżanką. Mimo tego, że znaleźliśmy się raczej z widzenia poznał mnie i mile się uśmiechnął.

– Kto z nas wróci, ten powie rodzinie o drugim – krzyknąłem do niego.

– O to samo chciałem prosić – odkrzyknął.

Odjechałem kawałek i obejrzałem się raz jeszcze. W oddali zobaczyłem jak porucznik Sachs szedł odważnie wyprostowany wśród wybuchających pocisków.

Dotarłem wreszcie do swych działek, których załogi bardzo się ucieszyły na wieść o rychłym wymarszu. W czasie mej nieobecności udało im się dostać kilka kilo cukru, który teraz jadłem garściami pragnąc zaspoкоїć dokuczający mi głód.

Droga powrotna to był prawdziwy wyścig ze śmiercią, z którego jednak wyszliśmy zwycięsko docierając na Królewską.

Ulica Królewska

Rozmieściłem wszystkie działka w myśl zaleceń porucznika Solarka i poszedłem na odprawę, w której prócz mnie wziął udział także Nowicki i Nieborak. W myśl nowych wytycznych związanych z przeorganizowaniem pułku ci dwaj i porucznik Janiak mieli zostać dowódcami trzech plutonów ppanc., mnie zaś mianowano na miejsce Bednarskiego – szefem kompanii. Dowódcami działonowymi zostali Pawłowski, Sołtysiak, Wojtczak, Kałużny oraz mój dawny kapral-obszernik z Gostyczyny kpr. Jańczyk.

Wracam z Nowickim i Janiakiem pod 28. Tu rozdysponowuję skromne zapasy żywności i każę na jutrzejszy ranek przygotować kawę. Największe trudności są jednak z wodą, która znajduje się w ogródku, a ten jest pod ostrzałem. Zostawiam to na jutro i idziemy szukać nocle-

gu. Udaje się to nam w końcu u pani Teresy, u której wynajmujemy dwa pokoje. Już będąc na miejscu dzielimy się solidarnie z naszą gospodynią swymi zapasami żywnościowymi i po takiej skromnej kolacji udajemy się na spoczynek. Po raz pierwszy od czasów Wielowski rozbiaram się i kładę do łóżka zasłanego czystą pościelą. Mimo nieustannego bombardowania zasypiam kamiennym snem.

* * *

W niedzielę 24-go obudziliśmy się już po dziesiątej. Teresa przygotowała nam śniadanie, na które jakimś cudem udało się jej zdobyć świeże pieczywo. Byliśmy trochę skrępowani tą sytuacją, ale głód zwyciężył. Gdyśmy zbierali się do wyjścia zaprosiła nas jeszcze na obiad. Wyszliśmy na podwórze. Wydałem rozkazy i podszedłem do żołnierzy zapytać się o nastroje. Okazało się, że człowiekowi w obliczu śmierci niewiele potrzeba do szczęścia. Zaspokoili głód, zapalili papierosa i byli szczęśliwi. Przechwalali się też swymi „miłosnymi” podbojami, które to przechwałki przyjąłem z dużą rezerwą i niesmakiem równocześnie. Cóż jednak miałem się oburzać – takie życie.

Wróciłem do swych zajęć. Pierwszą rzeczą było spisanie – na polecenie porucznika Solarka – wszystkich naszych rezerw żywnościowych i rozpoczęcie normalnego ich wydawania. Rozdałem po kilogramie chleba na człowieka, po jednym sucharze i po 2 paczki „Wiarusów” oraz po 10 zapalek na działon. Po tych zabiegach udało się nam kupić u Żydów czekoladę Sucharda po 12 złotych za tabliczkę wielkości stużłotowego banknotu, oraz kilka słoików kompotów czereśniowych po złotówce. Te ostatnie sprzedawali żołnierze, którzy najprawdopodobniej weszli w ich posiadanie w niecny sposób. Miałem przy sobie coś około 40-tu złotych, ale nie szalałem z ich wydawaniem nie wiedząc, na jak długo musi mi ich wystarczyć.

Podchorąży L., który doszłusował do nas od poznaniaków miał bardzo ładne pismo, zrobiłem go więc pisarzem kompanii i od razu wydałem mu polecenie spisania naszego stanu osobowego. Okazało się że nowo sformowany poczet kompanijny ponownie liczył 7-miu ludzi w tym dwu podoficerów, cała zaś jednostka liczyła 3 plutony po 2 działka w każdym. Każdy działon liczył 5-6 ludzi. Mogłem być dumny, bo była to poniekąd moja zasługa.

Siedzieliśmy właśnie razem z podchorążym L., opowiadającym mi swe wojenne przejęcia, gdy nagle jak spod ziemi wyrósł przed nami porucznik Wójcik z jakąś „dama”. Był to nader wesoły oficer, a tym razem zażądał ode mnie wydania mu pościeli i jednej kołdry od Solarka. Oponowałem zrazu, ale gdy stwierdził, że to już jest uzgodnione z właścicielem kołdry, zrezygnowałem. Zadowolony z kołdrą w rękę i pod pachę z nieznaną udał się w stronę kwater.

Wreszcie przyszedł Janiak i udaliśmy się na proszony obiad. Gdy weszliśmy do mieszkania na stole już dymiała waza z zupą. My też nie pojawiliśmy się z pustymi rękoma. Po chwili na stole pojawiło się nasze pół bochenka chleba, 2 suchary i papierosy. Nie był to może imponujący obiad, ale liczyło się dobre serce naszej gospodyni, a to chyba było najważniejsze. Po zupie wylądowały na stole jeszcze nasze żelazne zapasy w postaci kompotu z czereśni i wiśni, czekoladek i słodyczy.

Po obiedzie rozsiedliśmy się wygodnie w fotelach i zapaliliśmy papierosy, które zupełnie inaczej tym razem smakowały.

* * *

Po dwu tak przyjemnie spędzonych godzinach wróciliśmy do swej kwatery. Spotkany po drodze Solarek poinformował nas o uzupełnieniach naszej dywizji przez niedobitki z 17-tej. Nic natomiast nie było mu wiadomo, kiedy ruszymy w bój.

Wyplaciliśmy jeszcze żołd dla naszych ludzi za dekadę. Były to grosze mimo, że był to podwójny żołd wojenny – wypadło po 1,70 na żołnierza, ja zaś dostałem 4 złote z groszami. Po wypłacie przyszedł do nas przysłany przez dowództwo 29-go pułku sierżant na miejsce Bednarskiego. Tak jak było to do przewidzenia zdałem mu swe obowiązki i wystąpiłem z prośbą o przydzielenie mnie do szwoleżerów konnych, niestety bez skutku. W zamian poprzedniej funkcji porucznik Solarek przydzielił mnie do tzw. zadań specjalnych, choć dalibóg trudno było określić o jakie zadania konkretnie chodzi. Na razie miałem zastąpić go w obowiązkach i dokonać przeglądu kompanii oraz wprowadzić nowego szefa w jego obowiązki.

Wieczorem na kwaterze zastaliśmy w kuchni jakąś nieznaną z niemowlęciem na rękę. Później wpadli jeszcze do nas Nowicki i ka-

prale Malinowski oraz Kałużny z jedzeniem, jeśli kompot i parę butelek wina można uznać za pożywienie.

Rozpoczął się poczęstunek winem, które jednak nie zaspokoilo głodu ale za to spowodowało szum w głowie. Zamiast więc wypić przydzieloną mi butelkę wylałem jej zawartość na miednicę i umyłem nogi. Z powodu stałego ostrzału artylerii Tereska wstawiła swe łóżko do naszego pokoju, aby było jej raźniej. Położyłem się z Janiakiem i wkrótce usnęliśmy. W nocy przebudziłem się. Byłem w łóżku sam.

* * *

Poniedziałkowy ranek wita nas ciężkim nalotem. Wśród ogłuszającego huku motorów słyhać nasze zenitówki i karabiny maszynowe umieszczone na dachach. Od wybuchów bomb lecą resztki szyb z okien. Kobiety uciekły do piwnic, w złudnej nadziei ochrony przed bombami. Czujemy jak podłoga trzęsie się od wybuchów i czekamy na swą kolej. Ale widać, że mamy szczęście, bo detonacje się od nas oddalają. Wychodzimy z Janiakiem na zewnątrz. Nieopodal kuchni spadła bomba zapalająca, z bramy widać pożary, ktoś krzyczy, że się gmachy palą, ktoś znów, że gdzieś obok składy. Obok nas przebiegają ludzie z workami piasku na plecach. Na rogu Marszałkowskiej i Królewskiej ruiny domów, za bramą po prawej pali się dom, z którego ludzie wynoszą swój ocalały dobytek. Nagle popłoch – znów słyhać złowrogi szum samolotów i huk spadających bomb. Biegniemy na swą kwaterę. Nie chcemy zejść do piwnic, siadamy w pokoju i wśród ogłuszających detonacji zaczynamy jeść mięsną konserwę. Nagle w chwili gdy podnoszę do ust widelec – ogłuszający huk i zaraz potem zapada ciemność. Janiakowi udało się wybiec z pokoju pierwszemu, potem i ja odnajduję w tym unoszącym się i wciskającym się wszędzie kurzu drzwi. Jestem na klatce schodowej, w rękę trzymam hełm, który zupełnie bezwiednie złapałem uciekając. Chwycę się na nogach, jest mi niedobrze. Z piwnicy dochodzą krzyki kobiet i dzieci. Oparłem się o ścianę gdy nastąpił znów huk. Wprost na mnie lecą tumany pyłu, a o hełm dzwonią odłamki cegieł. Zaczynam się krztusić, wypływam z ust jakieś odłamki razem z krwią. Wreszcie pył opada i ukazuje się potworny widok. Nasza kamienica nie ma ściany, która osunęła się na ziemię tak, jak rozlatują się wybudowane z rękoma

dziecka domki z klocków. Szczęściem w nieszczęściu jest jednak fakt, że osypujące się mury nie zasypały wyjścia z piwnicy, z której teraz gramolą się ranni. Niestety okazuje się, że są ofiary śmiertelne zwłaszcza wśród żołnierzy kwaterujących na parterze. Z pierwszego piętra wychyla się doktor pułkowy i kapelan. Są lekko pokiereszowani na twarzach i niesamowicie bladzi. Ksiądz idzie i uśmiecha się nieprzytomnie.

- Pan Bóg mnie ocalił - mówi.

Schodzi podporucznik Ostrowski. - A to dopiero katownia - mówi.

Teraz i mnie się robi słabo.

- Ależ pan jest ranny - słyszę głos Teresy.

Patrzę w pokazane mi lustro. Faktycznie twarz pokiereszowana odłamkami szkła. Zaczynam siebie oglądać. Nad kolanem spod rozdartych spodni widać ranę z tkwiącym w niej kawałkiem metalu wielkości 50-ciogroszówki. Nie namyślając się długo, wrywam go jednym ruchem. Krew rzuca się strumieniem, który staram się zatamować przez ucisk palca. Teresa przyniosła wodę kolońską i obmyła mi twarz. Nagle dochodzi do mej świadomości, że zupełnie nie odczuwałem bólu, było mi natomiast słabo.

Znów samoloty nad naszą kamienicą, znów to potworne wycie śmierci.

- Chodźcie do schronu, panowie - mówi jakiś mężczyzna. Idziemy za nim, nasza odwaga gdzieś prysła. Schron to piwnica a w niej jest z 50 osób, mężczyzn, kobiet, starzy i młodzi, nawet kobieta, która ma rodzić. Jest ciemno, zatrzymaliśmy się niedaleko wyjścia. Panująca cisza przerywana jest modlitwą. Ten atak jest potworny, ciągnie się już parę godzin i końca nie widać. Nasza obrona przeciwlotnicza zamilkła i hitlerowskie samoloty latają nad miastem zupełnie bezkarnie siejąc śmierć i zniszczenie.

Znów straszliwy huk i czerwony kurz. Przez chwilę robi się ciemno, ale po chwili pył opada. Wybiegliśmy z Janiakiem na podwórze. O zgrozo, bomba zapalająca spadła na wóz amunicyjny, który jest pełny po brzegi. Dopadamy z Janiakiem wozu i zdejmujemy amunicję, a szmatami gasimy bombę. Parę pocisków ppanc zaczęło się tlić, ale o dziwo, nie wybuchły. Znów czuwa nad nami Opatrzność. Zbiegamy na dół. Jest mi słabo, siadam na ziemi. Wokół słychać płacz kobiet i dzieci. I nagle

przychodzi mi do głowy krzepiąca myśl. To jednak mimo całej swej grozy jest piękne, że to miasto, stolica Polski mimo przeważających sił wroga, bombardowana i upokarzana każdego dnia i o każdej godzinie – trwa i nie poddaje się. Walczy o swój i swego narodu honor. Na jak długo jeszcze starczy jej jednak sił.

Czuję się coraz słabiej, krew mi z nosa jeszcze idzie, próbuję ją tamować brudną chustką. Obok na zydlu siedzi stara kobieta, z nią dwie córki z dziećmi, modlą się i płaczą. Dalej robotnik, tu znów robotnica z dziećmi, tam mała dziewczynka, dalej rodzina żydowska. Każdy z uciekinierów ma z sobą walizki, w których prawdopodobnie zgromadzone są co cenniejsze rzeczy. To widać na wypadek zburzenia domu – myślę.

– Ależ to krwawy poniedziałek – mówi jakiś Żyd.

Nad wieczorem bombardowanie dobiegło końca. Janiak, Teresa i ja znaleźliśmy się w kuchni, a wraz z nami paru ludzi.

– Trzeba iść do dowódcy kompanii – mówi Janiak – pan niech zostanie.

Zostałem. Czuję się bardzo słabo, a na dobytek znów boli mnie gardło. Siedzę na łóżku w kuchni i czekam... na co? Wraca Janiak.

W kompanii nic nowego, ale Solarek kazał jutro stawić się u niego. Tak jak myśleliśmy, w nocy rozpoczyna ostrzał artyleria. Ludzie znów chowają się w schronach, my z Janiakiem kładziemy się w ubraniach w swym pokoju i zasypiamy mimo nieustannego huk i blasku płonącego miasta.

Na Kruczej

To już czwarty dzień naszego pobytu na Królewskiej. Wstaję z łóżka i wychodzę na ulicę. Tu pełno żołnierzy obciążonych czekoladą, konserwami z jarzyn, konfiturami z rozbitych w czasie bombardowania sklepów. Kieruję się do kwatery Solarka. Tu czeka na mnie nowe zadanie. Mam dopilnować naszej przeprowadzki na Kruczą. Droga na nową kwartę przeraża, wokół doszczętnie wypalone domy ze sterczącymi w niebo kominami, siedliskiem ognia ocalałym z pożogi. Chodniki zastane gruzem, utrudniającym przejście, a wokół przerażeni ludzie z przestachem spoglądający w górę w oczekiwaniu na pojawienie się wrogich maszyn, przed którymi już nikt ich nie obroni. Im dalej idę tym groza sytuacji staje się większa. Teraz na jezdniach widać trupy ludzkie patrzące szkla-

nymi oczyma obojętnie w niebo, skąd zapewne przyszła do nich śmierć. Wśród gradu pocisków dochodzę do dworca. Dworzec i znajdujący się koło niego hotel Wiedeński rozbity. Koło dworca barykada przecinająca Aleje Jerozolimskie.

Wreszcie Krucza. Trochę tu spokojniej i mniej zniszczeń. Wchodzę na jedno podwórze w poszukiwaniu kwatery. Dobijam się do jakiś drzwi. Otwiera młoda panna, starsza pani i jakiś pan.

- Szukam kwatery dla wojska - mówię.

- Panie, na to podwórze dwie bomby spadły, tu bardzo niebezpiecznie.

Straszą mnie - myślę - ale tu nie będzie nam przyjemnie. Dziękuję i idę dalej.

Widzę, że znaleźć coś dobrego będzie bardzo ciężko. Ocalałe domy przepelnione, tu chronią się ludzie z rozbitych budynków. Wychodzę z takiej kamienicy gdy nagle ktoś chwyta mnie za rękaw.

- Panie - mówię, dziś były nad Warszawą samoloty bolszewickie. Bolszewicy idą nam na pomoc, rozumie pan, idą nam na pomoc, oswobodzą nas.

Nic nie odpowiedziałem, czyż to możliwe? Dalej łapie mnie grupa cywilów.

- Panie wojskowy, czy nie macie o tym wiadomości, że oddziały bolszewickie idą nam na pomoc. Są już koło Siedlec.

- Nie, nic o tym nie wiem.

Trafiłem wreszcie pod numer 33, w bramie komendant bloku, rozmawiam krótko.

- Owszem miejsce się znajdzie, a co za oddział?

- Armatki.

- O! - twarz się skrzywiła - to dla nas duże niebezpieczeństwo. Do tej pory był tu spokój teraz jak zobaczą wojsko na podwórzu będą bombardować.

- No, nie będę z panem o tym dyskutował, żołnierze się znajdują chyba w domach, konie stąd odesłę. Chodzi o kwatery w tym domu, chcę nieć dwie kwatery oficerskie na pierwszym piętrze. Jedna kwatera nad bramą będzie dla Solarka, druga w podwórzu też na pierwszym piętrze. Właścicielka, młoda brunetka, proponuje nam spanie w kuchni.

Udaje mi się załatwić resztę kwater dla żołnierzy i miejsce dla koni. Uprzedzam, że wrócę tu za jakieś dwie godziny już z wojskiem i nie chcę zobaczyć, aby jacyś żołnierze spali na klatkach schodowych. Wracam zadowolony na Królewską. Niestety droga powrotna znów pod ogniem. Zmuszony jestem kryć się po bramach i cała trasę przebywam skokami. W jednej z takich kryjówek znów słyszę, tym razem od żołnierzy, że bolszewicy idą nam na pomoc. Jakoś nie chce mi się w to wierzyć, ale nie dziwię się bowiem nastrój po ostatnich nalotach jest raczej kiepski i wszystkie, nawet najbardziej nieprawdopodobne wiadomości, przyjmowane są bezkrytycznie.

Skrećam na Królewską. Idę na kwatery Solarka, w bramie pusto, na klatce schodowej również. Na drugim piętrze chwytam za klamkę i otwieram drzwi. Mam dużo szczęścia bowiem zamiast mieszkania jest tu przepaść. Przerażony zbiegam i oddycham z ulgą, pomyliłem numery to jest 27A. Solarek gotowy do wymarszu czeka na mnie pod 27-ym.

Staję na czele oddziału i ruszamy. Droga tym razem cięższa, bowiem nie mogę już przemykać się pod domami, ale idę środkiem ulicy, a za mną ciągnie sznur armatek. Jest bardzo ciężko, ale jakimś cudem udaje się nam dotrzeć bez strat do miejsca przeznaczenia. Niestety, czeka nas tu niemiła niespodzianka – tu brakuje wody, trzeba więc będzie oszczędzać nasze skromne zapasy. Lokujemy się na kwaterach, widzę że Solarek jest zadowolony z nowego lokum. Wchodzimy z Janiakiem na I piętro. Po drodze zaczepiają nas dwie elegancko ubrane kobiety, prawią nam komplementy i zapraszają do siebie. Grzecznie, acz stanowczo odmawiamy i udajemy się do naszego mieszkania. Zastajemy tam już przygotowane dla nas posłania, wodę na miednicy do umycia i zaproszenie na kolację. Myjemy się z radością. W pośpiechu wyjmujemy nasze nader skromne zapasy w postaci kawałka chleba i trzech sucharów. Z tymi darami wchodzimy do pokoju. Okazało się żeśmy trafili do domu mecenaśa Hofmokl-Ostrowskiego.

Kolacja składkowa, uśmiechem przywitano nasze dary, gospodarze wystąpili z wódką i kluskami. Siedzimy przy świetle świecy. Po kolacji rozwija się dyskusja na temat naszej sytuacji militarnej, możliwościach pomocy i pogłoskach o zbliżaniu się do Warszawy oddziałów bolszewickich. Padają również gorzkie słowa pod adresem złej organizacji obro-

ny i wszechobecnego bałaganu. Nasz gospodarz, emerytowany major rezerwy wspomina walki 20-tego roku i twierdzi, że wtedy, mimo bardzo poważnej sytuacji na froncie, wszystko było lepiej zorganizowane – tak mu się przynajmniej wydaje. Najbardziej go zaś dotknęło, że nie został przyjęty, gdy się zgłosił na ochotnika do wojska. Nie trafiają mu do przekonania moje uwagi o druzgoczącej wprost przewadze technicznej Niemców, choć i ja mam dużo zastrzeżeń co do taktyki obronnej naszego dowództwa.

– A wiecie panowie – mówi gospodarz, że ja jakoś nie wierzę w bohaterstwo niemieckiego żołnierza.

– Proszę państwa – czuję się sprowokowany do zabrania głosu – i ja wierzę niezłomnie w wyższą wartość żołnierza polskiego nad żołnierzem niemieckim. Mówię to bo mam prawo. Proсна, Warta, Bzura, puszcza Kampinowska, przedpole Warszawy ... oni by nigdy nie wytrzymali i nie przetrwali tego co my.

Na Ochocie

Rozebraliśmy się do snu w naszej kuchence gdy wpadł por. Kuśmirek.

– Panowie, alarm, natychmiast schodzić!

W dwie minuty byliśmy na dole, na kwaterze Solarka.

– Proszę panów pułk w całości przechodzi na Ochotę w rejon kościoła Św. Jakuba. Tam wdzierają się Niemcy. Idziemy zluzować dotychczasowych obrońców. Pan będzie prowadził. Ruszamy Alejami Jerozolimskimi. Wokół nas płonące miasto i my idący środkiem ulicy, oświetleni płonącymi jak pochodnie domami. Minęliśmy gmach dworca, dochodzimy do pierwszego mostu.

– Wie pan gdzie kościół? – pyta mnie Solarek?

– Niestety poza dworcem nigdy się w tę stronę nie zapuszczałem.

Dochodzimy do drugiego mostu. Tam na posterunku rewidują jakiegoś cywila, ale go puszczają. Solarek zatrzymuje rewidowanego mężczyznę i pyta się o kościół św. Jakuba. Za chwilę przestraszony mężczyzna zostaje mimo woli naszym przewodnikiem. Faktycznie, pomysł z cywilem był dobry, bo nie tylko doprowadził nas do kościoła, ale uczynił to w miarę bezpiecznie wybierając spokojniejsze od ostrzału ulice. Sola-

rek wyrusza na zwiad, a mnie poleca opiekę na całą kompanię. Po niedługim czasie wraca Janiak i ruszamy z działkami pod kościelne mury. Solarek, Janiak i ja wchodzimy do kościoła. Rozglądamy się oceniając solidność murów i ich wytrzymałość przed pociskami. Mimo, że znajdujemy się w świątyni, każdy z nas ma hełm na głowie. Powoli zaczyna się tłok, żołnierze też chcą znaleźć ochronę przed pociskami. Ułożyłem się na ziemi i zdrzemnąłem około godziny. Wreszcie pojawił się jakiś major z większym oddziałem, przedstawił się jako dowódca naszego batalionu. Krótka odprawa na schodach kościoła. Mamy zluzować jakiś inny pułk, przetrzebiony we wczorajszych walkach z Niemcami. Ruszyliśmy za strzeleckimi. Cały batalion mógł mieć najwyżej około 1-2 kompanii.

Dochodzimy do dużego gmachu. W nim połowy lazaret i część mieszkań zajęta przez oficerów ustępujących oddziałów. Są zadowoleni, przecież wychodzą z piekła, a my zajmujemy ich miejsce.

Wychodzimy. Mijają nas ostatnie oddziały odchodzących. Nasi zajęli już stanowiska. Ulica drży pod obstrzałem artylerii. Spojrzałem na tabliczkę domu - Słupecka.

- Pan - zwrócił się do mnie - niech idzie za porucznikiem Janiakiem i przekona się gdzie on zajął stanowisko. W razie czego będzie pan łącznikiem między mną a nim. Wykonałem rozkaz i udałem się z Janiakiem. Huk się wzmagał, słychać już było pojedyncze wystrzały. Wyglądało na to, że Niemcy byli już od nas o niecały kilometr. Wreszcie Janiak decyduje się ustawić swe działka, jedno na podwórzu, drugie w bramie jakiejś kamienicy. Do naszej teraz bramy zaczyna napływać coraz więcej żołnierzy. To uciekinierzy z pierwszej linii. Twierdzą, że nie sposób tam wysiedzieć, nieprzyjaciela zresztą nie widać, za to grzeje bez przerwy niemiecka artyleria. Jak chcieli się poderwać do ataku, to znów odezwały się niemieckie ckm-y i tak w kółko. I to jest taktyka nieprzyjaciela, sami nie atakują lecz zajmują opuszczone przez nas stanowiska. Jak tak dłużej pójdzie, to niedługo będą na placu Narutowicza, a później na Jerozolimskich. Strach pomyśleć.

Przed odejściem dostaję od nieznanym mi żołnierzy trochę czekoladek i papierosów. Ruszyłem z powrotem, ale droga powrotna była koszmarem. Niemcy walili po obu stronach ulicy i na dodatek ostrzeliwali też środek. Mimo tego jakoś w końcu odnalazłem żółty dom

z obrazkiem Matki Bożej nad wejściem, który był siedzibą dowództwa. Wszedłem. Powitał mnie wyjątkowo mile ksiądz-kapelan już od progu wyrażając troskę o mój żołądek. Po chwili zostałem obdarowany dużym kawałkiem szynki konserwowej marki „Polo”. W drugim pokoju znalazłem Solarka w towarzystwie pułkownika i dwóch nieznanych oficerów oraz tego oficera co mnie z Knychalskim na Bielanach odmówił prawa skorzystania z jego kuchni.

Natychmiast zameldowałem Solarkowi o położeniu Janiaka i opowiedziałem pułkownikowi jak się tam przedstawia sytuacja. Chwilowo dali mi spokój więc rozejrzałem się po pokoju. Na tapczanie leżała dużych rozmiarów jakaś kolorowa mapa. Podeszedłem i zobaczyłem, że jest to doskonały plan Warszawy. Pilnie zacząłem go studiować i zorientowałem się wreszcie w naszym położeniu które raczej nie wyglądało za ciekawie. Mapa pomogła mi również w ustaleniu marszruty do mieszkania mego brata, które znajdowało się na Noakowskiego.

Z rozmyślań wyrwał mnie głos Solarka:

- A pan może pójdzie tą ulicą w prawo na rozpoznanie. Przybiegło stamtąd dwóch żołnierzy i mówią, że Niemców widzieli. Przydałoby się to sprawdzić.

Wyszedłem na ulicę, dochodziła 11-ta. Skręciłem w prawo, ostrzał jak wszyscy diabli. Idę tuż przy murze, pociski się rozrywają. Chyba się im coś przewidziało, gdyby tu byli Niemcy to ich artyleria tak by nie strzelała do swoich - myślę. Idę jeszcze kawałek dalej. Dochodzi mnie odgłos karabinów maszynowych. Ciąglemu ogniowi odpowiadają z rzadka krótkie serie ckm'ów. Nie mam złudzeń to nasze stanowiska odpowiadają tymi rzadkimi seriami. Pewno oszczędzają amunicję. Wróciłem się, meldunek uspokoił obecnych. Z linii wrócił jakiś ranny oficer, potwierdził on moje rozpoznanie i najgorsze przypuszczenia.

Byłem zdenerwowany a zarazem zmęczony, najchętniej położyłbym się i odpoczął. Po prawej stronie kwatery pułkownika zobaczyłem otwarte drzwi. Wszedłem do pokoju, był pusty lecz pod ścianą stało łóżko polowe. Pokusa była zbyt silna. Po chwili leżałem na nim wyciągnięty, oczy same się zamykały. Chyba zasnąłem. Nagle się obudziłem nie wiedząc dlaczego. Przez chwilę leżałem bez ruchu, nagle zrozumiałem, wokół panowała cisza. Spojrzałem na zegarek - było parę minut po dwunastej.

Rozdział III

KAPITULACJA

Znalazłem się na ulicy. Wokół tak przejmująca cisza, że trudno się aż do niej przyzwyczać. Milczy wroga artyleria, milczą ckm'y po obu stronach. Na niebie nic poza chmurkami. W bramie spotykam młodą dziewczynę, jak się później okazuje studentkę. Po chwili rozmowy zaprasza mnie do siebie na skromny poczęstunek i odpoczynek. Okazuje się, że nie jestem jedynym gościem. W mieszkaniu zastaję oprócz matki także brata mej nowej znajomej i jego kolegę. Po chwili znów pukanie do drzwi, wchodzi Gutowski dla odmiany zaproszony przez brata mojej znajomej.

- Tu bardzo bezpiecznie - zwraca się do nas starsza pani. Przez całe oblężenie nie schodziłam na dół, nogi bolały ale Matka Boska, której cudowny obraz widzieli panowie nad bramą nas chroniła. Ani jeden pocisk go nie trafił, taką mieliśmy obrończynię.

Gutowski przynosi zaskakującą wiadomość: zawieszenie broni.

- Co? dlaczego? chyba nie poddadzą Warszawy? - rzuciłem.

- Nie wiem - mówił porucznik - może to jakieś rokowania, może dla zbierania rannych i trupów.

Siadamy do skromnego obiadu na który jest zupa pomidorowa. Przy jedzeniu zaczynają się rozmowy o niedołęstwie obrony miasta.

- Panowie czy wiecie co się stało z naszym lotnictwem? - pyta jeden z młodych ludzi. Otóż większość samolotów zostało zniszczonych na ziemi. Jestem konstruktorem lotnikiem i napatrzyłem się na politykę naszych władz lotniczych w sposób dostateczny. Proszę sobie wyobrazić, że budowano tylko prototypy kosztem zaprzestania produkcji ma-

szyn używanych. Ba, żeby to te prototypy były choć gotowe do walki, ale z powodów trudno dla mnie zrozumiałych, maszyny te wykonywano w częściach i nie montowano z nich gotowych do lotu maszyn. Jak zwykle zasłanianie się przy tym oszczędnością i brakami finansowymi, ale czy to jest wytłumaczenie. Gdy przyszła wojna to pełne zaskoczenie i gdy my konstruktorzy zabraliśmy się do montowania, powiedziano nam, że to zbyteczne – rozumiecie panowie – to zbyteczne... – głos ugrzął mu w gardle ze zdenerwowania. W ten sposób – kontynuował po chwili – samoloty zostały w częściach, a te istniejące zostały w większości zniszczone na lotniskach zanim w ogóle zdążyły wystartować do boju.

Obiad się skończył. Gutowski poszedł do oddziału, ja natomiast zostałem ułożony troskliwie na kanapie i przykryty futrem. Obudziłem się gdzieś około piątej. Zacząłem zbierać się do wyjścia, przedtem jednak serdecznie podziękowałem mej młodej gospodyni, która okazała się być studentką czwartego roku dentystyki i miała na imię Krystyna.

Na dole natknąłem się na Solarka.

- Jakoś pan lepiej wygląda.

- Lepiej się czuję, panie poruczniku, wyspałem się i zostałem nakarmiony.

- Dzisiejszą noc spędzimy w domu studenckim. Jak już pan wie, jest zawieszenie broni do jutra do godziny dwunastej.

- Aż tak długie? To mi się nie podoba, co to ma znaczyć, panie poruczniku?

- Wiem tyle co pan, zawieszenie broni, a myśleć można różnie.

Jeszcze nie docierała do mnie myśl, że to może być koniec, choć z drugiej strony zdawałem sobie sprawę, że mój bojowy szlak dobiegał końca. Z drugiej strony przypominałem sobie Władka, Suskiego i wielu innych, których nie było już wśród nas i zrozumiałem, że co ma być to będzie, ale ja przecież żyję i to się tylko liczy, a przecież niejednokrotnie śmierć zaglądała mi w oczy.

Skierowałem się w stronę domu akademickiego. Mijam cywili, którzy wylegli na ulicę i dostrzegam na ich twarzach ulgę i nie dziwię się – przecież piekło się wreszcie skończyło. W bramie budynku, który był mym celem stoi kuchnia, nasze wozy i armatki. W środku spotykam Janiaka i ordynansa Solarka Jędrusiaka. W trójkę idziemy zorganizować

sobie nocleg. Udaje się nam znaleźć pokój dla Solarka, w którym zostawiamy Jędrusiaka, sami zaś lądujemy na parterze wśród rzeszy cywilów – studentów i tu udajemy się na spoczynek.

Noc z 27-go na 28-my przebiegła spokojnie. Po „śniadaniu” urządzono, aby wysłać mnie do dowództwa pułku dla zasięgnięcia języka. 24-godzinne zawieszenie broni kończyło się za niecałe dwie godziny. Szedłem przez plac, Janiak mnie kawałek odprowadzał. Słysząc było strzały, ot młodzieńcy 16 – 18 letni popisywali się władaniem bronią.

– Szczeniaki – powiedział Janiak, jeszcze nam piwa nawarzą, strzeli gdzie który bliżej linii i Niemcy otworzą ogień.

Do domu na Słupeckiej doszedłem już sam. Już przy wejściu zorientowałem się po twarzach napotykanym oficerów, że to już koniec. Sam nie chciałem, a może nie mogłem jeszcze w to uwierzyć.

– Kapitulacja – spytałem cicho.

– Tak – powiedział ksiądz kapelan.

– Nasza dywizja – mówił jeden z oficerów – składa broń dopiero jutro, a więc możemy się nią nacieszyć jeszcze 24 godziny. Nastąpi też wypłata zaległego żołdu. Jeden z wyższych oficerów zaznajamia z warunkami kapitulacji. Oficerowie mogą zachować broń boczną, kapitulacja honorowa, nie idziemy do niewoli, niemniej Niemcy żądają abyśmy wyszli z Warszawy i dopiero po wyjściu z miasta nas bez przeszkód puszczą do domu.

Wychodzę na ulicę, w bramie spotykam majora Wodeckiego. Idzie powoli, ręka na temblaku. Salutuję i zatrzymuję się na chwilę.

– I co pan o tym sądzi? I po co ta krew przelana, świniarze i łotry rządzą Polską, ot co z nami zrobili. Przepraszam panie podchorąży, że się wtedy pod Łomiankami uniosłem. Nie było o co, ponieważ to zrozumiałem. Proszę mi wybaczyć. Zerwałem się na baczność.

– Panie majorze, wina była tylko moja, ale nasze działka nie uciekały, chodziło tylko o zmianę frontu.

Rozeszliśmy się w milczeniu. Dalej spotykam Szumigalskiego.

– Wiesz już – pyta.

– Wiem, ale czy nie można byłoby się z naszym oddziałem przebiec gdzieś dalej na wschód. Opowiadali, że pod Siedlcami są bolszewicy.

– Tak, ale jak dojdziemy do Siedlec, co z nami zrobią bolszewicy, czy wiesz?

Idę dalej sam, co robić, nic nie wiem, przecież idę prosto do kościoła Św. Jakuba. Wchodzę. Tu w nocy z 26 na 27 kwatrowaliśmy przez parę godzin, wtedy tu była tylko kwatera, a teraz... Modlą się cywile, żołnierze, ksiądz przed ołtarzem, dym się unosi z kadzielnicy. Klękam i zaczynam się modlić. Czuję, że po policzkach spływają mi łzy. Nie wstydzę się jednak tych łez. Tyle było wokół mnie tragedii, a ja nie uroniłem ani jednej łzy. Widać tu i teraz przyszedł na to czas. Ołtarz rozplywa się, a ja myślę o tym, że choć mam dopiero 19 lat i cała jeszcze młodość przede mną, to ja po tych przejściach jestem już dojrzałym mężczyzną. Młodość odeszła bezpowrotnie razem z moimi zabitymi przyjaciółmi i towarzyszami broni.

W domu akademickim wiedziano o kapitulacji jeszcze przed moim powrotem. Twarze wyrażały niepokój o najbliższą przyszłość. Lęk przed śmiercią od kuli został zastąpiony strachem przed nieznanym. Zapragnąłem być sam. Idę do naszej kwatery i kładę się na materacu. I znów ogarniają mnie czarne myśli, ale zmęczenie bierze górę – zasypiam. Koledzy obudzili mnie o starej godzinie. Jest nas czterech – Janiak, Nowicki, Nieborak i ja. Nikt nic nie mówi, siedzimy w milczeniu. Teraz dopiero przypomniał mi się dom, co się też dzieje z rodzicami, bratem?

- O czym myślisz – pyta mnie Nowicki.

- O swoich – pada odpowiedź.

- I ja też...

- I ja też – mówią Nieborak i Janiak.

- Panowie, idziemy do niewoli. Trzeba zniszczyć swe dokumenty jeśli nie chcecie, aby dostały się w ręce wroga.

Robimy to teraz, z żalem niszczyć pamiętnik, dwie mapki wojskowe i nie wysłany list do brata. Zostawiłem tylko fizyczną mapę Polski, pamiętkę ze Skalmierzyc, dwa szkice połowe spod Gostyczyny i Kalisza, „Sonety krymskie” i jako jedyny mój dowód osobisty – książeczkę PKO.

* * *

29 września – właśnie mija bez jednego dnia rok, jak jechałem z Turku do Szczypiorna do wojska. Smutna to jednak dla mnie rocznica. Zadaję sobie pytanie czy to już definitywny koniec, czy już nie ma nigdzie środka oporu. Ponoć bolszewicy mają być pod Siedlcami. A jaka jest reakcja Zachodu? – Niestety te pytania pozostają bez odpo-

wiedzi. Gонец wezwał nas do porucznika na odprawę. Wszyscy stoimy, twarze ponure, skupione.

- Wicie już panowie o ciężkim dla nas ciosie, o kapitulacji Warszawy. Dziś zdajemy broń, przed wieczorem nastąpi odczytanie rozkazu dywizyjnego, wieczorem zaś wymarsz z Warszawy. Na przedmieściach odbiorą nas Niemcy i tam nastąpi demobilizacja i rozpuszczenie do domów. Dziś po południu wypłata żołdu, teraz przeniesiemy się na ulicę Chłodną. Wyszliśmy.

- Ale ja Visa nie zdam - powiedziałem. Idę na dwór, Nowicki ze mną, kopimy dół i wrzucamy nasze pistolety. To moment, który będę pamiętał do końca mych dni - myślę.

Solarek zarządził zbiórke. Dla zwykłych żołnierzy warunki podobne. Zdanie broni; maski i chlebaki oraz pasy zostają przy nas. W razie braku czapki może zostać hełm. Zostaje także płaszcz albo jeden koc.

Wymarsz z kwatery, na rogu Grójeckiej i Słupeckiej przechodzimy przez rozbieraną barykadę, co jest jednym z warunków kapitulacji. Idziemy czwórkami, dowódcy plutonów idą na czele. Dopiero teraz widać ogrom zniszczeń, ale już wśród gruzów uwijają się ludzie. Widać, że zaczynają się porządki. Jakże inna jest teraz Warszawa od tej, którą znałem przed wojną, ale przecież to to samo miasto. Na murach białe płachty ogłoszeń o kapitulacji Warszawy, demobilizacji i o tym, że już nas przysięga żołnierska nie obowiązuje i możemy spokojnie wracać do domów. Przecież to kłamstwo - oburzam się wewnątrz. Jak to przysięga nie obowiązuje, przecież przysięga się na całe życie. W pierwszym odruchu chciałem rzucić się i zerwać te ogłoszenia, ale się jakoś opanowałem.

Dochodzimy do Krochmalnej i tu kolumna zatrzymuje się. Nadjechało auto a w nim pułkownik, Wodecki i kapelan. Solarek staje na stopniach samochodu, chwilę rozmawia. Za chwilę wraca i każe wejść na duże fabryczne podwórze. Tu pada rozkaz do składania broni. Dowódcy plutonów mają tego dopilnować. Zaczyna się najbardziej przykry dla każdego żołnierza moment - rozbieranie. Żołnierze podchodzą do środka i leniwie kładą na ziemi swe karabiny. Czuć w powietrzu napięcie. Rzeczywiście po chwili dochodzi do ostrego słownego starcia między Solarciem a jakimś nieznanym mi rezerwistą. Widać, że prości żołnierze winią o przegraną swych dowódców. Zaczynają padać przekleństwa na rząd, na

brak samolotów, na niedołążne dowództwo, wreszcie na głód. Czuję, że ci szeregowi żołnierze mają sporo racji. Do dziś widzę pędzące auta z wyższymi oficerami w środku uciekającymi z pola walki. Pamiętam to dobrze znad Bzury i Puszczy Kampinoskiej. Kogo mają winić ci prości żołnierzy, jak nie swoich dowódców? Podejrzewam, że podobnie jest i w innych oddziałach, które tak jak my teraz, składały lub składają broń.

A może by tak poprosić Solarka o zwolnienie – wpada mi pomysł do głowy. Podchodzę do oficera i przedstawiam mu swą prośbę. Solarek najpierw wykręca się, ale potem udziela mi godzinnej przepustki. Robię w tył zwrot i podążam ku bramie. Po drodze spotykam jeszcze Borowia-ka. Okazuje się, że był ranny i przebywał w szpitalu. Wyszedłem na ulicę i dochodzę do mostu, tu pytam się o drogę na Noakowskiego. Idę teraz Koszykową i mijam gigantyczne kolejki ludzi z wiaderkami czekających na możliwość nabrania wody. Jeszcze tylko Aleja Niepodległości, gmach politechniki i jestem na miejscu – Noakowskiego 12. Wbiegam po schodach i po chwili jestem przed drzwiami mieszkania brata – pukam. Otwiera mi nieznany mężczyzna. Przedstawiam się i dopytuję o brata.

– Niestety nie ma pan szczęścia – słyszę z ust nieznajomego – w pierwszych dniach wojny wyjechali z Warszawy. Jestem Łubkiewicz.

– No, trudno, mam widocznie pecha. Proszę pana, gdyby brat wrócił to proszę powiadomić go o mej wizycie. Teraz idziemy do Niemców, którzy mają nas podobno puścić. Gdyby tak się stało, to będę się prawdopodobnie starał dotrzeć do Turku lub Kalisza. I jeszcze jedno, czy mógłbym dostać jakieś cywilne ubranie brata.

– Niestety nie, ale ja mogę dać panu kurtkę – proponuje mój rozmówca.

Na mundur włożyłem kurtkę, na to płaszcz i szybkim krokiem pomaszerowałem w drogę powrotną.

– Niech pan zbierze kompanię – rozkazał mi Solarek zaraz po moim powrocie.

– Nastąpi teraz wypłata żołdu – mówił Solarek – i wydanie legitymacji. Pamiętajcie, niech nikt na własną rękę nie opuszcza Warszawy. Niemcy są pod miastem i będą chwycić spacerowiczów, choćby to mieli być już przebrani cywile. Po drugie pamiętajcie nie mieć przy sobie broni, za to grożą Niemcy śmiercią.

Prowizoryczną kwaterę kompanii urządzono na piętrze żydowskiego domu modlitwy. Zaczęto wypłacać zaległy żołd. Ogółem dostałem coś ponad 50 złotych, żołnierze zaś o parę złotych mniej. Trochę mnie to zdziwiło, bo przecież wiedziałem, że zostało sporo pieniędzy. Ale sprawa się wyjaśniła, otóż Borowiak mówił mi, że oficerowie wypłacili sobie pensje za parę miesięcy naprzód, podporucznik miał najmniej tysiąc złotych. Uważam, że skrzywdzono nas wierutnie, bowiem podchorążowie tak samo dowodzili plutonami, ale cóż było robić.

Nie mogłem nigdzie znaleźć Janiaka. Nieborak poinformował mnie, że porucznik pojechał zdać Niemcom broń. No, nie było mu czego zazdrościć. Wyszedłem na podwórze gdzie spotkałem dwóch znajomych z Turku, kupca Kossakowskiego i młodszego kolegę gimnazjalnego Różalskiego. Przywitaliśmy się.

- I co z nami teraz zrobią? - pyta się Kossakowski.

- Nic, po kapitulacji maszerujemy do Niemców, zobaczymy co oni z nami zrobią.

- Niech się pan przebiera i z nami jedzie.

- Nie mogę, muszę zostać przy kompanii, Niemcy obiecują nas puścić, nie bardzo im wierzę.

Poszedłem do swoich kolegów. Nieborak, Nowicki i ja weszliśmy do kuchni jakiegoś mieszkania, głodni i zmęczeni usiedliśmy na łóżku. Gospodyni gotowała szynkę i piekła placki.

- To pewno dla panów - odezwała się.

- Jak to?

- A przecież koledzy zamawiali to sobie.

- Nie my w każdym razie.

Nieborak wyszedł i wyjaśnił zagadkę. W sąsiednim mieszkaniu siedzą kapitan Kurbiel i porucznicy Solarek i Borowiak i to oni byli sprawcami zamówienia.

Wróciła mieszkająca w tym samym domu młoda właścicielka sklepu. Zaczęła opowiadać, że mąż pewnie zginął w artylerii przeciwlotniczej. Wspólnie z właścicielką mieszkania wykombinowały trochę mąki i zrobiły nam po dwa placki. Nieborak wywdzięczył się cukierkami którymi częstował gospodynię i dzieci. Tymczasem młoda właścicielka sklepu wzięła mnie pod obrztał. Usiadła obok mnie.

- Pan pewnie głodny?

- Nie bardzo.

- Ech, ja panu coś powiem, niech pan idzie do mnie, dam panu jeść, ogolę pana. Zresztą co tu mówić - zniżyła głos - niech pan ze mną zamieszka, mam sklep, teraz wojna, ludzie nie będą się dziwić, panu się przyda kobieta.

Jej propozycja wprost mnie zamurowała. Zupełnie straciłem język w gębie i nie potrafiłem wydobyć z siebie żadnego głosu. Nic zatem nie mówiąc wstałem i wyszedłem. Faktycznie jedna jej rada mi się spodobała, byłem strasznie obrośnięty i przydałoby się zmienić ten stan rzeczy - ale w tym wypadku zamiast skorzystać z propozycji, zdecydowanie wolałem oddać się w ręce fachowca. Zapewne będzie drożej, ale za to bez zobowiązań. Na Chłodnej trafiłem na zakład fryzjerski. Fryzjer z początku narzekał na brak wody, ale przecież znalazł trochę dzięki czemu z lustra spojrzęła na mnie znajoma twarz. Ostrzyżony i bez zarostu poczułem się o wiele lepiej, choć głód dokuczał mi nadal.

Wróciłem do swoich i natychmiast zostałem wysłany razem z Rybczyńskim i dwoma żołnierzami po żywność. Mam pełnić rolę „kontrolera”. Jedziemy wozem aż na Wronią, gdzie znajduje się punkt zaopatrzeniowy. Wydzielają dla naszej kompanii konserwy w puszkach, chleb, suchary, kawę. Wydaje nam to jakiś znajomy Rybczyńskiego nic też dziwnego, że Janek zafasował dodatkowo puszkę konserwową dla siebie rozdzielił jej zawartość na miejscu pomiędzy dwóch żołnierzy, siebie i mnie. Gdy wróciłem na Chłodną, Kossakowski i inni cywile wzięli mnie na bok.

- Proszę pana, rozmawiałem z porucznikiem, ale jest jakiś nijaki, chodzi o to, że macie konie i może by się dało jakiś interes ubić.

- Proszę panów, ani porucznik ani ja nie pójdziemy na żadne „interesy”. Niemniej uważam, że lepiej gdy te konie dostaną się wam niż Niemcom. Idźcie z tym do żołnierzy.

Wracam do mieszkania i spotykam tu Borowiaka. Rozmawiamy o jego szpitalnych kolejach losu. Nagle porucznik pyta:

- Ile pan ma pieniędzy?

- 70 złotych, panie poruczniku.

- O, to diabelnie mało, ma pan tu 50 złotych.

- Jakże mogę przyjąć?

- Po koleżeńsku. Przyjdzie czas to mi się pan odwdzięczy.
Podziękowałem mu, to się nazywa kolega.

Tymczasem inni podoficerowie i podchorążowie handlują z cywilami maskami, lornetkami. Wszystko to skupuje syn gospodarza mieszkania - uczeń. Jego ojciec natomiast był komendantem bloku i wydzielął przydzielone cywilom racje żywnościowe. Niestety nikt z obdarowanych w ten sposób osób nie jest zadowolony, przy oknie wybuchają awantury. W międzyczasie wrócił Janiak. Jest jakiś przygaszony. Nie chce opowiadać wszystkiego w szczegółach, mówi tylko, że był to najbardziej przykry dzień w jego życiu. Cała procedura odbyła się na placu Krasińskich w obecności niemieckich oficerów. Przyszedł do nas Solarek i sam zarządził zbiórke. Kompania się zebrała, dowódcy plutonów na prawym skrzydle.

- Idziemy teraz - mówił porucznik - na ostatni rozkaz dywizyjny. Po rozkazie nastąpi zbiórka tych, którzy mają jechać za Wisłę na stronę bolszewicką. Ci pójdą osobną grupą do Niemców, reszta zaś wymaszeruje z dywizją ulicą Solską. Niemcy pozwolili nam zachować swoje kuchnie i wozy z prowiantem. Po raz ostatni żegnam was jako kompanię ppanc 29-go pułku piechoty - zakończył.

Reszta naszych żołnierzy z Małopolski wschodniej zebrała się w grupę. Po Bzurze zrobiło się ich jakoś mniej, ale wierni byli do końca. Znad Bzury pod Warszawę strzelec Dubas niósł kilkadziesiąt kilometrów, jako ordynans, walizkę Borowiakowi i Okoń nad Bzurą życzliwy, przyniósł tę walizkę pod Warszawę.

Poszedłem się do nich pożegnać. Chała odezwał się:

- Panie podchorąży, ta niech pan idzie z nami. Ta włos panu z głowy przy nas nie spadnie, będzie nam dobrze, na wsi mieszkam.

- Albo do mnie - mówił Moczynos.

- Słuchajcie - mówię wzruszony - a zrozumcie i mnie. Tak jak i wy mam rodzinę, chcę się z nią zobaczyć.

Dali mi przecież swoje adresy, żeby w razie czego do nich przybyć. Teraz przy pożegnaniu rozumiałem, że miałem do nich słabość, do tych śpiewnie gadających Czarnoleskich, Metyków, Dubasów czy Cimków.

Dwójkami wyszliśmy na Chłodną, za pomnikiem stały rozbitki naszej dywizji. Postawa na baczność. Odczytano ostatni rozkaz dywizyjny. Dowódca dziękował w nim za nasze krwawe ofiary. Nie rozumiałem wie-

le... ostatni rozkaz!?! Drugi raz łzy stanęły mi w gardle. Zrozumiałem jeszcze te słowa: rozkaz wyraził nadzieję na to, że da Bóg, a wyjdą następne rozkazy, słowa... do zobaczenia w Niepodległej Polsce. Odczytano listę odznaczonych. Padło nazwisko turkowianina Konieczyńskiego i podporucznika Rosiaka.

Kompania za kompanią wloką się oddziały ulicami. Idziemy ze zwieszonymi głowami, smutny to obraz dla tych którzy teraz na nas patrzą. To ostatnia nasza defilada przed murami naszej stolicy i jej mieszkańcami, których nie zdołaliśmy obronić przed niemiecką nawałą, a którzy żegnają nas teraz w skupieniu i powadze. Oto my, oddziały z różnych stron Polski wychodzimy teraz z Warszawy – miasta, które niejedno już widziało w swej historii i zawsze się podnosiło z upokorzenia i pokazywało swym wrogom na co je jeszcze stać. Trzeba mieć w Bogu nadzieję, że tak będzie i tym razem.

Szliśmy teraz czwórkami, kompania za kompanią, u nas na czele Solarek, za nim dwóch poruczników, pierwsza czwórka podchorążych, dalsze podoficerskie i żołnierskie. Odeszli już od nas koledzy z Małopolski Wschodniej zaraz po rozkazie. Ich zebrano z całej dywizji w osobną grupę. Pójdą pod zarząd bolszewicki, my zostajemy pod Niemcami. Zaczęło się ściemniać, a my dalej mijaliśmy nieznanne mi już teraz ulice. Wszędzie ślady wojny w postaci końskich trupów, resztek barykad i zgłiszcz wypalonych domów. Tu i ówdzie musieliśmy mijać głębokie leje po bombach i pociskach. Wychodzimy już z miasta na szosę. Jest już zupełnie ciemno i tylko w oddali widać mrugające do nas ogniska. To Niemcy grzeją się na linii wokół Warszawy przy tych ogniskach. Naprzód chcą nas wyrzucić z miasta, boją się jeszcze Warszawy, boją się do niej wejść. Podchodzimy bliżej – słychać już dźwięki wrażej mowy.

Błonie

Z ciemności wyrosły niemieckie postacie. Ktoś z naszych oficerów rozmawia z Niemcami. Pochód trwa dalej, ale już pod niemiecką eskortą. Konwojują nas, co parę czwórek jeden żołnierz z bagnetem. Wzdłuż szosy stoją masy żołnierzy niemieckich i przyglądają się pokonanym przeciwnikom. Chwilami dochodzą do nas śmiechy – jakże to bolesne. Po lewej stronie szosy pojawiają się niemieckie motocykle, samo-

chody pancerne i zwykłe. Ckm'y z tych pojazdów skierowane są na marszerujących w ciszy żołnierzy. Któryś z żołnierzy pyta Niemca o Lublin, Lwów, czy to już zupełnie koniec.

- O tak. Lwów i Lublin zajęła Rosja, myśmy doszli po Bug. Już koniec, wszyscy się poddali, rząd wasz już dawno uciekł, Śmigły Rydz und Mościcki auch, diese sind schon in Rumänien^{*}, ale my ich tam dostaniemy.

Gdzieś z przodu dobiegają niemieckie pokrzykiwania. To zwycięzcy zabierają naszym żołnierzom ich rowery. Przecież teraz nie muszą się już nas bać. Gdyby zaczęli zabierać rzeczy osobiste, to mnie najbardziej byłoby szkoda zegarka. Widać na twarzach rysujące się zmęczenie, ale Niemcy tylko nas ponaglają, a czasami i kolbą przyłożą jakiemś opóźniającemu marsz. Jestem też potwornie zmęczony, dokuczają mi głód i pragnienie i strasznie bołą nogi. Jeszcze tak długiego marszu bez odpoczynku nie miałem. Nagle wśród tej ciszy śmiech przeleciał przez kolumnę - jeden z Niemców dosiadł konia i bardzo szybko znalazł się koziółkując w rowie. Przyglądamy im się wszyscy uważnie, owszem silne chłopcy, ale takie jakieś niedźwiedziowate, za to auta mają wspaniałe, długie, okazałe, na 6 osób. Na każdym uchwytu do karabinów maszynowych. Na przyczepach motocyklowych też zamontowane lekkie karabiny maszynowe. Teraz dudni coś ciężko po szosie. Dogoniło nas parę czołgów i teraz mam okazję podziwiać je z bliska, a jest co podziwiać. Technicznie o wiele wyżej stoją od naszych. Po pierwsze są większe, potężniejsze i uzbrojone w potężną armatę. Pomalowane na ciemny kolor, na tle którego odbija się charakterystyczny biały krzyż. Załogi ubrane w białe kożuchy, którymi się teraz otulają chroniąc od chłodu nocy. Nie dziwi mnie teraz nasza przegrana, technicznie ich armia stoi od naszej o wiele wyżej i stąd się brała druzgocąca wprost przewaga.

Tymczasem w naszej kolumnie zrobił się na dobre bałagan - długość i szybkość marszu, zmęczenie robiły swoje. Czwórki mieszały się już nie tylko w oddziałach, ale pomieszały się i oddziały. Niektórzy handlowali w marszu rowerami. Opodał mnie ten łobuz Siarkiewicz sprzedał drugiemu rower za 100 złotych. Siarkiewicz paradował w oficerkach,

^{*} i Mościcki też, ci są już w Rumunii.

w takich samych paradował dalej Klimczak. Wstręt to we mnie wzbudziło – ściągnęli z trupów – pomyślałem .

Nareszcie po jakichś 15 – 20 kilometrach zrobili nam przerwę. Ześleliśmy do rowów. Na szosie konwój motorowy, a w rowach pilnują nas pojedynczy Niemcy. Krótko to trwało, znów marsz. Ciężko jest iść po odpoczynku pierwsze 100 metrów, idzie się jak po rozpalonym żelazie. Trzymałem się teraz tylko razem z Nowickim.

- Dokąd nas tak oni prowadzą – rzucił Stasiek.

- I mnie to zastanawia. Przypuszczam, że oni wcale nas nie chcą puścić wolno.

- A może odeślą nas do domu koleją. Chyba nie zamierzają z nas robić widowiska przez cały kraj?

Widać chałupy wszystkie niemal zawałone wojskiem, które pewnie nie wzięło udziału w ostatecznym szturmie Warszawy. Znów stajemy, ale tylko po to, aby się porządnie ustawić w kompaniach. Znów ruszamy, jest ranek 30 września. Szosą asfaltową dochodzimy do zabudowań. Ktoś z nas zdążył odczytać napis na tabliczce – BŁONIE. Przy drodze mieszkańcy Błonia patrzą na swoich obrońców pędzonych jak stado znękanym baranów.

- Skąd idziecie? – padają pytania.

- Z obrony Warszawy.

Skracamy drogą w prawo. Nagle po kolumnie roznosi się, że mamy defilować przed niemieckimi generałami. I rzeczywiście, ustawiamy się w czwórki. W lewo od nas zielona gromada mundurów, jakieś wozy, samochody i jeden czołg – to grupa rozbrojonych, których tu wcześniej przypędzono. Przy drodze stoi grupa oficerów polskich i niemieckich. Wśród Niemców ich generał, wśród naszych nasz dowódca dywizji generał Alter.

Pada po raz ostatni komenda: Do defilady! (11 miesięcy temu defilowaliśmy przed Śmigłym!)

- Bacność – na prawo patrz!

Przecież czuję to, idziemy dobrze, twardo, patrzą na nas nasi wrogowie. Mijamy oficerów, skracamy w lewo, za nami przybijają inne kompanie.

Wchodzimy w krąg otaczających Niemców.

- Stój! – Oddziały zatrzymały się z miejsca na ziemi tak jak przyszły

drogą Warszawa – Błonie. Każdy z nas miał podane na odchodnym po cztery suchary, ale na jak długo mają starczyć niewiadomo. Zgubiły mi się jeszcze dwa.

Pole naokoło otoczyli Niemcy czołgami. Łaskawie pod konwojem pozwolili naszym żołnierzom przynieść słomy z pobliskich stogów. Dołączyłem się do takiej wojskowej grupki ze słomą, próbując zasnąć. Jest wściekle zimny ranek. Wstałem by ogrzać się chodząc i spotkałem w grupie innych oficerów Smekczyńskiego. Jest zupełnie przybity. On, zawsze taki pełen życia oficer, zrobił się cichym człowiekiem.

– Czyż warto było przeżyć tę wojnę by dożyć takiej hańby – mówi. Czyż to godne Polaka i oficera? Wszyscy zebrani czujemy to samo.

– Co z resztą pana tureckich kolegów – pyta Smekczyński.

– Wiem tylko, że Marszel ciężko ranny.

– I Lewandowski – dodał porucznik – bardzo dzielny chłopak. Podałem go do Krzyża, ranny przyniósł karabin maszynowy z Młocin do Bielana, a nie rzucił go jak to było powszechnym zwyczajem.

W innej grupie spotykam kaprala Jańskiego. Widzi pan – pokazuje mi wyjętą z owijaczy belgijkę. Chce ją wyrzucić, boi się. Wczoraj Niemcy za znalezienie bagnetu rozstrzelali już jednego żołnierza. Kiwam ze zrozumieniem głową.

Popołudnie przyniosło niesamowite upokorzenie. Oto na niebie pojawiły się dwa samoloty i z umieszczonych na nich kamer zaczęto nas filmować. Do tego dołączyły również samochody z kamerami. Ma to być reportaż z obozu w Błoniu i ma pójść w ich „Wochenschau”^{*}. Coś łapie za gardło, z szeregów dolatuje mnie głos: „*Fotografują nas, jak małpy*”. Czuję straszny wstyd i ból, wprost się płakać chce, jakie to straszne być jeńcem. Nie mogłem tego dłużej znieść, wstałem i poszedłem w stronę pola z kukurydzą. Tu odbywały się próby porozumienia między dotąd walczącymi stronami. Następuje wymiana papierosów, Niemcy mają tylko bez munsztunków, idą na zamianę chcąc poznać nasze „Loty” i „Płaskie”. Jakiś Niemiec wychwala zalety papierosów niemieckich. Zamieniam się z nim, daje mi „Juno” i „R6”, o wiele lepsze od naszych wiarusów choć bez smaku.

^{*} Niemiecka kronika filmowa.

Głos trąbki przeleciał przez obóz, zbiórka w oddziałach. Naszą kompanię ustawia por. Janiak w obecności Solarka. Kompania ppanc wypadła najokazalej w przemarszu przed generałami, mówi Solarek i wobec tego z polecenia pana pułkownika pójdziemy jako pierwsi. Po bokach naszej kolumny ustawiają się czołgi, samochody, motocykle, cykliści, piesi. Na oko nasza cała grupa może liczyć ze dwa tysiące ludzi plus około pięciuset niemieckich konwojentów. Mamy chwilę czasu, aby przyjrzeć się uzbrojeniu naszych konwojentów. Zwraca zwłaszcza uwagę duża ilość broni maszynowej i ogromne, silnie opancerzone czołgi. Powoli przestaje nas dziwić nasza kłęska.

Sochaczew

Po dwu i półgodzinnym postoju ruszyliśmy dalej piaszczystą drogą. Niemcy od początku narzucili szybkie tempo marszu, za szybkie jak na zmęczonych trudami ostatnich dni żołnierzy. Obok nas przejeżdżały załadowane wojskiem zarekwirowane chłopom furmanki. Wóźnice patrzyli na nas z wysoka z wyczuwaną na odległość niechęcią czy wręcz pogardą. Nagle jeden z nich rzucił w naszą stronę paczkę papierosów, która zatoczywszy w powietrzu szeroki łuk uderzyła mnie w pierś, odbiła się i upadła w kurz drogi. Kątem oka dostrzegłem, jak jeden z żołnierzy schylił się po nią. Czym wytłumaczyć ten gest niemieckiego żołnierza, czy litością wobec pokonanych, czy pogardą pana dla niewolnika? Nie potrafiłem sobie odpowiedzieć na to pytanie. Wiedziałem natomiast jedno – to, wbrew pozorom, dopiero początek wojny, a jej losy nie zawsze będą dla naszego narodu tak okrutne i może doczekam takiego dnia, w którym to my będziemy zwycięzcami. Niejako w tej intencji zacząłem szeptać modlitwę. I nagle uświadomiłem sobie, że tym naszym pochodem włączamy się niejako w wielki pochód wszystkich bojowników o wolność naszej ojczyzny, zarówno tych sprzed dziesięcioleci ciągnących na Sybir po upadku powstania styczniowego, jak i tych idących na zwycięską bitwę z bolszewikami w sierpniu 1920 roku. Zrozumiałem, że jestem jednym z tych, którzy poświęcili swe życie, abym ja mógł się urodzić w wolnym kraju. To dodało mi skrzydeł i mimo wielkiego zmęczenia wyprostowałem się i z nadzieją spojrzałem w przyszłość.

Znów jesteśmy na szosie. Mijają nas kolumny zwycięskiej armii kierujące się na Warszawę i mijające się w drodze powrotnej do domów grupki cywili. Patrzymy na nich z zazdrością, ich droga zbliża się do kresu. Niedługo będą w domu, a my? Na to pytanie nikt z nas nie zna odpowiedzi.

- Myślę, że moi rodzice są już w Kaliszu - odzywa się nagle Stasiek.
- Daleko nie mogli stamtąd uciec, nie zdążyli.

- Moi - mówię - być może uciekli gdzieś pod Łódź.

Najbardziej z nas zaniepokojony jest Nieborak. Nie wiadomo co było pod Poznaniem. Jeśli by się tak trzymał jak Warszawa, co jest całkiem prawdopodobne, to mogły być tam liczne ofiary. Zastanawialiśmy się również nad tym, co zrobią w chwili obecnej ci żołnierze, którzy byli pochodzenia niemieckiego. Było takich w naszej armii sporo i sam znałem ich kilku. Najbardziej przecież zaboląta nas zdrada Steinbarta, który przecież chodził z nami do szkoły, jadł polski chleb, kończył polską podchorążówkę, a gdy przyszło co do czego przeszedł na stronę niemiecką. Właśnie dlatego uważałem to za zdradę, choć on pewno był zupełnie innego zdania, nie czując się Polakiem. Czy można było ufać im wszystkim? Na to pytanie dopiero czas miał dać odpowiedź.

Minęła północ gdy dotarliśmy do zniszczonego działaniami wojennymi - Sochaczewa. Przeszliśmy przez uśpione już miasto i zatrzymaliśmy się na postój poza jego rogiatkami na nocleg. Noc była zimna, szczęściem nieopodal stał stóg słomy. Wysłałem Klimczaka z Mikołajczykiem po słomę, gdy przyszli położyłem się obok nich i mimo dokuczliwego zimna zasnąłem.

Obudziliśmy się coś koło jedenastej. Była środa, pierwszy dzień października. O śniadaniu raczej nie było mowy wstałem więc i skierowałem się w stronę krzątających się Niemców. Jedni myli się, inni jedli, inni znów czytali gazety. Tym właśnie zachęcony zbliżyłem się i poprosiłem o gazetę - „Völkischer Beobachter”. Na pierwszej stronie komunikaty o zwycięstwie i ustaleniu granic między Niemcami a Rosją Sowiecką. O Zachodzie ani słowa. Zawracam się z pytaniem do młodego feldfebla co się dzieje na froncie zachodnim. Niestety, wieści stamtąd są niezbyt pocieszające. Armia niemiecka zatrzymała się na linii Zygfyda i praktycznie żadnych działań wojennych. Natomiast niepokojące wieści

dochodzą ze Wschodu. Hitler zawarł pakt ze Stalinem i podzielili się Polską. Rosja stała się więc naturalnym sprzymierzeńcem Niemców. Stalin kończy z polityką komunistyczną, co jest – według mego rozmówcy – wielką zasługą Führera.

- Pan chyba nie jest prostym żołnierzem? – pyta mnie nagle Niemiec.

- Jestem podchorążym.

- A skąd?

- Z poznańskiego.

- No właśnie, teraz odwieczna, (ugermanisches land) ziemia niemiecka wraca do nas z powrotem. Nie chcieliście się zgodzić na korytarz, to nie macie wcale Polski. Teraz już na zawsze koniec z wami.

Rozmowie naszej przysłuchiwało się wielu Niemców i Polaków. Zbliżył się Borowiak z Kurbielem oraz Janiak z Solarkiem.

- No i czego się pan dowiedział, zwrócił się do mnie Borowiak.

- Według Niemców na Zachodzie spokój. U nas też już po walkach, a kraj podzielony między Niemców a Sowieców. Podobno komunizm się w Rosji skończył, a Stalin wprowadza nacjonalizm rosyjski przyjazny hitleryzmowi. – Zapadła głucha cisza.

Nasi kapelani odprawili nabożeństwo polowe. Cały obóz klęczał modląc się żarliwie. Tysiące jeńców wzniosło swoją rozpacz i nadzieję do Boga. Niemcy jak gdyby nigdy nic łazili obok nas, rozmawiając i śmiejąc się. Na zakończenie mszy nad obozem uniosła się pieśń „Boże, coś Polskę” jednocząc wszystkich śpiewających. Nastrój tej pieśni udzielił się również Niemcom, bo choć nie rozumieli słów, przestali nagle chodzić i pozwolili nam skończyć. Po nabożeństwie spotkałem na dwu znajomych Żydów z Turku, młodszego Gutmачera i Icka Lubińskiego.

- Słyszałem, że nasz dom rozbity – powiedział Icek.

Zdenerwował mnie, bowiem to w jego domu mieszkali moi rodzice.

- Czy duże są straty wśród Żydów tureckich? – spytałem.

- O tak, to co ja wiem, to chyba ze 30-tu nas brakuje – odpowiedział Gutmacher.

- Słuchajcie, kto z nas się pierwszy znajdzie w Turku, ten zawiadomi rodziny pozostałych – powiedziałem.

Szczęk menażek przerwał mi rozmowę. Ponieważ nie miałem me-

nażki, jadłem obiad z jednej menażki z Mikołajczykiem. Po obiedzie nastąpił rozdział zapasów.

- Pamiętajcie - mówił Solarek - że to jest reszta i musicie oszczędnie jeść. Każdy z kompanii dostał kawałek szynki konserwowej, trzy suchary, 10 papierosów i dwie kostki kawy. Zostało nam jeszcze trochę kaszy, ale z niej będzie na parę dni zupa na obiad.

Między 3-cią a 4-tą po południu znów wyruszyliśmy w drogę. Może to już ostatni przemarsz łudziliśmy się.

Łowicz

Wydostaliśmy się znów na szosę. Mija nas kolumna czołgów i samochodów pancernych. Na wozach napisy: „Wir fahren nach Heimat”. I znów nachodzi mnie niewesoła refleksja. Ileż to kłamstwa było u nas o Niemcach i o ich słabości. Teraz z perspektywy czasu widać najlepiej, że była to tylko propaganda. Przypomniały mi się przedwojenne slogany o nieoddaniu nawet guzika od munduru i zrobiło mi się głupio. Jadę teraz na wozie, nogi mam obtarte do krwi. Rzekę przekraczamy po niemieckim moście pontonowym, wybudowanym w tym miejscu na miejscu wysadzonego przez cofające się nasze oddziały. Na wozach panuje napięta atmosfera, co chwila wybuchają kłótnie. Niekiedy kończy się to interwencją naszych niemieckich konwojentów. W rowach leżą niemieckie odezwy. Któryś z żołnierzy przyniósł - tłumaczę. Jest to odezwa Blaskowitza*, do swych żołnierzy. Mowa w niej o pobiciu nieprzyjaciela walczącego w dziki i zwierzęcy sposób (to oczywiście o Polakach) o uzbrojeniu i doskonałości armii niemieckiej i o tym, że na żołnierzy czekają w Rzeszy i tak dalej na tę nutę.

Odpocząłem trochę i zszedłem z wozu. Obok jechał żołnierz niemiecki na rowerze.

- Kamarad - spytałem go - dokąd idziemy?

- Nach Lowitsch*.

- A czy tam już dochodzi kolej?

- Tak.

* Jedziemy do ojczyzny

* J. Blaskowitz, gen, dowódca 4 dywizji piechoty

* Do Łowicza.

No to pociecha, myślę sobie, może się pojedzie już dalej koleją. Mogliby nas podwieźć bądź do Koła, bądź do Kalisza. stamtąd blisko. Tylko co z tym domem, gdzie mogą być rodzice, czy wrócą przede mną, czy im się w drodze nic nie przytrafiło? A brat? Czy nie ewakuował się przypadkiem na wschód. Jeśli tak to jest teraz pod bolszewikami.

Październikowe dni są już krótsze, zaczęło zmierzchać i znów wtarabaniłem się na wóz. Niespodziewanie obok mnie znalazł się Gałuba.

- Panie podchorąży - zaczął po powitaniu - mam do pana takie pytanie. Otóż cały czas myślę czy to już koniec Polski?

- Koniec - nie, za nami przecież 150 lat niewoli, a jednak kraj się odrodził to i teraz nie będzie inaczej. To dopiero początek wojny. Nie wierzę, aby sojusz niemiecko-sowiecki był trwały, prędzej czy później wezmą się za łby tak, jak to już bywało i wtedy będzie szansa dla nas. Tak jak to było w 1914 roku. A teraz naszym zadaniem będzie psucie ich wzajemnych stosunków tak, żeby się za łby wzięli. W Rosji jest tylu Żydów, co nie zapomną zbrodni Hitlera w stosunku do Żydów niemieckich, austriackich czy czeskich. Oni prędzej czy później doprowadzą do wystąpienia Rosji przeciw Niemcom. Urwałem rozmowę. Zbliżyliśmy się do miasta. Konie, wozy, kuchnie odprowadzone zostają w pole, a my wchodzimy w zabudowania dawnych koszar. Mamy w nogach chyba z osiemdziesiąt kilometrów nic więc dziwnego, że wszyscy padają ze zmęczenia. Solarek odchodzi zasięgać języka. Wraca z wiadomością, że mamy przygotowywać się do odjazdu, a mnie zleca zrobić spis. Wieść rozchodzi się w tempie błyskawicy i już po chwili oblegają mnie tłumy chętnych. Robię spisy przy świetle zapalek i po pół godzinie jestem gotów. Podszedł do mnie nasz nowy (po Bednarskim i po mnie) szef kompanii.

- Widzi pan - mówił - jacy Niemcy są zorganizowani. Ja ich znam z poprzedniej wojny, zobaczy pan, nie tylko że nas puszcza, ale będą nam płacić pensje. A jak kto zna niemiecki to i dobrą posadę dostanie. Przecież na dotychczasowe stanowiska wojskowe będą nas powoływać.

Patrzyłem na niego jak na wariata, ale na razie się nie odezwałem. Minęła jedna godzina i druga, a my czekaliśmy. Oficerowie gdzie poszli, poszedłem więc na poszukiwanie. Wszedłem do bloku i tu ich znalazłem. Wzrokiem odszukałem Solarka i podszedłem do niego.

- No i co - spytałem.
- Dopiero rano mamy ruszyć - powiedział Solarek.
- Co pan teraz będzie robić - spytał Janiak.
- Nie mam przed sobą żadnych perspektyw, ot będą pracował a jak i gdzie, to jest mi to zupełnie obojętne.

- No to niech pan wali do mnie. Mieszkam we wsi Cienia za Kaliszem.

- Dziękuję, w razie głodu skorzystam. Kiwnął na mnie Gutowski.

- Niech się pan nie trapi, ja też nam majątek Zwoleń koło Błaszek, pojedzie pan do mnie. Zaprosiłem już tam pułkownika Gryla, będziemy we trzech gospodarować.

Uścisnąłem mu rękę z wdzięcznością. Przeszedłem do drugiej sali, tu stało grono oficerów, między nimi właśnie major Wodecki. Temat poruszony był aktualny - niespodziewana klęska.

- Zgubili nas ci na górze - mówił major.

- Czy zgubili czy nie to już się nie odstanie - powiedział jakiś nieznany mi kapitan - fakt, że już koniec i wszystko stracone.

- Jak pan tak może mówić, kapitanie - wybuchnąłem. - Póki my żyjemy, nic nie jest stracone. Polska to nie tylko ziemia i miasta, ale przede wszystkim my, to w nas żyje Polska. Póki my żyjemy mamy obowiązek walczyć dalej... - urwałem. Wodecki uchwycił mnie za rękę.

- Chodź pan na chwilę na bok. Uważaj chłopcze, dziś już nie można mówić szczerze, pamiętaj o tym. Na pewno są między nami szpiedzy niemieccy, pamiętaj że twoje życie jest zwłaszcza dziś coś warte. Po co mają ciebie w Łowiczu rozstrzelać?

Patrzę na majora, może ma rację, ale czyż podobno, że tu mogli być zdrajcy? Trzeba mi wrócić do żołnierzy. Postanowiłem jakoś ich rozkwatować na noc. Skierowałem się więc ku wyjściu z budynku. U wyjścia drogę zagroził mi wartownik.

- Austritt verboten!*

- Dlaczego?

- Taki jest rozkaz.

* Wyjście zabronione

Stałem chwilę. Na szczęście pojawił się oficer niemiecki, major. Prosiłem go o zezwolenie na wyjście.

- Chwilowo nie wolno oficerom stąd wychodzić. Potem będzie wszystko unormowane.

- Ale ja nie jestem żadnym oficerem, tylko ordynansem. Widać mój wygląd bardziej pasował do pucybuta niż oficera i dlatego nie robiono mi dalszych przeszkód w wyjściu.

Idąc do swoich, zacząłem się zastanawiać, dlaczego trzymają oficerów w zamknięciu. Czyżby chcieli ich zamknąć - przemknęło mi przez głowę.

Okrzyżylem budynek, z którego przed chwilą wyszedłem, z trudem wdrapałem się na wysokość okna.

- Hej tam - zawołałem.

Wychylił się jakiś major.

- Panie majorze u wyjścia zaprowadzili wartę, wartownik powiedział, że przez noc nie będą nikogo wypuszczać. Czy oni was czasem nie chcą zatrzymać.

- Kto wy jesteście - spytał major.

- Podchorąży.

- Ech, zawracanie głowy, idź pan lepiej spać.

Poszedłem do żołnierzy.

- No i co - pytali zewsząd.

- W każdym razie na noc zostajemy tutaj - powiedziałem.

Na noc została zorganizowana „kwatery nocna”, co oznaczało, że noc mamy spędzić na dworze. Żołnierze poprzynosili deski, słomę, gałęzie, rozpalono parę ognisk. Drzemiąc koło nich spędziłem noc. Czasem ktoś krzyknął, pochylił się i za bardzo osmolił sobie twarz lub włosy.

Zimno i głód.

Struktura organizacyjna 25 Kaliskiej Dywizji Piechoty oraz 29 Pułku Strzelców Kaniowskich

25 Kaliska Dywizja Piechoty

Dowództwo dywizji

- dowódca
gen. bryg. Franciszek Ksawery Alter
- oficer ordynansowy
por. rez. Marian Nowicki
- szef sztabu
mjr dypl. Edward Marcei Ostrowski

Dział operacyjno-wywiadowczy

- oficer operacyjny
kpt. dypl. Bolesław Wojtowicz
- pomocnik oficera operacyjnego
kpt. Stanisław Kazimierz Gliński
- oficer wywiadowczy
kpt. Czesław Jewasiński
- oficer wywiadowczy
por. Aleksander Kapałka

Dział kwatermistrzowski

- kwatermistrz
kpt. dypl. Witold Kopytyński
- pomocnik kwatermistrza
kpt. Fryderyk Ombach
- pomocnik kwatermistrza
ppor. rez. Wacław Kamiński
- kierownik kancelarii
ppor. rez. S. Kwiatkowski

Dowódcy broni

- oficer sztabu dowódcy piechoty
mjr Michał Augustyn Chrupek
- dowódca artylerii
ppłk Antoni Wereszyński

- oficer sztabu
kpt. Kazimierz Budzianowski
- oficer służby wywiadowczej artylerii
kpt. Ludwik Ostrichań
- oficer służby wywiadowczej artylerii
ppor. rez. Józef Bembel
- oficer łącznościowy
por. Zygmunt Wroniecki
- dowódca łączności
mjr Jan Tomasz Stengert
- referent
ppor. rez. inż. Zbigniew Kowalczewski

Szefowie służb

- szef służby uzbrojenia
kpt. uzbr. Mieczysław M. Zulikowski
- referent
por. rez. Roman Wiktor Sioda
- szef służby intendencji
kpt. int. dypl. Janusz Sarnecki
- referent
por. rez. Antoni Maciejak
- referent
por. rez. Ignacy Cieślak
- referent
ppor. rez. inż. Bohdan Szykulski
- szef służby zdrowia
mjr dr Tadeusz Frydrychowicz
- referent
mjr rez. lek. dr Władysław Nowak
- dowódca szefostwa służby taborów
kpt. Stefan Tomanowski

- oficer dyspozycyjny
ppor. rez. inż. Roman Palacz
- szef służby weterynaryjnej
kpt. Eugeniusz Warnicki
- szef służby duszpasterskiej
ks. kapelan Wojciech Rojek
- szef służby sprawiedliwości
kpt. mgr Antoni Łukasik
- sędzia
por. rez. Ludwik Gołaszewski
- sędzia
ppor. rez. Stefan Stroński
- szef służby żandarmerii
ppor. rez. Zbigniew Kempański

29 Pułk Strzelców Kaniowskich

Dowództwo pułku

- dowódca pułku
ppłk Florian Gryl
- I adiutant
kpt. Franciszek Sepichowski
- II adiutant
por. rez. Kazimierz Nawrocki
- oficer informacyjny
kpt. Władysław Duczmałowski
- oficer łącznościowy
ppor. rez. Ignacy Kurbel

Kwaternistrzostwo pułku

- kwatermistrz
por. Józef Gregorowicz
- oficer płatnik
ppor. Franciszek Kluczyński
- oficer żywnościowy
ppor. Eugeniusz Wyrębowski
- naczelny lekarz
por. lek. Włodzimierz Grówka
- kapelan
ks. Henryk Kornacki

Kompania gospodarcza

- dowódca
por. Józef Ignasiak
- kapelmistrz (?)
por. Józef Gregorowicz

Kwatera główna

- komendant kwatery
kpt. Kazimierz Teofil Józef Wężyk
- płatnik
ppor. rez. Edward Szmydt
- oficer żywnościowy
ppor. rez. Tadeusz Michał Tarchalski
- dowódca ambulansu weterynaryjnego
kpt. rez. Klemens Wicentowicz
- dowódca kompanii gospodarczej
ppor. rez. Tadeusz Adam Pałęcki

- szef kancelarii
ppor. Romuald Tuzik

Kompania zwiadowców

- dowódca
por. Włodzimierz St. Szumigalski
- dowódca plutonu konnego
ppor. Zdzisław Makowski
- dowódca plutonu kolarzy
ppor. Zygmunt Sychalski

Kompania przeciwpancerna

- dowódca
kpt. Jan Wultański

Pluton artylerii piechoty

- dowódca
kpt. art. Tadeusz Zygmunt Scheur
- dowódca
I plutonu ppor. Tadeusz Suski
- dowódca II plutonu
ppor. Stanisław Borowiak
- dowódca III plutonu
ppor. (?) Janiak
- dowódca plutonu pionierów
por. Stanisław Kuśmierk
- dowódca plutonu pżazowego
ppor. (?) Gutowski

I batalion

- dowódca
mjr Stanisław Szczygieł
- adiutant
por. (?) Kleis
- dowódca plutonu łączności
por. Gadomski
- oficer płatnik
ppor. Baltazar Sobocki
- oficer żywnościowy
ppor. Marian Lis
- lekarz
ppor. Hieronim Bąkowski
- dowódca I kompanii
kpt. Stefan Woldański
- dowódca I plutonu
ppor. Stefan Zieleniewski
- dowódca 2 kompanii
ppor. Józef Górski
- dowódca I plutonu
ppor. Stanisław Burmaister
- dowódca II plutonu
ppor. Ludomir Fabrycy
- dowódca III plutonu
pchor. (?) Piotrowski
- dowódca 3 kompanii
por. Władysław Janus
- dowódca I plutonu
por. Zygmunt Karolak
- dowódca II plutonu
por. Janusz Snay
- dowódca 1 kompanii ckm.
por. Jan Chyłą
- dowódca I plutonu
ppor. Antoni Lacheta
- dowódca II plutonu
ppor. (?) Baumert
- dowódca III plutonu
ppor. (?) Spychalski
- dowódca plutonu taczanek
ppor. rez. Antoni Eryk Lacheta
- Przydziały nieustalone w batalionie:
ppor. rez. Paweł Gross,
ppor. rez. Wacław Kleck

II batalion

- dowódca
mjr Jan Światowiec
- adiutant
ppor. Bronisław Trzeszczak
- dowódca plutonu łączności
ppor. Czesław Hübner
- oficer płatnik
ppor. Marian Wichliński
- oficer żywnościowy
ppor. Czesław Zapędowski
- lekarz
ppor. lek. (?) Kruszczyński
- dowódca 4 kompanii
kpt. Alfred Hugo Biske
- dowódca I plutonu
ppor. Franciszek Dopierała
- dowódca II plutonu
ppor. Zygmunt Zasada
- dowódca III plutonu
ppor. Stanisław Waga
- dowódca 5 kompanii
por. Władysław Janus
(do 9 IX)
ppor. Józef Górski
- dowódca I plutonu
ppor. (?) Hamburger
- dowódca II plutonu
ppor. (?) Laskowski
- dowódca III plutonu
ppor. (?) Piasecki
- dowódca 6 kompanii
por. rez. Alfred Sachs
- dowódca I plutonu
ppor. Stanisław Drzymała
- dowódca II plutonu
ppor. Czesław Żółtak

- dowódca III plutonu
ppor. Michał Jagodziński
- dowódca 2 kompanii ckm
ppor. Jerzy Bolesław Markwart
- dowódca I plutonu
por. Jan Ławicki (Nowicki)
- dowódca II plutonu
ppor. Wiesław Franciszek Rogala
- dowódca III plutonu
ppor. (?) Wojciechowski
- dowódca plutonu taczanek
ppor. (?) Rapaport
- dowódca plutonu moździerzy
ppor. Czesław Malowaniec

III batalion

- dowódca
mjr Bolesław Wodecki
- adiutant
ppor. rez. Tadeusz Podgajnik
- dowódca plutonu łączności
por. (?) Michalski
- oficer płatnik
ppor. rez. Jan Wszędobyl
- oficer żywnościowy
ppor. rez. Zygmunt Jabłkowski
- lekarz
pchor. rez. lek. (?) Wiśniewski
- dowódca 7 kompanii
kpt. Andrzej Ślęzak
- dowódca I plutonu
ppor. Władysław Dunajczyk
- dowódca II plutonu
ppor. Herman Buksz
- dowódca III plutonu
ppor. Jan Sobocki
- dowódca 8 kompanii
por. Piotr Tadeusz Kurowski
- dowódca I plutonu
ppor. Józef Kohl
- dowódca II plutonu
ppor. Bolesław Bichel
- dowódca III plutonu
ppor. (?) Drzewiecki
- dowódca 9 kompanii
por. Józef Ścibor
- dowódca I plutonu
ppor. Tadeusz Słaby
- dowódca II plutonu
ppor. (?) Grzela
- dowódca III plutonu
plut. pchor. Marian Mager,
ppor. Waszczykowski
- dowódca 3 kompanii ckm
por. Tadeusz Sznajder
- dowódca I plutonu
ppor. Juliusz Neicheiser
- dowódca II plutonu
ppor. rez. Paweł Mazur
- dowódca III plutonu
ppor. rez. Wł. Wiszniewski
- dowódca plutonu taczanek
ppor. rez. Tadeusz Rosiak
- dowódca plutonu moździerzy
ppor. (?) Mazur

Batalion marszowy

mjr Rutkowski, kpt. Lewicki,
por. Krause, por. May,
ppor. Pawlikowski,

ppor. Lech Reszka,
ppor. rez. Wiktor Wieszczyk

Ośrodek zapasowy

- ppłk Józef Stanisław Haluta,
- por. Mieczysław Rukściński dowodził kompanią w grupie „Kielce”,
- ppor. rez. Marian Kulczycki,
- ppor. rez. Józef Tobiasiewicz,
- ppor. rez. Jan Walis

Inne oddziały dywizyjne i przydzielone do 25 dywizji piechoty

Kompania kolarzy

- dowódca
por. Antoni Julian Grellus
- dowódca II plutonu
ppor. Jan Klemczak

Inne bronie i służby

- dowódca kawalerii dywizyjnej
rtn. Antoni Paszkowski

- dowódca 25 baterii art. plot.
kpt. art. Kazimierz Żniński
- dowódca 25 batalionu saperów
kpt. sap. Czesław Kielczewski
- dowódca 25 kompanii telegraficznej
por. łączn. Andrzej Tadeusz Potocki
- dowódca plutonu żandarmerii
ppor. rez. żand. Zbigniew Kempieński

Indeks nazwisk

A

- Abraham Roman gen. 53
Alter Franciszek gen., dow. 25 DP 71,
179, 226
Andrusiak (imię nieustalone), strz. 34, 86
Andrzejak (imię nieustalone), strz. 85

B

- Bartosiewicz (imię nieustalone), ppor.
15, 16
Bartosik Józef, strz. 87
Baumert (imię nieustalone) ppor. rez.
dow. 2 plut. I batalionu 24, 28, 30,
31, 41, 65, 66
Bednarski, (imię nieustalone) szef kom-
panii 13, 15, 73, 85, 89, 110, 149, 161,
167, 181, 201, 204, 232
Biske [Alfred Hugo] kpt. dow. 4 kompa-
nii 135
Blaskowitz [Johannes] von gen. niem. 231
Bogdanowicz Adam, pchor., kol. z kursu
65, 107, 118, 189

- Borowiak Stanisław ppor. rez., (mierni-
czy z Kalisza) 32, 33, 34, 35, 37, 38,
39, 41, 43, 44, 45, 46, 52, 55, 58, 62,
63, 64, 65, 66, 67, 70, 71, 72, 73, 74,
75, 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85, 86, 91,
92, 110, 111, 139, 164, 165, 166, 167,
168, 169, 170, 181, 182, 186, 187, 188,
190, 192, 198, 203, 220, 221, 222,
223, 230

- Bortnowski Władysław, gen. 52, 111, 139,
152

- Brudnicki (imię nieustalone) strz. 93,
122, 124, 131, 159

- Budzyński (imię nieustalone) por. 69
Burmaister [Stanisław] ppor., dow. I plut.
I batalionu 18, 19, 26, 33, 74, 78, 79

- But (imię nieustalone) właściciel gospo-
darstwa pod Turkiem 72

- Byczyński dyr. Gim. i Liceum im. T. Ko-
sciuszki w Kaliszu 84

C

- Chala (imię nieustalone) strz.-celowni-
czy (narod. ukraińskiej) 38, 151,
223
Cimko (imię nieustalone) strz. amuni-
cyjny (narod. ukraińskiej) 34, 40,
41, 45, 50, 53, 57, 58, 62, 92, 223
Czarnoleski (imię nieustalone) strz. (na-
rod. ukraińskiej) 14, 112, 223

D

- Daniszewski (imię nieustalone) kpt.,
dow. autora z PW 22, 72
Dubas (nieustalone), strz. (narod. ukra-
ińskiej) 34, 223
Dudek (imię nieustalone), plut. z kur-
su 47
Dux Władysław pchor., kolega autora 13,
14, 15, 16, 17, 18, 19, 20, 22, 23, 24, 31,
33, 35, 36, 37, 38, 43, 45, 68, 72, 73,
75, 99, 100, 101, 102, 110, 151, 216

- Dziedzic (imię nieustalone), strz.

E

- Eckert (imię nieustalone), dr działacz
Ozonu, starosta Odolanowa 45

F

- Fabrycy Ludomir ppor., dyr. Gimnazjum
i Liceum im. A. Asnyka w Kaliszu
84

- Fibiger Gustaw, właśc. fabryki fortepia-
nów i pianin w Kaliszu 157

- Frydrych Marian pplk. dow. 60 Pułku Pie-
choty Wielkopolskiej 136, 145, 146

- Fürus kol. z kursu, ewang. z Poznania 118

G

- Gabrysiak (imię nieustalone), strz. 22
Gałuba (imię nieustalone), strz. 187,
188, 232

- Gibas (imię nieustalone), właściciel go-
spodarstwa pod Turkiem 72

- Godziewski (imię nieustalone), pchor.
49, 50, 51, 54, 56, 58, 59, 60, 61, 70

- Goede (imię nieustalone) Niemiec, mieszkaniec Kalisza, prawdopodobnie rozstrzelany 55
- Gorelszew, (imię nieustalone), rzeźnik kaliski 43
- Gorzehowski (imię nieustalone), kpt. 33, 81, 82, 83
- Górski Józef, ppor. dow. 2 komp. I batalionu 22, 70, 100
- Grabowski Leszek, kol. autora, turkowianin 108, 132, 189
- Gręda (imię nieustalone), pchor. 125
- Gryl Florian, ppłk, dow. 29 Pułku Strzelców Kaniowskich 16, 65, 233
- Gutmacher (imię nieustalone), Żyd z Turku 230
- Gutowski (imię nieustalone), por. 141, 153, 161, 164, 166, 181, 182, 183, 184, 185, 187, 188, 190, 195, 202, 215, 216, 233
- H**
- Hait (imię nieustalone), kol. autora z podchorążówki 166
- Heine (imię nieustalone) 77
- Hempel (imię nieustalone), kapral-działonowy 87
- Hofimokl-Ostrowski mecenas z Warszawy 211
- Hyla (imię nieustalone), por. 16, 19, 23, 65, 99
- J**
- Janczewski (imię nieustalone), pchor. kaliszanin 62
- Janiak (imię nieustalone), ppor., turkowianin 31, 33, 34, 35, 41, 43, 68, 70, 72, 73, 75, 81, 96, 99, 100, 110, 132, 133, 139, 199, 200, 202, 203, 204, 206, 207, 208, 209, 211, 213, 214, 217, 218, 221, 223, 228, 230, 233
- Janicki Stefan, strz. 71
- Janiszewski (imię nieustalone), strz. artylerzysta 70, 86, 88, 89
- Jańczyk (imię nieustalone), kpr. 26, 39, 40 41, 204
- Jański (imię nieustalone), strz. 72, 73, 89, 110, 140, 227
- Jarosz (imię nieustalone), strz., turkowianin 93, 111
- Jasiński (imię nieustalone), kpr. 17, 20, 21
- Jędraczak (imię nieustalone), strz. 100
- Jędrasiak (imię nieustalone), kpr. Nadterminowy 18, 34, 69, 114, 133
- Jędrusiak (imię nieustalone), strz. 216, 217
- Jędrzejczak (imię nieustalone), strz. 110
- Józefowicz (imię nieustalone), kpr. fryzjer z Turku 131
- Juszczak (imię nieustalone), strz. Amunicyjny 25, 26, 41, 53, 54, 57
- K**
- Kaczorowski Edmund kpr. służby czynnej 24
- Kaluźny (imię nieustalone), strz. kowal, amunicyjny 36, 41, 50, 134, 135, 158, 204, 207
- Kamecki (imię nieustalone), pchor. 101
- Karolak (imię nieustalone), strz. 115
- Każmierowski (imię nieustalone), strz. 147, 190
- Kleck [Wacław] adiutant majora Szczygła 22, 34, 66, 74
- Kleszak (imię nieustalone), pchor. 126
- Klimczak (imię nieustalone), woźnica wozu amunicyjnego 24, 26, 41, 46, 50, 53, 54, 57, 60, 61, 66, 67, 226, 229
- Kluk (imię nieustalone), kpt. 199, 201
- Knoll-Kownacki Edmund, gen. 179
- Knychalski (imię nieustalone), strz. 197, 200, 214
- Koniecznyński (imię nieustalone), odznaczony za bohaterstwo, turkowianin 224
- Kossakowski (imię nieustalone), kupiec z Turku 221
- Koszada (imię nieustalone), strz. 189
- Koza (imię nieustalone), kpr. 93, 95, 97, 98, 104, 105, 113, 115, 122, 127, 147, 148, 149, 150, 152, 153, 154, 160, 164, 166

Kozłowski (imię nieustalone), strz. 22
Kóleczo S. podof. kompanijny 140, 159
Kraska (imię nieustalone), kpr. 99
Krezur (imię nieustalone), mjr 123
Kuczewski (imię nieustalone), strz. 181, 195
Kukulski (imię nieustalone), strz. 155, 156
Kurbiel Ignacy kpt., dow. łącznościowców 88, 90, 91, 221, 230
Kurowski [Tadeusz] por., dow. 8 komp. 93, 96, 97, 103
Kuśmirek [Stanisław] por., dow. pionierów 110, 141, 197, 212

L

Lewandowski Kazimierz. strz., woźnica 93, 110, 121, 122, 124, 158, 159, 186, 227
Lewik (imię nieustalone), por. 178, 179
Lodziński (imię nieustalone), gospodarz spod Turku 72
Lubiński Icek Żyd z Turku 230

Ł

Łubkiewicz (imię nieustalone), znajomy brata autora 220

Łuczak (imię nieustalone), strz. 120, 147

M

Maciejewski (imię nieustalone), strz. 14
Madejski Janusz. pchor., kol. szkolny autora 106

Malanowski Witold. pchor. artylerii 46

Malinowski (imię nieustalone), kpr. 93, 111, 144, 145, 207

Manlicki (imię nieustalone), kol. z kursu 93

Markwart [Jerzy Bolesław] dow. plutonu 2 plut. ckm 23

Marszel Stanisław, pchor., przyjaciel autora, turkowanin 73, 93, 106, 107, 108, 182, 189, 227

Metyk (imię nieustalone), strz. (narod. ukraińskiej) 223

Mendelowski (imię nieustalone), kpt., dow. ppanc. 126

Mesiniak (imię nieustalone), kol. ze Szczypiorna 186

Michalski (imię nieustalone), ppor. 164

Mielonka (imię nieustalone), strz. 165

Mike (imię nieustalone), plut. 14

Mikołajczyk, (imię nieustalone), strz. 34, 85, 86, 89, 165, 192, 229, 231

Milke Niemiec, mieszkaniec Kalisza, prawdopodobnie rozstrzelany 14, 55, 63

Misiewicz, (imię nieustalone), st. sierż. 16, 18

Moczynos Bazyl, strz. (narod. ukraińskiej) 25, 41, 53, 54, 55, 57, 58, 60, 223

Mościcki Ignacy prezydent RP 225

Müller (imię nieustalone), Niemiec, mieszkaniec Kalisza, prawdopodobnie rozstrzelany 55

Musiół (imię nieustalone), żołn. 110, 149, 152, 158

Muszyński Antoni. pchor., turkowanin 93, 107, 108, 118, 132, 189

N

Nawrocki por. adiutant mjr. Szczygła 63, 161

Nieborak Ryszard podchor., poznaniak 87, 204, 218, 221, 229

Nowak (imię nieustalone), kpr. działonowy, celowniczy 34, 66, 85, 86, 87, 88, 89, 110, 144, 165

Nowak [Józef] ppłk, dow. dywizjonu haubic 81, 179

Nowak Teofil, st. strz., celowniczy 41, 44, 45, 46, 48, 54

Nowicki Stanisław pchor., kaliszanie i asnykowiec 35, 36, 134, 137, 139, 143, 158, 190, 191, 192, 195, 199, 200, 203, 204, 206, 218, 219, 221, 226

O

Okuń (imię nieustalone), strz. 105, 123, 150, 223

Olejniczak (imię nieustalone), kpr. artylerii, znajomy brata Włodzimierza 138, 156

- Ostrowski (imię nieustalone), mjr dow. spec-batalionu BS-u 87, 141
- Ostrowski (imię nieustalone), por. 208
- P
- Pajchrowski (imię nieustalone), plut., rusznikarz komp. ppanc. 36, 89, 139, 140, 159
- Pawlak (imię nieustalone), strz. karabinowy z kursu 23
- Pawłowski (imię nieustalone), kpr., działonowy 87, 204
- Piasecki Bolesław por., w cywilu artysta-malarz, turkowianin 43
- Polkowski Jan adiutant dowódcy, st. strz. pchor. 96, 119
- Procyk (imię nieustalone), koniowodny luzaka kapitana Wultańskiego 89
- Przełęcki (imię nieustalone) strz. 40
- Pussak (imię nieustalone), właściciel kamienicy 58
- R
- Rabczyński (imię nieustalone), kpr. pchor. zaw. 26, 30, 44, 68, 85
- Rokoszewski (imię nieustalone), strz. celown. 147, 161, 163, 192, 201
- Rosiak (imię nieustalone), odzn. za bohaterstwo, turkowianin 182, 194, 224
- Rosin (imię nieustalone), strz. z cenzusem 135
- Różalski (imię nieustalone), młodszy kolega z Turku 221
- Rybczyński Jan, strz.-działonowy 14, 67, 69, 70, 110, 148, 152, 222
- Rybka (imię nieustalone), strz. 140
- S
- Sachs Alfred por., dow. 6 komp., turkowianin 204
- Sawa (imię nieustalone), strz. 40
- Scheur [Tadeusz Zygmunt] kpt. dow. plutonu artylerii piechoty 89, 93
- Schmidt Kazimierz znajomy autora z JHP, kaliszczanin 123
- Schneider [Tadeusz] por., dow. 3 komp. ckm 107
- Siarkiewicz (imię nieustalone), strz. celowniczy (majster rowerowy) 21, 25, 38, 39, 40, 63, 86, 144, 225
- Sikorski (imię nieustalone), plut. z Konina 65, 107
- Sikorski Z., żandarm, kolega ze szkoły 66, 189
- Siwa (imię nieustalone), st. strz. 34, 132, 133, 134, 136, 137, 143
- Skrzypczyński (imię nieustalone), sierż. artylerii pułk. 104
- Skrzypski (imię nieustalone), strz. 95, 96, 101, 109, 115, 116, 127, 130, 137, 138, 140, 141, 142, 143, 145, 146, 165
- Skwon (imię nieustalone), kolega z podchorąż., 56 pp Krotoszyn 37
- Słaby [Tadeusz], ppor. dow. I plut. III batalionu 97, 98
- Smekczyński (imię nieustalone), por. dow. z kursu pchor., turkowianin 194, 227
- Smogorzewski (imię nieustalone), strz. 194
- Sobociński S. strz. woźnica 24, 25, 26, 31, 40, 41, 44, 51, 58, 65, 72, 77, 80, 92, 181
- Socha Józef, kpr., instruktor z kursu 14, 61
- Solarek (imię nieustalone), dow. komp. 35, 87, 141, 188, 202, 203, 204, 205, 206, 209, 210, 211, 212, 214, 216, 217, 219, 220, 221, 223, 224, 228, 230, 231, 232, 233
- Sołtysiak Wacław kpr. 141, 204
- Sosnkowski Kazimierz gen. 139
- Sowiński (imię nieustalone), strz. 137
- Starosta (imię nieustalone), woźnica 38, 137
- Steinbart Bertold pchor., turkowianin 93, 108, 109, 132, 229
- Suski [Tadeusz] ppor., dow. I plut. ppanc. 31, 32, 35, 36, 93, 94, 111, 112, 114, 116, 117, 118, 119, 120, 133, 144, 203, 217

Szczygieł [Stanisław] mjr., dow. I batalionu 17, 18, 22, 23, 29, 31, 32, 34, 46, 47, 60, 63, 66, 79, 81, 99, 100, 107,
Szolc (imię nieustalone), kol. z kursu, poznaniak 201
Szumigalski [Włodzimierz Stanisław] ppor., dow. zwiadowców konnych i rowerowych 15, 86, 102, 217
Szurek (imię nieustalone), st. strz. „sekretarz” i d-ca pocztu przy mjr Wodeckim 102
Szymczak (imię nieustalone), kpr. 107, 112, 120, 121, 122, 133, 147, 148, 150, 151, 154, 158, 159, 161, 166, 190
Szymczak (imię nieustalone), strz. 93, 94, 101

Ś

Ścibor Józef ppor., dow. 3 komp. III batalionu (nauzc. z Turku) 96, 97, 98, 112, 182
Ślązak [Ślęzak Andrzej] kpt. 96, 106, 111, 112, 113, 195
Śledziński kol. z kursu, poznaniak 201
Śmigły-Rydz Edward marszałek 225, 226
Śniegowski (imię nieustalone) 112
Świątnicki (imię nieustalone), strz. działonowy 14, 15, 33, 100, 102, 103, 137, 147, 148, 150, 154, 158, 159, 161
Świstun (imię nieustalone), strz. (narod. ukraińskiej) 158
Świtalski (imię nieustalone), płk 172

T

Tokarzewski-Karaszewicz Michał gen. 171
Tyczyński (imię nieustalone), płk 126

U

Urbaniak (imię nieustalone), strz. 134, 185

W

Wesołek (imię nieustalone), szef kompanii 29, 41
Węgrzynowski (imię nieustalone), podoficer z kursu dywizyjnego 23
Wietrzyk (imię nieustalone), strz. celowniczy 86, 89

Wiśniewski, (imię nieustalone), plutonowy zawodowy 18, 28, 34

Witkowski (imię nieustalone), kpt., oficer gospod. pułku 16

Witrich (imię nieustalone), pchor., kol. z kursu 94, 95, 96

Wład Franciszek, gen. 140, 151

Wodecki [Bolesław] mjr, dowódca III batalionu 90, 92, 93, 95, 98, 99, 100, 101, 102, 103, 106, 111, 113, 120, 121, 124, 134, 141, 143, 144, 146, 157, 181, 182, 183, 185, 186, 187, 190, 194, 196, 197, 217, 219, 233

Wojciechowski (imię nieustalone), strz. 20

Wojtczak (imię nieustalone), kpr. 24, 25, 32, 38, 39, 41, 44, 48, 51, 52, 53, 54, 55, 57, 64, 68, 71, 72, 73, 75, 76, 79, 80, 110, 132, 134, 184, 185, 198, 204

Woldański [Stefan] kpt., dow. 1 komp. I batalionu 23, 26, 40, 44, 47, 68, 99

Wojcik (imię nieustalone), por. 206

Wultański Jan kapitan, dow. kompanii ppanc. 14, 28, 35, 67, 70, 85, 86, 88, 89, 90, 91, 92, 110, 114, 117, 139, 141, 143, 147, 156, 158, 159, 162, 167, 188

Z

Zakrzewski (imię nieustalone), sierżant. szef izby chorych ze Szczypiorna 70

Zakrzewski (imię nieustalone), podchor. 124, 125

Zdunek (imię nieustalone), st. strz. z k.m. 96, 101, 115

Zenkter (imię nieustalone), pchor. rez. 41

Zieleniewski [Stefan], ppor., kaliszanie 26

Zielonka (imię nieustalone), strz., woźnica 80, 84, 86, 92

Ziołkowski (imię nieustalone), strz. amunicyjny 39, 40, 48, 4, 60

Zygmunt (imię nieustalone), sanitariusz (fryzjer z Turku) 131



1. Ojciec i matka Tadeusza Pietrzaka –
Ksawery i Ewelina z Kokowskich Pietrzakowie



2. Dom rodzinny Pietrzaków w Turku - widok współczesny

RZECZPOSPOLITA POLSKA
Województwo Poznańskie
Gminna Goleńcza Parafia
Św. Krzyża w Kole

ODDZIAŁ



Świadectwo urodzenia i chrztu

z aktu sporządzonego w 1920 roku za Nr 202

Niniejszym zaświadczam, że zgodnie z aktami w miejscowych księgach urodzonych

Tadeusza Mieczysława Pietrzaka

syn (córka) Franciszka Kława żony jego Ewel.

o Kole urodził(ą) się w miejscie Kole

dnia 21 sierpnia tysiąc dziewięćset dwudziestego

1920 roku i ochrzczony(ą) został(ła) 4 września 1920 r.

w Kole dnia 10 października 1920 r.

W. G. G. G.

Proboszcz

Urządnik stanu cywilnego



3. Świadectwo urodzenia i chrztu Tadeusza Pietrzaka



4. Tadeusz Pietrzak w wieku około 8 lat

JUNACKIE HUFCE PRACY
2 BATALION PRACY

pieczęć nagłkowa władzy wystawiającej
zaświadczenie.



Z A Ś W I A D C Z E N I E

O O D B Y C I U S Ł U Ż B Y P R A C Y.

Na podstawie § 15 rozporządzenia Ministrów: Spraw Wojskowych i Spraw Wewnętrznych z dnia 24 maja 1938 r. w porozumieniu z Ministrami Opieki Społecznej i Komunikacji w sprawie odbywania w r. 1938 służby pracy na podstawie art. 79 ustawy z dn. 9 kwietnia 1938 r. o powszechnym obowiązku wojskowym (Dz. U. R. P. Nr 38/38 poz. 323) zaświadczam, że poborowy z cenzusem Radzicki

(nazwisko)
Radzicki - Mieczysław syn Krzysztofa Ławy
(imię) (nazwa rodziców)
urazony w r. 19 20 przynależny do P. K. U. Kalisz
powiat Krosno L karty ewid. 1 Krosno odbył służbę pracy
w 2 Batalionie Junackich Hufców Pracy
(nazwa jednostki organiz. szkolenia)
w czasie od dnia 19 sierpnia 19 38 r. do dnia 15 września 19 38 r.



Gory
Kierownik 2 Batalionu J. H. P.
Geronis
GERONIS mgr. s. s.
podpis Komendanta oddn. org. J. H. P.

5. Zaświadczenie o odbyciu służby pracy



6. Tadeusz Pietrzak w mundurze podchorążego

29 PUŁK STRZELCÓW KANIOWSKICH

Legitymacja

Plut. pchor. Pietrzak Tadeusz

z kom. p. ppam. 29 Pułk Strzelców Kaniowskich



[Handwritten signature]

7. Legitymacja plut. pchor. T. Pietrzaka wydana przez 29 pułk Strzelców Kaniowskich



8. Tadeusz Pietrzak z wujostwem Zeltmanami i kuzynem Andrzejem w dworku na Łbiskach opodal Zalesia i Piaseczna



9. Tadeusz Pietrzak z narzeczoną Marią Mazurkiewicz



10. Tadeusz Pietrzak w Zalesiu koło Piaseczna



11. Tadeusz Pietrzak w mundurze kolejarza



12. Brat Tadeusza - Włodzimierz Pietrzak z żoną Ireną i Marią Mazurkiewicz w Zalesiu koło Piaseczna



	Draugėnas Arlandas s. Petro	3644	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	
	Daniszewski Jerastar s.	3952	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Dzirdzak Stefan s. Paolo	3980	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Dombrowski Vincenty s. Juozas	3993	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Dumleni Vladislav s. Adam	3993	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Dumbravskis Viktor s. Andrius	4029	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Dumbravskis Aleksandras s. Tomazas	4020	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Durdzik Stasys s. Kazimieras	4503	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Dolubovskis Michail s. Boriso	4524	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Diaconovas Petras s. Petro	4545	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Dimitriev Teodor s. Michailas	4545	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Dzugas Kazys s. Antanas	4569	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Dobrovski Ivan s. Stepanas	4597	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Druzdine Jadviga d. Robertas	4619	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Druzdinskas Silvestras s. Juozas	4619	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Dusznanski Johanas s. Stasys	4617	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Dziugulinskiy Jonas s. Juozas	4624	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Dankus Stasys s. Simonas	4661	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Daki Grigorij s. Jozas	4709	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Davstkenas Juozas s. Juozas	4706	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Dzuba Vladov s. Motiejus	4756	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Dzuba Bronis d. Adolfs	4755	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Dumont Franciska d. Paulas	4764	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Dobromin Nikolaj Ivan	4824	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Draugėnas Arlandas Leonas	4832	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Dobrodzinski Sofija d. Maksimilijanas	4860	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Dobrowolski Feliks s. Juozas	4870	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Dobrowolski Lucijana s. Feliksas	4869	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas
	Dovidavičius Vincas s. Kazimieras	4881	14/12/42	14/12/42	1942/11/27	Paletas

13. Lista straconych na Łukiszkach w Wilnie, wśród ofiar
 Tadeusz Pietrzak, rozstrzelany 18 grudnia 1942 r.
 pod konspiracyjnym nazwiskiem Jaroslawa Daniszewskiego

13. Lista straconych na Łukiszkach w Wilnie, wśród ofiar
Tadeusz Pietrzak, rozstrzelany 18 grudnia 1942 r.
pod konspiracyjnym nazwiskiem Jaroslawa Daniszewskiego

Spis ilustracji

1. Ojciec i matka Tadeusza Pietrzaka – Ksawery i Ewelina z Kokowskich Pietrzakowie
2. Dom rodzinny Pietrzaków w Turku – widok współczesny
3. Świadectwo urodzenia i chrztu Tadeusza Pietrzaka
4. Tadeusz Pietrzak w wieku około 8 lat
5. Zaświadczenie o odbyciu służby pracy
6. Tadeusz Pietrzak w mundurze podchorążego
7. Legitymacja plut. pchor. T. Pietrzaka wydana przez 29 pułk Strzelców Kaniowskich
8. Tadeusz Pietrzak z wujostwem Zeltmanami i kuzynem Andrzejem w dworku na Łbiskach opodal Zalesia i Piaseczna
9. Tadeusz Pietrzak z narzeczoną Marią Mazurkiewicz
10. Tadeusz Pietrzak w Zalesiu koło Piaseczna
11. Tadeusz Pietrzak w mundurze kolejarza
12. Brat Tadeusza – Włodzimierz Pietrzak z żoną Ireną i Marią Mazurkiewicz w Zalesiu koło Piaseczna
13. Lista straconych na Łukiszkach w Wilnie, wśród ofiar Tadeusz Pietrzak, rozstrzelany 18 grudnia 1942 r. pod konspiracyjnym nazwiskiem Jarosława Daniszewskiego
14. Tablica na kościele parafialnym w Turku, poświęcona ofiarom hitlerowskich więzień i obozów koncentracyjnych z nazwiskiem Tadeusza Pietrzaka

Spis treści

Wstęp	5
Rozdział I ALARM	13
Rozdział II WOJNA	43
Rozdział III KAPITULACJA	215
Struktura organizacyjna 25 Kaliskiej Dywizji Piechoty oraz 29 Pułku Strzelców Kaniowskich	235
Indeks nazwisk	241

Tadeusz Pietrzak, uczeń Prywatnego Gimnazjum Koedukacyjnego im. T. Kościuszki w Turku i plutonowy podchorąży 29 Pułku Strzelców Kaniowskich w Kaliszu, jest autorem



niezwykłego pamiętnika, opisującego tragiczne dni polskiego września 1939 r. widziane oczyma młodego żołnierza. Jego autor po kapitulacji włączył się w działania konspiracyjne i jako żołnierz ZWZ zginął w Wilnie, rozstrzelany przez hitlerowców prawdopodobnie w końcu 1942 r. Opowieść o wojennych losach działonu broni przeciwpancernej 29 PSK, przechowana szczęśliwie przez dziesięciolecia, ukazuje się jako dokument tych czasów, wnosząc szereg nieznanych i cennych informacji do wojennych losów historycznej ziemi kaliskiej - Turku, Uniejowa, Dąbia nad Nerem, Łęczycy, Kalisza.

